

**DANIELLE STEEL**

# **ZUPEŁNIE OBCY CZŁOWIEK**

## ROZDZIAŁ 1

Drzwi garażu najpierw uchyliły się tajemniczo, a potem rozwarły szeroko jak paszcza ogromnej ropuchy pożerającej nierozważną muchę. Z przeciwnej strony ulicy patrzył na nie oczarowany mały chłopiec. Uwielbiał patrzeć, jak się otwierają, i wiedział, że za chwilę zza rogu wyłoni się piękny sportowy samochód.

Czekał, odliczając: pięć... sześć... siedem.

Mężczyzna naciskający guzik pilota nie wiedział o jego istnieniu i nawet do głowy mu nie przyszło, że malec bacznie obserwuje jego powroty do domu. Dla chłopca stanowiło to już pewien rytuał i zawsze był niepoczony, gdy mężczyzna w czarnym porsche'u wracał zbyt późno lub nie wracał wcale.

Stał w mroku i cierpliwie odliczał: jedenaście... dwanaście... aż w końcu pojawił się elegancki ciemny kształt wyłonił się zza rogu i z gracją zniknął za drzwiami garażu. Niewidoczny dla innych malec odprowadził go pełnym pożądania wzrokiem, a potem wolno odszedł do domu, unosząc w pamięci jego ciemny wizerunek.

Tymczasem w garażu Alexander Hale zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrzony w znajomy półmrok. Po raz kolejny jego myśli powędrowały do Rachel i po raz kolejny starał się je uciszyć. Z westchnieniem sięgnął po teczkę i wysiadł z samochodu. Po chwili drzwi garażu zamknęły się automatycznie.

Wszedł do domu drzwiami od strony ogrodu i na chwilę zatrzymał się w holu, spoglądając w pustkę niegdyś przytulnej kuchni. Dom był niewielki, ale bardzo ładny, zbudowany w wiktoriańskim stylu. Nad kominkiem na misternie kutej żelaznej kracie wisiały miedziane garnki, lecz na pierwszy rzut oka było widać, że od dawna nikt ich nie polerował. Nikt też nie dbał o inne drobiazgi. Kwiaty zwieszające się obfitymi girlandami z frontowych parapetów sprawiały wrażenie martwych. Gdy zapalił światło w kuchni, zauważył, że niektóre zupełnie uschły. Zawrócił i rzuciwszy przelotne spojrzenie na nieduży wyłożony boazerią pokój stołowy, skierował się na górę.

Teraz gdy wracał do domu, korzystał z tylnego wejścia, bo wchodzenie przez główne było dlań zbyt przygnębiające. Ilekroć wieczorem wchodził przez frontowe drzwi,

miał nadzieję, że ona tu będzie, spodziewał się, że zobaczy jej wspaniałe blond włosy upięte w kok, że przemknie mu przed oczami jej prosta sukienka, którą zazwyczaj ubierała do sądu.

Rachel... Była błyskotliwą prawniczką, wspaniałą przyjaciółką, pociągającą kobietą, dopóki... dopóki go nie zraniła, dopóki nie odeszła, dopóki się nie rozwiedli. Dokładnie przed dwoma laty.

Kiedy wracał z pracy, po drodze zastanawiał się, czy ten dzień już na zawsze utkwiał mu tak głęboko w pamięci. Czy już nigdy nie potrafi uwolnić się od bolesnego wspomnienia owego październikowego poranka? Czy już na zawsze pozostanie pod jego wrażeniem? Dlaczego obie ich rocznice, ślubu i rozwodu, musiały wypadać dokładnie w tym samym dniu? Rozsądna Rachel twierdziła, że to czysty przypadek. On uważał to za ironię losu.

Gdy jego matka zadzwoniła tamtego wieczoru, kiedy otrzymał dokumenty rozwodowe, był kompletnie pijany. Śmiał się, bo wtedy nie potrafił nawet zdobyć się na płacz.

- To okropne - powiedziała.

Rachel... Myśli o niej wciąż nie dawały mu spokoju. Wydawało mu się, że dwa lata wystarczą, aby ukoić ból, ale tak się nie stało. Nie mógł uwolnić się od obrazu jej złotych włosów i ciemnoszarych oczu w kolorze Atlantyku przed burzą.

Po raz pierwszy spotkali się w sądzie była adwokatem przeciwnej strony. Toczyli niezwykle zacięty spór. W porównaniu z nią nawet Joanna d'Arc nie potrafiłaby wykrzesać z siebie tyle mocy i sprytu. Alexander śledził jej poczynania z niekłamanym podziwem, a walka z nią sprawiała mu tak wielką przyjemność jak nigdy dotąd. Zaprosił ją potem na kolację, a ona upierała się, że zapłaci swoją część rachunku. Powiedziała półżartem, że nie chce „wkupywać się w służbowe układy”. Zrobiła to tak, że nie wiedział, czy bardziej ma ochotę obrazić się, czy rzucić się na nią i zedrzeć z niej ubranie.

Była niesamowicie piękna i niewiarygodnie inteligentna. Na jej wspomnienie zmarszczył brwi i wolnym krokiem wszedł do pustego salonu. Wszystkie meble z tego pokoju zabrała ze sobą do Nowego Jorku, inne zostawiła. Dom, który kupili razem,

wydawał się jednak jakby odarty ze swojej istoty, bo niegdyś wspaniały, a teraz pusty salonik był jego duszą. Czasami Alexander się zastanawiał, dlaczego jeszcze nie kupił nowych mebli. Może dlatego właśnie, aby mógł o niej myśleć, ilekroć przechodził przez pusty pokój do głównego wyjścia.

Znalazszy się na górze, oderwał się od obecnej pustki a jego myśli powędrowały znów w czasy, kiedy byli razem i dzielili tak wiele. Mieli wspólne cele, wspólne rozrywki i życie zawodowe, wspólne łóżko i dom... i niewiele więcej.

Być może jeszcze więcej ich dzieliło. Alex chciał mieć dzieci, chciał wypełnić puste pokoje na piętrze wrzawą i śmiechem. Rachel chciała zająć się polityką lub dostać pracę w renomowanej firmie prawniczej w Nowym Jorku. O polityce wspomniała mimochodem już przy pierwszym spotkaniu. Uważała to za oczywiste i naturalne, gdyż była córką wpływowego człowieka z Waszyngtonu, który wcześniej zasiadał we władzach jej rodzinnego stanu. Siostra Alexa, Kay, była z kolei członkiem Kongresu, można zatem powiedzieć, że to również ich łączyło. Rachel w skrytości ducha podziwiała Kay i gdy się poznały, szybko zostały przyjaciółkami.

Nie polityka jednak sprawiła, że Rachel odeszła od Alexa decydującą przyczyną była pewna firma prawnicza z Nowego Jorku. Po dwóch latach udało się jej w końcu dopiąć swego i wtedy go zostawiła. Na to wspomnienie znowu poczuł narastający ból. Tak, to prawda, wciąż rozdrapywał stare rany. Wprawdzie nie bolały już tak jak kiedyś, ale wciąż jeszcze dokuczały.

Była piękna, inteligentna, podziwiana, dynamiczna, radosna... ale czegoś jej brakowało, czegoś delikatnego, łagodnego i nieuchwytnego.

Takie określenia w ogóle nie pasowały do Rachel. Ona pragnęła czegoś więcej, niż tylko żyć u boku Alexandra, być adwokatem w San Francisco, żoną...

Kiedy się poznali, miała dwadzieścia dziewięć lat i była wolna, bo dotąd nie znalazła czasu na małżeństwo. Powiedziała mu, że koncentrowała się przede wszystkim na osiągnięciu własnych celów życiowych. Kończąc studia prawnicze postanowiła, że do trzydziestki musi coś osiągnąć, musi zostać kimś.

Zapytał ją wtedy, co dokładnie ma na myśli.

Sto tysięcy rocznie odpowiedziała bez zastanowienia.

Roześmiał się, ale zauważył wyraz jej oczu. I zrozumiał, że traktuje to poważnie i naprawdę zamierza dopiąć swego. Całe jej życie było podporządkowane temu celowi, celowi mierzonemu czekami na ogromne sumy i wielkimi procesami, procesami, w których nie było ważne, kto jest przeciwnikiem.

Zanim przeniosła się do Nowego Jorku, poznała ponad połowę prawniczego światka San Francisco i wszyscy, nawet Alex, nie mieli wątpliwości, jaka rzeczywiście jest zimna, wyrachowana, widziała tylko swój zawodowy sukces.

Cztery miesiące po ślubie dowiedziała się, że jedna z najlepszych kancelarii w mieście ma do zaoferowania bardzo atrakcyjną i prestiżową posadę. Alex był naprawdę zdumiony, że jej kandydatura została w ogóle wzięta pod uwagę. Była przecież bardzo młoda i niedoświadczona, ale już wkrótce okazało się, że jest zdolna do wszelkich sztuczek, które pozwoliłyby jej dostać pracę na miarę jej ambicji. I dostała ją, Alex zaś przez następne dwa lata starał się zapomnieć, w jaki sposób dopięła swego wmawiał sobie, że to tylko taktyka powszechnie stosowana w interesach.

W końcu została pełno prawnym współnikiem w firmie i otrzymała w Nowym Jorku propozycję znacznie przekraczającą jej wymarzone „sto tysięcy rocznie”. Miała wtedy raptem trzydzieści jeden lat. Z podziwem i przerażeniem patrzył, jak podejmuje decyzję.

Dla niej to było takie oczywiste... Alexander w tym wypadku nic nie znaczył wybór był prosty: albo przeniesie się z nią do Nowego Jorku, albo zostanie sam w San Francisco. Powiedziała, że to zbyt wielka szansa, aby w ogóle się zastanawiać. Ale między nimi to niczego nie zmieni oświadczyła. Będzie przecież mogła przylatywać co tydzień do San Francisco, poza tym on może zamknąć swoją firmę i wyjechać z nią na Wschodnie Wybrzeże.

- I co tam będę robił? - zapytał. - Spodziewasz się, że zostanę twoim sekretarzem? - spojrzał na nią z bólem, ale i ze złością. Był zaskoczony jej decyzją. Pragnął usłyszeć, że on znaczy dla niej więcej niż ta praca, lecz to nie było w jej stylu, podobnie jak nie było w stylu Kay.

I w tym momencie uświadomił sobie, że już kiedyś znał taką kobietę jak Rachel,

własną siostrę, która też zawsze stawiała na swoim i po trupach dążyła do celu. Jedyna różnica polegała na tym, że Kay zajmowała się polityką, a Rachel była prawnikiem.

Łatwiej było mu zawsze zrozumieć i szanować kobiety takie jak jego matka, Charlotta Brandon, która potrafiła zrobić karierę i równocześnie wychować dzieci. Przez dwadzieścia pięć lat należała do najlepiej sprzedających się pisarek, mimo to zawsze miała czas dla Alexa i Kay zawsze była blisko i zawsze okazywała im miłość.

Ojciec umarł, gdy Alex był jeszcze dzieckiem, i wtedy podjęła pracę w redakcji czasopisma. Pisała głównie na konto bardziej znanych autorów, była zwykłym murzynem od czarnej roboty, lecz każdą wolną chwilę poświęcała pracy nad własną książką. Tak zaczęła się historia wypisywana później na wszystkich okładkach jej dziewiętnastu powieści, które sprzedały się w milionowych nakładach. Jej kariera była przypadkiem zrodzonym z konieczności, ale bez względu na to, jak do tego doszło, zawsze ją traktowała jak dar niebios i coś, czym chciała dzielić się z dziećmi, które znaczyły dla niej nieporównywalnie więcej niż sława.

Charlotta Brandon była bez wątpienia wyjątkową kobietą, córka jednak nie poszła w jej ślady. Kay była kłótniwa, zazdrosna, niezrównoważona i nie miała w sobie nic z delikatności, ciepła i dobroci matki.

Z czasem Alex przekonał się, że podobnie było z jego żoną. Rachel wyjechała do Nowego Jorku zostawiając go w San Francisco, lecz upierała się, że absolutnie nie chce rozwodu. Na początku próbowała nawet jakoś się dostosować, niestety, ich absorbująca praca na dwóch krańcach kontynentu sprawiała, że wspólne weekendy stawały się z czasem coraz rzadsze. W końcu Rachel zrozumiała i powiedziała Alexowi, że nie widzi szans, aby to miało się kiedykolwiek zmienić.

Przez dwa tygodnie zastanawiał się nawet, czyby rzeczywiście nie zamknąć firmy w San Francisco i nie przenieść się do Nowego Jorku. Przecież firma nie była aż tak ważna, aby przez nią stracić żonę. Pewnego dnia o czwartej nad ranem zdecydował się: zlikwiduje firmę i wyjedzie. Sięgnął po telefon, aby powiedzieć o tym Rachel. W Nowym Jorku była siódma rano. W słuchawce nie usłyszał jednak jej głosu.

- Z panią Hale? - rozległ się zdziwiony baryton. - Ach, z panną Patterson!...

Rachel Patterson. Alex nie wiedział, że w życie w Nowym Jorku wkroczyła pod nazwiskiem panięńskim. Nie wiedział też, że wraz z pracą rozpoczęła od nowa swoje życie osobiste. Tego ranka nie miała mu już właściwie nic do powiedzenia, toteż słuchał jej ze łzami w oczach. Wkrótce zadzwoniła znowu, tym razem z biura.

- Cóż mogę ci powiedzieć, Alex... Przykro mi...

Przykro! Dlatego, że go opuściła, że ma z kimś romans... Dlaczego właściwie jest jej przykro? Może po prostu lituje się nad nim, nad patetycznym głupcem samotnym w czterech ścianach domu w San Francisco?

- Widzisz dla nas jakąś szansę? - zapytał w nadziei, że uda się jeszcze coś zmienić.

Tym razem była zupełnie szczerą.

- Nie, Alex, obawiam się, że nie...

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, lecz rozmowa prowadziła donikąd.

Nie mieli już sobie nic do powiedzenia, oboje wiedzieli, że nadeszła pora, aby każde z nich spotkało się z własnym adwokatem. Tydzień później Alex wniósł pozew o rozwód. Wszystko przebiegło bez zakłóceń. „W cywilizowany sposób”, jak zauważyła Rachel, lecz Alex przeżył to niezwykle boleśnie.

Przez następny rok czuł się tak, jakby miał wkrótce umrzeć. I naprawdę bardzo tego pragnął. Jakaś część jego jestestwa chyba rzeczywiście umarła, jakby ktoś wyrwał z niego strzępy duszy pozostawiając pustkę, taką samą jak ta, która została po meblach wywiezionych do Nowego Jorku.

Na pozór funkcjonował zupełnie normalnie: jadł, spał, spotykał się z ludźmi, pływał, grał w tenisa, w squasha, chodził na przyjęcia, podróżował i osiągał zawodowe sukcesy. Czegoś mu jednak brakowało, czuł to, chociaż być może nikt inny poza nim tego nie zauważył. Od dwóch lat prócz ciała nie miał nic, co mógłby ofiarować kobiecie.

Wszedł do gabinetu i poczuł, że cisza panująca w domu powoli staje się coraz bardziej nieznośna. Miał ochotę biec przed siebie, uciec stąd, od tej głuchej, zabójczej pustki. Dopiero teraz, po dwóch latach, zaczynał budzić się z otępienia, w którym żył tak długo. Miał wrażenie, że w końcu zdjęto mu bandażę i ujrzął skrywane pod nimi blizny.

Przebrał się w dżinsy, adidas i starą sportową koszulę. Długimi susami zbiegł po schodach przytrzymując się poręczy, z rozwianymi ciemnymi włosami i dziwnym blaskiem w oczach, zatrzasnął za sobą drzwi i skierował się ku Divisadero, skąd zaczął truchtać w górę Broadwayu. Po chwili przy stanął, aby nasycić oczy wspaniałym widokiem. W dole zatoka iskrzyła się niczym pokryta błyszczącą satyną, pobliskie wzgórza spowijała wieczorna mgła, a światła po drugiej stronie zatoki błyskały jak drogocenne kamienie.

Dotarłszy do majestatycznych budowli przy Broadwayu, skręcił w prawo i wolnym krokiem podążał w kierunku Presidio, podziwiając na przemian wspaniałe budowle i dostojny urok zatoki.

Domy w tej części San Francisco były chyba najpiękniejsze: ze dwie, trzy najdroższe rezydencje w mieście, zachwycające pałace z cegły, elżbietańskie kamienice, baśniowe ogrody, cudowne widoki i smukłe drzewa. Wokoło nie było nikogo i żaden odgłos z pobliskich domów nie zakłócał spowijającej wszystko ciszy, tak że bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak przy kryształowym dźwięku srebrnych dzwoneczków ulicami wolno suną odświętnie odziani panowie w smokingach i damy w satynowych i jedwabnych sukniach, za nimi zaś podążają służący w lśniących liberiach.

Alex zawsze w tym miejscu uśmiechał się do swoich marzeń, którymi ożywiały mijane domy i ulice. Dzięki nim czuł się mniej samotny niż wtedy, gdy wyobrażał sobie zupełnie inne sceny, mijając małe, skromne domki i mniej reprezentacyjne uliczki. Tam mężczyźni w jego myślach zawsze obejmowali ramionami kobiety, które uśmiechały się do dzieci. Dzieci bawiły się w kuchni z psami albo siedziały przy kominku. W dużych domach nie było niczego, co by go pociągało, w nich był zamknięty świat, w którym wcale nie pragnął żyć, choć często zdarzało mu się w nim bywać. Dla siebie pragnął czegoś innego, czegoś, czego nigdy nie miał przy Rachel.

Trudno było mu wyobrazić sobie, że znów jest zakochany, że mu na kimś zależy, że patrzy komuś w oczy i płonie z pożądania. Przez ostatnie lata prawie odwykł od tego i czasami nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek chciałby to przeżyć jeszcze raz. Mężczyły go kobiety starające się za wszelką cenę zrobić karierę, takie, którym bardziej zależało



na atrakcyjnej pensji i awansie niż na założeniu rodziny i urodzeniu dzieci. Marzył o kobiecie staroświeckiej, wyjątkowej, niepospolitej, wartościowej, ale jakoś nigdzie nie mógł jej spotkać. Od dwóch lat jego życie wypełniały tylko kosztowne pozory, tymczasem to, czego pragnął, musiało być prawdziwe, doskonale, bez skazy jak czysty diament. I chyba nie wierzył już w istnienie czegoś podobnego, był jednak przekonany, że nigdy więcej nie pozwoli się zwieść. Solennie sobie obiecał, że w żadnym razie nie zwiąże się z kobietą podobną do Rachel.

Odpędził od siebie te myśli, starając się skoncentrować na wspaniałym widoku ze schodów przy Baker Street, stromo opadających po zboczu do miejsca, gdzie Broadway łączył się z Yallejo Street. Widok i chłodny powiew wiatru uspokoiły go na tyle, że postanowił zatrzymać się i usiąść na chwilę na najwyższym stopniu. Rozprostował nogi i łagodnie uśmiechnął się do swojego miasta. Może nigdy nie spotka odpowiedniej kobiety, może już nigdy się nie ożeni.

I co z tego? Był człowiekiem dobrze sytuowanym, miał piękny dom, własną kancelarię prawniczą, która oprócz odpowiedniego poziomu życia dawała mu ogromną satysfakcję. Może nie potrzebował już nic więcej, może nie miał prawa więcej oczekiwać?...

Przebiegł wzrokiem po pastelowych domkach w dzielnicy portowej, wiktoriańskich murach Cow Hollow w kolorze piernika, podobnych do jego własnego domu, potem spojrział na wspaniały klasycystyczny Pałac Sztuki tuż u podnóża, z kopułą wzniesioną przed pół wiekiem przez Maybecka, na dachy domów...

Nagle na niższych stopniach zauważył skuloną, nieruchomą kobietą postać z pochyloną głową. Wyglądała jak posąg, jak jedna z figur ozdabiających Pałac Sztuki, choć na pewno jej profil widoczny na tle jasnej poświaty był delikatniejszy i łagodniejszy.

Zastygłszy w bezruchu wpatrywał się w nią jak w piękną rzeźbę porzuconą przez artystę, wspaniały odłam marmuru, który przybrał kształt kobiety tak perfekcyjny, że niemal realny. Kobieta nie poruszała się, mógł więc spokojnie się jej przyglądać. Po jakichś pięciu minutach westchnęła głęboko i przejmująco, jakby starała się zrzucić z siebie wspomnienie ciężkiego dnia. Na ramiona miała narzucone jasne futro, w półmroku

jej twarz wydawała się równie jasna. Było w niej coś niezwykłego, coś, co sprawiało, że Alex nie mógł oderwać od niej wzroku i ruszyć się z miejsca. Tak dziwnego uczucia w życiu nie doświadczył.

Siedział i po prostu zafascynowany gapił się na nią w skąpym świetle ulicznych lamp. Kim mogła być? Co tu robiła?... Jej obecność poruszyła go do głębi, zniewoliła i sprawiła, że zapragnął poznać ją bliżej.

W półmroku jej twarz wydawała się niezwykle jasna. Ciemne lśniąco włosy łagodnie opadały jej na kark, spięte w luźny kok. Były chyba bardzo długie, choć sprawiały wrażenie, że trzymają się na jednej lub dwu szpilkach. Przez chwilę czuł nieodpartą chęć, aby podbiec, dotknąć ją, chwycić w ramiona i rozpuścić jej ciemne włosy.

Nieznajoma, jakby wyczuwszy jego myśli, odwróciła się i spojrzała w stronę Alexa. I wtedy zobaczył najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział. Twarz, jaką spodziewał się ujrzeć podziwiając piękne proporcje wspaniałego dzieła rzeźbiarza twarz o delikatnych rysach, ogromnych oczach i pięknie wykrojonych ustach. Zwłaszcza oczy przyciągały uwagę nieobecne, choć nadające wyraz całej twarzy, przepelnione niezmiernym smutkiem. W świetle lamp zauważył, że z tych oczu spływają po białych policzkach strumienie łez.

Na długą chwilę ich oczy się spotkały i Alex poczuł się kompletnie zniewolony przez ciemnowłosą piękność. Sprawiała wrażenie bezbronnej i zagubionej. W pewnej chwili, jakby zawstydzona tym, co miała tak wyraźnie wypisane na twarzy, pochyliła głowę.

Przez moment Alex nie mógł się poruszyć, a potem znów poczuł w sobie niepokonaną chęć, aby zbliżyć się do niej. Wpatrywał się w nią nie wiedząc, co robić, ona zaś wstała i wtuliła się w futro. Jeszcze raz spojrzała na niego, po czym niby zjawa zniknęła za żywopłotem.

Przez kilka minut Alex wpatrywał się w puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała. Wszystko stało się tak nagle!... Zerwał się z miejsca i zbiegł na dół. Wśród żywopłotu zauważył wąską ścieżkę wiodącą do masywnych zamkniętych drzwi. Mógł się

tylko domyślać, że za nimi znajduje się ogród, ale trudno było zgadnąć, do którego domu należy.

Tyle ich tu było... Tak, tutaj mógł znaleźć rozwiązanie tajemnicy. Zapragnął zastukać do drzwi. Może siedzi jeszcze w ogrodzie?... To była tylko krótka chwila desperacji. Wiedział przecież, że już nigdy jej nie zobaczy. Wmawiał sobie z uporem, że to jakaś obca kobieta, i długo jeszcze wpatrywał się w kuszące go drzwi. W końcu odwrócił się i powoli wspiął z powrotem na górę.

## ROZDZIAŁ 2

Gdy przekręcał klucz we frontowych drzwiach, wciąż jeszcze miał przed oczami twarz płaczącej kobiety. Kim była? Dlaczego płakała? Z którego domu tam przysła?...

Usiadł na krętych schodach w holu i wpatrywał się w księżycowe refleksy na podłodze w pustym salonie. Jeszcze nigdy nie widział tak uroczej kobiety. Miała twarz, którą nietrudno było zapamiętać na całe życie, a jeśli nie na całe, to na pewno na bardzo długo.

Siedział nieruchomo pogrążony w tych myślach i nawet nie usłyszał telefonu, który zadzwonił kilka minut po jego powrocie. Objawienie, którego doznał przed chwilą, pochłonęło go bez reszty. W końcu zerwał się i pobiegł na górę, aby podnieść słuchawkę. Najbliższy telefon był w gabinecie, gdzie panował taki nieład, że z trudem zdołał wygrzebać aparat spod sterty papierów.

- Halo, Alex? - usłyszał głos Kay, po czym nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza.

- Co słyhać? - zapytał.

Właściwie znaczyło to: „Czego chcesz?”, bo wiedział, że nigdy nie dzwoniła bez powodu.

- Nic takiego. Gdzie byłeś? Próbuję się do ciebie do dzwonić już od pół godziny. Dziewczyna, która odebrała telefon w biurze, mówiła, że poszedłeś prosto do domu.

Kay zawsze musiała natychmiast spełniać wszystkie swoje zachcianki bez względu na to, czy komuś to odpowiadało, czy nie.

- Byłem na spacerze.

- O tej porze? - jej głos zabrzmiał podejrzliwie. - Dlaczego? Czy coś się stało?

Alex westchnął. Siostra zaczynała doprowadzać go do szału. Była obcesowa, nieuprzejma, zimna, oschła i odpychająca. Czasami przypominała mu kryształ o ostrych krawędziach, który można położyć na biurku, oglądać i podziwiać, ale na pewno nie można go brać do rąk czy dotykać. Po latach jej mąż miał dokładnie takie same odczucia.

- Nie, nic się nie stało, Kay - powiedział.

Musiał przyznać, że choć była kobietą zupełnie niewrażliwą na uczucia innych, zawsze potrafiła bezbłędnie odgadnąć, w ja kim on jest nastroju.

- Po prostu chciałem się przewietrzyć. Miałem ciężki dzień - wyjaśnił, po czym próbując odwrócić jej uwagę od swojej osoby, zapytał: - Czy ty nigdy nie chodzisz na spacer, Kay?

- W Nowym Jorku? Chyba oszalałeś. Tu można przecież umrzeć od samego oddychania.

- Nie mówiąc już o napadach i gwałtach - uśmiechnął się i wyczuł, że ona też się uśmiecha. A Kay Willard nie na leżała do kobiet, które często się uśmiechają. Była zbyt ważna, zbyt zabiegana, spięta i naprawdę rzadko coś ją rozweselało.

- Czemu więc zawdzięczam zaszczyt rozmowy z tobą?

Usiadł i patrząc w okno cierpliwie czekał na odpowiedź. Od pewnego czasu Kay telefonowała zazwyczaj w sprawie Rachel, gdyż z wiadomych powodów utrzymywała stałe kontakty ze szwagierką. Starła się zatrzymać w sądzie pewnego starego gubernatora, a wiedziała, że byłby zachwycony, gdyby udało się jej namówić Alexa, by powrócił do Rachel.

Oczywiście wcześniej musiałyby przekonać Rachel, jak bardzo Alex jest nieszczęśliwy bez niej i jak by się cieszył, gdyby dała mu jeszcze jedną szansę. To było zupełnie w stylu Kay, już wiele razy starała się zaaranżować im spotkanie, kiedy Alex przyjeżdżał do Nowego Jorku.

Tyle że nawet gdyby Rachel zechciała choć Kay co do tego wcale nie miała pewności było oczywiste, że przez ostatnie lata Alex utwierdził się w przekonaniu, że absolutnie nie jest tym zainteresowany.

- A więc, szanowna kongreswoman Willard? - ponaglił ją Alex.

- Och, tak sobie telefonuję. Zastanawiałam się, kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku.

- Po co?

- Nie bądźże taki dociekliwy! Po prostu będę miała gości, wydaję kolację.

- Jakich gości?

Alex skrzywił się na samą myśl. Nie do wiary, jaką miał upartą siostrę.

Wystarczyło jedno słowo i człowiek przepadał na zawsze.

- No dobrze już, dobrze, nie złość się.

- Kto tu się złości? Chcę tylko wiedzieć, kogo zaprosiłaś na kolację. Co w tym złego? Chyba nic, jeśli na liście twoich gości nie ma kogoś, kto byłby dla nas wszystkich kłopotliwy. Może podam ci inicjały, żeby ułatwić zgadywanke?

- Daj spokój - roześmiała się Kay. - Rozumiem aluzję. Ale, do licha, spotkałam ją przypadkiem w samolocie z Waszyngtonu. Wygląda wspaniale.

- Nie wątpię. Gdybyś miała taką pensję jak ona, też byś tak wyglądała.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Czy wiesz, że zaproponowano jej, żeby kandydowała do rady?

- Nie. - Zapadła długa cisza. - Ale nie jestem zaskoczony dodał po chwili. A ty?

- Ja też nie - westchnęła głośno. - Czasami zastanawiam się, czy ty w ogóle rozumiesz, co tracisz.

- Rozumiem i codziennie dziękuję za to niebiosom. Nie chcę być mężem kobiety-polityka, Kay, to zaszczyt zarezerwowany wyłącznie dla George'a.

- Co masz na myśli?

- On jest tak zajęty, że chyba nawet nie zauważa, kiedy wyjeżdżasz do Waszyngtonu na trzy tygodnie. Ja bym na pewno zauważył.

Nie dodał już, że jej córka także to zauważa. Tego był świadom, bo ilekroć zjawiał się w Nowym Jorku, prowadził z Amandą długie rozmowy. Zabierał ją na lunch lub na kolację, a czasami na spacer. Znał siostrzenicę lepiej niż jej rodzice. Czasami miał wrażenie, że Kay w ogóle nie zależy na córce.

- A przy okazji, co słyhać u Amandy?

- Myślę, że wszystko w porządku.

- Co to ma znaczyć: „myślę”? - w jego głosie wyraźnie zabrzmiała dezaprobata. - Czyżbyś się z nią nie widywała?

- O Boże, przecież dopiero co wysiadłam z samolotu z Waszyngtonu! Czego ty

właściwie ode mnie chcesz, Alex?

- Niczego. Nie obchodzi mnie, co ty robisz, ale ona to co innego.

- To też nie powinno cię obchodzić.

- Tak? A kogo powinno, Kay? Może George'a?...

- Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, że nie potrafisz poświęcić córce nawet dziesięciu minut? Jestem przekonany, że nie.

- Do diabła, Alex, przecież ona ma już szesnaście lat i nie potrzebuje niańki.

- Niańki może nie, ale na pewno matki i ojca, jak każda dziewczyna w jej wieku.

- Nic na to nie poradzę. Jestem zajęta. Wiesz dobrze, ile trzeba pracować, gdy się jest politykiem.

Aleks powoli skinął głową. Właśnie tego mu życzyła: życia w cieniu Rachel Patterson. Życia, które być może kiedyś każe mu stać się Pierwszym Dżentelmenem USA. I co poza tym? Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Pięć minut słuchania Kay zupełnie mu wystarczało.

- Zamierzam w przyszłym roku kandydować do Senatu.

- Gratuluję - odparł beznamiętnie.

- Nie cieszysz się?

- Nie. Pomyślałem o Amandzie. Wyobrażasz sobie, co to znaczy dla niej?

- Jeśli wygram, zostanie córką senatora - odparła z taką złością, że Alex miał ochotę uderzyć ją w twarz.

- Sądzisz, że jej naprawdę na tym zależy?

- Chyba nie. Smarkula żyje w świecie tak oderwanym od rzeczywistości, że nie wzruszyłoby jej nawet, gdybym została prezydentem - w głosie Kay zabrzmiała nuta smutku.

- Nie o to chodzi, Kay. - Alex pokręcił głową. - Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni i bardzo cię kochamy, ale jest coś jeszcze...

Jak jej to wyjaśnić? Co powiedzieć? Przecież dla niej liczy się tylko kariera i praca.

- Myślę, że nikt z was nie rozumie, co to naprawdę dla mnie znaczy, jak ciężko

pracuję i jak daleko zaszłam. Harowałam jak wół i udało mi się coś osiągnąć, a ty tylko po trafisz mi prawić kazania na temat, jaką złą jestem matką. A nie pamiętasz, co swego czasu robiła nasza kochana mamusia?... George też jest taki zajęty krojeniem ludzi, że nawet chyba nie wie, czy jestem członkiem Kongresu, czy burmistrzem.

- Nie wydaje ci się to co najmniej przygnębiające?

- A jakże, tylko że takie kariery jak twoja mogą czasem ranić innych.

- Na to właśnie liczyłam.

- Tak? Naprawdę o to ci chodziło?

Być może w jej głosie dało się wyczuć zmęczenie.

- Nie znam jeszcze odpowiedzi na wiele pytań, choć tak bardzo bym chciała... A co u ciebie?

- Nic specjalnego. Pracuję.

- Jesteś szczęśliwy?

- Czasami.

- Powinieneś wrócić do Rachel.

- O tym już rozmawialiśmy. Nie chcę. I nie wiem, dlaczego sądzisz, że ona by tego chciała.

- Mówiła, że chciałyby się z tobą spotkać.

- O Boże! - jęknął. - Dlaczego nie wyjdiesz za jej ojca i nie zostawisz mnie w spokoju? Przecież w ten sposób też osiągnęłabyś to, do czego zmierzasz.

Tym razem Kay roześmiała się.

- Chyba tak.

- Naprawdę myślałaś, że podporządkuję swoje życie osobiste i uczuciowe twojej karierze?

Ten zwariowany pomysł rozbawił go, ale gdzieś na dnie serca poczuł, że jest w tym ziarenko prawdy.

- Wiesz, co najbardziej w tobie podziwiam, moja wspaniała siostrze? Twoją niespożytą energię.

- Dzięki temu mogę osiągać wszystko, czego chcę, kochany braciszku.



- Nie wątpię, ale nie tym razem, moja droga.

- Nie zjesz kolacji z Rachel?

- Wykluczone. A gdybyś ją jeszcze kiedyś spotkała, przekaż jej ode mnie pozdrowienia.

Wspomnienie Rachel poruszyło go do głębi. Nie kochał jej już, był o tym przekonany, lecz rozmowy o niej wciąż jeszcze były dla niego bolesne.

- Na pewno ją pozdrowię. Ale zastanów się jeszcze. Zawsze mogę wam zorganizować spotkanie, jak będziesz w Nowym Jorku.

- O ile nie wyjedziesz właśnie do Waszyngtonu i nie będziesz zbyt zajęta, żeby się ze mną zobaczyć.

- Może nie. Kiedy się wybierasz na Wschodnie Wybrzeże?

- Może za kilka tygodni. Mam w Nowym Jorku klienta i powinienem się z nim spotkać. Jestem jego obrońcą w dość dużym procesie.

- Tak? To wspaniale!

- Tak myślisz? - Przymknął oczy, a po chwili znów utkwiał wzrok gdzieś za oknem. - Dlaczego? Przyda ci się to w twojej kampanii? Myślę, że wierni czytelnicy naszej matki oddadzą na ciebie więcej głosów niż moi klienci - w jego głosie zabrzmiała ironia. - No, chyba że zdecydowałbym się na ponowny ślub z Rachel.

- Tylko nie wpakuj się w kłopoty!

- A czy kiedykolwiek się wpakowałem? - rozbawiła go ta dobra rada.

- Nie, ale w wyborach do Senatu czeka mnie zacięta walka. Będę konkurowała z pewną maniaczką moralności i jeśli ktokolwiek z mojego bliższego lub dalszego otoczenia będzie miał jakiś grzech na sumieniu, ona kompletnie mnie zgnoi.

- Nie zapomnij powiedzieć o tym mamie - zażartował, lecz Kay odparła zupełnie serio:

- Już jej powiedziałam.

- Poważnie?

Rozbawiła go myśl, że ich matka, elegancka, długonoga, modnie ubrana siwowłosa dama, mogłaby zrobić coś, co pogrzyżyłoby Kay w jej wyścigu do fotela

senatorskiego.

- Poważnie. Naprawdę mi na tym zależy. Nie mogę sobie teraz pozwolić na rodzinne problemy. Żadnych wybryków, żadnych skandali, rozumiesz?

- Co za wstyd! Co masz na myśli?

- Nie wiem... Może jakiś romans z tą eks-dziwką, która właśnie wyszła z więzienia...

- Bardzo dowcipne!

- Ale ja mówię poważnie.

- Tak, niestety, zdaję sobie z tego sprawę. Możesz mi dać listę z instrukcjami, co mam robić, jak będę w Nowym Jorku. Do tego czasu postaram się zachowywać poprawnie.

- Postaraj się i proszę, daj mi znać, kiedy przyjedziesz.

- Po co? Koniecznie chcesz mi zorganizować randkę w ciemno z Rachel, tak? Obawiam się, pani kongreswoman, że nie zrobię tego nawet dla twojej kariery.

- Jesteś głupi.

- Być może - odparł, lecz zupełnie go to nie dotknęło. W ogóle nie obchodziło go to wszystko i gdy tylko skończył rozmowę, natychmiast przestał o tym myśleć.

Patrzył w okno i zamiast o Rachel dumał o kobiecie, którą spotkał na schodach. Kiedy przymykał oczy, widział ją dokładnie, widział jej idealny profil, ogromne oczy i delikatne usta. Nigdy nie spotkał kobiety równie pięknej i równie tajemniczej.

Usiadł przy biurku z zamkniętymi oczami nie odrywając od niej myśli, po czym westchnął, pokręcił głową, otworzył oczy i wstał. Dziwne, że nie mógł przestać wspominać osoby zupełnie obcej. Ale gdy schodził na dół, aby zrobić sobie kolację, wciąż jeszcze nie potrafił się skupić na niczym innym.

### ROZDZIAŁ 3

Słoneczne promienie zalewały pokój i połyskiwały na beżowej narzucie przykrywającej łóżko i na obiciach krzesel w dużym, ładnie urządzonej pokoju z wielkimi oknami wychodzącymi na zatokę. Z przyległego do sypialni buduaru rozciągał się widok na most Złote Wrota.

W pokoju był kominek z białego marmuru, na ścianach wisiały starannie dobrane obrazy francuskich malarzy, a w kącie w serwantce w stylu Ludwika XV stała drogocenna chińska waza. Pod oknem ustawiono przepiękne biurko, również w stylu Ludwika XV, tak wielkie, że jedynie tutaj mogło wyglądać w miarę dobrze. Sypialnia była piękna i duża, lecz zarazem sterylna i chłodna. Obok buduaru znajdował się jeszcze wyłożony boazerią pokój wypełniony angielskimi, hiszpańskimi i francuskimi książkami. Stanowiły one jakby jego duszę.

W tym właśnie pokoiku stała Rafaela zapatrzona w zatokę. Była dziewiąta rano. Rafaela miała na sobie przepięknie skrojony czarny kostium, który stanowił kwintesencję jej wyrafinowanego stylu. Kostium, jak większość rzeczy, które nosiła, został dla niej uszyty w Paryżu na specjalne zamówienie. Czasami zdarzało się jej przywozić ubrania z Hiszpanii, nigdy jednak nie kupowała ich w San Francisco. Zresztą prawie nigdy nie wychodziła tu z domu.

W San Francisco była osobą niewidzialną, niezauważalną, osobą, której imię rzadko padało w rozmowach i którą trudno było nawet zobaczyć. Tutaj mało kto wiedział, jak wygląda pani Phillips, żona Johna Henry'ego Phillipsa, a jeszcze mniej ludzi potrafiłoby ją sobie wyobrazić wcielenie piękności o śnieżnobiałej skórze i ogromnych oczach.

Gdy poślubiła Johna, jeden z reporterów napisał, że wyglądała jak księżniczka z bajki, a potem długo rozwodził się nad tym, że naprawdę nią była. Jednakże w ten październikowy poranek jej oczy wpatrzone w rozpościerającą się za oknem zatokę nie były oczami księżniczki z bajki, lecz oczami samotnej młodej kobiety uwięzionej w świecie, do którego się nie narodziła.

- Śniadanie podane, proszę pani.

W drzwiach pokoju stanęła służąca w białym wykrochmalonym fartuchu. Rafaela pomyślała, że jej zapowiedź za brzmiała jak rozkaz. Zawsze miała takie wrażenie w kontaktach ze służbą Johna Henry'ego. Podobnie było w domu jej ojca w Paryżu i w domu babki w Hiszpanii. Wydawało jej się, że to służący wydają polecenia, kiedy wstawać, kiedy się ubierać, kiedy jeść śniadanie, kiedy kolację.

„Służę pani” tak mówili przy kolacji u ojca w Paryżu. A jeśli pani nie chce, aby jej służyono?... Jeśli chce tylko przegryźć kanapkę siedząc na podłodze przy kominku?... Albo jeśli zamiast tostów i jajek zapragnie na śniadanie lody?...

Uśmiechnęła się i zawróciła do sypialni. Rozejrzała się dokoła. Wszystko było gotowe. W kącie stały równo ułożone torby w zamszowych pokrowcach w kolorze czekolady, obok leżała podręczna torebka, do której Rafaela spakowała upominki dla matki, ciotki i kuzynów, biżuterię i książkę do czytania w samolocie.

Patrzyła na spakowane bagaże, nie odczuwając ani śladu dreszczyku emocji, który niegdyś towarzyszył jej podczas wyjazdów. Teraz prawie nic nie było w stanie jej podniecić, wszystko straciło już dla niej urok, bo wszystko wyglądało jak autostrada bez końca prowadząca do niewiadomego celu, który zupełnie jej nie obchodził. Wiedziała, że każdy dzień będzie podobny do poprzedniego, że codziennie będzie robiła dokładnie to samo, co robiła już od siedmiu lat z wyjątkiem czterech letnich tygodni, kiedy przebywała w Hiszpanii, i kilku poprzedzających dni, które spędzała z ojcem w Paryżu.

W ciągu tych siedmiu lat wyjechała jeszcze parę razy na krótko do Nowego Jorku, by dotrzymać towarzystwa kuzynom i kuzynkom z Hiszpanii. Odnosiła wrażenie, że upłynęły całe wieki, odkąd wyjechała z Europy i została żoną Johna.

A przecież na początku było zupełnie inaczej... Wtedy było jak w bajce. I jak w interesach wszystkiego po trochu. Pewnego dnia doszło do fuzji Banque Malle w Paryżu, Mediolanie, Madrycie i Barcelonie z Phillips Bank w Kalifornii i Nowym Jorku. Obydwa imperia składały się z grupy międzynarodowych banków inwestycyjnych. Pierwsza wielka transakcja, jaką zawarł jej ojciec z Johnem Henrym przyniosła im taki rozgłos, że trafili na pierwsze strony gazet. Tak się złożyło, że jej ojciec spędzał tamtej wiosny dużo czasu z

Johnem, a ich interesy rozkwitały.

W końcu John Henry zakochał się w jedynej córce Antoine'a. Rafaela nigdy dotąd nie spotkała takiego człowieka jak on. Był wysoki, przystojny, inteligentny, wpływowy, a przy tym łagodny, delikatny, miły, zawsze z radosnymi iskierkami w oczach. Lubił żartować i Rafaela zauważyła, że coraz bardziej lubi spędzać z nim czas przekomarzając się i śmiejąc. Był człowiekiem o wyjątkowej wyobraźni, niezwykle twórczym, energicznym i elokwentnym. Miał swój styl, miał w sobie wszystko, czego mogła u mężczyzny poszukiwać kobieta.

Niestety, miał też John Henry Phillips jedną wadę nie był już człowiekiem pierwszej młodości. Z początku trudno było w to uwierzyć patrząc na jego szczupłą ładną twarz i silne ramiona, gdy grał w tenisa i pływał. Sylwetki mógłby mu pozazdrościć niejeden mężczyzna nawet o połowę młodszy.

Początkowo nie zamierzał zdobywać Rafaeli właśnie ze względu na swój wiek, lecz w miarę upływu czasu i kolejnych wyjazdów do Paryża wydawała mu się coraz bardziej czarująca, przychylna i uradowana ze spotkania. Nawet Antoine de Mornay-Malle, zawsze dbający o córkę i zatroskany o jej przyszłość, nie miał nic przeciwko temu, aby oddać rękę jedynaczki staremu przyjacielowi. Był oczywiście świadom niezwyklej urody córki, jej delikatności, łagodności i pełnego niewinności uroku. Był także świadom tego, jak doskonałą partią dla każdej kobiety mógł być, pomimo swojego wieku, John Henry Phillips. I wiedział, jakie znaczenie ich związek miałby dla przyszłości jego banku kiedyś, dawno temu, przychodziło mu to już na myśl.

On w związek małżeński wstąpił wprawdzie z miłości, ale w podjęciu decyzji pewną rolę odegrała też zapobiegliwość w interesach. Jego teść, starzejący się markiz de Quadral, uchodził za króla madryckich geniuszy finansów, lecz synowie nie odziedziczyli po nim zainteresowań i odnaleźli swoje pasje w innych dziedzinach. Przez wiele lat markiz poszukiwał godnego następcy, który objąłby wszystkie banki, jakie udało mu się stworzyć w ciągu długiego życia, aż kiedyś poznał Antoine'a. Musiał wykonać wiele dobrze przemyślanych kroków, aby w końcu doszło do połączenia sił Banque Malle i Banco Quadral i wspólnego podpisania wielu poważnych kontraktów. Związek ten

doprowadził do szybkiego pomnożenia wpływów i majątku Antoine'a, sprawił ogromną radość markizowi i spowodował, że Antoine poznał jego córkę, Alejandrę Marquesę de Santos y Ouadral. Poznał i od pierwszego wejrzenia pokochał prześliczną hiszpańską piękność o lśniących ciemnych włosach i błękitnych oczach. Pomyślał, że najwyższy czas założyć rodzinę i spłodzić potomka. Przez trzydzieści pięć lat wciąż był zbyt zajęty tworzeniem rodzinnego bankowego imperium, aż wreszcie i to zaczęło mieć dla niego znaczenie. Alejandra stanowiła idealne rozwiązanie problemu, a przy tym była taka piękna! Miała dziewiętnaście lat i wprost olśniewała wszystkich urodą. Antoine był pewny, że nigdy dotąd nie spotkał kobiety o tak pięknej twarzy. On, ciemnowłosey i czarnooki, wyglądał przy niej jak prawdziwy Hiszpan. Razem stanowili wyjątkowo dobraną parę.

Poznali się i siedem miesięcy później ich ślub stał się najważniejszym wydarzeniem towarzyskim sezonu. Miesiąc miodowy spędzili na południu Francji, a potem, zgodnie z tradycją, zjechali do Santa Eugenia, nadmorskiej wiejskiej rezydencji markiza. Była to zachwycająca posiadłość z pięknym pałacem i dopiero tutaj Antoine naprawdę zrozumiał, czym jest jego małżeństwo z Alejandrą. Stał się członkiem jej rodziny, jeszcze jednym synem markiza. Musiał jak najczęściej pojawiać się w Santa Eugenia i równie często jeździć do Madrytu tak chciała Alejandra. A kiedy nadszedł czas, by wracać do Paryża, wyprosiła, żeby pozwolił jej zostać jeszcze kilka tygodni w Santa Eugenia.

Zjawiła się w Paryżu sześć tygodni później, niż obiecała, Antoine zaś zaczął pojmować, co go czeka: Alejandra zamierzała jak dotychczas spędzać większość czasu z rodziną w Hiszpanii. Przeżyła tam wojnę, mieszkała po wojnie, potem wyszła za mąż, lecz nie chciała zrywać ani rozluźniać więzów rodzinnych.

Zgodnie z oczekiwaniami wszystkich rok po ślubie Alejandra, ku radości Antoine'a, urodziła syna. Dali mu na imię Julien. Antoine miał wreszcie upragnionego potomka. Gdy chłopiec skończył miesiąc, Antoine przechadzał się z markizem po ogrodach w Santa Eugenia, planując przyszłość banków i syna. Teść w pełni go popierał, zwłaszcza że od ich ślubu z Alejandrą Banque Malle i Banco Ouadral jeszcze bardziej rozkwitły.

Alejandra została w Santa Eugenia aż do lata, otoczona braćmi, siostrami, ich

dziećmi, kuzynami i przyjaciółmi. Kiedy Antoine wyjechał do Paryża, Alejandra spodziewała się już drugiego dziecka. Poroniła jednak, później nosiła bliźnięta; które urodziły się przedwcześnie i zmarły tuż po porodzie.

Następne sześć miesięcy spędziła z rodziną w Madrycie, odpoczywając po ciężkich przeżyciach. Wróciwszy do męża do Paryża, znowu zaszła w ciążę. Tym razem urodziła się Rafaela, dwa lata młodsza od Julienu.

Dwie następne ciąży Alejandra poroniła, potem znów urodziła martwe dziecko, co utwierdziło ją w przekonaniu, że to wina paryskiego klimatu. Jej siostry stwierdziły, że na pewno poczuje się lepiej w Hiszpanii, i Antoine domyślił się, że jej wyjazd na stałe jest nieuchronny. Zgodził się na to, bo wiedział, że takie są zwyczaje w jej kraju i że nigdy nie wygrałby tej wojny. Odtąd widywał ją tylko w Santa Eugenia lub w Madrycie, otoczoną gronem kuzynek, sióstr i przyzwoitek.

W towarzystwie krewnych, starannie dobranych przyjaciółek, nieżonatych braci, którzy zabierali ją na koncerty, przedstawienia i do opery, czuła się jak ryba w wodzie. Wciąż jeszcze była jedną z najpiękniejszych kobiet w Hiszpanii i wiodła wolne od trosk, dostatnie życie, niczego więcej nie pragnąc.

Dla Antoine'a podróże do Hiszpanii nie były wielkim problemem, gdy tylko mógł się na kilka dni wyrwać z banku, to jednak zdarzało mu się coraz rzadziej. Z upływem czasu udało mu się przekonać żonę, że dzieci powinny pójść do szkoły w Paryżu oczywiście pod warunkiem, że każdą wolną chwilę, a w szczególności całe czteromiesięczne wakacje letnie będą spędzać w Santa Eugenia.

Niekiedy nawet Alejandra ściągała do Paryża, choć zawsze narzekała na fatalny wpływ tamtejszego klimatu na jej zdrowie. Po ostatnim poronieniu nie zaszła już w ciążę, a jej związek z mężem przeobraził się w końcu w czysto platoniczny. Siostry zapewniały ją zresztą, że to zupełnie normalne. Antoine nie miał nic przeciwko takiemu układowi, po śmierci markiza zaś małżeństwo zostało rozwiązane. Nikt nie był tym zaskoczony, choć okazało się, że na spółkę odziedziczyli Banco Quadral.

Bracia Alejandry zostali w pełni spłaceni, lecz jak się później okazało, wcale to nie rozwiązało problemów Antoine'a, który niegdyś tak bardzo pragnął osiągnąć to imperium.

Liczył, że jego syn będzie kontynuował dzieło dziadka i ojca, niestety, chłopcu nie była pisana sukcesja: w wieku szesnastu lat Julien de Mornay-Malle zginął w wypadku podczas gry w polo w Buenos Aires. Antoine nie miał następcy, pozostała mu tylko jedyna córka, Rafaela. Ona to podtrzymywała go na duchu, gdy razem jechali do Buenos Aires po ciało jej brata. Przez cały czas trzymała go za rękę, nawet wtedy, gdy już na Orły patrzyli, jak z samolotu wyjeżdża kontener z trumną.

Alejandra przyjechała do Paryża osobno, jak zwykle w asyście sióstr, kuzynów, jednego z braci i kilku najbliższych przyjaciółek, które nie odstępowały jej na krok. Była jak zawsze dobrze strzeżona, uwięziona we własnym świecie. Już kilka godzin po pogrzebie zaczęto ją namawiać, by jak najszybciej wracała do Hiszpanii. Zalała się co prawda łzami, lecz bez większych oporów posłuchała rodziny, która nieustannie chroniła ją przed całym złem tego świata.

Antoine pozostał sam. Jedyną osobą, w której mógł szukać oparcia, była czternastoletnia córka. Wspólnie przeżyta tragedia sprawiła, że stali się sobie wyjątkowo bliscy. Zawiązało się między nimi uczucie, o którym nigdy nie mówili, lecz odtąd ich nie odstępowało.

Śmierć Julienu zbliżyła również Antoine'a do Johna Henry'ego, gdyż obaj poznali ból utraty syna. Chłopiec Johna zginął w katastrofie lotniczej w dwudziestym pierwszym roku życia lecąc własnym samolotem, pięć lat później zmarła mu żona.

Strata syna była wszakże i dla jednego, i dla drugiego przeżyciem, z którym długo nie mogli się pogodzić. Antoine'owi została przynajmniej Rafaela, ale John Henry nie miał więcej dzieci, nie ożenił się też powtórnie. Gdy zaczęli robić wspólne interesy, John Henry często przyjeżdżał do Paryża, lecz Rafaela zazwyczaj była akurat w Hiszpanii, co zawsze dawało im z Antoine'em powód do żartów na temat „domniemanej córki”.

Jednakże pewnego razu, gdy lokaj wprowadził Johna do gabinetu Antoine'a, zamiast współnika ujrzał tam ciemnooką, uderzająco piękną dziewczynę wpatrującą się w niego spłoszonym wzrokiem wystraszonej łani. Widok obcego najwyraźniej ją onieśmielił, gdyż właśnie odrabiała lekcje i zamierzała przejrzeć kilka książek z biblioteki ojca. Miała rozpuszczone włosy opadające na ramiona puszystymi lokami niczym



kaskady czarnego jedwabiu.

John Henry stał przez chwilę w niemym zachwycie, ale prędko otrząsnął się z osłupienia i uśmiechnął przyjaźnie. Rafaela rzadko stykała się sam na sam z obcymi, gdyż w Paryżu miała wąskie grono znajomych, a w Hiszpanii nieustannie strzegła jej armia kuzynów i opiekunów. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, ale na szczęście zauważyła wesołe iskierki w jego oczach, więc po prostu roześmiała się.

Potem żartowali wspólnie, aż po półgodzinie zjawił się Antoine przepaszając, że ważne sprawy zatrzymały go w banku. Jadąc do domu zastanawiał się, czy John spotkał się z nią, podświadomie żywiąc nadzieję, że tak. Po przyjeździe ojca Rafaela szybko zniknęła, a jej twarz o śmietankowobiałej cerze długo jeszcze promieniała świeżym rumieńcem.

- O mój Boże, Antoine, jaka ona piękna! - szepnął po jej wyjściu John Henry z dziwnym wyrazem twarzy, a Antoine uśmiechnął się.

- Widzę, że spodobała ci się moja „domniemana córka”. Ale chyba jest strasznie nieśmiała, prawda? Matka od dziecka wpajała jej, że każdy mężczyzna, który zagaduje młodą pannę, to morderca albo co najmniej gwałciciel. Czasem martwię się, gdy widzę, jak bardzo jest płochliwa.

- A czego się spodziewasz? Przez całe życie była przecież starannie ochraniana. Wcale mnie nie dziwi, że jest nieśmiała.

- Ale ona ma już prawie osiemnaście lat! Jeśli nie zamierza mieszkać do końca życia w Hiszpanii, to może mieć w przyszłości poważne problemy. W Paryżu będzie musiała umieć rozmawiać z mężczyzną bez obstawy pół tuzina dam, najlepiej krewnych.

- Mówił to żartobliwym tonem, lecz w jego oczach widniała troska. John Henry wytrzymał jego długie twarde spojrzenie, próbując odgadnąć, co może oznaczać. - - Jest słodka, prawda? Może to nieskromnie mówić tak o swojej córce, ale...

Antoine bezradnie rozłożył ręce i uśmiechnął się. John Henry odwzajemnił uśmiech.

- „Słodka” to chyba nie jest najwłaściwsze określenie - odpowiedział i dodał niewinnie: - Zje z nami dzisiaj kolację?

Antoine znowu się uśmiechnął.

- Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść tutaj, a potem iść na chwilę do klubu. Matthieu de Bourgeon wpadnie tam wieczorem, a obiecywałem mu już setki razy, że go z tobą poznam, jak tylko będziesz w Paryżu.

- To świetnie - odparł z zadowoleniem John Henry, choć wcale nie zależało mu na poznaniu Matthieu de Bourgeona.

Tego wieczoru udało mu się namówić Rafaelę, żeby z nimi wyszła, po raz drugi dokonał tego dwa dni później. Przyszedł do nich na herbatę specjalnie po to, aby ją zobaczyć i przynieść jej dwie książki, o których wcześniej opowiadał. Znowu za rumieniła się i zaniemówiła, lecz tym razem bez trudu nawiązał z nią żartobliwą rozmowę. Po wspólnie spędzonym popołudniu byli niemal przyjaciółmi, a w ciągu następnych sześciu miesięcy stał się jej równie bliski i kochany jak ojciec. Opowiadając o nim matce, mówiła „wujek”.

Pewnego razu wiosną Antoine przyjechał na weekend do Santa Eugenia w towarzystwie Johna Henry'ego, który w kilka dni zdołał oczarować Alejandrę i wszystkich obecnych akurat krewnych. Już wtedy Alejandra odgadła jego intencje, Rafaela jednak nadal nic nie przeczuwała. Domyśliła się tego dopiero latem, w pierwszym tygodniu wakacji, kiedy przed wyjazdem do Madrytu syciła się jeszcze Paryżem.

Właśnie wtedy przyjechał John Henry i zabrał ją na spacer nad Sekwanę. Rozmawiali o ulicznych artystach, o dzieciach, Rafaela z wypiekami na twarzy opowiadała o swoich małych kuzynach w Hiszpanii. Widać było, że naprawdę kocha dzieci. Patrzyła na niego ogromnymi czarnymi oczami, jak zwykle olśniewając urodą.

- Ile dzieci chciałabyś mieć, gdy dorośniesz, Rafaelo? - zapytał, z namaszczeniem wymawiając jej imię.

Zawsze sprawiało jej to przyjemność, bo dla Amerykanów było dość trudne do wymówienia.

- Już jestem dorosła odpowiedziała.

- Naprawdę? W wieku osiemnastu lat? - spojrzał na nią rozbawiony, a ona dostrzegła w jego oczach coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

Był to cień zmęczenia, starości, mądrości i smutku zarazem, jakby nagle wspomniął syna. Czasami rozmawiali i o nim, i o Julienne.

- Tak, jestem dorosła. W jesieni rozpocznę studia na Sorbonie - uśmiechnęła się i John z trudem się pohamował, by nie wziąć jej w objęcia i nie obsypać pocałunkami.

Przez chwilę szli w milczeniu. John Henry rozważał, jak ją o coś zapytać i czy w ogóle pytać.

- Rafaelo rzekł wreszcie nie przyszło ci do głowy, żeby studiować w Stanach?

Szli powoli brzegiem Sekwany, lawirując między gromadami dzieci. Rafaela delikatnie obrywała płatki kwiatka, który trzymała w ręku. Nagle spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

- Chybabym nie mogła.

- Dlaczego? Przecież doskonale znasz angielski.

Jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Mama nigdy by mi nie pozwoliła - wyjaśniła ze smutkiem. - To by było po prostu... po prostu zbyt odmienne od jej stylu życia. I tak daleko.

- Ale ty byś chciała, prawda? Twój ojciec też prowadzi inne życie niż matka. Naprawdę czułaś się w Hiszpanii szczęśliwa?

- Chyba nie... - odpowiedziała niezdecydowanie. - Ale nie mam wyboru. Myślę, że ojciec zawsze chciał, żeby Julien pracował z nim w banku. I zawsze było jasne, że moje miejsce jest w Hiszpanii, przy mamie.

Johna przerażała sama myśl, że miałyby resztę życia spędzić w towarzystwie ciotek, kuzynek i starych piastunek. Nawet jako jej przyjaciel pragnął dla niej czegoś więcej. Chciał, aby była wolna i pełna życia, uśmiechnięta i niezależna, a nie tak jak jej matka pogrzebana żywcem w Santa Eugenia. W głębi duszy był absolutnie przekonany, że nie zasłużyła na taki los.

- Uważam, że nie powinnaś się na to godzić, jeśli tego nie chcesz.

Uśmiechnęła się z rezygnacją, choć w jej oczach błyszczała osiemnastoletnia mądrość.

- Każdy ma w życiu jakieś zobowiązania, panie Phillips.

- Nie w twoim wieku, maleńka. Jeszcze nie. Masz swoje obowiązki, szkołę, w pewnym sensie winna jesteś posłuszeństwo rodzicom, ale nie przez całe życie, jeśli nie chcesz.

- No to co mam zrobić?

- Zastanów się najpierw, czy jesteś szczęśliwa w Santa Eugenia.

- I tak, i nie. Czasem mi się wydaje, że te wszystkie kobiety są potwornie nudne, choć mama je uwielbia. Wszędzie je ze sobą zabiera, do Rio, Buenos Aires, Urugwaju, Nowego Jorku... nawet do Paryża. Kiedy idą tak całą gromadą, wyglądają jak pensjonarki. Są takie... - spojrzała nań przepraszająco - takie głupiutkie. Prawda, że są głupiutkie?

Podniosła wzrok.

John skinął głową.

- Troszeczkę. Rafaelo... - zaczął, a ona nagle zatrzymała się i stanęła twarzą w twarz.

Była tak niewinna i jakby nieświadoma swojej wyjątkowej urody, gdy nachyliła się ku niemu i spojrzała mu prosto w oczy w bezgranicznym zaufaniu, że stracił odwagę.

- Tak?

Nie mógł się dłużej powstrzymać. Musiał jej to powiedzieć.

- Rafaelo... skarbie... kocham cię.

Jego słowa zabrzmiały jak najdelikatniejszy szelest wiatru, jak podmuch paryskiego powietrza. Pochylił się tak, że ich twarze się dotykały, i pocałował ją delikatnie.

Dotknął jej ust swoimi, a potem nie mogąc pohamować ogromnego pragnienia wsunął w nie język i nagle poczuł, że i ona coraz mocniej przywiera do niego, obejmując go za szyję. Po chwili delikatnie oderwał się od niej, nie chcąc przerazić jej namiętnością, jaka w nim narosła.

- Rafaelo... od tak dawna chciałem cię pocałować.

Znów przywarł do jej ust, tym razem już mniej namiętnie, a ona uśmiechnęła się jak nigdy dotąd.

- Ja też... - Spuściła głowę niczym zawstydzona pensjonarka. - Zapragnęłam cię od pierwszego wejrzenia - uśmiechnęła się odważnie. - Jesteś taki przystojny - zarzuciła mu ramiona na szyję, potem wzięła go za rękę i powędrowali dalej brzegiem Sekwany.

- Musimy najpierw porozmawiać. Może usiądziemy? - wskazał wzrokiem ławkę i podążyli w jej kierunku.

Spojrzała na niego pytająco i nagle zauważyła w jego oczach coś, co ją zastanowiło.

- Co się stało?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Nic, ale jeśli myślisz, że tylko po to zabrałem cię na spacer, to się mylisz, dziecino. Muszę cię jeszcze o coś za pytać, ale jakoś nie mam odwagi. O co?

Serce zabiło jej mocniej. Długo, w milczeniu, patrzył jej prosto w oczy, ściskając mocno dłonie.

- Wyjdiesz za mnie, Rafaelo?

Usłyszał, że gwałtownie łapie powietrze, zamknął oczy i pocałował ją jeszcze raz, a gdy w końcu oderwał się od niej, zobaczył uśmiech na jej twarzy, a w oczach łzy. Nigdy tak się nie uśmiechała. Powoli skinęła głową i szepnęła:

- Tak...

Ślub Rafaeli de Mornay-MaUe y de Santos y Quadral i Johna Henry'ego Phillipsa IV był wydarzeniem naprawdę niezwykłym. Ceremonia odbyła się w Paryżu. W dzień ślubu cywilnego wydano obiad na dwieście osób i kolację dla stu pięćdziesięciu członków rodziny i najbliższych przyjaciół. Następnego dnia przed katedrą Notre Dame zgromadziło się około sześciuset osób.

Antoine zaprosił prawie wszystkich członków klubu polo, a wszyscy obecni zgodnie twierdzili, że zarówno ślub, jak i przyjęcie przerastały wszystkie inne. Udało się również jakimś cudem zawrzeć układ z dziennikarzami: młoda para przez pół godziny będzie bez protestów pozować im do zdjęć i odpowiadać na pytania, oni zaś na resztę wieczoru zostawią ich w spokoju.

Ślubne reportaże ukazały się w „Vogue'u”, „Women's Wear Daily”, a następnego

tygodnia w „Timie”. W czasie wywiadów Rafaela kurczowo trzymała za rękę Johna. Jej oczy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze, a twarz bielsza. Wtedy przyrzekł jej, że zawsze będzie ją chronił przed natrętnymi dziennikarzami. Nie chciał, by kiedykolwiek musiała mieć do czynienia z czymś, co wprawiało ją w zakłopotanie i było krępujące.

Doskonale rozumiał, że ją zawsze dotąd pieczołowicie ochraniało, a on był człowiekiem zbyt często przyciągającym ciekawskie oczy prasy. Zdawał sobie też sprawę, że skoro pojął za żonę kobietę młodszą o czterdzieści cztery lata, to i ona stanie się obiektem zainteresowania. Posiadał przecież niewyobrażalną fortunę, a przez ślub z osiemnastoletnią markizą, córką francuskiego bankiera, cała bajka wydawała się zbyt piękna, aby była prawdziwa.

Tajemnicza księżniczka bardzo intrygowała, niemniej wysiłki Johna nie poszły na marne, dotrzymał obietnicy przez wiele lat udawało im się zachować anonimowość, Rafaela przez dwa lata uczęszczała nawet do college'u przy Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Przez ten czas nikt nawet nie podejrzewał, kim naprawdę jest.

Ponieważ nie chciała, żeby kierowca odwoził ją do szkoły, John Henry kupił żonie mały samochód, który sama prowadziła. Bardzo jej się podobało, że może studiować i równocześnie mieć swoją tajemnicę i człowieka, którego kocha. Naprawdę kochała Johna Henry'ego, on zaś na każdym kroku odpłacał jej czułością i miłością. Czuł się jak posiadacz skarbu tak cennego, że nie śmiał go nawet dotknąć. Był bezgranicznie wdzięczny niebiosom za to, że mógł wieść życie u boku tej prześlicznej i łagodnej istoty.

Rafaela była na swój sposób dziecinna i ufała mu bezgranicznie. Pewnego dnia John z przerażeniem dowiedział się, że z powodu poważnej choroby nerek stał się bezpłodny. Mając świadomość, jak bardzo pragnęła mieć dzieci, odtąd żył w poczuciu winy, że pozbawił ją czegoś ogromnie istotnego.

Gdy jej o tym powiedział, usilnie przekonywała go, że to nie ma znaczenia, bo przecież w Santa Eugenia jest tyle dzieci, które może kochać i rozpieszczać. Uwielbiała opowiadać im bajki, kupować prezenty, zabawiać. Miała listę ich urodzin i nigdy nie zapominała, aby we właściwym dniu kupić jakąś cudowną zabawkę i wysłać do Hiszpanii.

Jednakże nawet to, że nie mógł zostać ojcem, nie osłabiło więzi, jaka się między nimi już dawno zrodziła. Zawarcie małżeństwa sprawiło, że Rafaela jeszcze bardziej go szanowała, a John jeszcze mocniej ją kochał. Nigdy też nie przywiązywali wagi do komentarzy na temat ich różnicy wieku.

Niemal co rano grali razem w tenisa, czasami John biegał po Presidio lub po plaży, Rafaela zaś podążała za nim niczym mały szczeniak, śmiejąc się głośno. Potem spacerowali trzymając się za ręce i napawając ciszą. Jej życie, wypełnione Johnem Henrym, studiami i listami do rodziny w Hiszpanii, było bezpieczne i trochę staroświeckie. Czuła się szczęśliwa, szczęśliwsza niż w latach młodości.

Tak było, dopóki nie skończyła dwudziestu pięciu lat.

Na dwa dni przed swoimi sześćdziesiątymi dziewiątymi urodzinami John Henry wybierał się do Chicago, aby sfinalizować jakąś ważną transakcję. Od kilku lat wspominał już o emeryturze, lecz podobnie jak ojciec jakoś nie zamierzał kończyć kariery. Nazbyt kochał świat wielkich finansów, banków i ogromnych korporacji, nazbyt pasjonowało go kupowanie i sprzedawanie znacznych pakietów akcji. Interesował go też handel nieruchomościami, porywały transakcje takie jak ta, którą ongiś zawarł z ojcem Rafaeli. Jakoś nie wyobrażał sobie siebie jako emeryta.

Gdy wylatywał do Chicago, bolała go głowa i pomimo tabletek, które rano kazała mu zażyć Rafaela, ból coraz bardziej narastał. Wieczorem pełen obaw o jego zdrowie asystent wsiadł razem z nim do powrotnego samolotu z Chicago. Gdy przybyli do San Francisco, John był już półprzytomny, z samolotu wyniesiono go na noszach. Rafaela z przerażeniem patrzyła na jego sinoblada twarz. Ból był tak silny, że nie mógł nawet mówić, tylko kilka razy uściśnął jej dłoń, kiedy ambulans wiozł ich do szpitala.

Rafaela z trudem hamowała łzy. Nagle zauważyła dziwny, pogłębiający się grymas na jego twarzy. Potem zapadł w śpiączkę, z której przebudził się dopiero po kilku dniach.

Wieczorna prasa podała wiadomość, że John Henry Phillips miał wylew krwi do mózgu. Informacji tej udzieliło dziennikarzom jego biuro, jak zwykle dokładając wszelkich starań, by ochronić przed nimi Rafaelę.

John spędził w szpitalu niemal cztery miesiące, przechodząc jeszcze dwa słabsze wylewy. Do domu wrócił ze sparaliżowaną prawą ręką i nogą, z trwale wykrzywioną młodzieńczą niegdyś twarzą. Bez śladu zniknęła gdzieś cała aura wielkości i siły, która go otaczała John Henry przeobraził się w starca złamanego fizycznie i psychicznie. W ciągu następnych siedmiu lat jego ciało skurczyło się do karykaturalnych wymiarów.

Nigdy więcej nie opuścił domu. Pielęgniarka wozila go na wózku inwalidzkim do ogrodu, gdzie czasami wygrzewał się w słońcu, a Rafaela przesiadywała przy nim całymi godzinami.

Umysłu nie miał już tak jasnego jak dawniej, jego życie, niegdyś tak dynamiczne, zaangażowane, zmieniło się nie do poznania. Pozostał z niego cień człowieka, a Rafaela żyła teraz z tym cieniem, jak wcześniej wierna, oddana i kochająca. Wypełniała mężowi czas czytaniem, rozmowami, starając się we wszystkim mu dogadzać. Pielęgniarki czuwające przy nim przez całą dobę dbały o jego ciało, ona zaś troszczyła się o duszę. Tyle że John duszę miał chorą, a i Rafaela zastanawiała się nie raz, czy jej duszy nie spotkało to samo.

Od pierwszych wylewów minęło siedem lat. W tym czasie wystąpiły dwa następne, które jeszcze bardziej unieruchomiły Johna. W końcu mógł tylko siedzieć na wózku inwalidzkim i spędzał w nim całe godziny, zapatrzonej w dal i pogrążony w myślach, w których wciąż powracał do tego, co minęło. Na szczęście mógł mówić, choć nie bez trudności, czuł jednak, że niewiele ma do powiedzenia. Los spletał mu okrutnego figla, czyniąc z człowieka energicznego i pełnego życia bezużyteczny skarłowaciały wrak.

Kiedy Antoine przyleciał z Paryża w odwiedzin, opuścił jego pokój ze łzami, którym bez skrępowania pozwolił spływać po policzkach. I jasno powiedział córce, jak ma dalej po stępować. Musi zostać przy nim, musi aż do śmierci trwać przy człowieku, który przecież ją kochał, którego ona pokochała i poślubiła. Nie wolno jej narzekać ani uchylać się od obowiązków. Jej powinność jest oczywista i musi ją wypełniać.

Tak też było przez owe siedem lat. Jedyne wytchnieniem od ponurej rzeczywistości były dla niej letnie wyjazdy do Hiszpanii. Tyle że teraz nie mogła już



spędzać tam czterech tygodni, musiały wystarczyć jej dwa. John zawsze jednak nalegał, aby jechała. Wciąż dręczyła go myśl, że kobieta, którą poślubił, jest teraz jego więźniem.

Czym innym było ongiś chronienie jej przed wścibstwem ludzi, aby swobodnie mogła rozkoszować się życiem, a czym innym stało się uwiązanie jej w domu, aby patrzyła, jak umiera jego ciało i dusza. Gdyby znał jakiś sposób, chybaby odebrał sobie życie, żeby uwolnić ich oboje. Mówił o tym często lekarzowi, lecz kiedy zwierzył się Antoine'owi, ten ogromnie się oburzył.

- Ta dziewczyna cię uwielbia! - ryknął, aż zadrżały ściany pokoju. - Nie masz prawa zrobić jej tego!

- Tak nie można - wymamrotał John cicho, ale wyraźnie. - To zbrodnia kazać jej tak żyć. Nie mam prawa... - wykrztusił przez łzy.

- Nie masz prawa odbierać jej siebie. Ona cię kocha tak samo, jak kochała cię siedem lat temu, zanim to się stało. Miłość nie umiera tak z dnia na dzień. Jej uczucia nie zmieniły się z powodu twojej choroby. A co by było, gdyby to ona zachorowała? Czy przestałbyś ją kochać?

John Henry smutno pokręcił głową.

- Powinna była poślubić młodego człowieka, powinna była mieć dzieci.

- Ona cię potrzebuje, John, należy do ciebie. Dorastała przy tobie i zginęłaby, gdyby cię zabrakło. Jak możesz w ogóle myśleć o tym, żeby ją opuścić wcześniej, niż ci jest pisane? Być może czekają cię jeszcze długie lata życia...

Antoine starał się go pocieszyć, lecz zauważył, że John Henry patrzy na niego z przerażeniem.

Lata... A ile lat będzie wtedy miała Rafaela? Trzydzieści pięć?... Czterdzieści?... Czterdzieści dwa?... Będzie zupełnie nie przygotowana do tego, aby na nowo układać sobie życie.

Te myśli często go dręczyły i sprawiały, że pogrążał się w smutku i żalu nie nad sobą samym, ale nad nią. Nalegał, by jak najczęściej gdzieś wyjeżdżała, Rafaela wszakże zawsze czuła się winna, że zostawia go samego, i nie potrafiła się zrelaksować, mąż stale zajmował pierwsze miejsce w jej myślach.

John nie ustawał w wysiłkach, aby przestała być jego niewolnicą. Ilekroć się dowiedział, że jej matka po drodze do Buenos Aires lub Meksyku zatrzyma się na kilka dni w Nowym Jorku lub gdzie indziej w Stanach oczywiście jak zwykle w licznym towarzystwie kuzynek zawsze namawiał Rafaelę, aby się do nich przyłączyła.

Bez względu na to, czy miały to być tylko dwa dni czy dziesięć, domagał się, by do nich jechała, by choć na chwilę oderwała się od świata, w którym została uwięziona. Wiedział, że z rodziną zawsze będzie bezpieczna.

Naprawdę sama była jedynie podczas lotu do Europy lub Nowego Jorku. Kierowca odprowadzał ją do samolotu w San Francisco, a u kresu podróży czekała już na nią wynajęta limuzyna. Rafaela nadal wiodła życie księżniczki, tyle że zmieniła się bajka, której była bohaterką.

Jej oczy były teraz jeszcze większe i bardziej zamyślane. Najczęściej całymi godzinami siedziała wpatrzona w ogień na kominku lub w rozciągającą się za oknem zatokę. Jej śmiech pozostał już tylko wspomnieniem, a gdy czasami rozlegał się na krótką chwilę, brzmiał jak przypadkowo potrącone struny instrumentu.

Nawet gdy przebywała z rodziną w Nowym Jorku lub innym mieście, była tam tylko ciałem. Przez lata choroby Johna coraz bardziej usuwała się z życia i coraz bardziej stawała się podobna do męża. Była przekonana, że jej życie się skończyło tak samo jak jego, z tą tylko różnicą, że ona tak naprawdę nie zdążyła go posmakować.

Jedynie w Santa Eugenia ożywiała się trochę, gdy brała dzieci na kolana, a inne baraszkowały wokół niej, gdy opowiadała im wspaniałe bajki, a one wpatrywały się w nią z zachwytem. Tylko przy dzieciach zapominała o swoim cierpieniu, samotności i zagubieniu. W towarzystwie dorosłych zawsze była milcząca i przygaszona, jakby nie miała nic do powiedzenia. Przyłączanie się do ich zabaw wydawało się jej po prostu nie-smaczne. Czuła się jak po pogrzebie, który odbył się przed wiekami... Właściwie nie przed wiekami, lecz przed siedmiu laty.

Ona jedna wiedziała, jak bardzo John cierpiał i jak czuł się winny. Toteż będąc przy nim, starała się łagodnym głosem i delikatnym dotykiem ukoić jego ból, ale jej pełne smutku spojrzenie sprawiało, że nie potrafił się uspokoić. Nie martwił się tym, że umiera,

przerażało go, że zabija ją, młodą dziewczynę pogrążoną teraz w samotności i smutku wyraźnie wymalowanym na pięknej twarzy i w ogromnych oczach. Ta dziewczyna, którą tak pokochał, teraz przez niego stała się udręczoną przez życie kobietą.

Gdy Rafaela spiesznie szła na dół po schodach wyłożonych miękkim chodnikiem, zauważyła służących ścierających kurze z antycznych mebli poustawianych w ogromnym holu.

Dom, w którym mieszkali, zbudował dziadek Johna, przyjechawszy do San Francisco po zakończeniu wojny secesyjnej. Budynek przetrwał trzęsienie ziemi w 1906 roku i obecnie należał do najpiękniejszych elementów architektury San Francisco obszerny, pięciopiętrowy, w sąsiedztwie Presidio, z widokiem na zatokę.

Jego niezwykłość polegała na tym, że można w nim było zobaczyć jedne z najwspanialszych witraży w mieście i że wciąż pozostawał w rękach rodziny, do której należał od początku, co w San Francisco było rzadkością.

Rafaela wszakże nie czuła się w nim swobodnie, przypominał bowiem raczej muzeum lub mauzoleum, był chłodny i nie przyjazny, taki sam jak służba, którą odziedziczył John. Nie udało jej się przestawić mebli w ani jednym pokoju, wszystko pozostało tu takie jak przed laty. Był jednak jej domem już od czternastu lat i ilekroć go opuszczała, czuła się jak sierota.

- Czy podać kawę, proszę pani?

Maria, niemłoda już kobieta, która służyła u Phillipsów od trzydziestu sześciu lat, jak co rano spojrzała jej nachalnie prosto w twarz. Mimo że od czternastu lat Rafaela widywała ją codziennie, przez pięć dni w tygodniu, Maria wciąż była dla niej osobą zupełnie obcą i nic nie wskazywało na to, aby cokolwiek miało się w tym względzie zmienić.

Rafaela potrząsnęła głową.

- Nie, dzisiaj nie. Bardzo się śpieszę, dziękuję.

Spojrzała na skromny złoty zegarek, który miała na ręce, odłożyła serwetkę i wstała. Porcelana w kwieciste wzory należała kiedyś do pierwszej żony Johna. Dom pełen był takich rzeczy, wszystko wydawało się należeć do kogoś innego. Do pierwszej

pani Phillips tak ją określała służba albo do matki, albo babki Johna...

Czasami miała wrażenie, że gdyby nagle przyszedł tu ktoś obcy i zaczął oglądać wszystkie bibeloty, obrazy i inne drobiazgi, nie znalazłby niczego, o czym mógłby powiedzieć: „O, to jest Rafaeli”. Nie było tu nic, co by było jej własnością, z wyjątkiem ubrań, książek i pudełek pełnych listów od dzieci z Hiszpanii.

Obcasy Rafaeli zastukały na czarno-białej marmurowej posadzce kuchni. Podniosła słuchawkę i nacisnęła przycisk wewnętrznej linii. Po chwili zgłosiła się pielęgniarka z trzeciego piętra.

- Dzień dobry. Czy pan Phillips już się obudził?

- Tak, ale nie jest jeszcze gotowy.

Gotowy!... Gotowy na co?... Rafaela poczuła dziwny niepokój. Co ma zrobić, by nie obwinił się o to, co stało się niezależnie od jego woli? Dlaczego to stało się właśnie jej? Przez pierwsze siedem lat było tak cudownie, tak idealnie... tak...

- Chciałabym zajrzeć do niego przed wyjazdem.

- Och, wyjeżdża pani?

Rafaela jeszcze raz spojrzała na zegarek.

- Tak, za pół godziny.

- Dobrze, proszę dać nam piętnaście, dwadzieścia minut.

Biedny John! Dziesięć minut, a potem? Kiedy ona wyjedzie, nikt nie będzie go odwiedzał. Wyjeżdżała tylko na cztery, pięć dni, ale wciąż nie była pewna, czy powinna go zostawiać. A jeśli coś się stanie? Jeśli pielęgniarki nie będą o niego należycie dbały?... Zawsze czuła tę obawę.

Była zakłopotana, zdenerwowana, czuła się winna, tak jakby nie miała prawa poświęcić tych kilku dni tylko sobie. John oczywiście będzie ją zachęcał do wyjazdu i do oderwania się od ich wspólnego koszmaru, który trwał od tak dawna. Teraz ich wspólne życie było już tylko pustką, letargiem, czyścikiem lub przedpiekłem.

Wjechała windą na drugie piętro i zapowiedziała pielęgniarce, którą zastała w swojej sypialni, że za kwadrans pójdzie do męża. W lustrze zobaczyła odbicie swojej twarzy, smutnej i bez wyrazu, przygładziła włosy i poprawiła kok upięty na karku.

Z szafy wyjęła elegancki kapelusz, który kupiła w Paryżu na rok przed tym, jak w Stanach wszedł w modę. Włożyła go starannie i pomyślała, że właściwie nie ma pojęcia, dlaczego go kupiła. Czy ktoś go w ogóle zauważy?...

Czarna woalka rzuciła na jej oczy tajemniczy cień, jej cera wydawała się jeszcze bielsza. Delikatnie umalowała usta jasną szminką i przypięła perłowe kolczyki. Wygładziła kostium, podciągnęła pończochy i zajrzała do torebki, by sprawdzić, czy w bocznej kieszonce ma trochę drobnych, które zawsze zabierała w podróż.

Czarną torebkę z wężowej skórki przysłała jej z Hiszpanii matka. Stojąc przed lustrem wyglądała na kobietę niezwykle elegancką, piękną i posiadającą styl, kobietę, która jada u Maxima i jeździ na wyścigi do Longchamp, bawi się w Wenecji, Rzymie, Wiedniu i Nowym Jorku; na kobietę, która bywa w teatrze w Londynie, a nie na dziewczynkę, która niepostrzeżenie dorosła i jest żoną sparaliżowanego siedemdziesięcioletniego mężczyzny. Spojrzała na siebie - zbyt dobrze wiedziała, jaka jest prawda.

Uśmiechnęła się jakby zdziwiona, że wygląd tak bardzo może wprowadzać w błąd, zabrała torebkę i resztę rzeczy i wrzuciwszy ramionami, pośpiesznie wyszła z pokoju.

Przerzuciła przez ramię ciemne futro z norek i skierowała się ku schodom. Winda była dla Johna, ona wolała chodzić pieszo. Wspięła się na trzecie piętro, gdzie znajdował się pokój jej męża i trzy przyległe pokoje dla dyżurujących pielęgniarek niemłodych kobiet, zadowolonych ze swojego podopiecznego i z pracy, którą wykonywały. Były świetnie opłacane i podobnie jak Maria przez całe lata potrafiły zachować rezerwę i dyskrecję.

Rafaela często odnosiła wrażenie, że brakuje jej postrzelonych, nieobliczalnych służących z Santa Eugenia, którzy zazwyczaj byli przykładni i ulegli, ale czasami też niepokorni i dziecinni.

Wszyscy służyli w rodzinie jej matki od bardzo dawna, niektórzy od wielu pokoleń. Byli wojowniczy, kapryśni i uwielbiali dzielić się z innymi. Często śmiali się i żartowali, kochali ludzi, dla których pracowali, i niczym nie przypominali chłodnych profesjonalistów,

którzy odpowiadali za dom Johna.

Rafaela zapukała cicho do drzwi, zza których nagle wychyliła się twarz pielęgniarki.

- Dzień dobry pani. Jesteśmy gotowi.

Jesteśmy?... Rafaela skinęła głową i weszła do apartamentu, który podobnie jak jej własny składał się z buduaru i niewielkiego gabinetu. John Henry leżał w łóżku, wpatrzony w ogień płonący na kominku. Wolno podeszła do niego, lecz sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał. Usiadła na krześle obok i wzięła go za rękę.

- John...

Pomimo czternastu lat spędzonych w San Francisco jej obcy akcent wciąż jeszcze był słyszalny, zwłaszcza gdy wymawiała jego imię. Poza tym znała angielski doskonale.

- John...

Powoli obrócił do niej głowę i przysunął się, aby ją lepiej widzieć. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Cześć, kochanie - powiedział niewyraźnie, ale go zrozumiała i uśmiechnęła się, choć w sercu czuła ból. - Ślicznie wyglądasz - szepnęła, a po chwili dodał: - Moja matka miała kiedyś podobny kapelusz.

- Wydaje mi się trochę głupi, ale... - wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado, lecz tylko ustami. W jej oczach uśmiech pojawiał się bardzo, bardzo rzadko, gdy John patrzył na nią.

- Wyjeżdżasz dzisiaj?

Wyglądał na zasmuconego, więc jak zwykle pomyślała, że chyba nie powinna go zostawiać.

- Tak. Ale jeśli chcesz, kochanie, zostanę.

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie, przenigdy. Chcę, żebyś jak najczęściej wyjeżdżała. To ci dobrze zrobi.

Spotkasz... - zawahał się i z zakłopotaniem szukał w myśli odpowiedniego słowa, którego nie mógł sobie przypomnieć.

- Matkę, ciotkę i dwie kuzynki.

Skinął głową.

- No właśnie. I myślę, że będziesz z nimi bezpieczna.

- Zawsze jestem bezpieczna.

John Henry jeszcze raz skinął głową. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Rafaela wstała, nachyliła się, aby go pocałować, i lekko uściśniła mu rękę. Przez chwilę wydawało się jej, że zasnął, lecz naraz otworzył oczy i spojrzał jej w twarz.

- Uważaj na siebie, Rafaelo.

- Obiecuję. Zadzwonię.

- Nie trzeba. Lepiej zapomnij o tym wszystkim i zabaw się.

Zabawić się? Z kim? Z matką? Z ciotką?... Z trudem powstrzymała westchnienie.

- Niedługo wrócę. Wszyscy tu wiedzą, gdzie mnie szukać, gdybyś potrzebował.

- Nie potrzebuję... - uśmiechnął się. - Przynajmniej nie w ten sposób. Nie chcę psuć ci zabawy.

- Nigdy nie psujesz - szepnęła i pocałowała go jeszcze raz. - Będę za tobą tęsknić.

John pokręcił głową.

- Nie, nie trzeba. Kochanie...

Wiedziała, że musi już jechać na lotnisko, ale jakoś nie mogła się z nim rozstać. Zawsze było jej trudno. Czy miała prawo go zostawiać? A może nie powinna jechać?

- John... - dotknęła jego ręki, a on odwrócił głowę. - Muszę już iść.

- Dobrze, kochanie. Wszystko w porządku.

Spojrzał na nią rozgrzeszająco i mocno uściśnił jej rękę swoimi powykrzywianymi palcami, które niegdyś były tak delikatne i młodzieńcze.

- Szczęśliwej podróży - powiedział starając się, aby każde słowo zabrzmiało wyraźnie i czule.

Gdy zobaczył w jej oczach łzy, pokiwał głową. Wiedział, o czym myśli.

- Idź już, wszystko będzie dobrze.

- Słowo?

Jej oczy błyszczały od łez, ale gdy ją pocałował, uśmiechnęła się łagodnie.

- Słowo. A teraz postaraj się być grzeczną dziewczyną i baw się dobrze. Obiecuj, że kupisz sobie w Nowym Jorku coś wyjątkowego i bardzo pięknego.

- Na przykład co?

- Futro i coś z biżuterii...

Zamyślił się na chwilę.

- Coś, co chciałabyś, żebym ja ci kupił - spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

Łzy popłynęły jej po policzkach, gdy kiwnęła głową, a jej oczy skryte za woalką wydawały się jeszcze bardziej tajemnicze.

- Nigdy nie potrafię być taka hojna jak ty.

- To spróbuj! - rozkazał poważnie i oboje roześmiali się. - Obiecujesz?

- Dobrze, obiecuję. Ale nie chcę następnego futra.

- To kup sobie jakąś błyskotkę.

- Zobaczę.

Tylko gdzie ją będzie nosić? W domu przy kominku?... Przytłaczało ją już tyle niepotrzebnych rzeczy!

Wychodząc uśmiechnęła się i jeszcze raz pomachała mu ręką.



## ROZDZIAŁ 4

Na lotnisku szofer zatrzymał samochód przy krawężniku obok znaku z napisem: ODLOTY i pokazał policjantowi przepustkę. Kierowcy Johna co roku otrzymywali takie przepustki od gubernatora i dzięki nim mogli stawiać samochód wszędzie. Teraz szofer podjechał pod samą halę odlotów, tam zaparkował i wysiadł, by odprowadzić Rafaelę do samolotu.

Linie lotnicze zawsze były uprzedzane o jej planowanym locie i zezwalały jej na wejście na pokład w pierwszej kolejności. Gdy spokojnie przemierzali zatłoczony hol, przechodnie z zaciekawieniem patrzyli na uderzająco piękną kobietę w futrze z norek i kapeluszu z woalką i na podążającego za nią mężczyznę, który niósł jej bagaż. Kapelusz dodawał jej dramatyzmu, podkreślając kształtne kości policzkowe i wspaniałe czarne oczy.

- Tom, czy mógłbyś chwilę poczekać?

Dotknęła lekko jego ramienia, aby zwolnił. Zawsze starał się jak najprędzej umieścić ją w samolocie, ponieważ pan Phillips nie lubił ociągania na lotnisku w obawie przed dziennikarzami i fotoreporterami, których od lat miał już dość. Tymczasem Rafaelę tak starannie przed nimi strzeżono, że chyba zdążyli już zapomnieć, jak wygląda.

Zostawiła Toma przy filarze i weszła do księgarni, rozglądając się pośpiesznie. Tom z miejsca, w którym stał z jej wielką skórzaną torbą w ręku, mógł podziwiać urodę Rafaeli i obserwować, jak wolno przesuwa się między półkami z czasopismami, książkami i słodyczami. Tak bardzo różniła się od innych pasażerów ubranych w kurtki i stare dżinsy!

Gdzieniedzie można było zauważyć elegancką kobietę lub dobrze ubranego mężczyznę, nikt jednak nie mógł się równać z panią Phillips. Tom patrzył, jak bierze z półki książkę w twardej okładce, podchodzi do kasy i sięga do torebki.

W tej samej chwili przez halę przemknął Alex Hale z teczką w ręku i torbą podróżną przewieszoną przez ramię, bardzo czymś zaabsorbowany. Miał wprawdzie dużo czasu, lecz przed wejściem do samolotu musiał jeszcze zatelefonować do biura.

Zatrzymał się przy budce tuż przed wejściem do księgarni, postawił na ziemi bagaż i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Wykręcił numer, a gdy w słuchawce rozległ się głos recepcjonistki, dorzucił jeszcze kilka monet.

Miał do przekazania współpracownikom kilka ważnych informacji z ostatniej chwili, musiał coś wyjaśnić sekretarce i dowiedzieć się, czy telefonowano z Londynu w sprawie, którą prowadził. Kiedy zadał ostatnie pytanie, odwrócił się i ku miłemu zaskoczeniu ujrzał za szybą najnowszą książkę swojej matki przechodzącą z rąk kasjera do rąk nabywcy.

Kobieta, która ją kupowała, miała na sobie futro z norek i czarny kapelusz z woalką.

Alex wbił w nią zachwycony wzrok, rad, że sekretarka akurat rozmawia z drugiego aparatu.

Rafaela zmierzała tymczasem w jego kierunku. Woalka tylko częściowo zakrywała jej oczy, w ręce ubranej w rękawiczkę trzymała książkę. Kiedy go mijiała, poczuł zapach jej perfum i nagle uświadomił sobie, że gdzieś już ją widział.

- O Boże! - wyszeptał do siebie.

Tę właśnie kobietę widział podczas spaceru na schodach. A teraz pojawiła się nagle i zniknęła w tłumie z książką jego matki w ręku. Przez krótką chwilę miał ochotę zawołać: „Zaczekaj!”, lecz musiał usłyszeć od sekretarki odpowiedź na swoje pytanie. Wzrokiem gorączkowo przeszukiwał tłum, przez chwilę ją widział, potem znów zniknęła. Po chwili zgłosiła się sekretarka z odpowiedzią, która wcale go nie ucieszyła, i oświadczyła, że ma na linii następne rozmowy.

- I po to, Barbaro, czekałem tyle czasu?

Recepcjonistka po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszała gniew w jego głosie.

- Przepraszam - rzuciła szybko i odebrała następny telefon.

Alex rzucił się pędem w tłum, jakby wierzył, że jeśli się pośpieszy, na pewno ją znajdzie. Wszędzie szukał wzrokiem futra z norek i czarnej woalki, lecz nigdzie ich nie widział.

Ech, jakie to ma w ogóle znaczenie? Kimże ona jest? Nikim! Nieznajomą. Zupełnie obcym człowiekiem.

W myśli ganił się za niepoprawny romantyzm, który kazał mu biec przez pół portu lotniczego za jakąś tajemniczą kobietą. Było to jak poszukiwania białego królika przez Alicję z Krainy Czarów, z tą tylko różnicą, że on poszukiwał pięknej kobiety o czarnych oczach, w futrze z norek, czarnym kapeluszu z woalką i książką „Kochankowie i kłamstwa” Charlotty Brandon w ręku.

„Uspokój się”, po wiedział do siebie i przecisnął się do kontuaru, gdzie pasażerowie zaczęli już pobierać karty pokładowe. Panował straszny tłok, toteż gdy w końcu nadeszła jego kolej, okazało się, że jedyne wolne miejsca znajdują się w dwóch ostatnich rzędach.

- A może umieści mnie pan po prostu w łazience? - spojrzał ponuro na młodego recepcjonistę, ten zaś uśmiechnął się.

- Proszę mi wierzyć, że jeśli jeszcze kilka osób przyjdzie po panu, będziemy musieli je chyba zapakować do bagażnika. W tym samolocie mamy już komplet.

- To chyba dla was przyjemność.

Recepcjonista uśmiechnął się czarująco i rozłożył ręce.

- Cóż poradzę, że jesteśmy tacy popularni?

Zaśmiali się obaj. Nagle Alex uświadomił sobie, że nadal rozgląda się za kobietą, choć równie bezskutecznie.

Miał nawet ochotę zapytać urzędnika za biurkiem, czy przypadkiem jej nie widział, ale na szczęście szybko ocenił, że to trochę szalona pokusa. Wziął swój bilet i ustawił się w kolejce do wyjścia.

Stojąc próbował rozmyślać o nowojorskim kliencie, o matce i swojej siostrzenicy Amandzie, lecz myśli wciąż mu uciekały do kobiety w futrze, tak jak wtedy gdy po raz pierwszy zobaczył ją płaczącą na schodach.

A może mu się wszystko pomieszało, może to wcale nie jest ona? Uśmiechnął się do siebie. Rozśmieszyło go, że ta wymaglinowana kobieta kupiła nawet książkę jego matki! A może to pierwsze objawy psychozy? Może zaczyna odchodzić od zmysłów?...

Roześmiał się w duchu i przesunął w kolejce, sięgając do kieszeni po kartę pokładową i starając się skoncentrować na sprawach, które miał do załatwienia w

Nowym Jorku.

Rafaela usiadła na swoim miejscu, gdy tylko Tom umieścił pod siedzeniem jej bagaż, a stewardesa odebrała od niej futro. Cały personel został uprzedzony, że tego ranka będzie leciała do Nowego Jorku Bardzo Ważna Osobistość z własnej woli drugą klasą.

Rafaela od lat przekonywała Johna, że to bardziej dyskretne, bo nikomu nawet nie przyjdzie na myśl, iż mógłby spotkać żonę jednego z najbogatszych ludzi na świecie wśród gospodyń domowych, sekretarek, handlowców i dzieci.

Zaraz po wejściu na pokład zajęła więc swoje stałe miejsce w przed ostatnim rzędzie, najdyskretniejsze, bo prawie niewidoczne. Wiedziała, że personel powiadomiono, aby nie umieszczać nikogo obok niej, i była prawie pewna, że całą podróż odbędzie w samotności. Podziękowała Tomowi za pomoc i odprowadziła go wzrokiem. W tym momencie pojawili się pierwsi pasażerowie.

## ROZDZIAŁ 5

Wijąca się kolejka centymetr po centymetrze przesuwała się do wąskiego przejścia do samolotu. Alex oddał przy drzwiach swoją miejscówkę i powitany jak wszyscy przez uśmiechniętą stewardesę, skierował się na wskazane miejsce.

Pasażerowie pierwszej klasy siedzieli już w swoich fotelach dyskretnie ukrytych za zasłonami, które chroniły ich przed wzrokiem ciekawych. Pozostali, szary tłum podróżnych, zajmowali miejsca, upychając zbyt duże bagaże w przejściu, wsuwając teczki i inne pakunki na półki. Stewardesy ujrawszy to, zaczęły energicznie namawiać, aby wszystko z wyjątkiem kapeluszy i płaszczy umieszczać pod siedzeniami. Ten rytuał Alex znał już na pamięć. Machinalnie szukał swojego miejsca, choć wiedział, że znajduje się w ogonie.

Przy wejściu oddał stewardesie torbę z garniturem, teczkę zamierzał umieścić pod siedzeniem, wyjąwszy z niej notatki, które chciał przejrzeć zaraz na początku podróży. Takie właśnie plany układał sobie w myśli, przeciskając się między pasażerami i ich dziećmi, starając się nikogo nie potrącać. W głowie znowu zaświtała mu myśl o tajemniczej kobiecie, lecz zaraz wziął się w karby. Nie widział jej przecież wśród pasażerów oczekujących na samolot, więc skąd by się wzięła w tym właśnie samolocie?

Nareszcie dotarł do swojego fotela, wsunął pod niego teczkę i już miał usiąść, gdy zauważył, że pod siedzeniem obok leżą czyjeś rzeczy. Zirytował się trochę, bo w skrytości ducha liczył, że podróż odbędzie samotnie. Teraz już tylko modlił się, żeby przynajmniej był to ktoś, kto podobnie jak on chciał popracować w czasie lotu i nie będzie zadręczał go rozmową.

Szybko usiadł, wyciągnął teczkę spod siedzenia i wydobył z niej notatki, rad, że towarzysza podróży tymczasem nie ma. Po chwili wyczuł obok siebie ruch, toteż doczytawszy do końca strony, machinalnie podniósł wzrok. Ujrzał damskie nogi w eleganckich i bardzo drogich butach z czarnej wężowej skóry. Bezwiednie odczytał na złotych klamrach napis „Gucci”. Potem zauważył, że kostki są jeszcze bardziej atrakcyjne niż buty. Czując się jak sztubak, podążył wzrokiem wzdłuż nóg aż do rąbka czarnej

spódnicy.

Twarz, którą zobaczył w końcu, obejrzawszy wcześniej elegancki francuski kostium, była zwrócona w jego kierunku. kobieta przyglądała mu się z lekko przechyloną głową, jakby chciała go o coś zapytać. Nie miał cienia wątpliwości, że spostrzegła, jak mierzył ją od stóp do głów. Zerwał się z miejsca i szepnął zdumiony:

- O Boże, to pani!

Kobietę zdumiała jego reakcja. Bez słowa patrzyła na niego, starając się zrozumieć, co miał na myśli i kim jest. Zachowywał się jak gdyby ją znał. Z przerażeniem pomyślała, że może kiedyś, przed laty widział gdzieś jej zdjęcie, może czytał o niej w prasie albo nawet sam jest z prasy. Najchętniej uciekłaby stąd jak najdalej, lecz w ciągu najbliższych kilku godzin była skazana na jego towarzystwo.

Powoli odwróciła głowę, by ukryć szeroko otwarte z przerażenia oczy, i kurczowo ścisnęła torebkę. Zamierzała odszukać stewardesę i stanowczo poprosić o przeniesienie do pierwszej klasy. Miała nawet nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, aby w ogóle zrezygnować z tego rejsu i polecieć następnym.

- Ja... nie... - bąknęła niewyraźnie i odwróciła się, ale zanim zrobiła krok, chwycił ją za ramię.

Zauważył przerażenie w jej oczach i gorączkowo starał się naprawić swój błąd.

- Nie, proszę.

Niepewnie odwróciła się do niego, choć instynkt nakazywał jej ucieczkę.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Alex Hale. Chciałem... po prostu... - uśmiechnął się przyjaźnie, zawstydzony, że tak bardzo ją przestraszył.

Teraz widział wyraźnie jej spłoszone, pełne smutku spojrzenie. Jeszcze nie do końca rozumiał, co ono wyraża, domyślał się jednak, że to coś bardzo poważnego. Za nic nie chciał dopuścić, by znowu mu zniknęła.

- Widziałem panią na lotnisku.

Spojrzał na książkę, która leżała na jej siedzeniu, lecz Rafaela nie pojęła, o co mu chodzi.

- Widziałem też panią na schodach przy Broderick i Broadway tydzień temu.

Wtedy pani... - przerwał, bo przecież nie mógł jej się przyznać, że widział, jak płakała.

Znów mógłby ją przestraszyć, tym razem już na dobre. Jego słowa i tak poruszyły ją mocno. Patrzyła na niego badawczo i wydawało mu się, że powoli przypomina sobie.

Po krótkiej chwili na jej twarz wypełził blady rumieniec.

- Tak... - kiwnęła głową.

Uspokoila się trochę, bo nie wyglądał na łowcę sensacji, raczej na nawiedzonego lub niespełna rozumu. Niemniej nie miała ochoty siedzieć przez pięć godzin obok niego i zastanawiać się, co miało znaczyć owo „O Boże, to pani!” i dlaczego chwycił ją za rękę. Jednakże akurat w chwili gdy stała patrząc nań i starając się wytrzymać jego badawczy wzrok, usłyszała polecenie, by pasażerowie zajęli miejsca.

Alex usunął się, aby ją przepuścić.

- Proszę usiąść powiedział.

Kiedy wstał, wydał się jej wyższy i silniejszy niż na siedząco, zauważyła nawet z zaskoczeniem, że jest przystojny. Nie mając wyboru, spokojnie przeszła obok niego i usiadła.

Zanim Alex zdążył się na powrót usadowić, zdjęła kapelusz i położyła na półce, a jej błyszczące jedwabie włosy spłynęły czarną kaskadą na ramiona. Odwróciła głowę i utkwiała wzrok w oknie, Alex zaś bez słowa usiadł z brzegu, pozostawiając miejsce pomiędzy nimi wolne. Czuł jak serce wali mu mocno w piersi. Z bliska widział wyraźnie, że istotnie jest tak piękna, jak wydawało mu się tamtej nocy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy otuloną futrem, z szeroko otwartymi czarnymi oczami, z których płynęły strumienie łez.

Teraz ta kobieta siedziała tuż obok niego, a każda cząstka jego ciała rwała się do niej. Z trudem hamował się, by nie wyciągnąć do niej ręki, nie pogłodzić jej, nie przytulić, nie pochwycić w ramiona. Doskonale wiedział, że to szaleństwo, byli sobie przecież absolutnie obcy... Absolutnie!...

Uśmiechnął się do siebie. Tak, miała w sobie coś z absolutu: była absolutnie piękna, wręcz doskonała. Jak urzeczony pochłaniał wzrokiem jej szyję, dłonie. Wszystko w niej było absolutnie perfekcyjne, każdy szczegół, każdy gest.

Gdy na chwilę odwróciła się nieco, tak że mógł widzieć jej profil, nie potrafił oderwać wzroku od jej twarzy. W końcu przełamał się jednak i nie chcąc wprawiać jej w zakłopotanie, sięgnął po swoje papiery i utkwiał w nich nie widzące spojrzenie. Miał nadzieję, że dała się zwieść i uwierzyła, iż zapomniał o swojej fascynacji i dał się porwać codziennym sprawom.

Już po starcie zauważył kątem oka, że kobieta dyskretnie go śledzi. Nie potrafił dłużej udawać, odwrócił się więc do niej i uśmiechnął ciepło.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Jestem... Zwykle tak się nie zachowuję... Nie potrafię tego wytłumaczyć... - zaczął i poczuł się jak niespełna rozumu.

Dlaczego w ogóle próbował wyjaśniać coś, co nie spotykało się z odzewem? W jej oczach nie dostrzegał nic ponad to, co wyczytał w nich, gdy widział ją po raz pierwszy.

- Kiedy tamtej nocy zobaczyłem panią na schodach - zdecydował się jednak to wyjawic - płakała pani, a ja czułem się taki bezradny! Popatrzyła pani na mnie i zniknęła, przepadła, a ja myślałem o tym jeszcze przez kilka dni i wciąż miałem przed oczami pani twarz zalaną łzami.

Kiedy to mówił, zauważył, że jej spojrzenie łagodnieje, twarz jednak pozostała nie zmieniona. Jeszcze raz uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

- Może po prostu nie potrafię oprzeć się pięknym kobietom w kłopotach? Myślałem o pani przez cały tydzień i nagle dziś rano znowu się pani pojawiła. Z lotniska telefonowałem do biura i w księgarni zobaczyłem kobietę, która kupowała książkę. - Uśmiechnął się nie wyjaśniając, jak dobrze tę książkę zna. - I nagle uświadomiłem sobie, że to pani. Przez tydzień nie mogłem się uwolnić od pani zapłakanej twarzy i oto zjawiała się pani... taka piękna.

Tym razem uśmiechnęła się.

Alex był taki miły i młodzieńczy, przez chwilę wydawał się jej nawet podobny do brata, który w wieku piętnastu lat co tydzień zakochiwał się bez pamięci.

- A potem znów mi pani zniknęła. Rzuciłem słuchawkę, ale było za późno... - ciągnął.

Rafaela nie wyjaśniła, że weszła do prywatnego pomieszczenia, z którego



specjalnym przejściem odprowadzono ją wprost do samolotu. Zauważyła jednak, że ta zagadka go nurtuje.

- Nie widziałem pani przy wejściu - wyznał i ściszył głos. - Proszę powiedzieć, czy pani jest czarodziejką?

Zachowywał się jak duży chłopiec i Rafaela nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jej oczy pojaśniały, nie było w nich już gniewu ani obawy. Wydawał jej się odrobinę szalony, bardzo młodzieńczy i romantyczny, ale instynktownie czuła, że nie zrobi jej krzywdy. Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Tak, jestem czarodziejką.

- Aha! Tak też sobie myślałem. Czarodziejka, no, no... To wspaniale!

Wygodnie oparł się w fotelu i na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech, który Rafaela bez wahania odwzajemniła. Ta gra bawiła ją, była niegroźna, poza tym siedzieli przecież w samolocie. Był zupełnie obcym człowiekiem i najprawdopodobniej już nigdy więcej go nie spotka. Kiedy wylądują w Nowym Jorku, stewardesa odprowadzi ją do wyjścia, gdzie znów trafi w opiekuńcze ręce rodziny. A czas, kiedy jest sama, może przecież poświęcić na przekomarzenie się z nieznanym.

Istotnie, przypomniała sobie, że widziała go tej nocy, kiedy czuła się taka samotna i nieszczęśliwa, że wybiegła z domu na wzgórze i usiadłszy na schodach, wybuchnęła płaczem. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że się do niej zbliża, ale zanim zdążył podejść, umknęła tylnym wejściem do ogrodu.

- Trudno być czarodziejką? - usłyszała i zauważyła, że Alex znów się do niej uśmiecha.

- Czasami tak - odparła, a Alexowi wydało się, że w jej głosie wyczuł nieznacznym obcy akcent.

Nie obawiał się już, że ją spłoszy, więc zapytał:

- Czy pani jest Amerykanką?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Po ślubie z Johnem zachowała podwójne obywatelstwo, hiszpańskie i francuskie.

Nie obawiała się, że zdradzi jakąś straszną tajemnicę, jeśli powie, że nie jest Amerykanką, mężczyźnie, który z zainteresowaniem patrzył na pierścionki na jej palcach. Domyślała się, czego szuka, i wiedziała, jak bardzo się rozczaruje, gdy znajdzie odpowiedź na nurtujące go pytanie. Nagle poczuła, że wcale nie ma ochoty mu o tym mówić, że choć na chwilę chce przestać być panią Phillips, żoną Johna Henry'ego Phillipsa. Choć na chwilę chciała być po prostu Rafaelą. Panną Rafaelą!

- Nie powiedziała pani, czarodziejko, skąd pani przybywa - szepnął odrywając wzrok od jej dłoni.

Wiedział, że kimkolwiek jest, na pewno powodzi się jej w życiu, a to, że nie zauważył na jej palcu obrączki, sprawiło mu wyraźną ulgę. Pomyślał, że jest córką bogatego człowieka. Wymagający tatuś na pewno daje jej czasem w kość. Widać czymś ją zirytował i dlatego płakała wtedy na schodach. A może jest rozwódką? Nieważne, w tej chwili to go nie obchodziło. Teraz najważniejsze były jej ręce, oczy, uśmiech i ta dziwna siła, która pchała go ku niej. Tak bardzo pragnął się znaleźć blisko niej, a kiedy jego marzenie się spełniło, wiedział, że nie może jej nawet dotknąć. Mógł tylko nadal prowadzić tę dziecinną grę.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, jakby byli starymi znajomymi.

- Jestem z Francji.

- Ach, tak. I mieszka tam pani na stałe?

- Nie, mieszkam w San Francisco.

- Tak też myślałem.

- Naprawdę?

Spojrzała na niego zaskoczona i rozbawiona.

- Dlaczego? - spytała niewinnie i trochę naiwnie, choć oczy miała poważne.

Jej sposób mówienia sugerował, że niezbyt często była narażona na czyhające w ogromnym świecie niebezpieczeństwa.

- Czy wyglądam jak paniusia z San Francisco?

- Nie, chyba nie. Po prostu to wyczułem. Lubi pani to miasto?

Powoli skinęła głową, lecz w jej oczach znów pojawił się cień smutku. Rozmowa z

nią przypominała żeglowanie po niespokojnym morzu nigdy nie było wiadomo, co się za chwilę stanie i kiedy można czuć się bezpiecznie, a kiedy trzeba mieć się na baczności.

- Lubię, choć właściwie rzadko je oglądam.

- Naprawdę? - zdziwił się, nie miał jednak odwagi zapytać dlaczego. - Co wobec tego ogląda pani częściej? - zapytał ostrożnie, aby jej nie spłoszyć.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego ogromnymi oczyma.

- Ja czytam... Bardzo dużo czytam - odparła nieco zakłopotana i lekko porumieniała. Na chwilę odwróciła wzrok, potem znów spojrzała na niego i spytała: A pan? Czym się pan zajmuje?

Zadanie tak osobistego pytania wymagało od niej sporej odwagi.

- Jestem prawnikiem.

Bez słowa skinęła głową i uśmiechnęła się. Prawo zawsze wydawało jej się pasjonujące, a jej rozmówca rzeczywiście wyglądał jak urodzony prawnik. Domyślała się też, że są w podobnym wieku, choć w rzeczywistości był od niej starszy o sześć lat.

- Lubi pan swoją pracę?

- Uwielbiam. A pani? Co pani robi, czarodziejko, oprócz czytania?

Przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć, że jest pielęgniarką, lecz wydało jej się to nie w porządku wobec Johna.

- Nic - odpowiedziała i spojrzała mu w oczy. - Zupełnie nic.

Zamyślił się. Kim więc jest? Jak wygląda jej życie? Co robi całymi dniami? I dlaczego wtedy płakała? Teraz pytanie jeszcze bardziej go dręczyło.

- Dużo pani podróżuje?

- Od czasu do czasu wyjeżdżam na kilka dni.

Spuściła wzrok i bezwiednie wpatrywała się w złoty pierścionek z diamentem na prawej dłoni.

- A teraz wybiera się pani do Francji, tak?

Alex miał oczywiście na myśli Paryż i w pewnym sensie nie mylił się. Rafaela potrząsnęła jednak głową.

- Do Nowego Jorku. Do Paryża jeżdżę tylko raz w roku, latem.

Alex z uśmiechem skinął głową.

- Tak, to piękne miasto. Kiedyś spędziłem tam całe pół roku i jestem w nim po prostu zakochany.

- Naprawdę? - ucieszyła się Rafaela. - To pewnie świetnie zna pan francuski.

- Niezupełnie - uśmiechnął się młodzieńczo. - Na pewno nie tak dobrze, jak pani zna angielski.

Rafaela uśmiechnęła się i sięgnęła po książkę, którą kupiła na lotnisku, a Alex posłał jej przyjazne spojrzenie.

- Dużo jej książek pani zna?

- Czyich?

- Charlotty Brandon.

- Przeczytałam wszystkie. Uwielbiam ją! - wykrzyknęła radośnie, po czym spojrzała nań przepraszająco. - Wiem, że to niezbyt poważne lektury, ale lubię je, pomagają mi uciec od świata. Otwieram jej powieść i wchodzę w tamten świat. Mężczyznom takie książki wydają się głupie, ale dla mnie... - zawahała się, bo nie miała ochoty wyznawać, że przez ostatnie siedem lat tylko one utrzymywały ją przy życiu - ...dla mnie są po prostu ogromną radością.

- Wiem - uśmiechnął się w zamyśleniu. - Ja też czytam jej książki.

- Poważnie?

Rafaela spojrzała na niego z niekłamanym podziwem. Nigdy nie przypuszczała, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł czytać książki Charlotty Brandon. John Henry z pewnością nigdy nie zdobyłby się na to. Ojciec też. Wszyscy czytali poważne lektury z zakresu ekonomii, historii i tak dalej. Literatura piękna zupełnie ich nie interesowała.

- I podobają się panu?

- Bardzo - odparł i szybko podjął decyzję: grać dalej. - Przeczytałem wszystkie od deski do deski.

- Naprawdę?

Jej ogromne oczy stały się jeszcze większe. To, że prawnik czytał książki Charlotty Brandon, wydawało się jej wprost niewiarygodne. Z uśmiechem podała mu

swoją książkę i zapytała:

- A to pan czytał? To jej najnowsza powieść.

Czuła, że odnalazła bratnią duszę. Spojrzał na okładkę i skinął głową.

- Tak. Myślę, że to jej najlepsza książka. Na pewno się pani spodoba. Jest poważniejsza i bardziej refleksyjna niż poprzednie, mówi o śmierci i przemijaniu. To nie jest zwykła opowieść, to coś znacznie więcej. Matka napisała tę książkę w ubiegłym roku przed poważną operacją, którą musiała przejść. Obawiała się, że może to być jej ostatnia powieść i starała się zawrzeć w niej wszystko, co wydawało się jej wtedy ważne. Bardzo wiele dla niej znaczyła - dodał zamyślony.

Rafaela popatrzyła na niego zaskoczona.

- Skąd pan wie? Czy pan ją zna?

Nie od razu odpowiedział, wreszcie nachylił się i szepnął jej do ucha:

- To moja mama.

Rafaela wybuchnęła śmiechem, który zadźwięczał jak srebrne dzwoneczki.

- Naprawdę.

- Jak na prawnika jest pan niezwykle zabawny.

- Zabawny? - udał obrażonego. - Mówię zupełnie poważnie. Charlotta Brandon to moja matka.

- A prezydent Stanów Zjednoczonych to mój ojciec. Gratuluję! - wykrzyknął i wyciągnął do niej rękę. Wsunęła w jego dłoń swoją. Była miękka i chłodna. Spletli je w mocnym uścisku, a Alex dodał:

- Przy okazji pani pozwoli... jestem Alex Hale.

- A widzi pan! - roześmiała się. - Hale, a nie Brandon.

- To jej panięńskie nazwisko. Naprawdę nazywa się Brandon Hale.

- A jakże! - Rafaela nie przestawała się śmiać. - Zawsze jest pan taki poważny?

- Tylko kiedy rozmawiam z zupełnie obcymi ludźmi. A jak się pani nazywa, moja czarodziejko?

Zdawał sobie sprawę, że pytanie jest nieco impertynenckie, ale koniecznie chciał się dowiedzieć, kim ona jest, gdzie mieszka i jak może ją odnaleźć, gdyby znów

rozplynęła się w powietrzu. Przez ułamek sekundy zawahała się, w końcu powiedziała:

- Rafaela.

Alex potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Widzę, że i pani próbuje mnie bujać. To nie jest francuskie imię.

- Nie, to prawda. Jest hiszpańskie. Jestem tylko w połowie Francuzką.

- A w połowie Hiszpanką? - spytał, choć jasny kolor jej skóry, czarne włosy i czarne oczy wyraźnie mówiły, że tak. Nie wyobrażał sobie, co z wyglądu zewnętrznego mogła odziedziczyć po ojcu Francuzie.

- Tak, w połowie Hiszpanką.

- W której połowie? Umysłem czy sercem? - zapytał.

Pytanie było tak poważne, że Rafaela aż zmarszczyła brwi.

- To bardzo trudne pytanie. Nie zastanawiałam się nad tym. Chyba moje serce należy jednak do Francji, a umysł do Hiszpanii. Myślę po hiszpańsku nie dlatego, że czuję się Hiszpanką, ale po prostu z przyzwyczajenia... Trudno jest oddzielić jedno od drugiego. Człowiek jest przede wszystkim sobą.

Alex rozejrzał się podejrzliwie dokoła, po czym nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Nigdzie nie widzę dueni.

Rafaela podążyła za jego wzrokiem i roześmiała się.

- W tej chwili nie, ale na pewno pan zobaczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Samolot to jedyne miejsce, gdzie jestem zupełnie sama.

- To osobliwe i bardzo intrygujące...

Ciekawiło go, ile ma lat. Oceniał ją na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, zdziwiłby się więc bardzo, gdyby wiedział, że skończyła trzydzieści dwa.

- Nie czuje się pani skrzępowana stałą opieką?

- Czasami tak, ale przywykłam do tego i jak jestem sama, czuję się dziwnie.

Bywa, że przeraża mnie sama myśl, że mogłabym znaleźć się gdzieś bez ochrony.

- Dlaczego? - zapytał, coraz bardziej zaintrygowany nową znajomą. Ogromnie się różniła od wszystkich kobiet, które znał.

- Przecież trzeba się pilnować - odparła poważnie.

- Przed czym?

Przez chwilę milczała, po czym szepnęła:

- Przed ludźmi takimi jak pan.

W odpowiedzi uśmiechnął się niewyraźnie i przez kilka minut siedzieli obok siebie w milczeniu, pochłonięci własnymi myślami i nurtującymi ich pytaniami. Wreszcie Rafaela spojrzała na niego. Jej oczy wydały mu się teraz trochę radośniejsze i bardziej ciekawe świata.

- Dlaczego powiedział pan, że Charlotta Brandon to pańska matka?

Nie do końca go jeszcze rozumiała, ale polubiła go i instynktownie czuła, że to uczciwy człowiek z ogromnym poczuciem humoru, uprzejmy i inteligentny.

Alex uśmiechnął się.

- Bo to szczerza prawda. Ona jest moją matką, Rafaelo... Czy Rafaela to pani prawdziwe imię?

Skinęła głową.

- Tak - odparła krótko, nie wyjawiając nazwiska i nie dodając nic więcej. Jest po prostu Rafaela.

- To bardzo ładne imię. Tak czy inaczej, ona naprawdę jest moją matką - rzekł Alex, wzrokiem wskazując zdjęcie Charlotty Brandon na okładce książki, którą Rafaela trzymała w ręku. - Na pewno bardzo by ją pani polubiła. To wyjątkowa kobieta.

- Nie wątpię - zgodziła się Rafaela, lecz było widać, że wciąż jeszcze mu nie dowierza.

Po chwili wahania Alex sięgnął do kieszeni marynarki po czarny wąski portfel ubiegłoroczny prezent urodzinowy od Kay. Na wierzchu, podobnie jak na torebce Rafaeli z czarnej wężowej skóry, były wytłoczone dwie splecione litery G. Gucci.

Alex wyjął z portfela dwie stare fotografie i bez słowa podał je Rafaeli. Spojrzała na nie i szeroko otworzyła oczy.

Jedna fotografia była miniaturą zdjęcia z okładki, druga przedstawiała jego matkę śmiejącą się serdecznie. Obok stał Alex, obejmując ją ramieniem, z drugiej strony Kay i

George.

- To zdjęcie rodzinne z ubiegłego roku. Moja siostra, szwagier i matka. Co pani na to?

Rafaela uśmiechnęła się i spojrzała na niego z podziwem.

- Och, to cudowne! Musi mi pan o niej opowiedzieć. Czyż ona nie jest wspaniała?

- Oczywiście, że jest wspaniała, chociaż muszę przyznać, moja czarodziejko... -

Alex wstał, schował fotografie i ponownie usiadł, ale tym razem już na wolnym miejscu, które wcześniej ich rozdzielało - że pani jest nie mniej wspaniała. Czy zanim opowiem pani o mojej matce, przyjmie pani zaproszenie na drinka przed lunchem?

Po raz pierwszy w życiu Alex wykorzystał matkę, by zwrócić na siebie uwagę kobiety. Nigdy tego wcześniej nie robił, lecz teraz nie wahał się ani chwili.

Tak bardzo pragnął zaprzyjaźnić się z Rafaelą i tak mało miał czasu do lądowania w Nowym Jorku, gdzie znowu pewnie rozplynie się w powietrzu!

Przez następne cztery i pół godziny rozmawiali niemal bez przerwy, najpierw popijając białe wino, potem jedząc zupełnie niejadalny samolotowy lunch, na co nawet nie zwrócili uwagi pochłonięci Paryżem, Rzymem, Madrytem, życiem w San Francisco, ludźmi, dziećmi i prawem.

Rafaela dowiedziała się, że Alex ma uroczy wiktoriański domek, a on słuchał nie kończących się opowieści o życiu w Santa Eugenia w Hiszpanii. Był naprawdę zafascynowany historiami sprzed lat, które wydarzyły się w dalekim, obcym mu świecie. Rafaela opowiadała o swoich ukochanych dzieciach krewniaków i o bajkach, które dla nich wymyślała, o kuzynkach, o głupich plotkach i przesądach na temat życia w Hiszpanii.

O wszystkim poza jednym ani słowem nie wspomniała o Johnie i swoim obecnym życiu. Cóż to było zresztą za życie sama pustka i ciemność. Nie ukrywała tego przed nim świadomie, raczej sama chciała choć na chwilę od tego uciec i zapomnieć o męczącym ją koszmarze.

Gdy stewardesa poprosiła, by zapięli pasy, oboje wyglądali jak dzieci, którym powiedziano, że zabawa się skończyła i pora wracać do domu.



- Co będziesz teraz robiła? - zapytał Alex, choć wiedział, że za chwilę, jak na Hiszpankę przystało, spotka się z matką, ciotką i dwiema kuzynkami, w których towarzystwie zatrzyma się w hotelu w Nowym Jorku.

- Teraz? Jadę do hotelu, do matki. Chyba wszyscy już się zjawili.

- Możemy pojechać razem taksówką?

Pokręciła głową.

- Dziękuję, ale ktoś po mnie wyjedzie. - Zresztą spojrzała na niego przeproszająco  
- za chwilę zniknę tak samo nagle, jak się pojawiłam.

- To przynajmniej pomogę ci odebrać bagaże - zaproponował z nadzieją w głosie, lecz Rafaela znów potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Od samego wyjścia z samolotu będę pod ścisłą eskortą.

- Czy ty aby nie jesteś więźniem udającym się na proces? - próbował zażartować.

- Coś w tym rodzaju - odparła smutno.

Nagle uleciała cała radość minionych pięciu godzin i rzeczywistość brutalnie wdarła się w ich myśli.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie również - rzekł Alex i spojrzał na nią poważnym wzrokiem. - Rafaelo, mógłbym się z tobą spotkać w Nowym Jorku? Wiem, że będziesz bardzo zajęta, ale może skoczmy gdzieś na drinka albo...

Jeszcze nie skończył, gdy potrząsnęła przecząco głową.

- Czemu nie?

- To niemożliwe. Moja rodzina by tego nie zrozumiała.

- Dlaczego, na Boga? Przecież jesteś dorosłą kobietą.

- No właśnie. Kobiety z tamtego świata nie chodzą na drinki z obcymi mężczyznami.

- Nie jestem przecież obcy - spojrzał na nią figlarnie i oboje się roześmiali. - No dobrze, jestem obcy... A może poszłabyś na lunch z moją matką? Jutro?

Alex wpadł na szalony pomysł i nadal konsekwentnie wykorzystywał matkę do swoich celów.

Jeśli tylko Charlotta Brandon mogła spełnić rolę przyzwoitki i stać się dla Rafaeli przekonującym argumentem, gotów był namówić ją na to i choćby siłą wyciągnąć ze spotkania z wydawcą.

- Przyjdiesz? W Four Seasons o pierwszej.

- Nie wiem, Alex, nie jestem pewna...

- Spróbuj. Nie musisz obiecywać. Przyjdziemy oboje. Jeśli do nas dołączysz, będzie cudownie, jeśli nie, zrozumie to na pewno. Po prostu spróbujmy.

Gdy samolot dotknął ziemi, jego głos stał się jeszcze bardziej rozgorączkowany.

- Ja po prostu nie wiem, jak...

Ich oczy się spotkały. Rafaela była wyraźnie zmieszana.

- Nie przejmuj się. Pamiętaj tylko, że bardzo chciałabyś poznać moją matkę. W Four Seasons o pierwszej. Pamiętaj.

- Tak, ale...

- Szs!

Alex położył palec na ustach i spojrzał jej w oczy. Pochylił się ku niej, z największym trudem hamując się, aby jej nie objąć. Gdyby to zrobił, zapewne już nigdy nie mógłby się z nią spotkać, zapytał więc tylko, przekrzykując warkot silników:

- W którym hotelu się zatrzymujesz?

Jej oczy były teraz pełne wahania i obaw. Wprawdzie wzbudzał w niej zaufanie, lecz nie była pewna, czy może mu wierzyć. Słowa jednak same wymknęły jej się z ust, jakby na chwilę utraciła kontrolę nad sobą, gdy samolot się zatrzymał.

- W Carlyle'u...

W tejże chwili, niczym na dany skądś sygnał, podeszły do niej dwie stewardesy. Jedna podała jej futro, druga zabrała torbę spod siedzenia. Rafaela jak grzeczne dziecko poprosiła Alexa, by podał jej kapelusz. Bez słowa włożyła go, odpięła pasy i wstała.

Wyglądała teraz dokładnie tak samo jak w chwili, gdy zauważył ją na lotnisku w San Francisco otulona futrem, w kapeluszu z czarną woalką przysłaniającą jej twarz, z książką w jednej ręce i torebką w drugiej.

Popatrzyła na niego i wyciągnęła rękę w czarnej rękawiczce.

- Dziękuję...

Było to podziękowanie za pięć wspólnych godzin, za cudowne chwile, które jej ofiarował, za to, że oderwał ją na chwilę od jej smutnego życia i podarował okruchy własnego, normalnego, takiego, jakie i ona mogłaby wieść, a które ją ominęło.

Ich oczy na chwilę się spotkały, po czym Rafaela się odwróciła.

Do stewardesa dołączył jeszcze mężczyzna, który stanął za Rafaelą i eskortował ją do tylnych drzwi, podczas gdy inna stewardesa zapowiedziała, że wszyscy pasażerowie wysiadają przednimi. Drzwi w ogonie otworzyły się tylko na krótką chwilę, Rafaela w towarzystwie trzech członków załogi zniknęła i tylko paru pasażerów z tyłu samolotu zastanawiało się, co się stało i dlaczego tak nagle i szybko wyprowadzono tę kobietę w czarnym futrze. Zbyt byli jednak zajęci własnymi sprawami, by o tym rozmyślać. Jedynie Alex długo stał wpatrzony w drzwi, za którymi mu zniknęła. Znowu rozplynęła się w powietrzu, uleciała jak zjawia.

Teraz wiedział już przynajmniej, że ma na imię Rafaela i że zatrzymała się w Carlyle'u. Nagle uświadomił sobie, że nie zna jej nazwiska.

Rafaela. Po prostu Rafaela? Jak zapyta o nią w hotelu? Jediną szansą był jutrzejszy lunch. Może przyjdzie, może potrafi uwolnić się od rodziny... może... Czuł się teraz jak bezradny chłopiec. W zamyśleniu wziął płaszcz, teczkę i podążył ku wyjściu w dziobie samolotu.

## ROZDZIAŁ 6

Kiedy wysoka, atrakcyjna kobieta weszła do Four Seasons, kelner uprzejmie zaprowadził ją do stolika niedaleko baru, który zazwyczaj zajmowała.

Surowy wystrój sali osobiwie podkreślał koloryt tłumu klientów, którzy od rana do wieczora okupowali ulubiony lokal.

Podążając do swojego stolika, kobieta uśmiechem odpowiedziała na ukłon przyjaciela, który dostrzegł ją z głębi sali i przerwał na chwilę rozmowę, aby ją powitać. Charlotta Brandon była tu stałym gościem i czuła się jak u siebie w domu, zwinnie przemykając między stolikami wysoka, szczupła, z puklami śnieżnobiałych włosów wymykającymi się spod ciemnego futrzanego kapelusika idealnie dobranego do futra, które narzuciła na błękitną suknię. W uszach miała kolczyki ozdobione szafirami i diamentami, na szyi trzy sznury pięknych pereł. Na palcu lewej ręki błyszczał elegancki pierścionek z szafirem, który sama kupiła sobie na pięćdziesiąte urodziny, gdy rozpoczęła się sprzedaż jej piętnastej książki.

Poprzednią sprzedano w ponad trzymilionowym nakładzie, mogła więc zaszaleć i kupić sobie taki prezent. Wciąż jeszcze dziwiło ją, że jej kariera tak błyskotliwie rozwinęła się po tragicznej śmierci męża, który zginął w katastrofie lotniczej. Pamiętała swoje pierwsze zajęcie, nudne zbieranie nieciekawych informacji, które było dla niej tylko pracą dla pieniędzy. Szybko odkryła jednak, co sprawia jej prawdziwą przyjemność, i zasiadła do pisania pierwszej po wieści. Nareszcie poczuła się, jakby wróciła do domu.

Książka sprzedała się całkiem nieźle, druga jeszcze lepiej, a trzecia stała się już bestsellerem. Od tej pory jej praca była jak żeglowanie w pogodny dzień. Każda nowa książka, każdy następny rok dawały jej tyle radości, że teraz, po latach, była pewna, iż w życiu liczyły się dla niej tylko one, jej dzieci i wnuczka Amanda.

Po śmierci męża nie spotkała mężczyzny, który znaczyłby dla niej tyle co on, chociaż w końcu postanowiła ułożyć sobie życie z kimś innym. Zawsze miała wokół siebie wielu przyjaciół i życzliwych ludzi, lecz nikogo z nich nie zapragnęła poślubić. Przez dwadzieścia lat wymówką były dzieci, potem zaczęła zasłaniać się pracą. Ze mną

nie da się żyć. Rozkład zajęć mam nie do zniesienia, piszę w nocy, potem przez cały dzień śpię. Nikt by ze mną nie wytrzymał. Wykręcała się na wszelkie sposoby, a preteksty stawały się coraz mniej wiarygodne.

W istocie nie miała ochoty wyjść ponownie za męża. Nie potrafiłaby nikogo kochać tak, jak kochała Arthura Hale'a. Teraz wydawał się jej ideałem i na nim wzorowała wielu bohaterów swoich książek.

Alexander pod wieloma względami był bardzo do niego podobny i zawsze niezmiernie się cieszyła widząc jego ciemne włosy i zgrabną, smukłą sylwetkę. Dumą napawała ją świadomość, że ten niezwykle przystojny, inteligentny i dobry człowiek jest jej synem. Zupełnie inne uczucie towarzyszyło jej, gdy spotykała się z córką. Kay zawsze wywoływała w niej poczucie winy, że coś kiedyś zaniedbała, o czymś zapomniała.

Dlaczego wyrosła na taką oschłą, zimną kobietę? Dlaczego jest taka zła? Co sprawiło, że rozwinęły się w niej takie cechy? Czyżby zbyt wiele czasu poświęcała pracy? A może to z powodu przedwczesnej śmierci ojca? Może to przejaw rywalizacji między nią i bratem?

Dla Charlotty była to przede wszystkim porażka i poczucie winy. Gdy patrzyła w jej oczy, odczuwała obawę i nigdy nie zdołała dostrzec w nich choć cienia radości.

Jakże różniła się od Alexa, który właśnie stanął przed nią z błyszczącymi radośnie oczami i ciepłym uśmiechem na twarzy.

- Mój Boże, mamo! Jak wspaniale wyglądasz!

Nachylił się i pocałował ją, a ona przytuliła go jak małe dziecko. Mimo że Alex nie był w Nowym Jorku od kilku miesięcy, nie odczuwali dzielącej ich odległości. Telefonował do niej często, aby się dowiedzieć, co u niej słychać, sam też zawsze mówił coś o sobie, wypytywał o nową książkę lub opowiadał o swoich procesach.

Charlotta wciąż czuła się uczestniczką jego życia, choć nigdy nie starała się zbyt mocno w nie ingerować. Kontakt z synem był dla niej źródłem ogromnej radości, co łatwo dawało się zauważyć po radosnym wzroku utkwionym w Aleksie, który usiadł po drugiej stronie stolika.

- Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek! - powtórzył z nie skrywaną dumą.

- Pochlebstwa, mój drogi, są zgubne, ale przyjemne. Dziękuję ci - uśmiechnęła się radośnie.

Pomimo skończonych sześćdziesięciu dwóch lat wciąż jeszcze była niezwykle atrakcyjną kobietą. Elegancka, o gładkiej cerze, wyglądała na nie więcej niż połowę swoich lat. Co prawda młodzieńczą twarz zawdzięczała operacjom plastycznym, lecz piękna była zawsze. Nikogo nie dziwiło, że stara się wyglądać młodo, gdyż zawsze aktywnie się angażowała w promocję swoich książek.

Przez ostatnie lata jej działalność stała się prawdziwym wielkim biznesem i Charlotta doskonale zdawała sobie sprawę, że jej wygląd ma istotny wpływ na to, jak odbierają ją czytelnicy. Ich serca podbijała nie tylko urodą, ale i ciepłem oraz tryskającą z niej energią.

Była kobietą powszechnie szanowaną przez inne kobiety i uwielbianą przez rzeszę wiernych czytelników, których pracowicie zdobywała przez ostatnie trzydzieści lat.

- Muszę przyznać, że i ty wyglądasz nieźle, powiedziałabym nawet, że doskonale. Co u ciebie?

- Stale jestem bardzo zajęty, więc niewiele się zmieniło, odkąd widzieliśmy się ostatnio... - zaczął, lecz wzrok mu uciekł w kierunku drzwi.

Przez chwilę wydawało mu się, że zauważył Rafaelę, ale gdy zobaczył twarz ciemnowłosej kobiety w futrze, która przemknęła po schodach, odwrócił się do matki.

- Spodziewasz się kogoś, Alex? - Charlotta zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. - A może po prostu opatrzyły ci się kalifornijskie kobiety?

- Nawet nie mam czasu na nie spojrzeć - odparł. - Pracuję niemal dzień i noc.

- Nie powinieneś się tak przemęczać - Charlotta spojrzała na niego ze smutkiem w oczach. Bardzo chciała, by prowadził normalne życie. Z całego serca życzyła tego obojgu swoim dzieciom, nic jednak nie wskazywało na to, aby to życzenie miało się szybko spełnić.

Alex miał za sobą nieudane małżeństwo z Rachel, a Kay była tak pochłonięta polityką i chorobliwą wręcz ambicją, że zupełnie zapomniała o innych ważnych stronach życia. Czasami wydawało się jej, że nie rozumie swoich dzieci.

Ona wprawdzie osiągnęła i szczęście rodzinne, i sławę zawodową, lecz wiedziała, że czasy bardzo się zmieniły i kariera zazwyczaj wymaga ogromnych poświęceń. Czy na pewno jednak? A może oni tylko tak mówili, starając się usprawiedliwić własne niepowodzenia?

To pytanie zadawała sobie zawsze patrząc na swojego syna i zastanawiając się, czy jest szczęśliwy wiodąc samotne życie i czy pragnie czegoś innego. Nigdy nie pytała go, czy w jego życiu jest jakaś kobieta, którą darzy uczuciem.

- Nie martw się, mamo.

Z uśmiechem pogładził ją po ręce i skinął na kelnera.

- Może zamówimy drinka?

Kiwnęła głową, Alex zamówił więc dwie „krwawe Mary”, po czym spojrzał na nią i uśmiechnął się. Musiał jej powiedzieć, natychmiast, bo Rafaela mogła się zjawić punktualnie. Umówił się z nią na pierwszą, a z matką pół godziny wcześniej. Upłynęło już trochę czasu i wciąż nie wiedział, czy liczyć na jej przyście, czy zapomnieć o tym, że ją w ogóle zaprosił. Zasepiony popatrzył matce w oczy.

- Zaprosiłem znajomą, która może do nas dołączy, choć nie była pewna, czy jej się uda - zaczął nieco zażenowany, niczym mały chłopiec. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu...

Charlotta Brandon wybuchnęła srebrzystym młodzieńczym śmiechem, który zawsze wprawiał go w radosny nastrój.

- Przestań się ze mnie śmiać, mamo - zawołał, co jeszcze bardziej ją rozbawiło, tak że w końcu oboje śmiali się serdecznie.

- Zachowujesz się jak nastolatek, Alex. Och, przepraszam... Kogo to zaprosiłeś?

- Znajomą... przyjaciółkę... No dobrze, kobietę - dodał po chwili wahania. -

Spotkałem ją w samolocie.

- Mieszka tu, w Nowym Jorku? - zapytała Charlotta uśmiechając się ciekawie.

Jej pytania nie były natarczywe, raczej przyjazne i wyrażające szczere zainteresowanie.

- Nie, w San Francisco. Przyjechała tu na kilka dni. Lecieliśmy tym samym

samolotem.

- To bardzo miłe. Kim ona jest?

Sięgnęła po szklankę, niepewna, czy powinna o to pytać. Zawsze była tak ciekawa jego przyjaciół, choć czasem trudno było jej zachowywać się nie jak matka, lecz jak najlepsza powierniczka. Gdy zadawała zbyt dociekliwe pytania, Alex zawsze łagodnie ją hamował. Tym razem zauważył jednak jej zaintrygowane spojrzenie i nie sprzeciwił się, a jego oczy lśniły ciepłym, łagodnym blaskiem. Dawno nie widziała go takiego. Nigdy nie wyglądał tak przy Rachel, z nią zawsze był smutny i nieszczęśliwy. Niespodzianka, którą być może dla niej przygotował, wydawała się Charlotte coraz bardziej intrygująca.

Alex uśmiechnął się tylko tajemniczo, widząc zaciekawienie matki.

- Być może, moja ty wielka pisarko, wyda ci się to dziwne, ale ona jest po prostu sobą, a jeśli chodzi o profesję, to wygląda na to, że nie robi absolutnie nic.

- No, no! W dzisiejszych czasach to wyjątkowo rzadkie - zauważyła, a jej zainteresowanie jeszcze bardziej wzrosło. - Czy jest bardzo młoda? To by wiele wyjaśniło. Młodzi ludzie mają prawo do chwilowej całkowitej swobody, ale z wiekiem znajdują sobie jakieś stałe miejsce w życiu.

- Myślę, że nie tak bardzo. Ma około trzydziestki, pochodzi z Europy.

- Aha - rzekła Charlotta. - Już rozumiem.

- Dziwne, prawda? - spojrzał na nią badawczo. - Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto wiodłby takie życie. Jej ojciec jest Francuzem, a matka Hiszpanką. Ona większość życia spędza w odosobnieniu, otoczona przez rodzinę, piastunki i ochronę. To zupełnie niesamowite.

- Jak udało ci się wyrwać ją z tego kręgu na tak długo, że zdążyłeś się z nią zaprzyjaźnić?

Charlotte była coraz bardziej zaintrygowana i niemal machinalnie odpowiedziała na pozdrowienia przyjaciół, którzy zauważyli ją z drugiego końca sali.

- Jeszcze mi się nie udało, ale mam taki zamiar. Dla tego zaprosiłem ją dzisiaj na lunch. Ona uwielbia twoje książki.

- O Boże, Alex, tylko nie to! Nie mogę jeść z ludźmi, którzy zasypują mnie



pytaniami, od kiedy piszę i ile miesięcy pracowałam nad każdą z książek! - zawołała z udawanym wyrzutem, choć uśmiech nie schodził jej z twarzy. - Czemu nie zainteresujesz się dziewczyną, która woli innych autorów? Spróbuj poznać kobietę, która czyta Prousta, Balzaca albo Camusa, albo uwielbia pamiętniki Winstona Churchilla. Kogoś wrażliwego i mądrego.

Roześmiał się widząc jej niby poważną minę, lecz nagle kątem oka zauważył kogoś przy wejściu i wstrzymał oddech. Charlotta Brandon natychmiast dostrzegła zmianę w nim i podążyła wzrokiem w tym samym kierunku. Na schodach stała piękna, wysoka, ciemnowłosa kobieta. Sprawiała wrażenie niezwykle delikatnej, ale zarazem silnej i zdecydowanej. Jej uroda była tak niezwykła, że zwróciła uwagę wszystkich na sali. Obrzucano ją spojrzeniami pełnymi podziwu.

Sylwetkę miała pod każdym względem doskonałą, jej wysoko uniesioną głowę wieńczył perfekcyjnie upięty kok lśniący jedwabistym blaskiem. Była w obcisłej sukience z kaszmiru w kolorze czekolady i futrze w niemal identycznym odcieniu, szyję oplatał jej kremowy jedwabny szal od Hermesa, w uszach błyszczwały kolczyki zdobione perłami i diamentami. Na długich zgrabnych nogach miała czekoladowe pończochy i zamszowe pantofle. W ręku trzymała odpowiednio dobraną skórzaną torebkę, tym razem nie od Gucciego, lecz od Hermesa. Była najpiękniejszym zjawiskiem, jakie Charlotta kiedykolwiek widziała, nietrudno więc było jej zrozumieć uczucie, które zaważnęło jej synem.

Alex zerwał się z miejsca, przeprosił ją na chwilę i podążył przybyłej na spotkanie, a Charlotta naraz uświadomiła sobie, że skądś zna tę kobietę. Gdzieś już widziała tę twarz... Choć może nie tę samą? Może to rysy typowe dla hiszpańskiej arystokracji?...

Gdy szła do stolika, nie sposób było nie zauważyć, że porusza się z wielką gracją i że od dzieciństwa musiała być wychowywana niczym królewna. Jej oczy były pełne łagodności, jakby trochę nieśmiałe. Sprawiała tak nie zwykle wrażenie, że Charlotta Brandon byłaby krzyknęła z zachwytem, gdyby nie to że takie piękno odebrało jej mowę. Tak, trudno się dziwić fascynacji Alexa...

- Mamo, pozwól że ci przedstawię Rafaelę. Rafaelo, to moja matka, Charlotta

Brandon.

Uwagę Charlotty przykuło to, że nie usłyszała jej nazwiska. Po prostu Rafaela... Szybko zapomniała jednak o tym i przyjaźnie spojrzała w ogromne czarne oczy dziewczyny. Z bliska wydawała się jeszcze bardziej spłoszona, z trudem łapała oddech, jakby przez całą drogę biegła. Ucisnęły sobie ręce, Alex pomógł jej zdjąć futro i odsunął krzesło.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie, pani Brandon - spojrzała przepaszająco na Charlotte i zarumieniała się. - Byłam bardzo zajęta. Tak trudno jest mi... się uwolnić.

Spuściła wzrok i rzęsy rzuciły na policzki lekki cień.

Alex patrzył na nią w niemym zachwycie, a Charlotta nie mogła oderwać oczu od nich obojga. Stanowili wspaniałą parę, oboje ciemnowłosi, czarnoocy, zgrabni i elegancy. Wyglądali jak młodzi bogowie, których połączył wspólny mit.

- Nic nie szkodzi, moja droga - Charlotta oderwała się od swoich myśli i wróciła do rozmowy. - Właśnie rozmawialiśmy z Alexem i opowiadał mi, że pani też przyleciała wczoraj z San Francisco. Ma pani tu przyjaciół?

- Nie, spotykam się z matką.

Rafaela powoli nabierała pewności siebie.

- Pani matka mieszka w Nowym Jorku?

- Nie, w Madrycie. Zatrzymała się tutaj w drodze do Buenos Aires i uznała, że to świetna okazja, aby... ściągnąć mnie na kilka dni do Nowego Jorku.

- Na pewno bardzo się cieszy. Ja zawsze bardzo się cieszę, kiedy Alex mnie odwiedza.

Alex zaproponował, by zamówili lunch, przedtem jednak Rafaela zdążyła wyznać Charlotte, że przeczytała wszystkie jej książki, i wyjaśnić, ile znaczyły dla niej w ciągu ostatnich lat.

- Muszę przyznać, że na początku czytałam je po hiszpańsku, czasami po francusku, ale jak przyjechałam do Stanów, mój... - urwała, spuściła wzrok i zaczerwieniła się. Zamierzała powiedzieć, że mąż kupił dla niej książki Charlotty po angielsku, ale coś ją powstrzymało. Wiedziała, że to trochę nie fair, nie miała jednak ochoty

mówić o Johnie.

- Kupiłam je w wersji angielskiej i odtąd czytam wyłącznie po angielsku - dokończyła i spojrzała na Charlotte swoimi smutnymi oczyma. - Nawet sobie pani nie wyobraża, jak wiele dla mnie znaczą. Czasami wydawało mi się - mówiła ledwie słyszalnie - że tylko one trzymały mnie przy życiu...

W jej głosie było tyle bólu, aż Charlotta spojrzała na nią zdumiona. Alex rozpoznał w jej oczach to samo, co widział już wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał ją płaczącą na schodach. Teraz, daleko od tego miejsca, we wspinałym Nowym Jorku znów starał się odgadnąć bolesną tajemnicę, którą skrywała w głębi serca.

Rafaela podniosła wzrok i obdarzyła Charlotte pełnym wdzięczności uśmiechem. Pisarka bez wahania wyciągnęła rękę i pogładziła ją po dłoni.

- Dla mnie też wiele znaczą, gdy nad nimi pracuję, ale najbardziej liczy się to, że są ważne dla ludzi takich jak ty, moje dziecko. Dziękuję ci, Rafaelo. To wspinały komplement. Takie wyznania nadają sens mojemu życiu...

Nagle za świtała jej w głowie dziwna myśl, jak gdyby podświadomie wyczuła w niej coś starannie skrywanego przed światem, jakieś marzenia i sekretne pragnienia. Spojrzała Rafaeli w oczy i zapytała:

- Czy ty też piszesz?

Rafaela uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, spontanicznie, niemal dziecięco.

- Och, nie, skądże! - roześmiała się. - Ale często opowiadam różne historyjki.

- Tak to się zwykle zaczyna.

Alex w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Razem stanowiły wyjątkową parę: dwie piękne, lecz jakże różne kobiety, jedna młoda i krucha, druga dojrzała i silna, jedna z włosami jak śnieg, druga kruczoczarna.

On jedną znał doskonale, o drugiej nie wiedział prawie nic, a tak bardzo pragnął poznać ją bliżej, bliżej niż kogokolwiek w życiu. Jego matka tymczasem kontynuowała rozmowę.

- Jakiego typu historyjki opowiadasz, Rafaelo?

- Bajki dla dzieci. Zwykle latem, kiedy jestem u rodziny. Co roku spotykamy się w

wakacje w naszym domu rodzinnym w Hiszpanii.

Charlotta domyśliła się, że w tym wypadku pod słowami „dom rodzinny” kryje się coś więcej niż zwyczajny dom.

- Dzieci tam jest zawsze mnóstwo, bo stanowimy dość liczną rodzinę. Ponieważ bardzo lubię dzieci, biorę je na kolana i opowiadam bajki - Rafaela uśmiechnęła się do siebie rozmarzona - a one słuchają i śmieją się radośnie. Wspaniale jest uszczęśliwiać innych.

Charlotta uśmiechnęła się wyrozumiale, bo i jej nie było obce to uczucie. Nagle znów pewna myśl zaświtała jej w głowie.

Spojrzała badawczo na Rafaelę. Rafaela... Rafaela... Hiszpania... rodzinna posiadłość... Paryż... bank... Z trudem powstrzymywała się, by nie mówić tego na głos.

Pozwoliła Alexowi przejąć rozmowę, a sama w skupieniu wpatrywała się w twarz dziewczyny.

Czy Alex jest świadom prawdy? Coś mówiło jej, że nie.

Po godzinie Rafaela spojrzała smutno na zegarek i rozglądnęła się wokół niecierpliwie.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że muszę już wracać do matki, ciotki i kuzynek, bo pomyślą, że uciekłam - oznajmiła.

Nie przyznała się jednak, że aby się od nich uwolnić, skłamała, iż boli ją głowa. Tak bardzo chciała poznać Charlotte Brandon i choć raz jeszcze spotkać Alexa!

Wobec tego Alex odprowadził ją do taksówki, zostawiając matkę na chwilę samą przy filiżance świeżo zaparzonej kawy. Obiecał, że wróci wkrótce, i oddalił się pod ramię z nową przyjaciółką.

Przed wyjściem Rafaela oczywiście podziękowała uprzejmie Charlotte za mile spędzony czas, a ich oczy na chwilę się spotkały. Rafaela patrzyła na nią tak, jakby chciała jej coś wyjaśnić, Charlotta zaś mrugnęła, że już wszystko wie. Kobiety potrafią czasem powiedzieć sobie wszystko bez słów. Patrząc w jej oczy Charlotta czuła, że bardzo polubiła tę dziewczynę i że całym sercem jej współczuje.

Znała jej historię, która w tej chwili stała się o wiele bardziej realna niż krótko

wzmianka w prasie. Teraz widziała ją żywą i prawdziwą, młodą kobietę, którą dotknęła ogromna tragedia. Miała ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, lecz tylko mocno uściśnęła jej rękę, potem zaś odprowadziła ich wzrokiem.

Jej syn był taki przystojny, a jego przyjaciółka tak urocza, że nie mogła oderwać od nich zachwyconego spojrzenia, dopóki nie zniknęli za drzwiami.

Gdy wyszli na ulicę, Alex wciągnął w płuca rześkie jesienne powietrze i spojrzał na nią z uśmiechem. Był taki szczęśliwy! Oczy błyszcząły mu radośnie, usta same układały się w uśmiech. Rafaela jak zwykle była poważna i trochę smutna, ale i w jej oczach można było dostrzec blask odrobiny szczęścia.

- Moja matka była tobą zachwycona - powiedział.

- Zupełnie nie pojmuję dlaczego. Ja też jestem nią zachwycona. To wspaniała kobieta, ma wszystkie cechy, jakie kobieta powinna posiadać.

- Tak, to miła duża dziewczynka - zgodził się przekornie, ale patrząc jej w oczy tak naprawdę nie myślał o swojej matce. - Kiedy znów się spotkamy?

Rafaela rozglądnęła się nerwowo po ulicy w poszukiwaniu taksówki, potem zakłopotana popatrzyła na Alexa. Jej twarz nagle posmutniała.

- Nie mogę, Alex. Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Muszę być z matką... i...

- Nie możesz przecież przebywać z nimi bez przerwy - odrzekł zdecydowanie, co wywołało uśmiech na jej twarzy.

Wiedziała, że nie potrafi tego zrozumieć, bo nigdy nie wiódł takiego życia jak ona.

- Ale jestem. W dzień i w nocy, w każdej chwili. A teraz muszę wracać.

- Ja też... Ale przecież będziemy mogli się spotkać. A właśnie, zapomniałaś mi o czymś powiedzieć, kiedy pytałem, gdzie się zatrzymałaś.

- Naprawdę? - spojrzała na niego zakłopotana.

- Tak. Nie podałaś mi swojego nazwiska.

- Naprawdę? - powtórzyła takim tonem, że Alex nie był pewny, czy udaje, czy rzeczywiście o tym nie pamiętała.

- Naprawdę.

- Gdybyś dzisiaj nie przyszła, musiałbym przez cały tydzień codziennie chodzić do

Carlyle'a i czatować w holu, a gdybyś się w końcu pojawiła, na oczach matki rzuciłbym się do twoich stóp i błagał jej wysokość o podanie nazwiska.

Wybuchnęli szczerym śmiechem.

Alex delikatnie ujął ją za rękę

- Rafaelo, tak bardzo chcę się z tobą znowu spotkać...

Podniosła na niego wzrok. Chciałaby spełnić jego pragnienia, lecz wiedziała, że to niemożliwe. Alex nachylił się, jakby chciał ją pocałować, ale odwróciła twarz i ukryła ją za jego ramieniem, nerwowo ściskając w jednej ręce rąbek kołnierza.

- Nie, Alex, nie rób tego - powiedziała.

Rozumiał, że jeśli wychowała się w świecie pełnym piastunek i przyzwoitek, na pewno nie zechce całować się z mężczyzną na ulicy.

- W porządku, ale musimy się spotkać. Jeszcze dziś wieczorem, dobrze?

Zaśmiała się cichutko i znów odwróciła głowę.

- A co z moją matką, ciotką i kuzynkami? - spytała zdziwiona jego uporem. Był nieustępliwy, choć niezwykle miły, miłszy od wszystkich mężczyzn, jakich знаła.

- Przyjdź razem z nimi, a ja przyprowadzę moją matkę - przekomarzał się Alex.

Rafaela zaśmiała się serdecznie.

- Jesteś niemożliwy!

- Wiem. I nie chcę słyszeć żadnych wymówek.

- Alex, proszę!... - ponownie spojrzała na zegarek i nagle oprzytomniała. - O mój Boże! One mnie zabiją! Na pewno już wróciły z lunchu.

- Obiecuj, że spotkasz się ze mną dziś wieczorem.

Alex chwycił ją mocno za ramię i nagle przypomniał sobie, że nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie.

- I jak się, u diabła, nazywasz?

Rafaela wyswobodziła się z jego uścisku i skinęła na przejeżdżającą taksówkę, która zatrzymała się z piskiem opon. W tejże chwili Alex jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

- Alex, proszę.... Ja muszę...

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki...- zaczął, tym razem jednak nie był to już żart.

Rafaela roześmiała się nerwowo.

- Dobrze, dobrze. Phillips.

- I pod takim nazwiskiem zameldowałaś się w Carlyle'u?

- Tak, przysięgam... - Po czym z paniką w głosie dodała: - Alex, nie mogę się z tobą spotkać. Ani tutaj, ani w San Francisco, nigdzie. Musimy pożegnać się na zawsze.

- Na Boga, nie wygłupiaj się! Przecież to dopiero początek.

- Nieprawda - odpowiedziała poważnie, a kierowca taksówki chrząknął zniecierpliwiony. - To nie jest żaden początek, to koniec. I muszę już iść.

- Nie odchodź w ten sposób! - zawołał zdesperowany, żalując, że nie odważył się jej przedtem pocałować. - Czyżbyś przyszła na ten lunch wyłącznie po to, aby poznać moją sławną matkę? Jak mogłaś? - próbował obrócić wszystko w żart, lecz patrzyła na niego poważnie. Zrozumiał, że teraz gra już o dużo wyższą stawkę.

- Och, Alex, jak możesz tak myśleć.

- Więc spotkamy się czy nie?

- Alex...

- Nie chcę tego słuchać. Dziś o jedenastej w kawiarni Carlyle'a. Porozmawiamy i posłuchamy Bobby'ego Shorta. Jeśli nie przyjdiesz, wejdę na górę i wyważę drzwi do pokoju twojej matki... Będziesz mogła się wyrwać o jedenastej? - zatroskał się.

Bawiło go, że trzydziestodwuletnia kobieta musi po kryjomu przed matką wymykać się na spotkanie, choć wydawało mu się to absurdalne.

- Spróbuję - uśmiechnęła się.

Znów wyglądała młodo i radośnie, choć w jej oczach malowało się poczucie winy.

- Nie powinniśmy tego robić.

- Dlaczego?

Już zamierzała mu wyjaśnić, ale się rozmyśliła. Trudno by jej było tłumaczyć się tutaj, na krawędzi chodnika, przy mruczącym niecierpliwie taksówkarzu.

- Porozmawiamy wieczorem.

- Dobrze.

Uśmiechnął się na samą myśl, że znów ją zobaczy, otworzył drzwi taksówki i uklonił się szarmancko.

- Do zobaczenia wieczorem, pani Phillips.

Nachylił się i pocałował ją w czoło, po czym zatrzasnął drzwi i taksówka pomknęła w kierunku centrum.

Rafaela siedząc w tyle taksówki czuła, jak narasta w niej złość na samą siebie. Jak mogła być tak uległa? Nie powinna była go oszukiwać. Należało powiedzieć mu prawdę jeszcze w samolocie, a już na pewno popełniła błąd przychodząc na lunch. Chociaż... mogła przecież raz, jeden jedyny raz pozwolić sobie na chwilę zapomnienia i przeżyć kilka romantycznych chwil. Czy naprawdę miała do tego prawo?... Czy wolno było jej to zrobić, podczas gdy John Henry siedział przykuty do wózka?... Jak mogła sobie pozwolić na taką beztroskę?

Kiedy taksówka zatrzymała się przed hotelem Carlyle, podjęła mocne postanowienie, że wieczorem powie Alexowi, iż jest mężatką, i już nigdy więcej się z nim nie spotka. Wieczorem... a potem jeszcze raz...

Serce zabiło jej mocniej na samą myśl, że mogłaby go spotkać jeszcze raz.

- No i jak?

Alex z dumną miną usiadł przy stoliku. Matka uśmiechnęła się i nagle poczuła się przy nim bardzo stara. Jej syn tryskał teraz młodością i wydawał się zupełnie ogłupiały ze szczęścia.

- Co jak? - spojrzała na niego wzrokiem pełnym smutku.

- Jak to co? Czyż ona nie jest wspaniała?

- Tak - przyznała Charlotta. - Jest chyba najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Jest czarująca, dystygowana, urocza, polubiłam ją bardzo. Ale... - zawahała się, po czym dokończyła zdecydowanie: - Po co się angażujesz?

- O co ci chodzi? - zirytował się i sięgnął po kawę. - Przecież jest wspaniała.

- Dobrze ją znasz?

- Nie bardzo - uśmiechnął się. - Ale mam nadzieję, że uda mi się ją poznać bliżej, nie bacząc na jej matkę, ciotkę, kuzynki i przyzwoitki.



- A co z jej mężem?

Alex osłupiał. Popatrzył na matkę nieprzytomnym wzrokiem i z niedowierzaniem zmrużył oczy.

- Jaki mąż? Kogo masz na myśli?

- Czyżbyś nie wiedział, kim ona jest?

- Jest pół Hiszpanką, pół Francuzką, mieszka w San Francisco, nie pracuje, ma trzydzieści dwa lata, jak się dziś dowiedziałem, i nazywa się Rafaela Phillips. Właśnie przed chwilą wyjawiała mi swoje nazwisko.

- I nic ci to nie mówi?

- Nie. I błagam, przestań mnie dręczyć - rozzłościł się.

Jego matka wyprostowała się na krześle i westchnęła. A więc nie myliła się. Phillips. Przed chwilą nie była jeszcze pewna, wiedziała jednak, że skądś zna tę twarz, choć od lat nie spotkała w żadnej gazecie jej zdjęcia. Ostatnie, zrobione przed szpitalem, gdy John miał pierwszy wylew, widziała chyba sześć czy siedem lat temu.

- Mamo, co ty wiesz? Mów!

- Ona jest mężatką, mój drogi. Jest żoną bardzo wpływowego człowieka. Czy nazwisko John Henry Phillips nic ci nie mówi?

Alex przymknął oczy i gorączkowo myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. To nie mogło być prawdą.

- On nie żyje, tak?

- O ile mi wiadomo, żyje. Kilka lat temu poważnie zachorował, miał serię wylewów. Teraz dobiega już chyba osiemdziesiątki, ale jestem pewna, że żyje. Gdyby umarł, na pewno bym o tym usłyszała.

- Ale skąd wiesz, że ona jest jego żoną?

Alex wyglądał, jakby przed chwilą przeżył trzęsienie ziemi.

- Czytałam gdzieś o ich ślubie i widziałam fotografie. Zwróciłam uwagę na jej wyjątkową urodę i byłam zszokowana, że Phillips żeni się z tak młodą dziewczyną. Miała wtedy chyba siedemnaście albo osiemnaście lat. To córka znanego francuskiego bankiera. Potem widziałam ich razem na konferencji prasowej, na którą zabrał mnie

zaprzyjaźniony dziennikarz. Widziałam też kilka innych zdjęć i zmieniałam o nim zdanie. Wtedy John Henry Phillips był naprawdę wyjątkowym człowiekiem.

- A teraz?

- Nie wiem. Słyszałam, że jest sparaliżowany. Niewiele podaje się informacji na jego temat. Rafaelę zawsze starannie chroniono przed dziennikarzami, dlatego początkowo jej nie rozpoznałam. Ale ta twarz... takiej twarzy łatwo się nie zapomina.

Ich oczy spotkały się i Alex skinął głową. On też od pierwszej chwili nie mógł o niej zapomnieć.

- Domyślam się, że nie wspomniała ci o tym.

Alex potrząsnął głową.

- Ale chyba ci w końcu powie. Powinna to zrobić sama. Chyba że może ja... - przerwała, lecz Alex znów potrząsnął głową i ze smutkiem patrzył na swoją najlepszą i najwierniejszą powierniczkę.

- Ale dlaczego? Dlaczego musiała wyjść za tego bałwana? On mógłby być przecież jej dziadkiem, poza tym to już właściwie trup - mówił do siebie z wyrzutem, a serce pękało mu z powodu tak rażącej niesprawiedliwości losu. - Dlaczego ktoś zabrał mu Rafaelę?

- Jeszcze żyje. Nie mam pojęcia, co chciała osiągnąć, grając z tobą w ten sposób, ale powiem ci szczerze, że sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej. Chyba nie była pewna, w co właściwie się z tobą bawi. Powinieneś pamiętać, że ona wie o zupełnie innym życiu, że jest całkowicie odizolowana od świata. John Henry Phillips od prawie piętnastu lat starannie chroni ją przed ludźmi. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek w życiu spotykała bezczelnych, pewnych siebie prawników lub pozwalała sobie na przelotne romanse. Może się mylę, ale wydaje mi się, że nie.

- Ja też tak sądzę.

Wyprostował się i głęboko westchnął.

- O mój Boże, i co teraz?

- Spotkacie się jeszcze?

- Tak, dziś wieczorem. Powiedziała, że musi ze mną porozmawiać.

Zamyślił się. Czy powie mu o tym? I co będzie dalej?

Wpatrując się nie widzącym wzrokiem gdzieś za plecy matki, uświadomił sobie, że John Henry Phillips może żyć jeszcze nawet dwadzieścia lat, a wtedy on będzie miał sześćdziesiąt, Rafaela zaś pięćdziesiąt dwa. Całe życie mogą przeczekać na jego śmierć.

- O czym myślisz? - głos matki był cichy i łagodny.

Powoli przeniósł wzrok na jej twarz.

- O niczym przyjemnym. Kiedyś - zaczął powoli - widziałem ją w nocy na schodach w pobliżu jej domu. Siedziała i płakała. Potem dzień i noc myślałem o niej, aż spotkałem ją wczoraj w samolocie. Rozmawialiśmy i... - spojrzał bezradnie na matkę.

- Alex, przecież ty prawie jej nie znasz.

- Mylisz się. Znam ją. Czuję się tak, jakbym znał ją lepiej niż kogokolwiek innego. To bratnia dusza. Domyślałem się, że jest bardzo samotna, a teraz wiem dlaczego. I wiem coś jeszcze...

Podniósł wzrok i popatrzył na nią z rozpaczą.

- Co takiego?

- Że ją kocham. Wiem, że to brzmi głupio, ale naprawdę ją kocham.

- Wydaje ci się tylko. To za wcześnie. W obcej kobiecie...

- Wcale nie jest obca - przerwał jej. Wyjął z portfela kartę kredytową i położył na stoliku, po czym dodał: - Musimy coś wymyślić.

Charlotta Brandon tylko skinęła głową, przekonana, że tym razem Alex porywa się na rzecz niemożliwą.

Gdy chwilę potem szedł przez Lexington Avenue, sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego i pewnego siebie. Chłodny wiatr rozwiewał mu włosy, a on wiedział, że zrobi wszystko, by zdobyć Rafaelę. Nigdy w życiu nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo jak tej. Walka dopiero się rozpoczęła i nie zamierzał jej przegrać.

## ROZDZIAŁ 7

Tego wieczoru za pięć jedenasta Alex Hale szybkim krokiem skręcił z Madison Avenue w Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę i skierował się do hotelu Carlyle. W hotelowej kawiarni, gdzie zarezerwował stolik, zamierzał przez godzinę porozmawiać z Rafaelą, a o północy udać się z nią na przedstawienie Bobby'ego Shorta, jednej z największych atrakcji Nowego Jorku. Oddał płaszcz do szatni i skierował się do stolika. Przez dziesięć minut czekał spokojnie, ale gdy piętnaście po jedenastej nadal jej nie było, zaniepokoił się.

O wpół do dwunastej zaczął się zastanawiać, czyby nie zadzwonić do niej do pokoju, uznał jednak, że nie powinien, zwłaszcza teraz, gdy znał już prawdę o jej mężu. Wiedział, że musi na nią cierpliwie czekać i nie może wywołać zamieszania.

Dochodziła za dwadzieścia dwunasta, gdy wreszcie ją zobaczył. Stała w holu i patrzyła przez oszklone drzwi, jakby przyczojona, gotowa w każdej chwili do ucieczki. Próbował przyciągnąć jej wzrok, ale go nie zauważyła. Jeszcze raz rozejrzała się po kawiarni i zniknęła.

Alex zerwał się od stolika i pobiegł do drzwi. Żeby tylko nie stracić jej z oczu! Zobaczył ją w głębi holu.

- Rafaelo! - zawołał cicho.

Odwróciła się, patrząc nań z przerażeniem. Jej twarz była jeszcze bledsza niż zwykle. Miała na sobie jasną wieczorową sukienkę z czarnymi lamówkami, lekko odkrywającą ramiona, po lewej stronie wpiętą wyjątkowej roboty szpilkę z dużą perłą otoczoną diamentami i onyksami, w uszach podobne kolczyki. Wyglądała wspaniale i Alex po raz nie wiadomo który pomyślał, że jest naprawdę wyjątkowo piękna. Kiedy ją zawołał, przystanęła.

Nie poruszyła się, gdy podszedł do niej i spojrzał jej w oczy, w których malowała się ogromna powaga.

- Nie uciekaj. Chodź, napijemy się czegoś i porozmawiamy - przemówił łagodnie.

Miał ochotę objąć ją delikatnie, ale nie odważył się nawet wyciągnąć ręki.

- Nie powinnam. Nie mogę. Przyszłam ci powiedzieć, że... przepraszam, jest tak późno... ja...

- Rafaelo, przecież nie ma jeszcze północy! Nie możemy porozmawiać choć przez pół godziny?

- Tam jest tyle ludzi... - wydawała się bardzo nieszczęśliwa.

Alex nagle przypomniał sobie o barze Bernelmana. Wprawdzie żał mu było przedstawienia Bobby'ego Shorta, uznał jednak, że chwila szczerzej rozmowy jest więcej warta.

- Tu zaraz jest bar. Tam będziemy mogli naprawdę spokojnie porozmawiać. No chodź!

Nie czekając na odpowiedź wziął ją pod rękę i poprowadził przez hol do baru naprzeciw kawiarni. Kiedy usiedli przy małym stoliku, Alex uśmiechnął się radośnie.

- Czego się napijesz? Wina? A może sherry?

Pokręciła przecząco głową, wyraźnie nadal bardzo zdenerwowana.

Gdy kelner zostawił ich samych, Alex nachylił się do niej i zapytał łagodnie:

- Rafaelo, czy coś się stało?

Z wahaniem skinęła głową ze wzrokiem wbitym we własne dłonie. Jej jasny profil wyraźnie rysował się w mroku spowijającym bar. Potem popatrzyła na niego. Była bardzo smutna, twarz miała taką samą jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy płaczącą na schodach.

- Może porozmawiamy o tym?

Wciągnęła powietrze w płuca i oparła się wygodniej, nie spuszczać z niego wzroku.

- Powinnam była wcześniej ci to powiedzieć, Alex. Byłam... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. - Byłam z tobą nieuczciwa. Oszukałam cię. Nie wiem, jak to się stało. Chyba dałam się ponieść uczuciom. W samolocie byłeś taki uprzejmy, a twoja matka okazała się taka czarująca... Ale byłam wobec ciebie nie w porządku, mój drogi... - Z oczyma pełnymi smutku delikatnie dotknęła jego ręki. - Zachowywałam się, jakbym była wolna. Nie powinnam była tego robić. Chciałabym cię za to przeprosić. - Popatrzyła

nań smutno i cofnęła rękę. - Jestem mężatką, Alex. Należało ci od razu o tym powiedzieć. Nie wiem, dlaczego zaczęłam z tobą grać, ale wiem, że postąpiłam bardzo, bardzo źle. Nie możemy się więcej widywać.

Była kobietą honorową. Jej szczerość poruszyła go do głębi. Patrzyła teraz na niego swoimi ogromnymi oczyma ze łzami na koniuszkach rzęs, a jej twarz wydawała się niesamowicie blada.

Przemówił do niej łagodnie i poważnie, tak jak mówił zwykle do Amandy.

- Rafaelo, bardzo cię szanuję, że to powiedziałaś. Ale czy musi to mieć wpływ na... na naszą przyjaźń? Akceptuję twoją sytuację. Czy nie możemy mimo to się widywać? - zapytał szczerze.

- Chciałabym cię widywać, gdybym... gdybym była wolna. Ale jestem mężatką, więc to niemożliwe.

- Dlaczego?

- To byłoby nieuczciwe wobec mojego męża. On jest taki... zawahała się taki dobry. Zawsze był uczciwy... taki czuły...

Odwróciła głowę i Alex zauważył, że po policzkach spływają jej łzy. Wyciągnął rękę, by pogłodzić końcami palców jej aksamitną twarz, i nagle zachciało mu się płakać.

To niemożliwe. Niemożliwe, żeby chciała pozostać wierna mężowi do końca życia. Sama ta myśl przeraziła go, tym bardziej że widział to wypisane na jej twarzy.

- Ale, Rafaelo... nie możesz... Kiedy cię zobaczyłem na schodach, byłaś bardzo nieszczęśliwa. Wiem to na pewno. Dlaczego nie możemy się spotykać i podtrzymywać na duchu?

- Bo nie mam do tego prawa. Nie jestem wolna. Na Boga...

Miał ochotę powiedzieć jej, że już wcześniej dowiedział się o wszystkim, lecz powstrzymała go obronnym ruchem ręki i szybko wstała.

- Nie, Alex. Nie! Nie mogę. Jestem mężatką. I jest mi bardzo przykro, że pozwoliłam, aby sprawy zaszły tak daleko. To było nieuczciwe, że przyszedłam na lunch z twoją matką...

- Skończ już tę spowiedź i usiądź.

Alex wyciągnął rękę i łagodnie zmusił ją, by usiadła. Nie rozumiejąc dlaczego, zgodziła się usiąść i pozwoliła, aby otarł jej łzy z policzków,

- Rafaelo - rzekł tak cicho, że ledwie go dosłyszała - Kocham cię. Wiem, że to szaleństwo, że prawie się nie znamy, ale po prostu Kocham cię. Czekalem na ciebie tyle lat!... Nie możesz teraz tak po prostu odejść. Nie możesz tego zrobić ze względu na... na to, co stało się z twoim mężem.

- Co masz na myśli?

- Z tego, co usłyszałem od mojej matki, zgaduję, że twój mąż jest już bardzo starym człowiekiem i że od lat choruje. Muszę ci wyznać, że nie domyślałem się; kim jesteś, jak cię spotkałem po raz pierwszy. To moja matka rozpoznała cię i powiedziała mi o... o twoim mężu.

- To ona wiedziała? Pewno pomyślała, że jestem... niemoralna.

Rafaela sprawiała wrażenie poważnie zawstydzonej.

- Nie - odparł stanowczo i nachylił się do niej. Prawie czuł ciepło jej jedwabistego ciała, które było tak blisko. Chyba nigdy w życiu nie doznawał takiego pożądania jak w tej chwili. Nie była to jednak pora na namiętność. Musiał z nią porozmawiać, musiał ją uspokoić, przekonać. - Jak ktokolwiek mógłby myśleć, że jesteś niemoralna? Byłaś mu wierna przez tyle lat, prawda?

Pytanie było prawie retoryczne, lecz Rafaela wolno skinęła głową i westchnęła.

- Tak. I nie widzę powodu, żeby teraz było inaczej. Nie mam prawa zachowywać się tak, jakbym była wolna, Alex. Nie mam prawa komplikować ci życia i dokładać swoje problemy.

- Twoje życie jest takie smutne, bo sama chcesz, żeby takie było. Zostałaś sama ze starym, schorowanym mężczyzną. Zaslugujesz na coś więcej.

- Tak, ale to nie jego wina, że tak się stało.

- Ani twoja. Czy musisz więc karać się za to?

- Nie, ale nie mogę też karać jego.

Ton, jakim to powiedziała, uświadomił mu, że znów przegrał walkę. Alex poczuł, że serce ściska mu się z żalu. Rafaela znów wstała, tym razem z dużo większą

determinacją.

- Muszę już iść.

Popatrzył na nią błagalnie.

- Muszę - odpowiedziała na jego spojrzenie, delikatnie musnęła ustami jego czoło i szybko wyszła z baru.

W pierwszej chwili chciał za nią pobiec, lecz zauważyła to, potrząsnęła głową i uniosła rękę. Domyślił się, że znowu płacze. Wiedział też, że znów przegrał. Gdyby za nią pobiegł, sprawiłby jej jeszcze większą przykrość. Nie mógł teraz nic zrobić, wyczuł to podczas rozmowy.

Przy Johnie Henrym Phillipsie trzymały ją więzy małżeńskie, których honorowo nie potrafiła i nie chciała zerwać ani nawet naruszyć, zwłaszcza z zupełnie obcym mężczyzną, poznanym dzień wcześniej w samolocie.

Alex zapłacił za drinki, zapomniawszy o stoliku zarezerwowanym na występ Bobby'ego Shorta, i wyszedł na Madison Avenue. Podniósł rękę, by zatrzymać taksówkę. Gdy usadowił się na tylnym siedzeniu, kierowca zerknął w lusterko, zaciągnął się cygarem i ze zdziwieniem w głosie zagadnął:

- Zimno, co?

Tylko chłodem mógł sobie wytłumaczyć łzy, które spływały po policzkach Alexa.



## ROZDZIAŁ 8

Alex stał obok swojej siostrzenicy i razem przyglądali się łyżwiarzom, którzy z gracją poruszali się po okrągłej płycie lodowiska w Rockefeller Center. Wcześniej zjedli razem kolację w Cafe Francais. Był już najwyższy czas, aby wracać do domu o ósmej Alex musiał jechać na lotnisko.

- Chciałabym, żeby zawsze tak było, wujku. Mogłabym się tak bawić przez całe życie spojrzęła na niego z uśmiechem.

Była drobną, niebieskooką dziewczynką z puszystą aureolą jasnych loków.

- Jeździć na łyżwach? - uśmiechnęła się, bo rozbawiła go tym oświadczeniem.

Spędzili razem bardzo miłe popołudnie. Samotność tej nastolatki zawsze ścisnęła mu serce. Amanda była tak inna od wszystkich członków jego rodziny! W niczym nie przypominała ani matki, ani ojca, ani nawet babki czy Alexa. Była spokojna, serdeczna, delikatna, lojalna przede wszystkim zaś samotna.

Kiedy tak stali obok siebie smagani chłodnym wiatrem, przypominała mu się Rafaela. Być może te dwie osoby łączyły rozczarowania, jakich nie szczędziło im życie. Patrząc na dziewczynkę zastanawiał się, co może skrywać jej serce. Była zawsze spokojna i jakby nieco zakłopotana, a teraz z tęsknotą patrzyła na łyżwiarzy na ślizgawce. Zastanowił się, czyby nie przedłużyć o dzień pobytu w Nowym Jorku. Mógłby wtedy spędzić z nią jeszcze trochę czasu, może nawet wypożyczyliby łyżwy. Miał już jednak rezerwację na samolot i zwolnił pokój w hotelu.

- Jak przyjadę następnym razem, pójdziemy się poślizgać.

Uśmiechnęła się.

- Wiesz? Ja już naprawdę świetnie jeżdżę.

- Nie żartuj! - przekomarzał się. - Jak to możliwe?

- Chodzę na łyżwy w każdej wolnej chwili.

- Tutaj? - spojrzął z dumą na swoją uroczą siostrzenicę, żalując, że nie ma czasu, aby sprawdzić, jak „naprawdę świetnie” jeździ.

Amanda potrząsnęła głową.

- Nie, nie tutaj. Nie starczyłoby mi pieniędzy.

Za brzmiało to absurdalnie, gdyż jej ojciec był jednym z najlepszych chirurgów na Manhattanie, a Kay też całkiem nieźle zarabiała.

- Ślizgam się w parku, wujku.

Teraz już tylko czasami nazywała go wujkiem.

- Sama? - przeraził się.

Amanda uśmiechnęła się z dumą.

- Czasami... Przecież jestem już duża.

- Tak duża, że ktoś może cię napaść - zdenerwował się Alex.

- Mówisz jak babcia.

- Czy babcia wie, że chodzisz na łyżwy do Central Parku sama? A mama wie?

Kiedy przyjechał, okazało się, że Kay jest w Waszyngtonie, toteż nie udało mu się z nią spotkać.

- Obie wiedzą. Jestem bardzo ostrożna. Jak jeżdżę późno wieczór, zawsze staram się wychodzić z innymi, nigdy nie idę przez park sama.

- A skąd wiesz, że ci „inni” nie zrobią ci krzywdy?

- A dlaczego miałiby zrobić?

- O Boże, Mandy, przecież wiesz, jak tutaj jest. Od urodzenia mieszkasz w Nowym Jorku. Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć, czego nie należy tu robić? Przecież to wielka różnica, czy się jest dzieckiem, czy dorosłym.

- Po co ktoś miałby na mnie napadać? Co mógłby mi zabrać? Dwie paczki dropsów, trzy dolary i klucze.

- Może. Albo... - zawahał się, bo nie miał odwagi wyrazić tego na głos. - Albo coś znacznie cenniejszego. Mógłby cię zranić.

Nie chciał użyć słowa „zgwałcić” mówiąc do tej niewinnej istotki, która przyglądała mu się z łagodnym uśmiechem.

- Posłuchaj, proszę, zrób to dla mnie i przestań tam chodzić.

Zmarszczył brwi i sięgnął do kieszeni po portfel, z którego wyjął nowiutki banknot 100 dolarowy. Z poważną miną podał go Amandzie, która szeroko otworzyła oczy.

- Co to?

- Pieniądze na ślizgawkę. Od dziś będziesz przychodziła tutaj. Jak skończą ci się pieniądze, masz do mnie zadzwonić, to przyślę następne. To będzie taka nasza umowa, dobrze, młoda damo? Nie chcę, żebyś chodziła do Central Parku, jasne?

- Jasne, ale chyba oszalałeś, Alex! Sto dolarów!

Uśmiechnęła się szczerze, po dziecięcemu.

- Huraaa!

Wspięła się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję, głośno cmoknęła w policzek i wsunęła banknot do dzinsowej torebki.

Alex był naprawdę zadowolony, że go przyjęła, choć martwiło go, że jeśli naprawdę tak często się ślizga, pieniędzy wystarczy tylko na kilka tygodni, a na pewno nie będzie śmiała poprosić o więcej. Nie była tego rodzaju dzieckiem, nie żądała niczego i cieszyła się, gdy dostawała coś bez proszenia.

Niechętnie spojrzął na zegarek i zauważył, że Amanda patrzy nań ze smutkiem.

- Obawiam się, młoda damo, że musimy już iść.

Skinęła głową zastanawiając się, kiedy go znowu zobaczy. Jego wizyty były dla niej zawsze jak promyk słońca. Chwile spędzane z nim i z babcią sprawiały, że jej życie stawało się w miarę znośne i nabierało jakiegoś sensu.

Powoli schodzili stromym tarasem w kierunku Piątej Alei, a kiedy się tam znaleźli, Alex zatrzymał taksówkę.

- Kiedy znowu przyjedziesz, Alex?

- Nie wiem, ale chyba wkrótce.

Ilekoć się z nią rozstawał, ogarniało go poczucie winy i smutek, jakby miał obowiązek poświęcać jej więcej czasu. Cóż jednak więcej mógł dla niej zrobić? Czy mógł zastąpić jej rodziców, z których jedno w ogóle jej nie zauważało, a drugie było kompletnie pozbawione uczuć? Jak mógł dać tej dziewczynie coś, czego nie doświadczyła przez prawie siedemnaście lat? Wprawdzie była niewysoka i drobna, ale wyszła z okresu dziecięcego. Była wyjątkowo ładną młodą kobietką i dziwiło go tylko, że jeszcze tego nie zauważała.

- Przyjedziesz na Święto Dziękczynienia?

- Może... - odparł wymijająco, a zauważywszy jej badawcze spojrzenie, dodał: - No dobrze, postaram się, ale nie mogę obiecać.

Taksówka właśnie zajechała przed dom, Alex uścisnął więc Amandę i ucałował na pożegnanie. Gdy odchodziła, zauważył, że ma łzy w oczach, ale kiedy odjeżdżał, pomachała mu ręką z uśmiechem najpromienniejszym, na jaki może się zdobyć niespełna siedemnastoletnia dama. Zrobiło mu się smutno, że wyjeżdża.

Amanda zawsze przypominała mu o utraconych życiowych szansach i o tym, że on nie zdołał się doczekać własnych dzieci. Gdyby miał taką córkę jak ona... Ta myśl zawsze wprawiała go w złość. Jego siostra na pewno nie zasłużyła na tak wspaniałe dziecko.

Podał kierowcy adres hotelu, w którym zostawił swoje rzeczy, odebrał je od portiera, wrzucił na tylne siedzenie i z westchnieniem spojrzał na zegarek.

- Poproszę na lotnisko Kennedy'ego. Linie United.

Może to i dobrze, że wreszcie wraca do domu? Wprawdzie spędził w Nowym Jorku tylko dwa dni, ale czuł się niezmiernie zmęczony.

Szczególnie mocno przeżywał to, że po pierwszym spotkaniu Rafaela postanowiła pożegnać się z nim na zawsze. Sprawy służbowe co prawda ułożyły się nadzwyczaj dobrze, lecz nie potrafił się z tego cieszyć, przybity osobistą porażką.

Coraz mniej myślał o Amandzie, a coraz więcej o Rafaeli. Było mu jej żal, ale też narastała w nim coraz większa złość. Dlaczego z takim uporem dochowywała wierności mężowi, który z powodzeniem mógłby być jej dziadkiem i jedną nogą był już na tamtym świecie?

To nie miało sensu... Wspomnił wyraz jej twarzy, gdy odchodziła poprzedniego wieczoru. Wczoraj... Dopiero wczoraj z nią rozmawiał!...

Nagle, w niespodziewanym przyplýwie emocji, zadał sobie pytanie, dlaczego musi być wyrozumiały i akceptować to, co powiedziała. Powiedziała: „Odejdź”, lecz on teraz postanawia, że jej nie posłucha. Nie, na pewno nie!...

Rozejrzał się wokół, jak wyrwany ze snu. Byli na Dziewięćdziesiątej Dziewiątej

Ulicy we wschodniej części Manhattanu.

- Proszę mnie zawieźć do Carlyle'a - polecił.

- Teraz? - zdziwił się taksówkarz.

- Teraz - odparł zdecydowanie.

- Nie na lotnisko?

- Nie.

Do diabła! Może przecież zatrzymać się u matki, gdyby nie zdążył na samolot.

Wyjechała właśnie do Bostonu na promocję swojej nowej książki.

Warto spróbować jeszcze raz. Tylko ją zobaczy. Jeśli jeszcze tam jest. Może zejdzie na dół, aby się z nim spotkać. Może...

Rafaela leżała na ogromnym łóżku w swoim apartamencie w Carlyle'u. Miała na sobie tylko kremową bieliznę i różowy szlafrok. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna była zupełnie sama. Przed chwilą pożegnała się z matką, ciotką i kuzynkami, które w tej chwili były już chyba na lotnisku i wsiadały do samolotu do Buenos Aires. Rafaela wracała do San Francisco nazajutrz, tego wieczoru mogła zatem beztrudno wypocząć w Carlyle'u. Nie musiała nic robić, nie musiała być czarująca, uprzejma i cierpliwa, nie musiała służyć za tłumaczkę, co było jej zморą podczas rodzinnych zakupów w eleganckich sklepach. Nie musiała zamawiać dla nich posiłków i załatwiać w mieście dziesiątków innych spraw. Mogła po prostu leżeć, czytać i wypoczywać.

Spodziewała się, że za kilka minut kelner przyniesie do pokoju kolację. Będzie jadła sama w saloniku apartamentu, w którym zawsze się zatrzymywała. Rozejrzała się wokół z uczuciem zmęczenia, ale i zadowolenia, że nie musi już słuchać niczyjej paplaniny i udawać, że się świetnie bawi i jest szczęśliwa.

Odkąd tu przyjechała, nie miała ani chwili dla siebie i nie mogła mieć, choćby nie wiedzieć jak o to zabiegała. Wszyscy byli przekonani, że ani na moment nie powinna zostać sama. Nigdy.

Była przecież kobietą, a kobieta musi być zawsze otoczona ludźmi, musi być strzeżona i ochraniana. Wyjątkiem mogły być jedynie takie chwile jak ta, kiedy musiała przenocować w hotelu, by rano odlecieć do San Francisco. W takiej sytuacji mogła w

ogóle nie opuszczać pokoju, kazać sobie przynosić posiłki, a rano odjechać na lotnisko wynajętą limuzyną.

Przecież muszę na siebie uważać pomyślała cynicznie. Jeśli nie będę uważała, to wiadomo, co się stanie.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin myślami wciąż była przy Aleksie, wciąż miała przed oczyma kształt jego twarzy, spojrzenie, szerokie ramiona, wciąż czuła miękkość jego włosów i atmosferę wszystkiego, co się stało.

W samolocie zagadnął ją nieznajomy. Była z nieznajomymi na lunchu. Wyszła sama na drinka. Zapomniała o swoich zobowiązaniach. I zakochała się.

Jeszcze raz przemyślała decyzję, którą już podjęła, i uspokoiła się doszedłszy do wniosku, że postąpiła jak najbardziej słusznie. Starła się myśleć o czym innym i wreszcie zapomnieć o Aleksie Hale'u. Nie miała powodu, aby o nim myśleć, powiedziała sobie przecież, że wszystko skończone. Nie miała żadnego, ale to żadnego powodu. Już nigdy więcej go nie zobaczy, nie pozna go bliżej, a wyznanie, jakie uczynił poprzedniego wieczoru, to tylko skutek przejściowego oczarowania człowieka z fantazją. Zwariowanego i nierozsądnego.

Jak mógł w ogóle myśleć, że jeszcze kiedyś ją spotka? Jak mógł sądzić, że ona ma ochotę z nim romansować?...

Wciąż nie mogła usunąć z myśli twarzy Alexa, toteż leżąc zastanawiała się, czy jej matce zdarzyło się w życiu coś podobnego, czy kiedykolwiek spotkała człowieka takiego jak Alex? Czy zdarzyło się to którejś ze znajomych z Hiszpanii? Wszystkie sprawiały raczej wrażenie w pełni zadowolonych z życia, które wiodły, odizolowane od świata, zabawiając się wydawaniem pieniędzy na biżuterię, futra i suknie, chodzeniem na przyjęcia zawsze w towarzystwie innych kobiet.

Czyżby ona była inna? Co jej się właściwie stało? Dlaczego nagle poczuła się zmęczona tymi zwyczajami?

Znajome z Paryża, Madrytu czy Barcelony wypełniały sobie życie balami, paradami i innymi rozrywkami, sprawiającymi, że pusty czas płynął szybciej... I miały dzieci... Dzieci... Ilekroć pomyślała o dzieciach, jej serce ścisnął żal. Od lat na widok

kobiet w ciąży z trudem powstrzymywała łzy. Nigdy jednak nie powiedziała Johnowi, jak bardzo cierpiała przez to, że nie mogli mieć dzieci, choć instynktownie czuła, że się domyślał i dlatego był dla niej taki hojny i rozpieszczał ją jak dziecko, na każdym kroku okazując jej swoją miłość.

Rafaela zacisnęła powieki i usiadła na łóżku, złoszcząc się na siebie, że nie potrafi oderwać myśli od tego, czym nie powinna zaprzętać sobie głowy. Była jednak na jeszcze jedną noc i jeden dzień wolna od codziennych zmartwień, nie musiała myśleć o Johnie, jego cierpieniu, kolejnych wylewach i o wszystkim, co straciła w przeszłości i traciła teraz. Cóż jednak da rozmyślanie o przyjęciach, na które nie poszła, o ludziach, których nie poznała, i o dzieciach, których nie mogli mieć? Takie życie było jej pisane, takie było jej przeznaczenie. Tak musiała żyć.

Wierzchem dłoni otarła łzę z policzka i z ociąganiem sięgnęła po książkę leżącą na łóżku. Była to powieść Charlotty Brandon, którą kupiła na lotnisku i która sprawiała, że czasami potrafiła oderwać się od dręczących ją myśli. Barwne fabuły zawsze ją wciągały i od lat były dla niej jedyną ucieczką od ponurej rzeczywistości.

Z głębokim westchnieniem ulgi otworzyła książkę, dziękując w myśli pani Brandon, że wciąż jeszcze potrafiła wydać dwie nowe powieści w ciągu roku. Czytywała je często po kilka razy, czasami w różnych językach. Teraz zdążyła jednak przewrócić kartkę czy dwie, gdy zadzwonił telefon, brutalnie przywołując ją do rzeczywistości.

- Halo? - odezwała się zdziwiona, że ktoś ośmielił się do niej telefonować.

Matka siedziała przecież w tej chwili w samolocie, a z San Francisco nikt do niej nie dzwonił, chyba że w nagłym przypadku. Tym razem jednak nie obawiała się złych wiadomości, bo rozmawiała z Johnem z samego rana i dowiedziała się, że jest w bardzo dobrej formie.

- Rafaela?...

W pierwszej chwili głos wydał się jej obcy, lecz naraz serce zabiło jej mocniej.

- Tak? - odezwała się ledwie słyszalnym szeptem.

- Przepraszam... bardzo cię przepraszam... Pomyślałem, czy... czy nie moglibyśmy się spotkać... Wiem, że wszystko wyjaśniłaś mi już wczoraj wieczorem, ale

może byśmy porozmawiali o tym jeszcze raz spokojnie i... i może moglibyśmy zostać przyjaciółmi?...

Jego serce, podobnie jak jej, waliło jak młotem. Co będzie, jeśli nie zechce się z nim spotkać? Nie potrafił nawet znieść myśli o tym, że mógłby jej już nigdy nie zobaczyć.

- Rafaelo...

Nie odpowiadała, Alexa poraziła więc nagła myśl, że może po prostu odłożyła słuchawkę.

- Tak? - usłyszał jej stłumiony głos.

Dlaczego to zrobił? Dlaczego właśnie teraz?... Przecież powiedziała mu wyraźnie, że ma zobowiązania, od których nie chce uciec. Dlaczego więc dręczył ją w tak okrutny sposób?

- Słucham.

- Czy mogę... czy możemy... się zobaczyć? Jadę na lotnisko... za kilka minut. Pomyślałem, że zatrzymam się tylko na chwilę, aby cię zobaczyć, aby się przekonać, że mogę cię zobaczyć...

To było wszystko, czego teraz pragnął. Jeszcze raz porozmawiać z nią, zanim znajdzie się w samolocie do San Francisco.

- Gdzie jesteś? - zapytała marszcząc brwi.

- Na dole - odpowiedział tak skruszonym głosem, że roześmiała się.

- Tutaj, w hotelu?

Był naprawdę nieobliczalny, zupełnie jak mały chłopiec.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że nie jestem ubrana.

To była mała wymówka. W tym momencie oboje wiedzieli już, że Alex wygrał. Nawet gdyby mieli spędzić razem tylko kilka minut, wygrał.

- I co z tego? Nie przeszkadza mi. Możesz być nawet tylko owinięta ręcznikiem... Rafaelo?...

Nastąpiła długa cisza, po chwili usłyszał dzwonek u jej drzwi.

- Czy to twoja matka?



- Raczej nie. Wyjechała właśnie do Buenos Aires. Myślę, że to moja kolacja.

Otworzyła drzwi, kelner wtoczył do pokoju zastawiony stolik. Rafaela dała mu znak, że podpisze rachunek, i wróciła do telefonu.

- To jak zrobimy? Zejdiesz na dół czy mam przyjść i wyważyć drzwi do twojego pokoju? A może mam się przebrać za kelnera?

- Przestań, Alex - rzekła, raptem znowu poważna. - Przecież wczoraj powiedziałam ci wszystko.

- Nie, nie wszystko. Nie powiedziałaś mi, dlaczego chcesz, żeby tak było.

- Dlatego, że kocham mojego męża - zacisnęła powieki, nie mogąc znieść tego, co czuła w tej chwili. - I nie mam wyjścia.

- Nieprawda. Masz wyjście, i to niejedno. Czasami może nie masz ochoty wybierać, ale zawsze możesz. Rozumiem, co czujesz, i szanuję twoje uczucia, ale czy naprawdę nie możemy porozmawiać? Będę stał w drzwiach i nawet cię nie dotknę, obiecuję. Chcę cię tylko zobaczyć. Rafaelo... proszę.

Ze łzami w oczach wzięła oddech, aby mu powiedzieć, że musi odejść, że nie wolno postępować w ten sposób, że to nie fair, lecz naraz, mimo woli, skinęła głową.

- No dobrze, wejdz, ale tylko na parę minut.

Kiedy odłożyła słuchawkę, ręce jej drżały. Dopiero po chwili zdołała się uspokoić.

Nie zdążyła się jeszcze ubrać, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi, więc tylko mocniej owinęła się szlafrokiem i poprawiła włosy, które miękką falą spływały jej na plecy. Wyglądała teraz dużo młodziej niż uczesana w elegancko upięty kok.

Przy drzwiach zawahała się, lecz w końcu otworzyła mówiąc sobie, że ma jeszcze czas, aby go powstrzymać. Przekręciła klucz, nacisnęła klamkę... Stała naprzeciw przystojnego mężczyzny.

Przez chwilę trwali w bezruchu, wpatrzeni w siebie, w końcu Rafaela cofnęła się o krok i gestem zaprosiła go do środka. Na jej twarzy nie było jednak uśmiechu.

- Dobry wieczór - odezwał się.

Był wyraźnie zdenerwowany i z miną wystraszonego chłopca patrzył na nią z głębi pokoju.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi wejść. Wiem, że to szaleństwo, ale musiałem cię zobaczyć.

Spojrzał na nią, próbując sobie odpowiedzieć na pytanie, po co właściwie przyszedł.

Co jej powie? Co może jej mówić prócz tego, że ilekroć ją widział, umierał z miłości, a gdy jej nie oglądał, myśl o niej prześladowała go na każdym kroku?

- Dziękuję... - powtórzył.

- Nie ma za co - odpowiedziała spokojnym głosem. - Masz ochotę coś zjeść? - wskazała ręką suto zastawiony stolik, lecz Alex potrząsnął głową.

- Dziękuję, jadłem kolację z moją siostrzenicą. Nie chciałbym ci przeszkadzać... Usiądź, nie krępuj się.

Rafaela pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Nie szkodzi, to może poczekać.

Westchnęła i zaczęła spacerować po pokoju. Z niepewną miną wyjrzała przez okno na ulicę, potem znowu podeszła do niego.

- Bardzo mi przykro, Alex. Jestem do głębi poruszona tym, co czujesz, ale nic nie mogę na to poradzić - powiedziała głosem samotnej księżniczki świadomej swoich królewskich powinności i zmartwionej, że nic więcej nie może już uczynić.

Była arystokratką w każdym calu, jej sylwetka, sposób mówienia i poruszania się, nawet różowy szlafrok, wszystko tworzyło idealny obraz niedościgłej Rafaeli Phillips. Jedyne ciągly smutek w jej oczach przypominał, że nie jest boginią, lecz istotą ludzką.

- A co ty czujesz, Rafaelo?

- Ja? Ja czuję to, co czuję, i nie potrafię tego zmienić. Od piętnastu lat jestem żoną Johna Henry'ego Phillipsa. Taki los jest mi pisany i nie odmienię go.

- Ile lat z tych piętnastu... od kiedy jest tak jak teraz?

- Przeszło siedem lat.

- Czy to nie wystarczy? Czy wciąż jeszcze musisz sobie wmawiać, że spełniasz swoją powinność? Czy nie żałujesz przemijającej młodości? Ile masz lat?

- Trzydzieści dwa.

- A ile miałaś, jak zaczęłaś tak żyć?

- Dwadzieścia pięć.

- Jak możesz, Rafaelo?... Jak możesz godzić się na to?

Potrząsnęła głową, do oczu znowu napłynęły jej łzy.

- Muszę. Po prostu muszę. I nic na to nie poradzę. Zresztą to nieważne.

- To bardzo ważne. Nie możesz tak mówić.

Podszedł do niej i spojrzał na nią z czułością.

- Rafaelo, rozmawiamy przecież o twoim życiu.

- Ale ja nie mam wyboru, Alex. Ty nadal tego nie rozumiesz. Chyba dlatego życie, jakie wybrała moja matka, jest łatwiejsze. Może tylko wtedy to ma sens. Jest się wolnym od pokus, nikt nie może się nawet do ciebie zbliżyć, aby dać ci możliwość wyboru. Po prostu nie masz wyboru.

- Strasznie mi przykro... Ale dlaczego to musi być jedyne wyjście? Czemu nie możemy o tym jeszcze raz porozmawiać? Moglibyśmy przecież być przyjaciółmi, prawda? Nie będę cię o nic prosił, na nic nalegał. Będziemy się umawiać jak przyjaciele na wspólny lunch...

Oboje wiedzieli, że to nierealne marzenie. Rafaela tylko pokręciła głową.

- Jak sądzisz, Alex, ile by to potrwało?... Rozumiem, co czujesz, ale mam nadzieję, że i ty mnie rozumiesz - powiedziała.

Alex słuchał jej ze ściśniętym sercem. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, lecz nie śmiał.

- A potrafimy zapomnieć o tym, co zaszło i żyć dalej jakby nigdy nic? - spytał.

Z jego twarzy można było wyczytać, że to niemożliwe.

- Obawiam się, że będziemy musieli - rzekła Rafaela, po chwili zaś z uśmiechem dodała: - Może za kilka lat znów się spotkamy?

- Gdzie? W twoim rodzinnym domu w Hiszpanii, gdzie zamkną cię jak więźnia? Chyba żartujesz, Rafaelo.

Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. W jej ogromnych oczach, które tak pokochał, malowało się zakłopotanie.

- Ludzie przez całe życie szukają miłości, pragną jej, tęsknią za nią i najczęściej jej nie znajdują. Ale czasami nadchodzi wielka chwila i znajdujesz swoją miłość, która puka do twoich drzwi i woła: „Jestem, weź mnie!...” Czy w takiej chwili mogłabyś ją odrzucić? Mogłabyś powiedzieć: „Nie, nie teraz, może później”? Mogłabyś zmarnować tę szansę, wiedząc, że zdarza się tylko raz w życiu?

- Wykorzystywanie szansy bywa luksusem, na który nie zawsze można sobie pozwolić. Dobrze wiesz, że czasami byłoby to niesprawiedliwe.

- Nie wiem. Myślisz, że gdybyś mnie pokochała, zabrałabyś coś swojemu mężowi? Czy w takim stanie, w jakim jest w tej chwili, sprawiłoby mu to różnicę?

- Być może.

Wciąż stali naprzeciw siebie na środku pokoju. Ona nie spuszczała wzroku z jego twarzy, on wciąż trzymał ręce na jej ramionach.

- Na pewno sprawiłoby mu różnicę, gdybym stała się obojętna na jego potrzeby, gdybym nie zaglądała często do niego, żeby sprawdzić, czy ma wszystko, czego potrzebuje, gdybym związała się z tobą i zapomniała o nim. To by go zabiło. Dla niego to różnica pomiędzy życiem a śmiercią. Nigdy bym mu tego nie zrobiła.

- Nigdy bym cię o to nie prosił. Nigdy! Czy tego nie rozumiesz? Powiedziałem ci, że szanuję twoje uczucia do męża i wszystko, co robisz i co czujesz. Rozumiem to. Chcę cię tylko przekonać, że masz prawo do czegoś więcej, że ja też mam do tego prawo. I wcale nie musi to oznaczać, że coś się zmieni między tobą i twoim mężem. Przysięgam ci, Rafaelo. Chcę tylko dzielić z tobą coś, czego żadne z nas być może nigdy w życiu nie zaznało. Przypuszczam, że podobnie jak ja, żyjesz w kompletnej pustce. Od dawna.

Rafaela patrzyła na niego smutno.

- Skąd wiesz, że bylibyśmy z tego powodu choć odrobinę szczęśliwsi? Może to tylko złudzenie? Przecież mnie nie znasz. Może wszystko, co o mnie myślisz, to jedynie fantazja?...

Alex potrząsnął głową, pochylił się i dotknął ustami jej ust. Poczuł, że na krótką chwilę sprężyła się, lecz szybko objął ją ramionami i przytulił tak mocno, że nie mogła wyswobodzić się z uścisku.

Po chwili przestała się opierać i przywarła doń tak mocno, jakby był jedynym człowiekiem, który jej został na świecie. Całe jej ciało drżało w przypiływie namiętności, jakiej nie czuła nigdy dotąd. Nagle, bez tchu, odwróciła głowę.

- Nie, Alex, nie! - Spojrzała na niego płomiennym wzrokiem. - Nie rób tego, nie kuś mnie tym, czego nie mogę mieć. Nie mogę, dobrze wiesz, że nie mogę... Proszę, idź już.

- Rafaelo...

Wolno podniosła wylękniony wzrok. Przez chwilę patrzyła na niego jakby otępiała, wreszcie zauważył, że coś w niej stopniało i jej oczy rozbłyły ogromnym żarem.

Przymknęła powieki, podeszła bliżej, zarzuciła mu ręce na szyję i spragnione wargi zbliżyła do jego ust.

- Och, najdroższa, kocham cię... kocham cię... - mówił łagodnie, kojąco, a ona coraz mocniej się do niego tuliła i całowała go z całą namiętnością, jakiej brakowało jej przez ostatnie siedem lat.

Alex zsunął z jej ramion różowy szlafrok i ukląkł przed nią, całując boskie ciało, którego tak bardzo pragnął od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał ją płaczącą na schodach. Miał przed sobą kobietę, o której od dawna śnił, której pożądał i w której zakochał się niemal od pierwszego wejrzenia.

Pieścił ją i całował, a ona czuła, że oddaje mu się bez reszty, całym sercem i całą duszą. Wydawało się, że pieszczotom nie będzie końca. Alex z takim żarem uczył się dłońmi jej ciała na pamięć, aż Rafaela z trudem utrzymywała się na drżących nogach. Nagle porwał ją na ręce, zostawiając na dywanie różowy szlafrok, zaniósł do sypialni i położył na łóżku.

- Rafaelo?... - wyszeptał i przejęty szczęściem ujrzał, jak z nieśmiałym uśmiechem skinęła głową. Szybko zgasił światło, zdjął ubranie i położył się obok niej. Spragniony objął ją rękami i jeszcze raz pocałował. Czuła się jak we śnie, jakby to wszystko działo się obok niej, w innej rzeczywistości. Z pasją oddała mu się całą duszą, omdlewając z namiętności, jakiej dotąd nie doświadczyła. Połączyli się w jedno, spleceni ramionami i nogami, pijąc siebie nawzajem w mocnym, nie kończącym się pocałunku, aż równocześnie spłynęła na nich rozkosz spełnienia.

Potem leżeli cicho obok siebie przy bladym świetle nocnej lampki. Alex, nienasycony, patrzył z podziwem na kobietę, którą tak bardzo pokochał.

Nagle przeraził się. Cóż on najlepszego zrobił? Jak postąpi teraz Rafaela? Czy znienawidzi go? Czy na tym wszystko się skończy?

Jednakże ujrawszy jej oczy, łagodne i ciepłe, nabrał pewności, że to nie koniec, lecz dopiero początek. Widząc jego zatroskany wzrok Rafaela przysunęła się, delikatnie pocałowała go w usta i pogładziła po plecach. Poczł przeszywające dreszcze. Odwzajemnił jej pocałunek, po czym ułożył się na boku i patrzył, jak uśmiecha się rozmarzona.

- Kocham cię, Rafaelo - szepnął tak cicho, że ledwie usłyszała. Skinęła głową i uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Kocham cię - powtórzył.

- Wiem. Ja też cię kocham - odparła równie cicho.

Alex przygarnął ją do siebie i uściskał tak mocno, jakby ktoś chciał mu ją odebrać. Zrozumiała, o czym myśli, i mocniej przywarła do niego.

- W porządku, Alex, wszystko w porządku...

Po chwili znów zaczął ją pieścić i całować.

## ROZDZIAŁ 9

- Rafaelo? - wyszeptał.

Leżał oparty na łokciu i napawał się jej widokiem. Nie był pewny, czy jeszcze śpi, ale powoli otworzyła oczy. W porannych promieniach słońca zobaczyła Alexa i napotkała jego pełne uwielbienia spojrzenie.

- Dzień dobry, kochanie.

Pocałował ją i pogładził po równie jak jego jedwabistych włosach. Odwzajemniła jego uśmiech.

- Z czego się śmiejesz tak wcześnie rano?

- Pomyślałem, że jeśli będziemy kiedyś mieć dzieci i któreś nie będzie miało czarnych włosów, znajdziesz się w kłopotach.

- Naprawdę? - roześmiała się.

- Naprawdę.

Spojrzał na nią czule. Delikatnie dotknął palcami jej piersi, potem jego dłoń powędrowała w kierunku łona i wróciła do piersi. Przerwał na chwilę pieszczoty.

- Chciałabyś mieć dzieci?

- Teraz?

- Nie, nie teraz. Kiedyś. Zastanawiałem się, czy... - zawahał się, w końcu postanowił spytać. - Możesz mieć dzieci?

- Myślę, że tak odparła.

Nie mając ochoty wyjawiać ułomności Johna, nie dodała nic więcej. Alex przyglądał się jej badawczo.

- Nie masz dzieci, bo nie chcesz czy... czy z innych powodów? - spytał wymijająco, wyczuł bowiem, że Rafaela chce zachować dyskrecję.

- Z innych powodów.

Skinął głową ze zrozumieniem.

- Tak się tylko zastanawiałem.

Rafaela nachyliła się i pocałowała go w usta. Naraz zerwała się, przerażona

usiadła na łóżku i w popłochu spojrzała na zegarek. Zasłoniła dłonią usta.

- Co się stało?

- O Boże... Właśnie uciekł mi samolot.

Uśmiechnął się do niej, nie przejęty ani trochę.

- Mnie uciekł wczoraj wieczorem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nawet nie odebrałem z hotelu bagażu.

Rafaela jednak nie słuchała.

- Co ja teraz zrobię?... Muszę zadzwonić na lotnisko, na pewno jest jakiś rejs... o

Boże, Tom na pewno wyjedzie po mnie...

Alexowi zrzęda mina.

- Jaki Tom?

- Kierowca, głuptasie - roześmiała się.

- No, całe szczęście. A wracając do tematu: możesz przecież zadzwonić do domu i uprzedzić, że nie zdążyłaś na samolot, więc przylecisz... - Już miał powiedzieć:

następnym, lecz urwał pod wpływem myśli, która mu zabłysła. - Rafaelo, a gdybyśmy

tak... - nie dokończył, bo zabrakło mu odwagi. Wyciągnął do niej rękę i dopiero wtedy

nieśmiało mówił dalej: - Gdybyśmy zostali tu do jutra i spędzili razem weekend?

Możemy?

- Nie, nie możemy. Oni czekają na mnie... Muszę...

- Dlaczego? Przecież nie masz w domu nic do roboty. Sama mówiłaś. Dzień, dwa, jaka to różnica? Nieprędko znowu będziemy mieli tyle swobody. A tak jesteśmy tutaj sami, razem... No jak? Zostaniemy do jutra?

Wziął ją w ramiona modląc się w duchu, by powiedziała: „tak”. Niespiesznie wyswobodziła się z jego uścisku i niepewnie pokręciła głową.

- Musiałabym ich okłamać, Alex. Gdyby... Gdyby coś się stało...

oboje wiedzieli, że miał na myśli Johna

- ...wsiądziesz w najbliższy samolot. Nie było cię przez parę dni i nic się nie stało, więc jaka to różnica?



- Tylko taka, że teraz jesteś ze mną, a nie z matką.

- Błagam!

Patrzył na nią z proszącą miną chłopca, ona zaś doskonale wiedziała, że niczego nie pragnie teraz bardziej, niż zostać w Nowym Jorku. Poczucie obowiązku nie pozwalało jej jednak zapomnieć o Johnie. Naraz uświadomiła sobie, że i wobec siebie ma jakieś obowiązki, że i jej coś się w końcu należy.

Spojrzała na Alexa i skinęła głową. Była przerażona, a zarazem podekscytowana.

- Jesteś kochana! - wykrzyknął Alex rozradowany.

- A ty szalony!

- Oboje jesteśmy szaleni... Poczekaj, wezmę prysznic, a ty zamów śniadanie.

Potem pójdziemy na spacer...

Rafaela nie odważyła się jednak zamówić śniadania dla dwóch osób, Alexowi też wydawało się to niezręczne. Poprosiła zatem o najobfitszy z oferowanych zestaw, a na pytanie dla ilu osób, pewnym głosem odparła: „Dla jednej”. Potem uchyliła drzwi do łazienki i z lubością przyglądała się nagiemu Alexowi. Był wysoki, dobrze zbudowany, przystojny i z postury przypominał greckiego boga.

- Na co tak patrzysz, moja damo? - zapytał odwracając się do niej ociekającą wodą twarzą.

- Na ciebie. Jesteś piękny, Alex.

- No cóż, upewniłem się ostatecznie, że naprawdę jesteś szalona - zawołał. I na chwilę oprzytomniał. - Zadzwoń już do domu?

Pokręciła głową jak niesforna uczennica, nadal wpatrując się w jego ciało omywane strugami wody. Miała ochotę łapać językiem krople, które spływały mu po twarzy, a o domu w ogóle nie chciało jej się myśleć. Był teraz czymś bardzo odległym i nierzeczywistym, a liczył się jedynie Alex.

- Kochanie, dzwoń do domu - przypomniał.

Posłusznie skinęła głową i wyszła do pokoju. Gdy usiadła przy telefonie, jej fascynacja jakby przygasła i znów poczuła się panią Phillips. Gorączkowo starała się wymyślić jakieś kłamstwo. Jak na złość połączenie dostała niemal natychmiast. Operator

poinformował ją, że ma na linii San Francisco, i już po chwili usłyszała głos pielęgniarki, która powiedziała, że pan Phillips jeszcze śpi. W San Francisco była dopiero siódma, trudno więc było się dziwić.

- Jak on się czuje? - spytała pełna obaw.

Bała się, że los ją ukarze, że John poczuje się gorzej i będzie to jej wina.

- Doskonale odparła pielęgniarka. Wczoraj godzinę siedział w fotelu. Myślę, że sprawiło mu to przyjemność. Po kolacji poczytałam mu gazety, a potem poszedł spać.

Wszystko było zatem jak zwykle, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżała. Wyjaśniła, że matka przedłużyła o dzień pobyt w Nowym Jorku, w związku z czym ona wróci dopiero jutro. Przerwała na chwilę, jakby się spodziewała, że pielęgniarka natychmiast nazwie ją kłamczuchą i ladaczną, lecz nic takiego oczywiście nie usłyszała.

Mając pewność, że jej matka nie zatelefonuje z Argentyny, nie obawiała się, iż prawda wyjdzie na jaw, choć poczucie winy nie dawało jej spokoju. Poprosiła pielęgniarkę, aby Tom nie wyjeżdżał na lotnisko, i obiecała zatelefonować nazajutrz z rana, by powiadomić, którym rejssem przyleci.

Mogła wprawdzie za radą Alexa pojechać do domu taksówką, bała się jednak, że wtedy na pewno wszyscy by nabrali podejrzeń, gdyż nigdy dotąd nie wracała z lotniska taksówką. Podziękowała pielęgniarence i po prosiła, aby przekazała panu Phillipsowi, że telefonowała i że u niej wszystko w porządku.

Gdy odłożyła słuchawkę, oczy miała spokojne, twarz za to zachmurzoną.

- Czy coś się stało?

Alex wychylił się z łazienki. Miał już zaczesane włosy, biodra owinał ręcznikiem. Od razu zauważył, że bardzo się zmieniła.

- Coś złego?

- Nie, nic. Ja tylko... tylko zadzwoniłam - spuściła wzrok.

- I co? Coś się stało? - jeszcze raz spytał zatroskany.

- Nie, nie. Z nim wszystko w porządku. Tylko ja... - spojrzała na niego smutno tylko ja mam wyrzuty sumienia. - Alex, chyba powinnam wrócić - szepnęła.

Alex podszedł, usiadł obok niej, objął ją ramieniem i przytulił.

- Jeśli naprawdę chcesz, nie ma sprawy. Mówiłem, że cię rozumiem. Zawsze będę cię rozumiał.

Popatrzyła nań niepewnie, a on mocniej ją objął.

- Już dobrze, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? - spytała kryjąc twarz w jego nagich ramionach.

- Bo cię kocham. Przecież ci mówiłem wieczorem - uśmiechnął się i pocałował ją w czubek głowy.

- Prawie mnie nie znasz.

- E, tam. Znam cię od stóp do głów.

Zaczerwieniła się na te słowa, choć wiedziała, że miał na myśli coś znacznie więcej niż tylko jej ciało. Mimo że spotkali się bardzo niedawno, Rafaela instynktownie wyczuwała, że może mu wierzyć. Znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet lepiej niż jej mąż.

- Będziesz się gniewał, jeśli dzisiaj pojedę? - zapytała nieśmiało i westchnęła.

- Nie, ale będzie mi bardzo przykro. Jeśli jednak czujesz, że musisz, to jedź.

- A ty co zrobisz? Spotkasz się z matką czy z siostrą?

- Matka pojechała do Bostonu, Kay jest w Waszyngtonie. A moja mała siostrzenica ma na weekend mnóstwo ciekawych planów. Chyba wrócę do domu. Może nawet tym samym samolotem, jeśli dostaniemy miejsca obok siebie. Chcesz, żeby tak było?

Skinęła głową.

- W porządku - odparł. - Pójdę się ogolić, a ty zadzwoń do domu - rzekł i znów zniknął w łazience, zamykając za sobą drzwi.

Rafaela siedziała nieruchomo z wrażeniem, że pozbywa się najcenniejszej rzeczy, jaką posiadała: dni i godzin spędzanych sam na sam z Alexem. Po chwili namysłu podeszła do drzwi od łazienki i lekko zapukała.

- Tak?

- Mogę wejść?

Alex otworzył drzwi z pełnym miłości uśmiechem.

- Oczywiście, głuptasie, nawet bez pytania. Dzwoniłaś już na lotnisko?

Pokręciła głową.

- Nie potrzebuję.

- Dlaczego? - zdziwił się, a serce zabiło mu w nadziei.

- Bo nie chcę jeszcze wracać odparła.

Z rozpuszczonymi, nie uczesаныmi włosami wyglądała teraz jak mała dziewczynka.

- Chcę zostać tu z tobą.

- Naprawdę? - zawołał z triumfalnym uśmiechem i odłożył golarkę. Jedną ręką przytulił Rafaelę, a drugą sięgnął po ręcznik, by wytrzeć twarz z mydła.

- To cudownie! - pocałował ją długo i namiętnie i zaprowadził do łóżka.

Kochali się przez pół godziny, dopóki nie przyniesiono zamówionego śniadania. Gdy kelner poszedł, zasiedli razem do stołu ona w różowym szlafroku, on przepasany ręcznikiem. Radośnie uśmiechnięci układali plany na cały dzień. Dzieląc na pół jajecznicę czuli się tak, jakby byli razem od początku świata.

- Chciałabym wjechać na samą górę Empire State Building i zjeść pieczone kasztany, i pojeździć na łyżwach...

Alex uśmiechnął się.

- Mówisz jak moja siostrzenica. Ona też uwielbia łyżwy.

- To może wybierzemy się razem? Ale najpierw chcę pójść do Empire State Building.

- Rafaelo! - zawołał triumfalnie, dopijając kawę. - Na prawdę chcesz?

- Oczywiście. Zazwyczaj inaczej spędzam czas.

- Och, skarbie... - nachylił się, aby ją pocałować. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- To znaczy, że jesteś nie tylko szalony, ale i ślepy. Kocham cię! - zawołała i natychmiast pomyślała, że to chyba ona jest szalona. To, co robiła, było kompletnym szaleństwem, a już najbardziej szalone było to, że zachowywała się, jakby знаła go od

początku świata.

Wspólnie ułożyli cały scenariusz: Rafaela poprosiła o przywiezienie z przechowalni bagażu Alexa, który wreszcie mógł się ubrać, podczas gdy ona brała kąpiel. Kiedy potem stali obok siebie w garderobie przekomarzając się i żartując, czuli się niczym nowożeńcy w czasie miodowego miesiąca.

Zgodnie z obietnicą Alex najpierw zabrał ją do Empire State Building, potem na lunch do Plaża, a potem na konną przejażdżkę po parku. Przez dwie godziny podziwiali wspaniałe zbiory Metropolitan Museum, następnie udali się do Parke-Bent na aukcję francuskich antyków. Szczęśliwi, pełni wrażeń i trochę zmęczeni, wrócili do hotelu i pojechali windą prosto do apartamentu.

Gdy Rafaela ziewając zdejmowała futro, Alex bez butów i marynarki leżał już w łóżku i wyciągał do niej rękę.

- Nie wiem jak ty, ale ja padam ze zmęczenia. Chyba od dzieciństwa nie miałem tak wypełnionego dnia.

- Ja chyba też - odparła rozmarzona, pomyślała bowiem, że byłoby cudownie, gdyby mogła zabrać go do Paryża, potem do Barcelony i Madrytu i tam pokazać mu swoje ulubione zakątki. I do Santa Eugenia, by zobaczyć miejsce, gdzie ona spędza każde lato, i poznać jej małych ulubieńców, którym opowiada bajki. Dzieci... Niektóre zdążyły dorosnąć i pozakładać własne rodziny.

- O czym tak rozmyślasz? - spytał zauważywszy smutek w jej oczach.

- O Santa Eugenia.

- I o czym jeszcze?

- O dzieciach, które tam mieszkają... Och, Alex... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja je kocham.

Wziął ją za rękę i z całą mocą powiedział:

- Kiedyś będziemy mieli własne.

Nic nie odrzekła, jakby to nie był temat do rozmowy. Pożegnała się z myślą o dzieciach przed czternastu laty i nigdy do niej nie wracała.

- Nie ma o czym mówić.

- Dlaczego? Przecież to ważne. Bardzo ważne dla nas obojga. Bardzo chciałem mieć dzieci z byłą żoną.

- A ona nie mogła? - zaciekawiała się Rafaela, poruszona, że mają jeszcze jedną wspólną troskę.

- Mogła, ale nie chciała. Nie lubiła dzieci. To dziwne, jak wszystko zmienia się z czasem. Gdybym teraz ją spotkał, na pewno nigdy bym się w niej nie zakochał.

Myślałem, że uda mi się ją namówić, ale myliłem się. Była zbyt pochłonięta pracą.

Właśnie dlatego nie chciała dzieci.

- Czym ona się zajmuje?

- Jest adwokatem.

We wzroku Rafaeli pojawił się podziw. Alex pocałował ją w usta i dodał:

- Ale nie masz się czym zachwycać. Ona jest kobietą tylko z wierzchu.

- Czy to ty ją porzuciłeś?

- Nie, ona odeszła.

- Z innym mężczyzną?

- Nie - uśmiechnął się gorzko. - Dla pracy. Tylko to się dla niej liczyło. Zawsze. I wszystko układało się po jej myśli.

Leżeli obok siebie jak starzy przyjaciele i wierni kochankowie.

- I powiodło się jej?

- Myślę, że tak.

Rafaela kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Czasami myślę, że też powinnam coś w życiu osiągnąć. Jedyne, w czym mogłabym być dobra, nie było mi dane, a wszystko inne... nie wiem... nie zależy mi...

- Opowiadasz dzieciom bajki.

Uśmiechnęła się zawstydzona.

- Też mi zajęcie!

Alex wspomniał słowa matki.

- Dlaczego nie spisujesz swoich opowieści? Przecież mogłabyś pisać książki dla dzieci.

Rafaeli oczy zabłysły. Alex chwycił ją w ramiona.

- Ale wiesz, że gdybyś nie robiła nic innego, tylko kochała się ze mną, to by wystarczyło.

- Doprawdy? Nie znudziłoby ci się? - zatroskała się.

- Nigdy. To przecież cudowne! Przez całe życie byłem otoczony ambitnymi kobietami, które pochłaniało robienie kariery. Nigdy nie sądziłem, że tak łatwo dogadam się z kobietą innego pokroju i nagle uświadomiłem sobie, że potrzebowałem właśnie kogoś takiego jak ty. Nie mam ochoty rywalizować z żoną o to, kto więcej osiągnie. Chcę być sobą i mieć o kogo się troszczyć, o kogoś serdecznego, inteligentnego, miłego... - objął ją za szyję. - O kogoś takiego jak ty.

Popatrzyła na niego, przekrzywiając głowę, i powiedziała:

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? To, że teraz czuję się tak, jakbym odnalazła sens życia. Tutaj, z tobą. Jakby nic innego nie istniało, jakby moje życie w San Francisco było tylko sennym koszmarem. Czy to nie dziwne?

Alex delikatnie pogładził ją po twarzy, pocałował w usta i uśmiechnął się.

- Nie. Mnie wcale nie wydaje się to dziwne.

Wziął ją w ramiona i jeszcze raz namiętnie pocałował. Rafaela położyła dłoń na jego udzie.

## ROZDZIAŁ 10

Stewardesa podawała nie kończący się komunikat o tym, że podchodzą do lądowania w San Francisco.

Alex zirytowany jej szorstkim głosem czuł, że w miarę jak samolot opuszcza się coraz niżej, ogarnia go przygnębienie. Dwa dni, które spędzili z Rafaelą we dwoje, były niczym sen.

Poprzedniego wieczoru wybrali się na kolację, a potem, tak jak planował wcześniej, poszli posłuchać Bobby'ego Shorta. Rafaela była zachwycona. Potem do czwartej nad ranem na nowo odkrywali tajemnice swoich ciał i leżąc obok siebie wiedli długie rozmowy.

Gdy w sobotni rano zajaśniały pierwsze promienie słońca, Rafaela wiedziała już wszystko o Rachel, matce i siostrze Alexa. Opowiedziała mu o swoim ojcu, o swoim bracie Julienie, który zginął tragicznie w wieku szesnastu lat grając w polo, o swoim małżeństwie z Johnem o jego początkach i o tym, jak wyglądało teraz. Zdawało im się, że są ze sobą od początku świata i pisane im jest spędzić razem całe życie.

Teraz wracali do San Francisco, gdzie czekało ich rozstanie. Alex wiedział, że Rafaela niekiedy skradnie dla niego tylko kilka krótkich chwil, a resztę czasu nadal będzie poświęcać mężowi.

- O czym myślisz? Masz piekielnie poważną minę.

Alex spojrzał na nią zatroskany. Czuł, że myśli dokładnie o tym samym co on. Dwa spędzone razem dni wydawały im się teraz wiecznością, a samolot nieubłaganie zbliżał się do ziemi i wszystko nagle zmieniało się i wracało do starych porządków.

- Dobrze się czujesz?

Ze smutkiem w oczach skinęła głową.

- Myślałam tylko...

- O czym?

- O nas. O tym, co teraz będzie...

- Wszystko będzie dobrze - szepnął jej czule do ucha, lecz pokręciła głową.



- Nie, nieprawda.

Wziął ją za rękę, szukając jej oczu, a kiedy w nie zajrzał, posmutniał, bo dostrzegł w nich poczucie winy. Spodziewał się tego, ale za wszelką cenę chciał temu zapobiec. Wiedział, że myśl o domu i ciążyących na niej obowiązkach nie będzie dawała jej spokoju, choć był przekonany, że w jej życiu może znaleźć się miejsce i dla niego, i dla Johna.

- Alex... - zaczęła niepewnie. - Nie mogę, nie potrafię... - dokończyła ze łzami.

- Co masz na myśli?

Alex starał się opanować własny lęk i sprawiać wrażenie spokojnego, aby nie domyśliła się, że czuje to samo co ona.

- Nie mogę.

- Nie musisz nic teraz robić. Po prostu odpocznij, odpręż się... - przekonywał, na nic się to jednak nie zdało. Rafaeli łzy spływały po policzkach i kapły na dłonie.

- Poradzimy sobie, zobaczysz.

- Nie... - szepnęła cichutko. - Tak nie można... nie mogę, Alex... nie tutaj. Nie w tym samym mieście. Nie mam prawa.

- Rafaelo, nie mów tak... Poczekaj trochę, aż się z tym oswoisz.

- Z czym?

Przez krótką chwilę sprawiała wrażenie rozgniewanej.

- Z tym, że zdradzam męża? Czy tak to chcesz nazywać? - Spojrzała na niego błagalnie. - Co ja mam robić?

- Poczekać. Cieszyć się tym, co mamy. Być dobrą dla niego i dla siebie. To wszystko, czego chcę dla nas obojga... - mocno ścisnął jej dłoń. - Dasz nam tę szansę?

Wydawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim od powiedziała:

- Spróbuję.

Po chwili samolot wylądował, a kiedy się zatrzymał, natychmiast zjawiły się dwie stewardesy. Jedna niosła futro. Rafaela wstała z ociąganiem i narzuciła je na ramiona, nie dając po sobie poznać, że mężczyzna siedzący obok niej cokolwiek ją obchodzi. Podniosła z podłogi torbę, zapięła guziki i skinęła mu głową na pożegnanie. Tylko jej oczy mówiły: „Kocham cię”. Odeszła i podobnie jak poprzednio zniknęła w tylnym

wyjściu. Alex poczuł nagłą wszechogarniającą samotność, bardziej dotkliwą niż kiedykolwiek. Naraz wydało mu się, że ktoś ukradł mu to, co miał najcenniejszego.

Przeraził się. Co będzie, jeśli już nigdy jej nie spotka?... Czekać w kolejce do wyjścia z całej siły starał się opanować niepokój. Na próżno. Półprzytomny poszedł odebrać bagaż.

Na zewnątrz zobaczył długą czarną limuzynę, zaparkowaną przy krawężniku, obok stał kierowca. Czekali na bagaż Rafaeli.

Alex minął szybko samochód i obserwował go z pewnej odległości. Światło odbijające się od szyb nie pozwalało zaglądnąć do środka, nie mógł jednak ruszyć się z miejsca. Rafaela jakby wyczuła jego obecność, oto bowiem szyba w tylnych drzwiach się uchyliła. Rafaela patrzyła na niego, jakby jeszcze raz chciała go dotknąć. Ich oczy spotkały się na długą chwilę i słońce znów dla nich wzeszło. Alex uśmiechnął się promiennie, po czym ruszył w kierunku garaży. Serce podpowiadało mu: „Jutro”, dusza zaś wołała: „Szkoda, że nie dzisiaj”.

## ROZDZIAŁ 11

Dochodziło kwadrans po ósmej. Alex siedział w swoim gabinecie nerwowo przytupując. Obok na stole czekała otwarta butelka wina, ser i owoce, ogień w kominku strzelał wesoło, a cały pokój wypełniała dyskretna muzyka. Jego nerwowy nastrój zupełnie nie pasował do panującej tu atmosfery. Rafaela obiecała, że przyjdzie po wpół do ósmej.

Przez cały dzień nie telefonowała i Alex zaczynał mieć wątpliwości, czy aby coś jej nie wypadło i czy w ogóle się zjawi. Gdy zadzwoniła poprzedniego wieczora, jej głos był bardzo smutny, najwyraźniej tak samo jak jemu dokuczala jej samotność. Teraz pragnął tylko jednego wziąć ją w ramiona. Gdy naraz zadzwonił telefon, zerwał się na równe nogi.

- Alex?

Kiedy podnosił słuchawkę, serce waliło mu jak młotem, lecz usłyszawszy głos po drugiej stronie linii, natychmiast się uspokoił. To nie była Rafaela.

- A, cześć, Kay.

- Czy coś się stało? Nie sprawiasz wrażenia zbyt szczęśliwego.

- Nie, nic się nie stało, tylko byłem zajęty.

I oczywiście nie w nastroju do rozmowy z tobą, dodał w myśli.

- Pracujesz?

- Mniej więcej... Nie... A zresztą... Co chciałaś?

- O Jezu! Co chciałam? Porozmawiać z tobą na temat Amandy.

- Coś się stało?

- Dzięki Bogu, jeszcze nie. Na szczęście wiem o nastolatkach trochę więcej niż ty.

Po jaką cholereę dałaś jej sto dolarów?

- Nie rozumiem, w czym problem - twarz mu spochmurniała.

- W tym, że ona ma szesnaście lat, a gówniarze w jej wieku jeśli tylko dostaną pieniądze, wydają je na narkotyki.

- Czy powiedziała ci, na co jej dałem te pieniądze? A w ogóle skąd wiesz, że je

dostała? Miała nikomu nie mówić.

- Co cię obchodzi, skąd wiem? Przeglądałam jej rzeczy i znalazłam.

- O Boże! Jak to: przeglądałam? Rewidujesz ją?!

- Mniej więcej. Chyba rozumiesz moją sytuację. Nie chcę, żeby się okazało, że mam w domu narkotyki.

- Mówisz o niej, jakby była jakąś chuliganicą.

- Chrzanisz!... Jeśli pozwolę jej na zbyt wiele, na pewno zgada się z jakąś bandą obdartusów, a moją karierę szlag trafi.

- A poprosiłaś ją kiedyś, żeby tego nie robiła?

- Nieraz. Czy ty naprawdę myślisz, że takie gówniary słuchają, co się do nich mówi?

Alexa do szału doprowadzał sposób, w jaki wypowiadała się o własnej córce. Słuchając jej zjadliwego głosu, z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć.

- Traktujesz ją po prostu ohydnie. Odrażająco. Uważam, że powinnaś jej ufać, bo to osóbką naprawdę godną zaufania. A pieniądze dałem jej po to, żeby mogła chodzić na łyżwy do Rockefeller Center. Mówiła mi, że dużo jeździ na łyżwach i że chodzi na lodowisko do Central Parku. Pewno się orientujesz, że w Central Parku zdarzały się morderstwa na dzieciach? Dałem jej pieniądze na porządną ślizgawkę, a gdybym wiedział, że je zabierzesz, na pewno coś bym wymyślił.

- Czemu się wtrącasz do wychowania mojej córki?

- Przyznaj się lepiej, że jesteś wyjątkowo wredną matką! - wrzasnął wściekły.

Tak bardzo chciał coś zrobić dla Amandy, lecz był zupełnie bezsilny.

- Chcę, żebyś oddała Amandzie te pieniądze.

- Nie obchodzi mnie, co ty chcesz. Wysłałam ci dzisiaj czek na całą sumę.

- Wobec tego sam załatwię to z Amandą.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, Alex - odpowiedziała lodowatym głosem. - I tak sprawdzam wszystkie jej listy.

Alexa ogarnęła wściekłość. Wyobrażał sobie, jak bezsilna i upokorzona musi czuć się Amanda wobec takiego postępowania ze strony Kay.

- Jesteś wredną suką, wiesz? Nie masz prawa tak znęcać się nad dzieckiem.

- A co tobie do tego, jak ja wychowuję swoją córkę? Nie masz własnych dzieci, więc głównie cię to obchodzi. Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Być może nic, siostrzyczko. Być może zupełnie nic. To prawda, nie mam dzieci, ale ty, wielka kongreswoman, nie masz serca.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki i w tej samej chwili zadzwieczał dzwonek u drzwi. Po plecach przebiegł mu dreszcz emocji. To na pewno Rafaela! Przecież obiecała, że przyjdzie.

Serce zabiło mu mocniej, choć nie mógł się jeszcze otrząsnąć po rozmowie z siostrą. Żał mu było Amandy, ogromnie chciał z nią porozmawiać. Szybko zbiegł po schodach i otworzył frontowe drzwi.

Przyszła!... Rafaela przyszła! Stała naprzeciw niego!...

Jak urzeczony patrzył na nią, szczęśliwy, trochę zmieszany i jeszcze nie do końca uspokojony po ostrej wymianie zdań z Kay.

- Już myślałem, że coś się stało.

Rafaela w milczeniu pokręciła głową. Nie mówiła nic, tylko uśmiechała się, a jej uśmiech wyrażał wszystko, co chciała mu w tej chwili powiedzieć. Bez pośpiechu weszła do środka, a Alex szybko zamknął drzwi i porwał ją w ramiona.

- Och, skarbie, kochanie... tak za tobą tęskniłem... Wszystko w porządku?

- Tak - szepnęła.

Miała na sobie to samo futro co wtedy, gdy widział ją na schodach. Objęli się czule.

Alex spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich jakieś dziwne znużenie i smutek. Rafaela zostawiła w swojej sypialni kartkę z informacją, że wyszła na spacer i do przyjaciół, na wypadek gdyby ktoś ze służby zauważył jej nieobecność.

Obawiała się, że jeśli nie wróci po kilkunastu minutach, ktoś może się wystraszyć i zadzwonić na policję.

Zawsze niepokojono się o nią, gdy wychodziła wieczorem na spacer, na szczęście John o jej przechadzkach nie wiedział.

- Myślałam że dzisiejszy dzień już nigdy się nie skończy. Co rusz patrzyłam na zegarek, a czas włókł się w nieskończoność.

- Mnie też się dłużyło w biurze. Chodź - wziął ją za rękę i zaprowadził na schody. - Pokażę ci, jak jest na górze.

Rafaela mijając salon zauważyła, że jest pusty i zimny. Tym bardziej zachwyciła ją przytulna sypialnia i uroczy gabinet. Wszędzie było pełno drewna, jasnych skór, ogromnych kwiatów i półek z książkami, w kominku płonął ogień. Natychmiast poczuła się jak w prawdziwym domu.

- Och, Alex, jak tu pięknie!... Tak wygodnie i przytulnie!

Zrzuciła z ramion ciężkie futro i uklękła na miękkim białym dywanie przed kominkiem. Obok stał niski szklany stolik, na nim wino, sery i pasztet, które Alex kupił po drodze do domu.

- Podoba ci się?

Rozejrzał się wokół. Ten dom był jego dziełem, wszystko urządził sam.

- Ślicznie tu - uśmiechnęła się.

Była jakaś dziwnie milcząca i przygaszona. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju.

- Rafaelo, co się dzieje? - zapytał czule.

Do oczu napłynęły jej łzy. Zauważył, że mimo słów zachwytu, jest bardzo podenerwowana.

- Powiedz, o co chodzi?

Na chwilę zamknęła oczy i chwyciła go za rękę.

- Nie mogę, Alex... po prostu nie mogę. Wydawało mi się, że... wszystko zaplanowałam: dnie będę spędzać z Johnem, a wieczorami wychodzić „na spacer” do ciebie. Jak o tym myślałam - uśmiechnęła się smutno serce biło mi mocniej. - Czułam się taka młoda i szczęśliwa jak... - ściszyła głos i ledwie słyszalnym szeptem wyznała: - jak świeżo upieczona męzatka... - Popatrzyła na ogień i mocniej ścisnęła jego rękę. - Ale to nie tak, Alex. Nie jestem już młoda, nie taka młoda, jak bym chciała. I nie mam do ciebie prawa. Nie jestem świeżo upieczoną męzatką. Ślub brałam prawie piętnaście lat temu. I

jestem związana z bardzo chorym człowiekiem. Odpowiadam za niego - jej głos brzmiał zdecydowanie. Puściła rękę Alexa i dodała stanowczo: - Już nigdy tu nie przyjdę. Dzisiaj to ostatni raz.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Powrót do domu. Zobaczyłam Johna i przypomniałam sobie, kim naprawdę jestem.

- I zapomniałaś o mnie? - spytał patetycznie.

Uzmysłowił sobie, że zabrzmiało to śmiesznie, i rozzłościł się. Cóż mógł jednak innego zrobić? Musiał o nią walczyć! Tak bardzo jej pragnął, a los wciąż dawał mu do zrozumienia, że nie jest mu przeznaczona.

Rafaela chwyciła jego dłoń i podniosła do ust.

- Nie zapomniałam o tobie, Alex... Nigdy o tobie nie zapomnę...

Wstała i skierowała się do drzwi. Alex nie ruszył się z miejsca.

Chciał ją za wszelką cenę zatrzymać, lecz widział, że nic nie może w tej chwili uczynić. Pragnął się z nią kochać, rozmawiać, być przy niej przez całą noc... przez całe życie.

Powoli wstał.

- Chcę, żebyś o czymś wiedziała, Rafaelo. - podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Kocham cię. Prawie się nie znamy, ale jestem pewien, że cię kocham. Idź teraz do domu i przemyśl to wszystko jeszcze raz. Jeśli zmienisz zdanie, nawet za chwilę, przyjdź. Za tydzień, za miesiąc, za rok... Kiedykolwiek. Będę na ciebie czekał.

Przytulił ją mocniej. Ile czasu upłynie, zanim znów ją zobaczy? Może nigdy? Nie potrafił nawet znieść tej myśli.

- Kocham cię, pamiętaj...

- Będę pamiętała - obiecała przez łzy. - Na pewno. Ja też cię kocham.

Razem zeszli po schodach. Oboje doskonale wiedzieli, że nie trzeba przedłużać tego pożegnania.

Alex czule objął ją ramieniem i odprowadził pod sam dom. W progu odwróciła się jeszcze raz, pomachała mu na pożegnanie i zniknęła.

## ROZDZIAŁ 12

Przez następne dwa miesiące Rafaela poruszała się niczym lunatyczka, powoli i ostrożnie, jakby ważyła każdy krok. Nie była w stanie ani działać, ani myśleć, nie chodziła nawet na spacer, a jej rozmowy z mężem też nie były już takie jak dawniej.

John zauważył tę zmianę i zachodził w głowę, co też mogło wydarzyć się w Nowym Jorku. Może doszło do sprzeczki z matką, może rozpętała się jakaś rodzinna awantura?... Po kilku tygodniach zdecydował się w końcu zapytać, lecz Rafaela milczała.

- Czy pokłóciłaś się z matką, kochanie? Może usiłowała cię skłonić, żebyś więcej czasu spędzała w Hiszpanii? - próbował zgadywać, ale na próżno.

Cóż mogło ją tak zranić? Zupełnie nic nie przychodziło mu na myśl.

- Nie... to nic takiego.

A więc jednak coś zaszło. Tylko co?

- Czy ktoś zachorował?

- Nie - uśmiechnęła się. - Wszyscy są zdrowi, a ja jestem po prostu okropnie zmęczona. Ale nie przejmuj się tym. Powinnam wychodzić więcej na świeże powietrze dodała.

Jednakże nawet długie spacer, na niewiele się zdały. Na darmo przemierzała tam i z powrotem drogę wzdłuż Presidio, na darmo zapuszczała się aż do stawiku przy Pałacu Sztuki, a potem jeszcze dalej, do samej zatoki, i tam wspinała się na strome wzgórze.

Czasami wracała tak zdyszana i zmęczona, że z trudem trzymała się na nogach, mimo to nie mogła przestać myśleć o Aleksie. Dzień i noc roztrząsała, co teraz robi, czy jest zdrowy i szczęśliwy, czy jest w biurze, czy w małym domku przy Vallejo.

Towarzyszyła mu myślą w każdej chwili i w każdej codziennej czynności.

Wiedziała, że jest mało prawdopodobne, aby jeszcze się spotkali, aby jak kiedyś padli sobie w objęcia. Ta świadomość sprawiała jej niewyobrażalny ból, ból, który powodował, że była półprzytomna, a jej oczy stały się szkliste i nieobecne.

Nadeszło Święto Dziękczynienia. Rafaela siedziała obok Johna, myślami jednak



była zupełnie gdzie indziej. Poruszała się jak robot i patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Chcesz jeszcze indyka, Rafaelo?

- Mmm?

Spojrzała jak wyrwana ze snu. Najwyraźniej zupełnie nie rozumiała, o co pytał. Zauważyła, że obok niej stoi służąca i na próżno stara się zwrócić jej uwagę na trzymany w ręku półmisek. Dopiero głos Johna sprawił, że się przebudziła.

Świąteczną kolację podano na tacach w jego sypialni, aby mógł pozostać w łóżku, gdyż w ciągu ostatnich miesięcy stan jego zdrowia wyraźnie się pogorszył.

- Rafaelo?

- Proszę? Och... nie... Przepraszam... - popatrzyła na półmisek i potrząsnęła głową.

Oprzytomniała na tyle, że zdobyła się na rozmowę, tego wieczoru wszakże John nie był w formie. Nie minęło pół godziny, jak zamknął oczy, głowa opadła mu na piersi i zaczął leciutko pochrapywać. Pielęgniarka delikatnie zabrała z łóżka tacę i ułożyła go wygodniej, dając Rafaeli znak, że może opuścić pokój.

Powoli, krok za krokiem Rafaela przemierzała długi hol. Idąc do swojego pokoju, wciąż myślała o Aleksie, wreszcie jak zahipnotyzowana podeszła do telefonu. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale chciała tylko złożyć mu świąteczne życzenia. Czy to źle, że postanowiła komuś życzyć szczęśliwego Święta Dziękczynienia?

Miała go unikać i dotychczas konsekwentnie dotrzymywała postanowienia, pewna, że gdy usłyszy jego głos, gdy go zobaczy, dotknie, znów wpadnie w tę słodką sieć, z której z tak wielkim trudem próbowała się wyswobodzić.

Kiedy wykręcała jego numer, wiedziała, że już przegrała, że wszystkie dotychczasowe wyrzeczenia poszły na marne. Nie mogła wytrzymać bez niego już ani chwili dłużej. Po prostu nie mogła bez niego żyć. Nie mogła.

Serce waliło jej jak młotem i miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim usłyszała jego głos. Stało się. Zatem teraz nie mogła bez słowa odłożyć słuchawki.

- Halo?

Przymknęła oczy i poczuła ogromną ulgę, równocześnie ogarnął ją jeszcze większy ból i podniecenie.

- Cześć...

Nie poznał jej w pierwszej chwili, lecz naraz osłupiał i szeroko otworzył oczy.

- O Boże!

- To nie Bóg - uśmiechnęła się. - To tylko ja. Chciałam złożyć ci życzenia.

Przez chwilę milczeli, w końcu zmieszany Alex wymamrotał:

- Dziękuję. Jak się masz?

- No... dobrze...

Nagle zdecydowała się. Powie mu. Bez względu na to, czy zmienił zdanie, czy jeszcze ją kocha, czy ma kogoś innego, powie. Musi to powiedzieć, nawet jeśli ma to być naprawdę ich ostatnia rozmowa.

- Nie. nie dobrze... okropnie... nie mogę... - Tęsknota i ból narastające w niej w ciągu ostatnich miesięcy ścisnęły ją za gardło. - Nie mogę dłużej tak żyć, Alex... Nie zniosę tego... och, Alex... - rozplakała się.

Wstydziała się tych łez i nie wiedziała, czy bardziej płacze ze smutku, czy z ulgi, którą przyniosło jej to wyznanie. A więc w końcu odezwała się do niego... Bez względu na to, co będzie dalej. Raptem poczuła się znowu szczęśliwa.

- Gdzie jesteś? - spytał zatroskany.

- W domu.

- Będę na ciebie czekał na rogu za pięć minut.

Chciała odmówić, chciała powiedzieć, że nie może się z nim spotkać, lecz nie starczyło jej sił na dalszą walkę ze sobą. Szepnęła tylko:

- Zaraz przyjdę.

Pobiegła do łazienki, szybko obmyła twarz zimną wodą, wytarła, przyczesła włosy, porwała z szafy futro i wybiegła z pokoju, nie zostawiając wiadomości dla służby. Nie chciała nic wyjaśniać, bo nie wiedziała nawet, jak długo jej nie będzie. Może pięć minut, może godzinę. John Henry już jej dzisiaj nie potrzebował. Spał, a nad jego snem czuwały pielęgniarki, służący i lekarze. Tym razem chciała zrobić coś dla siebie, coś

bardzo, bardzo ważnego.

Zbiegła po schodach i pognęła w umówionym kierunku z rozwianymi włosami, w rozpiętym futrze, uśmiechając się do siebie. Jej oczy znów lśniły blaskiem, którego na próżno było w nich szukać przez ostatnie dwa miesiące.

Naraz go zobaczyła. Był w ciemnych spodniach i swetrze, miał rozczochrane włosy, oczy jaśniały mu tak samo jak jej. Bez tchu pobiegł do niej i chwycił ją w ramiona z takim impetem, że omal się nie przewrócili. Ich usta złączyły się w szalonym pocałunku.

Stali na ulicy obejmując się i całując tak mocno, że wydawało się, iż nigdy się nie rozłączą. Na szczęście nikt ich nie zauważył, choć miejsce było zazwyczaj bardzo ruchliwe. Rafaeli jednak w tej chwili było to zupełnie obojętne.

Bez słowa wzięli się potem za ręce i ruszyli w kierunku jego domu. Niebawem byli na miejscu. Gdy Alex zamykał drzwi, Rafaela rozejrzała się wokół i westchnęła.

- Witaj w domu! - zawołał.

Nie chciał jej w progu opowiadać, jak bardzo za nią tęsknił. Te wyznania pozostawił na później, gdy będą leżeli obok siebie w łóżku. Oboje przeszli przez piekło, oboje przez dwa miesiące żyli jak w koszmarnej śnie i jedyne, co odczuwali, to wszechogarniający ból. Rafaeli wydawało się, że były to chyba najstraszniejsze dwa miesiące w jej życiu, Alex mógł to samo powiedzieć o sobie. Teraz nareszcie mogli zapomnieć o wszystkim, mogli czuć się tak, jakby nie było tej przerwy i jakby zawsze byli razem.

Miał ochotę zapytać ją, co się stało, lecz nie śmiał. Pragnął cieszyć się każdą chwilą i w duchu modlił się, aby Rafaela zmieniła zdanie i nie kazała mu przeżywać jeszcze raz minionego koszmaru.

- Wesółych Świąt, skarbie... - wziął ją w ramiona i obsypał pieszczotami.

Znowu kochali się czule.

Dochodziła dziesiąta, gdy przy pomnieli sobie o pozostawionym w piecu indyku, i zeszli na dół, do kuchni. Indyk piekł się co najmniej o godzinę za długo, lecz nie to było teraz najważniejsze. Zasiedli do stołu żartując i śmiejąc się. Alex był w dżinsach i koszuli, Rafaela miała na sobie jego szlafrok. Rzeczywiście czuła się, jakby wróciła do domu.

Wprawdzie była to dla niej już druga w tym dniu świąteczna kolacja, dopiero teraz jednak mogła jeść z apetytem, rzuciła się więc na indyka, jakby nie dojadła od lat.

- Jak tam w pracy? W porządku? - spytała.

Gdy uśmiechała się uradowana, wyglądała jak szczęśliwe dziecko.

- Nie bardzo - odparł nieco zakłopotany. - Gdybym miał innego szefa, na pewno już dawno by mnie wylał.

- Nie wierzę, Alex.

- Naprawdę. Zupełnie nie byłem w stanie się skupić.

Spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Podobnie jak ja. Myślałam tylko o tobie - dodała. - Zwariowałam na twoim punkcie. Byłam kompletnie nie do życia.

- Myślałaś o mnie?

- Tak. Tylko to pomagało mi ukoić ból. To był - odwróciła wzrok zawstydzona - bardzo trudny okres w moim życiu. Odkąd przestałam cię widywać, zupełnie straciłam poczucie rzeczywistości.

- A co się stało dzisiaj po południu? Dlaczego właśnie dzisiaj zadzwoniłaś?

- Nie mogłam tego dłużej znieść. Wydawało mi się, że umrę, jeśli z tobą nie porozmawiam.

Alex skinął głową ze zrozumieniem i nachylił się, aby ją pocałować.

- Dzięki Bogu, że zadzwoniłaś. Ja też nie mogłem już wytrzymać. Ledwie się hamowałem, żeby do ciebie nie zadzwonić. Setki razy podchodziłem do telefonu, dwa razy nawet zadzwoniłem, ale nie odpowiadałaś, więc odłożyłem słuchawkę. O Boże, już myślałem, że zwariuję... A co teraz będzie? - odważył się w końcu zadać nurtujące go pytanie. Musiał wiedzieć, na pewno dowiedziałby się w końcu, ale chciał wiedzieć już, w tej chwili. - Wiesz, co dalej, Rafaelo?

Pozostawił jej możliwość wyboru, lecz postanowił, że teraz, po tym, co oboje ostatnio przeżyli, nie pozwoli jej tak łatwo odejść. Tym razem nie musiał jednak walczyć. Rafaela uśmiechnęła się i lekko dotknęła jego ręki.

- Przecież wiemy, co dalej... Musimy być razem... kiedy tylko będziemy mogli.

Spojrzał na nią w osłupieniu, jakby obawiając się, że źle ją zrozumiał.

- Powiedziałaś, że...

- Tak. Czy jeszcze chcesz? Czy nadal chcesz, aby było tak, jak kiedyś chciałeś?

W odpowiedzi zerwał się z miejsca, porwał ją w ramiona i przycisnął tak mocno, aż jej zabrakło tchu.

- Alex!

- Jesteś pewna? - zapytał, a jego oczy zabłyśły gorącym żarem. - Mój Boże, jak ja cię kocham! I pragnę. Kocham cię i potrzebuję. I zgodzę się na wszystko, żebyśmy tylko byli razem... kiedy tylko będziemy mogli... nie krzywdząc ciebie i twojego... - przerwał, nie chcąc wymawiać na głos imienia Johna. - Właściwie... - przerwał, wstał i podszedł do kredensu wyjął z szuflady klucz, wrócił do niej i wcisnął jej go w rękę. - To klucz od drzwi. Chcę, kochanie, żebyś przychodziła tu, kiedy tylko będziesz mogła i chciała, bez względu na to, czy będę w domu.

Rafaeli łzy napłynęły do oczu. Po chwili wrócili na górę.

W kieszeni szlafroka miała teraz klucz do jego domu, który tak bardzo ukochała. Jej oczy śmiały się. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa.

Przez następne trzy godziny kochali się prawie bez przerwy. Kiedy wreszcie położyli się spokojnie obok siebie, rozkosznie znużeni, lecz wciąż nienasyчени, nagle zadzwonił telefon i Rafaela zerwała się na równe nogi.

Alex zmarszczył czoło, spojrzał na aparat, wzruszył ramionami i siadając na łóżku podniósł słuchawkę. Nic nie mówił, tylko słuchał, a jego mina stawała się coraz bardziej zatroskana. Naraz, trzymając w ręku aparat, zerwał się z łóżka. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Co?... Kiedy?... O Boże! Jak się czuje?

Gdy sięgał po pióro, drżały mu ręce. Mówił monosylabami, z których trudno było się domyślić, co się stało. Odłożywszy słuchawkę, ukrył twarz w dłoniach i ciężko westchnął.

Rafaela patrzyła na niego z przerażeniem. Jedyne, co przychodziło jej na myśl, to jego matka.

- Alex... - jej głos był cichy i niepewny. - Kochanie... Co się stało? Powiedz... proszę...

Położyła mu ręce na ramionach, a zauważywszy, że płacze, delikatnie pogładziła go po głowie. Wydawało się jej, że upłynęła cała wieczność, zanim podniósł wzrok.

- Amanda, moja siostrzenica... - zaczął ochryplym głosem została zgwałcona dokończył z nadludzkim wysiłkiem. - Właśnie ją znaleziono. - Odetchnął głęboko i na chwilę zamknął oczy. - Dzisiaj po kolacji poszła na łyżwy... sama... do parku... i... - zawahał się. - Pobito ją, Rafaelo. Ma połamane ręce i moja matka mówiła, że - rozplakał się - zbili ją po twarzy i jego głos przeszedł w ledwie słyszalny szept i zgwałcili... biedna mała...

Nie mógł więcej mówić, tylko płakał, a Rafaela ze łzami spływającymi po policzkach objęła go czule. Minęła godzina, zanim jakoś doszli do siebie. Rafaela przyniosła kawę. Siedział na łóżku popijając ją małymi łykami i palił papierosa, a Rafaela przyglądała mu się zatroskana.

- Zdasz jeszcze dzisiaj na samolot? - zapytała.

Jej ogromne ciemne oczy były mokre od łez, twarz jaśniała wewnętrznym blaskiem, tak jakby starała się ukoić jego ból i gniew.

Alex nie odpowiedział, tylko objął ją ramionami, mocno, jakby nie zamierzał jej już nigdy wypuścić. Leżeli przez chwilę przytuleni. Rafaela lekko gładziła go po plecach. Milczeli. Po chwili puścił ją, odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy.

- Możesz ze mną pojechać do Nowego Jorku, Rafaelo?

- Teraz? - spojrzała na niego zdziwiona. - W środku nocy?

Co powie służbie i Johnowi? Czy wolno jej z nim wyjechać? Zupełnie nie była na to przygotowana. Myśli kotłowały się jej w głowie. Nikt przecież się nie spodziewał. Amanda też nie. Biedne dziecko. Nie, nie może... na pewno nie może.

- Alex... bardzo bym chciała... naprawdę. Ale nie mogę.

Zdecydowała się tej nocy na niezwykle odważny krok, lecz nie była jeszcze gotowa na więcej. Nie mogła ot, tak zostawić Johna. Alex skinął głową.

- Rozumiem.

Zamyślił się. Rafaela była „pożyczoną” kobietą, należała do kogoś innego, do kogoś, kogo wciąż jeszcze kochała.

- Będę się zbierał.

Skinęła głową. Tak bardzo chciała z nim pojechać, oboje wiedzieli jednak, że to niemożliwe. Objęła go i przytuliła czule. Tylko tyle mogła mu teraz dać.

- Tak mi przykro, Alex.

- Mnie też - odpowiedział już nieco spokojniej. - Powiesiłbym moją siostrę za to, że nie potrafi zadbać o swoje dziecko.

- Może to nie jej wina - rzekła Rafaela nieco zszokowana jego słowami.

- To dlaczego była sama? Gdzie, u diabła, była wtedy jej matka? Ojciec?...

Alex znów wybuchnął płaczem, a Rafaela starała się go utulić.

Tej nocy trzy razy dzwonili do szpitala. Lekarze wciąż oceniali stan Amandy jako krytyczny. Rafaela pomogła Alexowi spakować rzeczy, a o wpół do piątej postanowiła pójść do domu. Oboje byli już bardzo zmęczeni i niewiele mogli zrobić.

Całą noc przesiedzieli przy kominku i Alex opowiadał o trudnym dzieciństwie Amandy. Słuchając go, Rafaela zrozumiała, jak bardzo kocha siostrzenicę i jak go boli, że jej rodzice nigdy nie znajdowali dla córki czasu.

- Alex?

W pokoju panował półmrok rozświetlony jedynie żarem w kominku.

- Może przywiózłbyś ją tutaj, jak poczuje się lepiej?

- Do San Francisco? - zdumiał się. - Ale jak?... Nie jestem na to przygotowany... Chyba nie mogę... - westchnął. - Jestem bardzo zajęty, całe dni spędzam w biurze. Podobnie jak jej matka...

- Różnica polega na tym, że ty ją kochasz - uśmiechnęła się łagodnie.

W blasku dogasającego ognia wyglądała wyjątkowo pięknie.

- Jak zginął mój brat, a matka ze swoimi siostrami wyjechała do Santa Eugenia, zostałam z ojcem. Mieliśmy tylko siebie... - zamyśliła się i utkwiała wzrok gdzieś w oddali.

- Myślę, że bardzo pomogliśmy sobie nawzajem.

- Wątpię, żeby rodzice Amandy się zgodzili.

- Po tym, co się stało, nie mają chyba wyboru. Przecież to ich wina, że nie poświęcali wystarczająco dużo uwagi córce, że pozwalali jej chodzić do parku, a może nawet nie wiedzieli, dokąd chodzi.

Alex w milczeniu skinął głową. Właśnie o tym myślał przez cały wieczór i o wszystko oskarżał swoją siostrę i jej chorą ambicję, która sprawiała, że zapomniała o innych.

- Zastanowię się. Można by przygotować jej pokój na samej górze...

- Jasne - uśmiechnęła się Rafaela. - Mogę to zrobić w kilka dni. Tylko... - spojrzała na niego pytająco.

- Na pewno cię polubi. Masz przecież w sobie wszystko, czego brakuje jej matce.

- Ale jej matce może się to nie spodobać. Przecież jestem... przecież nie jesteśmy... - urwała.

- No i co z tego? Czy nam to przeszkadza? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową i dodała:

- Ale może przeszkadzać innym... ludziom, na którym zależy Kay. Oni mogą tego nie pochwalać.

- Nie obchodzi mnie to - rzekł zdecydowanie. Jego myśli krążyły wokół rodziny i podróży do Nowego Jorku. Popatrzył na Rafaelę. - Szkoda, że nie jedziesz ze mną.

Kiedy się ubierała do wyjścia, powtórzył to jeszcze raz, a potem jeszcze raz, gdy stała już w drzwiach.

W szarej poświacie poranka zauważył, że oczy znów ma wilgotne, Rafaeli zaś zdało się, że i Alex spogląda na nią przez łzy. Oboje wciąż byli myślami przy Amandzie, przez całą noc czuwali, jak gdyby rozmową o niej i wspomnieniami o jej dzieciństwie mogli dodać jej otuchy, gdy daleko, w Nowym Jorku, walczyła o życie.

Rafaela pocałowała Alexa na pożegnanie szepcząc:

- Chciałabym z tobą pojechać...

Na chwilę zapomniała o Amandzie i myślami wróciła do swoich obowiązków wobec Johna i do koszmaru, jaki ostatnio przeżywała. Była tak szczęśliwa, że znów wróciła do Alexa, że mogła spędzić z nim choćby krótką chwilę, a może nawet całą noc!



Żałowała tylko, że nie może mu towarzyszyć w tej trudnej i bolesnej podróży.

- Trzymaj się - dodała.

Alex kiwnął głową. On jakoś będzie się trzymał, ale co z Amandą? Mówili o przywiezieniu jej do San Francisco, lecz przecież nawet nie wiedzieli, czy przeżyje. Ta przerażająca myśl przyszła nagle obojgu do głowy. Czy przeżyje?... Rafaela dotknęła lekko ustami jego powiek.

- Będę mogła do ciebie zadzwonić?

Skinął głową i tym razem uśmiechnął się. Mieli świadomość, że tej nocy wiele się zmieniło, że oboje zrobili ogromny krok naprzód.

- Zatrzymam się u matki.

- Pozdrów ją ode mnie. I pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Alex pocałował ją długo i namiętnie.

Kiedy Rafaela zniknęła za dębowymi drzwiami, ruszył z powrotem do domu, aby wziąć prysznic, ogolić się i zdążyć na poranny samolot.

## ROZDZIAŁ 13

Charlotta Brandon w ogromnym napięciu oczekiwała w szpitalnym holu Alexa, który poszedł na górę, aby pierwszy raz od wypadku spotkać się z Amandą. Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w biurko recepcjonistki i automat ze słodyczami i kawą.

Ostatnia wiadomość o Amandzie zastała Alexa w Carlyle'u dziewczynka czuła się trochę lepiej, otrzymywała już mniej środków uspokajających, lecz nieco bardziej cierpiała. Lekarz mówił, że wizyty nie są wskazane, dowiedziawszy się jednak, że Alex przybył z tak daleka, zgodził się.

Wizyta w oddziale intensywnej opieki została wyznaczona na określoną godzinę i nie mogła trwać dłużej niż pięć, dziesięć minut. Właśnie nadeszła ta oczekiwana chwila Alex zniknął w windzie, a jego matka siedziała w holu, przygnębionym wzrokiem odprowadzając przechodzących. Wszystkie twarze wydawały się jej obce i bez wyrazu. Goście biegli w pośpiechu, ściskając w dłoniach kwiaty, prezenty, torby z pantoflami i piżamami.

Dwa razy minęły ją kobiety w zaawansowanej ciąży, kroczące ostrożnie i z namaszczeniem, uczipione swoich mężów niosących podręczne torby z najpotrzebniejszymi rzeczami. Charlotta doskonale pamiętała te cudowne chwile swojego życia, lecz dzisiaj czuła się stara i zmęczona. Nie potrafiła myśleć o niczym tylko o wnuczce, która leżała w łóżku na jednym z wyższych pięter.

Kay nie pofatygowała się jeszcze, aby ją zobaczyć miała przylecieć z Waszyngtonu dopiero za kilka godzin. George zjawił się na chwilę, ale zerknął do karty choroby, zamienił kilka zdań z lekarzem dyżurnym i pielęgniarkami, po czym zniknął, niewiele dodawszy córce otuchy. Z całą pewnością nie nadawał się na ojca takiego dziecka jak Amanda, jej wrażliwość zaś zawsze wprawiała go w zakłopotanie.

- Mamo?

Charlotta zerwała się z miejsca, słysząc głos Alexa. W jego oczach dostrzegła smutek i ból.

- Jak ona się ma?

- Bez zmian. Gdzie, u diabła, jest Kay?

- Mówiłam ci już: w Waszyngtonie. George zadzwonił do niej zaraz po tym, jak powiadomiła go policja, ale powiedziała mu, że może wyjechać dopiero dziś w nocy.

- A więc minęły już dwadzieścia cztery godziny!

Oczy Alexa rozbłysły gniewem.

- Co za wiedźma! A gdzie George?

- Pielęgniarka na górze mówiła, że zjawia się tylko od czasu do czasu, żeby sprawdzić jej kartę. Chyba nie stać go na nic więcej.

- Tak sądzisz?

Przez chwilę milczeli. Alex nie powiedział matce, że gdy wszedł do pokoju, Amanda zaczęła histerycznie szlochać, aż musiano dać jej zastrzyk. Najważniejsze, że go poznała i kurczowo uczepliła się jego ręki.

Charlotcie znowu napłynęły łzy do oczu, usiadła więc na pomarańczowym plastikowym krześle i wytarła nos.

- Och, Alex, dlaczego to się stało?

- Dlatego, że oboje są nieodpowiedzialni, mamo. Amanda ma dwoje rodziców, ale żadne z nich zupełnie się nią nie interesuje - powiedział i usiadł obok niej.

- Naprawdę tak uważasz, Alex?

- Owszem. I bez względu na to, co Kay do niej czuje, nie powinna mieć prawa dłużej się nią zajmować. Nawet jeśli się jej wydaje, że ją kocha, choć wcale nie jestem tego pewny, to zupełnie nie ma pojęcia, co mała robi i co ona powinna jej dać jako matka. I George też.

Charlotta z wahaniem skinęła głową. Już wcześniej przychodziło jej to na myśl, lecz nigdy się nie spodziewała, że dojdzie do takiej tragedii. Spojrzała Alexowi w oczy i dostrzegła w nich coś, czego wcześniej nie знаła.

- Zamierzasz coś z tym zrobić, Alex? - zapytała, szóstym zmysłem przeczuwając jego zamiary.

- Tak - odparł spokojnie i zdecydowanie.

- Mianowicie? - zaniepokoiła się, odgadując, że będzie to bardzo radykalne rozwi-

ażanie, choć niewątpliwie dobre dla Amandy. Tego była pewna, nigdy bowiem nie zawiodła się na synu.

- Zabiorę ją do siebie.

- Do San Francisco? - zdumiała się Charlotta.

- Tak. I niech nie próbują mnie powstrzymać, bo zrobię im takie piekło, jakiego jeszcze nie widziałaś, i zobaczysz, jak moja kochana siostrzyczka zacznie się trząść o swoją reputację.

Charlotta tylko skinęła głową, świadoma, że w tej chwili Alex miał nad Kay ogromną przewagę.

- Jesteś pewien, że potrafisz się nią zaopiekować? To nie był zwyczajny wypadek na ślizgawce. Na pewno przez jakiś czas będzie zupełnie rozchwiana emocjonalnie.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy. Otoczę ją opieką i miłością. Zadbam o to, żeby jej nie ranić. Na pewno będzie jej u mnie lepiej niż tutaj.

- Wiesz przecież, że mogę ją wziąć do siebie.

- Nie, nie możesz powiedzieć szczerze. Nie poradzisz sobie z Kay. Najpóźniej po tygodniu zmusi cię, żebyś odesłała Amandę do domu.

- Nie jestem tego taka pewna.

- Po co ryzykować? Czy nie lepiej zagrać pewnie i radykalnie? San Francisco jest wystarczająco daleko.

- Będziesz z nią zupełnie sam, Alex...

zaczęła i nagle zrozumiała. Spojrzała na niego pytająco, a on uśmiechnął się. Zbyt dobrze znał swoją matkę...

- Tak?

Nigdy nie miał przed nią nic do ukrycia. Zawsze byli przyjaciółmi i wiedział, że może powierzyć jej każdy sekret. Nawet ten o Rafaeli.

- Nie wiem, jak to wyrazić... Czy twoja... hm... twoja przyjaciółka... - O Boże, mamo! - zaśmiał się cicho. - Jeśli masz na myśli Rafaelę, to tak! Spotykam się z nią - powiedział.

Nie chciał się przyznać, że wróciła do niego dopiero poprzedniego wieczoru po

dwóch miesiącach bolesnej rozłąki. Nie chciał, aby ktokolwiek, nawet matka, wiedział, że Rafaela w ogóle miała jakieś wątpliwości. To urażało jego dumę i uczucia, choć nie musiał ukrywać przed nią, że związał się z zamężną kobietą, i to tak znaną jak Rafaela. Popatrzył na matkę i spoważniał.

- Rozmawialiśmy o tym dziś w nocy, zanim wyjechałem. Myślę, że ona może bardzo pomóc Amandzie.

- Nie wątpię - westchnęła Charlotta. - Tylko że... ona ma inne obowiązki... jej mąż jest ciężko chory.

- Wiem. Zatrudniają wykwalifikowane pielęgniarki do opieki nad nim. Poza tym ona wcale nie musi być dzień i noc z Amandą. Będzie po prostu do nas przychodzić.

W duchu modlił się, aby naprawdę tak było.

- A bez względu na to, co zrobi Rafaela, ja też powinienem zrobić coś dla Amandy i dla siebie. Nie potrafiłbym żyć wiedząc, że zostawiłem to dziecko z Kay, której całymi dniami nie ma w domu, i z George'em, który buja w obłokach. Amanda potrzebuje czyjejs uwagi... Oni jej tego nie dadzą.

- A ty?

- Jestem pewien, że dołożę starań.

- Życzę ci powodzenia - powiedziała i głęboko westchnęła. - Masz chyba rację, to będzie dla niej najlepsze.

- Dziękuję, mamó.

Z wilgotnymi ze wzruszenia oczami pocałował ją w policzek i wstał.

- Chodź, zawiozę cię do domu, a potem znów do niej przyjedziemy.

- Jesteś chyba bardzo zmęczony - rzekła zatroskana, widząc jego podkrążone oczy.

- Nic mi nie jest odparł.

Byli przed drzwiami mieszkania Charlotty, gdy usłyszeli dzwoniący wewnątrz telefon. Alex wpadł do pokoju, podniósł słuchawkę i jego twarz pojaśniała. To była Rafaela.

- I co z nią?

Gdy pomyślał o siostrzenicy, smutek zgasił jego uśmiech.

- Bez zmian.

- Widziałeś się z siostrą?

- Jeszcze nie - rzekł z gniewem. - Przyjedzie z Waszyngtonu dopiero dziś w nocy.

Rafaela wstrząsnęła ta wiadomość, lecz tego Alex nie mógł zobaczyć.

- A ty jak się masz?

- Dobrze. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Przez cały dzień bardzo za nim tęskniła, dlatego też kilkakrotnie wychodziła na długie spacerunki. Dwa razy była nawet w jego domu i nie czuła się tam jak intruz czy obcy, lecz jak u siebie. Starannie posprzątała po świątecznej kolacji i podlała kwiaty. Wszystko wydawało się jej takie naturalne.

- A jak się czuje twoja mama?

- Nieźle.

- Pozdrów ją ode mnie.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut i Alex wyznał, że zdecydował się zabrać Amandę do siebie.

- Co ty na to?

- Co ja na to?... - powtórzyła zaskoczona, że pyta ją o zdanie. - Myślę, że to wspaniały pomysł. Jesteś przecież jej wujkiem i kochasz ją... - Z wahaniem zapytała nieśmiało: - Alex, czy... czy mogę przygotować dla niej pokój?

Skinał głową, choć zastanawiał się, czy nie powinien jej powiedzieć, by poczekała, aż wszystko się wyjaśni, aż będą wiedzieć na pewno. I sam nie wiedział, czy chce dopuścić do siebie jakiegokolwiek wątpliwości. Jeszcze raz skinął głową, jakby zaklinał los.

- Tak, tak... możesz... wspaniale...

Spojrzał na zegarek i pomyślał, że pora wracać do szpitala.

- Zadzwon później, jeśli będziesz mogła, muszę teraz do niej jechać.

Obecność Rafaeli w jego życiu wydawała mu się cudownym darem niebios. Dzięki niej zapomniał o pustce, beznadziejnym czekaniu i bezsensie codzienności. Czuł się,

jakby było tak od zawsze i na zawsze.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, skarbie. Uważaj na siebie.

Odłożył słuchawkę, a jego matka z lekkim uśmiechem na twarzy wyszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Gdy wróciła z dwiema parującymi filiżankami, Alex zapinał palto.

- Już wychodzisz?

Skinął głową, Charlotta zaś bez słowa sięgnęła po płaszcz, lecz powstrzymał ją. Wiedział przecież, że spędziła w szpitalu całą noc.

- Odpocznij trochę.

- Nie mogę, Alex.

Gdy napotkał jej spojrzenie, nie powiedział nic więcej. Wypili po łyku herbaty i wyszli na ulicę.

## ROZDZIAŁ 14

Alex stojąc w drzwiach patrzył na Amandę. Właściwie nie widział nic poza podłużnym kształtem spowitym w białe prześcieradło i błękitny koc. Charlotta ze swojego miejsca nie mogła dojrzeć jej twarzy, lecz kiedy podeszła bliżej, z trudem powstrzymała łzy. To samo przeżywała poprzedniej nocy.

Niewysoka szczupła dziewczynka w łóżku wyglądała raczej na dziewięć niż na siedemnaście lat. Wiek i płeć Amandy można było odgadnąć jedynie z kształtu i wielkości dłoni i ramion, niemal zupełnie pokrytych plastrami i bandażami. Jej ręce leżały nieruchomo na kocu, twarz była opuchnięta, pokryta sińcami i zadrapaniami. Jasne włosy rozrzucone w nieładzie okalały jej głowę złocistą aureolą. Oczy miała otwarte i dziwnie jasne. Swoim błękitem przypominały trochę oczy Charlotty, a trochę Alexa. Trudno było powiedzieć czyje bardziej, lecz w tej chwili były przede wszystkim pełne cierpienia.

- Mandy?... - szepnął Alex.

Miał ochotę dotknąć jej ręki, obawiał się jednak, że może sprawić jej ból. W odpowiedzi tylko skinęła lekko głową.

- Już wróciłem. Przywiozłem babcię.

Amanda popatrzyła na Charlottę i z oczu spłynęły jej na poduszkę dwie cienkie strużki łez. Bez słowa spoglądała na znajome twarze. Nagle zaszlochała. Alex pogładził ją po głowie. Rozumieli się bez słów.

Wystarczyło jej, że stanął obok, że czuła delikatny dotyk jego ręki. Zamknęła oczy i zasnęła. Po chwili pielęgniarka dała im znak, aby wyszli.

Oboje byli bardzo zmęczeni i przygnębieni. Alex czuł, że z każdą chwilą coraz bardziej narasta w nim gniew na Kay. Nie mówił nic, lecz kiedy znów znaleźli się przed drzwiami mieszkania jego matki, był tak wściekły, że nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Wiem, o czym myślisz, Alex - powiedziała cicho Charlotta. - Teraz to nic nie pomoże.

- Tak sądzisz?



- Zapomnij o tym, aż będziesz mógł porozmawiać z Kay. Nie warto martwić się na zapas.

- Kiedy wreszcie to nastąpi? Kiedy ona raczy łaskawie się zjawić?

- Sama chciałabym wiedzieć.

Kay zjawiła się nazajutrz. Alex siedział przy łóżku Amandy popijając kawę z plastikowego kubka, Charlotta udała się do domu, by trochę odpocząć.

Z samego rana przeniesiono dziewczynkę z od działu intensywnej terapii do małej separatki ze ścianami pomalowanymi na jasnoróżowo. Wyglądała nie lepiej niż poprzedniego dnia, ale w jej oczach zabłysła już nikła iskierka życia. Alex wspomniał, że chciałby ją zabrać do San Francisco, i wydało mu się, że spojrzała na niego z pewnym zainteresowaniem. Pod koniec dnia odważyła się podzielić z nim swoimi obawami.

- Co powiem ludziom? Jak im to wyjaśnię? Przecież wiem, że twarz mam okropnie pokiereszowaną, jedna pielęgniarka mi mówiła...

Nikt w szpitalu nie chciał pokazać jej lusterka.

- Popatrz na moje ręce - wskazała masywne gipsowe opatrunki.

Alex podążył za jej wzrokiem, starając się nie pokazać, co czuje.

- Powiesz, że miałaś wypadek samochodowy. To przecież zupełnie wiarygodne.

Położył jej rękę na ramieniu, spojrzał w oczy i dodał ciszej:

- Kochanie, nikt nie będzie wiedział. Jeśli nikomu nie powiesz, nikt się nie dowie. To zależy tylko od ciebie. Co się naprawdę stało, wiedzą tylko rodzice, babcia i ja.

- I wszyscy, którzy czytają gazety - zauważyła, patrząc nań ze strachem. - Pisali już o tym?

- Nie. Powiedziałem ci przecież, że nikt nie wie. Nie musisz się obawiać. Nic się nie zmieniło, odkąd tu przyszedłaś. Nadal jesteś sobą, Amando. Miałaś straszny wypadek, koszmarne przeżycie, ale to już minęło. To nie była twoja wina. Nikt nie będzie cię z tego powodu traktował inaczej. Jesteś taka sama jak przedtem.

Powtarzał, co zalecił mu rano terapeuta. Wszyscy mieli ją teraz przekonywać, że nie zmieniła się i że nie było w tym jej winy, ofiary gwałtu bowiem często obwiniały siebie i czuły się inne, gorsze. Jej dziewictwo zabrał jakiś gwałciciel.

Nie ulegało wątpliwości, że to wydarzenie w jakiś sposób spustoszy jej psychikę, jednakże psychiatrzy twierdzili, że przy odpowiedniej terapii i zrozumieniu ze strony najbliższych ma szansę wrócić do normy. Lekarz żałował tylko, że nie mógł widzieć się z jej matką, a doktor Willard też nie znalazł czasu na konsultację.

Sekretarka George'a przekazała tylko informację, że ojciec zgadza się na rozpoczęcie terapii i spotkanie psychiatry z dziewczynką.

- Nie tylko ofiara potrzebuje pomocy - powiedział lekarz Alexowi, - Wsparcie potrzebne jest całej rodzinie. To, w jaki sposób najbliżsi będą się odnosić do ofiary, zadecyduje o tym, jak ona sama będzie siebie odbierać.

Uśmiechnął się.

- Cieszę się niezmiernie, że mogłem z panem porozmawiać. Po południu spotkam się jeszcze z jej babcią.

A na koniec nieco zawstydzony dodał to, co Alex słyszał już setki razy:

- Wie pan? moja żona przeczytała chyba wszystkie jej książki.

W tej chwili Alex nie myślał jednak o książkach. Zapytał lekarza, kiedy Amanda będzie mogła wyjść ze szpitala, i ku swojej radości usłyszał, że na pewno przed końcem tygodnia.

A więc w piątek, jeśli nie wcześniej. Doskonale! Im prędzej znajdzie się w San Francisco, tym lepiej. Gdy o tym rozmyślał, do pokoju weszła Kay, dziwnie wychudzona i wyzywająco wystrojona w brązowy zamszowy kostium obszyty rudym lisem.

Ich oczy spotkały się na chwilę, lecz nie powiedziała ani słowa. Oboje wiedzieli, że za chwilę stoczą walkę na śmierć i życie.

- Cześć, Kay - odezwał się pierwszy.

Miał ochotę zapytać ją, co sprawiło, że dopiero teraz pojawia się w szpitalu, lecz nie chciał urządzać scen w obecności Amandy. W jego wzroku widać jednak było narastający gniew.

- Cześć, Alex. Jak to miło, że przyjechałeś aż na Wschodnie Wybrzeże.

- Jak to miło, że przyjechałaś aż z Waszyngtonu. - „Ty wstrętna wiedźmo”, dodał w myśli. - Na pewno byłaś bardzo zajęta.

Amanda obserwowała ich w milczeniu. Alex zauważył, że jej twarz staje się coraz bledsza. Zawahał się, po czym opuścił pokój i udał się do małej poczekalni na końcu korytarza. Po chwili zjawiała się tam Kay.

- Chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

- Tak też sądziłam - odparła z udawaną uprzejmością. - Zdenerwowany wujaszek przyjechał z końca świata aż do Nowego Jorku!

- Czy zdajesz sobie sprawę, że twoja córka ledwie uszła z życiem?

- Jak najbardziej. George sprawdzał jej wyniki trzy razy dziennie. Gdyby coś się działo, przyjechałabym zaraz, a skoro nie było takiej potrzeby... Zresztą to nie twoja sprawa.

- Doprawdy?

- Miałam dwa spotkania z prezydentem. Wystarczy?

- Niezupełnie. Rozumiem, że akurat w Święto Dziękczynienia?

- Właśnie. W Camp David.

- Spodziewasz się, że mi tym zaimponujesz?

- To już twoja sprawa. Ale moja córka należy do mnie.

- Chyba niezupełnie, skoro kompletnie zapominasz o rodzicielskich obowiązkach.

Ona potrzebuje czegoś więcej niż tylko sprawdzania wyników. Na Boga, przecież ona potrzebuje miłości, czułości, zainteresowania i zrozumienia! Mój Boże, Kay, to jeszcze dziecko. Została pobita i zgwałcona. Czy w ogóle dociera do ciebie, co to znaczy?

- Owszem. To moja sprawa, co robię. Te dwa dni niczego przecież nie zmieniły. I tak będzie musiała z tym żyć przez cały czas.

- A ile tego czasu ty zdołasz jej poświęcić?

- Odpieprz się, nie twoja sprawa.

- Uznałem, że jednak moja.

Jego spojrzenie było zimne jak lód.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Zabieram ją do siebie. Lekarz powiedział, że w piątek będzie mogła wyjść i odbyć podróż.

- Nie zabierzesz jej! - krzyknęła ze złością. - Jeśli ośmielisz się gdziekolwiek ją zabrać, wsadzę cię do więzienia za porwanie.

- Ty pieprzona dziwko! - Alex spojrzał na nią zwężonymi z wściekłości oczyma. - Gdybym był na twoim miejscu, nie odważyłbym się nawet otworzyć gęby, chyba że jesteś gotowa odpowiadać przed sądem za znęcanie się nad dzieckiem. Porwanie... kretynka...

- Znęcanie się nad dzieckiem? A cóżeś ty znowu wymyślił?

- Dokładnie to, co powiedziałem. I za karygodne zaniedbanie.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbyś wpakować mnie w takie gówno? Mój mąż jest jednym z najlepszych chirurgów w Nowym Jorku, wielkim humanistą...

- Świetnie. Udowodnij to w sądzie. Z przyjemnością to zrobisz, prawda? I jaka to sensacja dla prasy!

- Ty kanalio! - nagle dotarło do niej wszystko, co chciał jej powiedzieć. - Czego chcesz?

- Nic nadzwyczajnego. Amanda pojedzie ze mną do Kalifornii. Na stałe. A jeśli będziesz chciała wyjaśnić to swoim wyborcom, możesz powiedzieć, że miała poważny wypadek i potrzebuje rekonwalescencji w ciepłym klimacie. Na pewno to przełkną.

- A co powiem George'owi?

- To twoje zmartwienie.

Spojrzała na niego z perwersyjnym podziwem.

- Mówisz serio?

- Tak.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

- Bo ją kocham.

- A myślisz, że ja jej nie kocham?

Nie sprawiała wrażenia cierpiącej, jedynie zirytowanej. Alex westchnął.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała czas kogokolwiek kochać, Kay. Może jedynie swoich wyborców. Zależy ci tylko na ich poparciu. Nie wiem, dlaczego ciągle jeszcze o nie walczysz, ale nie obchodzi mnie to. Jedno wiem na pewno: marnujesz to dziecko. Nie pozwolę... nie pozwolę ci jej zniszczyć.

- Zamierzasz ją ocalić, tak? Jakie to szlachetne! Nie sądzisz, że byłoby zdrowiej, gdybyś wykorzystywał nadmiar swojej emocjonalnej energii w kontaktach z dorosłymi kobietami, a nie z siedemnastoletnią dziewczynką? Czy nie widzisz, jakie to niesmaczne? - mówiła, lecz wyraźnie było widać, że niewiele ją to obchodzi. Była wściekła, ale nie miała wyjścia.

- Zachowaj te obrzydliwe insynuacje dla siebie, podobnie jak niezdrowe ambicje i stałe porównywanie się z moją eks-żoną.

- To nie ma nic do rzeczy. Jesteś skończonym głupcem, Alex, i zupełnie nie rozumiem, po co te sztuczki z Amandą.

- Uważasz gwałt za sztuczkę?

- W pewnym sensie. Nikt nie wie, jak to wyglądało naprawdę. Może tego właśnie chciała? Może chciała zwrócić na siebie uwagę wspaniałego wujka i pozwolić, żeby jej ruszył z odsieczą?...

- Zupełnie poprzewracało ci się w głowie.

- Czyżby? Nie obchodzi mnie, co myślisz. Jeśli chcesz, baw się dalej, przez jakiś czas nie będę ci przeszkadzać. Może nawet dobrze jej to zrobi, ale za miesiąc, najpóźniej za dwa ma wrócić do domu. Jeśli sądzisz, że zostanie u ciebie na zawsze, to grubo się mylisz.

- Tak? Czyżbyś się zdecydowała odpowiadać przed sądem za wszystko, o czym przed chwilą mówiłem?

- Nie zrobisz tego.

- Jeśli nie będę musiał...

Stali naprzeciw siebie, nadal gotowi skoczyć sobie do gardeł, lecz oboje wiedzieli, że tym razem Alex wygrał.

- Jeżeli nie zmienisz postępowania, Amanda zostanie u mnie na zawsze.

- Czy ona już wie, że zamierzasz bronić ją przede mną?

- Jeszcze nie. Była za bardzo roztrzęsiona... - zaczął, Kay jednak o nic więcej nie pytała. Posłała mu kolejne pełne pogardy i nienawiści spojrzenie, po czym odwróciła się i skierowała ku drzwiom. Przed wyjściem jeszcze raz nań popatrzyła, jakby chciała zabić

go wzrokiem, i rzuciła:

- Nie myśl sobie tylko, że zawsze będziesz zgrywał bohatera. Możesz ją sobie na razie wziąć, ale jak zażądam, ma natychmiast wrócić do domu. Jasne?

- Chybaśmy się nie zrozumieli.

- Ty na pewno mnie nie rozumiałeś. Igrasz z ogniem. To, co robisz, może wpłynąć na moją pozycję, dlatego nie zamierzam tolerować żadnych takich wybryków, nawet ze strony rodzonego brata.

- Pilnuj swojego nosa, a ode mnie się odczep. Zapamiętaj to sobie.

Miała ochotę wyśmiać go za to ostrzeżenie, nie ośmieliła się jednak. Po raz pierwszy w życiu nie na żarty przestraszyła się młodszego brata.

- Nie rozumiem, po co w ogóle pchasz się w takie rzeczy.

- I nigdy nie zrozumiesz. Wystarczy, że ja rozumiem. I Amanda.

- Ale pamiętaj, co powiedziałam. Jeśli będę jej potrzebować, ma natychmiast wrócić do domu.

- Po co? Żeby przekonywać twoich wyborców, że jesteś wspaniałą matką?

Przecież to czyste łgarstwo...

Kay odruchowo podniosła rękę, jakby chciała uderzyć go w twarz, lecz chwycił ją za nadgarstek.

- Nie rób tego, Kay.

- To odwal się ode mnie.

- Z przyjemnością.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem odeszła do nadjeżdżającej właśnie windy. Po chwili wsiadła do samochodu, który czekał na nią przed wejściem.

Gdy Alex wrócił do pokoju, Amanda spała. Poglądził ją delikatnie po włosach, zabrał płaszcz i wyszedł. Idąc przez hol rozglądał się za kabiną telefoniczną. Wprawdzie udawał się wprost do mieszkania matki, czuł jednak, że musi teraz, natychmiast porozmawiać z Rafaelą.

Oficjalnym tonem za pytał o panią Phillips i już po chwili w słuchawce rozległ się jej głos.

- Rafaela?

- Tak? - usłyszał ciche westchnienie, które utwierdziło go w przekonaniu, że to właśnie ona. - Och, czy... - zaczęła pełnym obaw głosem.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Chciałem ci tylko powiedzieć, że przywożę ją do San Francisco pod koniec tygodnia. Twój ojciec prosił, żeby ci przekazać pozdrowienia - dodał.

Gdyby ktoś ich podsłuchiwał, byłby przekonany, że to zwyczajna rozmowa. Rafaela zrozumiała jednak, co chciał jej powiedzieć, i uśmiechnęła się do siebie.

- Jak długo siostrzenica zostanie u ciebie?

- Hmm... myślę... myślę, że długo... Tak, na pewno.

- Och... - zawołała, z trudem powstrzymując się, aby nie wymówić jego imienia. - Tak się cieszę.

Nagle przypomniała sobie o pokoju, który obiecała dla niej przygotować.

- Wobec tego zorganizuję jej jakieś lokum.

- Cudownie, będę ci bardzo zobowiązany. I oczywiście zwrócę ci pieniądze, jak tylko przyjadę do San Francisco.

- Och, przestań!

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Gdy skończyli, Rafaela w myśli policzyła dni do ich przyjazdu.

W piątek... Może w sobotę... A więc ma niewiele czasu.

## ROZDZIAŁ 15

Następne dwa dni Rafaela przeżyła jak we śnie.

Nazajutrz z rana czytała Johnowi, trzymając go za rękę i patrząc, jak powoli zapada w sen, po południu pognęła do centrum na zakupy. Poprosiła szofera, by na nią nie czekał, ponieważ wróci do domu taksówką. Tom oczywiście zauważył jej dość niezwykle zachowanie, lecz był zbyt dobrze wychowany, aby to komentować. Zdziwiony patrzył tylko, jak znika w najbliższym sklepie.

Po południu wróciła obładowana pakunkami, większe rzeczy posłała bezpośrednio do domu. Wiele sprzętów kupiła w uroczym sklepie z rupieciami. Najbardziej była dumna z pięknej toaletki i wiktoriańskich wiklinowych mebli, które wypatrzyła na ulicznej wyprzedaży.

Pod koniec drugiego dnia udało jej się stworzyć niemal idealny chaos, toteż z prawdziwą ulgą przyjęła wiadomość, że Alex będzie mógł przyjechać dopiero w niedzielę wieczorem. Tłumaczył się i przeproszał, nie spodziewając się nawet, jaka to dla Rafaeli dobra wiadomość.

Tego popołudnia widział się z George'em i wyglądało na to, że wszystko układa się pomyślnie. George bez oporów zgodził się z nim, że pobyt w San Francisco na pewno wyjdzie Amandzie na zdrowie. Ani słowem nie wspomnieli o tym, jak długo miałyby to trwać, lecz Alex doskonale wiedział, że kiedy Amanda znajdzie się w Kalifornii, najgorsze będą mieli za sobą.

Parę razy wspomniał o „kilku miesiącach”, a George nie oponował. Alex telefonował też do jednej z najlepszych szkół w San Francisco. Wyjaśnił, że dziewczynka miała poważny wypadek, odczytał jej świadectwa oraz poinformował, kim są jej matka i babka. Wobec takich rekomendacji z przyjęciem do szkoły nie było problemu. Amanda miała rozpocząć naukę od Nowego Roku, a wcześniej odpocząć w domu, wykurować się do reszty i otrząsnąć z szoku. Miała na to cały miesiąc.

Gdy Rafaela zapytała, co na to Kay, ton głosu Alexa zmienił się nie do poznania.

- Rozmowa z nią nie była taka miła jak z George'em.



- W jakim sensie?

- W takim sensie, że nie dałem jej możliwości wyboru.

- Bardzo się złościła?

- Tak, trochę - odparł i szybko zmienił temat. Gdy skończyli rozmowę, myśli

Rafaeli wciąż krążyły wokół Amandy. Zastanawiała się, jaka właściwie jest i czy ją polubi. Czuła się, jakby nagle w jej życiu pojawił się nie tylko kochanek, ale cała rodzina. No i Kay...

Alex wspomniał, że zamierzała od czasu do czasu wpadać do San Francisco, by sprawdzić, jak sprawuje się Amanda. Rafaela miała cichą nadzieję, że się zaprzyjaźnią. Nie wątpiła, że Kay jest inteligentna, toteż tym bardziej martwiły ją jej kłótnie z Alexem. Może będzie mogła coś dla nich zrobić?...

Pochłonięta tymi myślami gorączkowo kończyła urządzenie trzeciego piętra w domu Alexa. Powiedziała mu, że może tam do niej telefonować, bo zostało jej jeszcze sporo roboty. Włożyła w tę pracę całe serce, a kiedy wszystko było gotowe, usiadła na łóżku i uśmiechnęła się do siebie zadowolona.

W ciągu tych kilku dni udało się jej dokonać prawdziwego cudu. Sypialnia wyglądała jak z bajki, przystrojona różowymi draperiami i wiktoriańskimi meblami z wikliny. Podłogę przykrywał ogromny kwiecisty kobierzec, który kupiła w Macy, zmusiwszy sprzedawcę, aby ściągnął go z wystawy, w kącie stała zabytkowa toaletka z białym marmurowym blatem. W starej umywalce umieściła ogromną różową azalię, na ścianach zawiesiła jasne grafiki w złotych ramach. Rano przywieziono łóżko z białym baldachimem i różowymi pałkami. Nie zabrakło też satynowej kołdry i futrzaka, który rzuciła na wygodne krzesło.

Pokój obok, podobnie jak sypialnię, umeblowała wikliną i ozdobiła kwiecistymi tkaninami, pod oknem umieściła zgrabne biurczko. W łazience również pełno było uroczych drobiazgów.

Wprost nie mieściło się w głowie, że dokonała tego w ciągu zaledwie kilku dni, choć musiała oczywiście czarować i przekupywać sprzedawców, aby błyskawicznie wysyłali zakupy pod wskazany adres.

W środę podjęła z banku większą kwotę i za wszystko płaciła gotówką, by nie zostawiać śladów w postaci czeków, ponieważ wszystkie jej rachunki regulowało dawne biuro Johna. Trudno byłoby jej wyjaśnić, na co wypisywała tyle czeków. Znacznie prostsze wydało jej się jednorazowe podjęcie nawet tak dużej sumy. W razie czego będzie mogła powiedzieć, że wpadła w zakupowy szal... A może nikt o nic nie zapyta albo nie będą pamiętać, czy to było przed czy po wyjeździe do Nowego Jorku?

Musiała się tylko rozliczyć z Alexem. Pełna obaw oczekiwała, co na to powie. Właściwie nie wydała dużo pieniędzy, a sam przecież prosił, aby kupiła łóżko. Co prawda oprócz łóżka kupiła też mnóstwo innych rzeczy, lecz były skromne i niedrogie, za to starannie i ze smakiem dobrane.

Kwiaty, białe zasłony, które własnoręcznie uszyła i udrapowała podwiązując różowymi kokardami, porozrzucane tu i ówdzie poduszeczki, wiklinowe mebelki (sama pomalowała je w nocy) tworzyły niepowtarzalną kompozycję, sprawiającą wrażenie wyszukanej i kosztownej, choć w istocie wcale taka nie była.

Rafaela miała cichą nadzieję, że Alex nie będzie się gniewał o to wszystko, czemu nie mogła się oprzeć buszując po sklepach, dopóki nie stworzyła tego cudownego gniazdka dla młodej, ciężko doświadczonej przez los istotki.

Chciała podarować jej coś szczególnego, coś, co pomogłoby jej zapomnieć o przeżytych koszmarze i znów poczuć się bezpiecznie i radośnie.

Cicho zamknęła drzwi i zeszła piętro niżej do sypialni Alexa. Rozejrzała się wokół, wyglądziła narzutę na łóżku, wzięła swój płaszcz i wyszła. Po chwili z westchnieniem przekręcała klucz w drzwiach domu Johna. Powoli, zamyślona szła na górę po schodach, patrząc na aksamitne kotary, stare gobeliny, kandelabry, fortepian w holu... To był jej dom, właśnie ten, a nie mały, uroczy domek przy Vallejo, gdzie spędziła niemal cały tydzień w gorączkowym szale urządzenia pokoju dla dziewczynki, która też nie była jej dzieckiem.

- Proszę pani?

- Mmm? - spojrzała w górę, wyrwana z zadumy. Zbliżała się pora kolacji i musiała się przebrać. - Słucham?

Na piętrze stała pielęgniarka z drugiej zmiany.

- Pan Phillips godzinę temu pytał o panią. Może zajrzałyby pani do niego na chwilę, zanim pójdzie się pani przebrać?

- Tak, oczywiście... - skinęła głową Rafaela.

Powoli skierowała się do drzwi apartamentu męża, zapukała, nacisnęła klamkę i weszła, nie czekając na zaproszenie. Pukanie było czystą formalnością, taką jak wiele innych, których zawsze przestrzegali.

W pokoju panował półmrok. John Henry leżał w łóżku nakryty kocem. Miał zamknięte oczy.

- John?... - szepnęła patrząc na schorowanego starca.

Ten pokój był kiedyś ich wspólną sypialnią, wcześniej John dzielił go również ze swoją pierwszą żoną.

Początkowo bardzo to Rafaeli przeszkadzało, lecz John był przywiązany do tradycji. W końcu zapomniała o straszących ją duchach, teraz wszakże powróciły na nowo. John Henry wyglądał jak jeden z nich.

- John... - jeszcze raz wyszeptala jego imię i starzec otworzył oczy.

Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się i wskazał miejsce na łóżku.

- Cześć, maleńka. Pytałem o ciebie, ale powiedzieli mi, że wyszłaś. Gdzie byłaś?

Pytanie nie było natarczywe, wyrażało jedynie troskę, lecz Rafaelę przeszedł dreszcz.

- W mieście... na zakupach... - uśmiechnęła się. - Po prezenty świąteczne.

John nie wiedział, że do Paryża i Hiszpanii prezenty wysłała już miesiąc temu.

- Kupiłaś coś ładnego?

Skinęła głową.

- O, tak, kupiła wiele ładnych rzeczy...

Dla Amandy, siostrzenicy Alexa. Znów poczuła się nieswojo.

- A dla siebie coś znalazłaś?

Powoli pokręciła głową.

- Nie miałam czasu szukać.

- Wobec tego proszę, żebyś wybrała się jutro na zakupy i coś sobie sprawiła.

Rafaela popatrzyła na niego. Ten leżący bezwładnie schorowany człowiek był jej mężem... Znów poczuła wyrzuty sumienia.

- Lepiej posiedzę z tobą. Ostatnio... mało byliśmy razem... - spojrzała na niego przepraszająco, John jednak pokręcił głową i machnął ręką.

- Nie chcę, żebyś cały czas tkwiła przy mnie.

Jeszcze raz pokręcił głową, przymknął na chwilę oczy, potem popatrzył na nią z ogromną mądrością i powagą.

- Nigdy nie wymagałem, żebyś tu bez przerwy siedziała i czekała ze mną, moja maleńka... nigdy. I bardzo cię przepraszam, że tak długo nie przychodzi...

Początkowo nie zrozumiała, lecz naraz się domyśliła. W jej oczach pojawiło się przerażenie. John tylko się uśmiechnął.

- Śmierć, moja kochana... Tak, tak, śmierć... Długo czekam na nią. A ty jesteś bardzo dzielna. Nigdy nie wybaczę sobie tego, co ci zrobiłem.

- Nie mów tak, błagam. Kocham cię i chcę być z tobą - powiedziała.

Czy naprawdę? Czy nie wolałaby być z Alexem?... Wyciągnęła rękę i delikatnie ujęła jego dłoń.

- Nigdy niczego nie żałowałam, najdroższy, prócz tego, że... - nagły żal ścisnął jej gardło - że to musiało spotkać właśnie ciebie.

- Powinienem być umrzeć przy pierwszym wylewie. Byłoby lepiej, bardziej sprawiedliwie, gdybyś ty i ten szalony młody lekarz, którego zaangażowałaś... gdybyście pozwolili mi odejść.

- Chyba oszalałeś!

- Nie, kochanie, dobrze wiesz, że nie. To żadne życie, ani dla mnie, ani dla ciebie. Od lat trzymam cię tu jak więźnia, a ty jesteś przecież jeszcze dzieckiem i marnujesz przy mnie swoje najlepsze lata. Mój czas już minął. Postąpiłem... - przymknął oczy, bo nie mógł w tej chwili znieść jej smutnego spojrzenia, lecz zaraz otworzył je na powrót. - Postąpiłem egoistycznie, żeniąc się z tobą. Byłem na to za stary.

- John, przestań!

To, co mówił, przerażało ją. Rzadko poruszał ten temat, miała jednak pewność, że często o tym rozmyślał. Pocałowała go delikatnie. W ogromnym małżeńskim łóżku wydawał się drobny i kruchy.

- Czy choć raz w tym tygodniu byłeś w ogrodzie albo na tarasie?

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie, moja słodka pielęgniarko, nie byłem. Nie chciałem. Wolę leżeć w łóżku.

- Nie żartuj. Świeże powietrze na pewno dobrze ci zrobi. Lubisz przecież spacerować po ogrodzie - mówiła gorączkowo, jakby chcąc zagłuszyć myśl, że gdyby spędzała z nim więcej czasu, wiedziałaby, co robią pielęgniarki. Powinny były zabierać go na powietrze, powinny były dbać o to, aby oglądał nie tylko sufit sypialni. Wiedziała, że bez tego wcześniej lub później podda się. Lekarz powiedział jej to przed laty.

- Sama zabiorę cię jutro.

- Nie chcę wychodzić - powtórzył, jakby lekko zirytowany. - Już ci mówiłem, że wolę zostać w łóżku.

- Ale nie możesz, dobrze wiesz, że nie możesz.

- Uparty dzieciak z ciebie - spojrzał na nią z udawanym gniewem, uśmiechnął się i podniósł do ust jej rękę. - Wciąż jeszcze cię kocham. Bardziej, niż potrafię wyrazić... - oczy mu zwilgotniały. - Pamiętasz jak ci się oświadczyłem w Paryżu? - uśmiechnął się do siebie, Rafaela też się uśmiechnęła. - Mój Boże, byłeś jeszcze dzieckiem!

Spojrzeli na siebie z czułością. Rafaela nachyliła się i jeszcze raz pocałowała go w policzek.

- Teraz jestem już starą kobietą, mój drogi. To cudowne, że mnie wciąż jeszcze kochasz.

Wstała nie przestając się uśmiechać.

- Pójdę już przebrać się na kolację, bo jeszcze mnie rzucisz i znajdziesz sobie inną, młodszą... - zachichotała, jeszcze raz go pocałowała i pomachała mu ręką.

John poczuł się wyraźnie lepiej, lecz ona wciąż wyrzucała sobie, że tak zaniedbała go w ciągu ostatnich dni. Przez półtora tygodnia uganiała się po sklepach, kupując meble, tkaniny, firanki i chodniki, zapomniawszy o bożym świecie. I myślała tylko

o Aleksie, o jego siostrzenicy, jej pokoju i wszystkim tym, czego tak bardzo pragnęła.

Patrzyła w lustro i robiła sobie wyrzuty. Jak mogła na dziesięć dni prawie zupełnie zapomnieć o mężu? John Henry był przecież jej przeznaczeniem. Nie miała prawa oczekiwać więcej od życia. Czy potrafiłaby skończyć z tym teraz? Po dwóch miesiącach tęsknoty i cierpienia nie była tego pewna.

Westchnęła, otworzyła szafę i wyjęła popielatą jedwabną sukienkę, którą kupiła będąc z matką w Madrycie, czarne lakierki, wspaniały naszyjnik z pereł po matce Johna, kolczyki i zwiewną szarą halkę. Rzuciła to wszystko na łóżko i wolnym krokiem poszła do łazienki, pogrążona w myślach. Co ona właściwie robi? Prawie zapomniała o mężu dla drugiego mężczyzny, który nie był jej pisany.

Chociaż obaj jej potrzebowali. John oczywiście bardziej niż Alex... obaj. I co najdziwniejsze, ona też potrzebowała ich obu.

Pół godziny później stała przed lustrem odmieniona, elegancka, odświeżona, w jasnoszarej sukni, z kokiem upiętym nisko na karku i z perłowymi kolczykami, które rozświetlały blaskiem jej twarz. Wpatrywała się w swoje odbicie i nie znajdowała w nim odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Jak skończy się ta historia? Pragnęła tylko jednego nikogo nie zranić. Czy nie oczekiwała od losu zbyt wiele? Drżąc z obawy zamknęła za sobą drzwi pokoju.

## ROZDZIAŁ 16

Gdy w niedzielę o wpół do dziewiątej wieczorem pielęgniarka ułożyła Johna w łóżku, Rafaela ostrożnie zajrzała do pokoju. Przez cały wieczór rozmyślała o Aleksie i Amandzie i wyobrażała sobie, że towarzyszy im przy wyjeździe z Nowego Jorku, wyobrażała sobie, jak wsiadają do samolotu. Teraz już tylko dwie godziny dzielą ich od San Francisco...

Nagle uświadomiła sobie, że pomimo niewielkiej odległości żyją w zupełnie różnych światach ona cały dzień spędziła przy Johnie. Rano zawieziono go do ogrodu. Był owinięty kocami, miał na sobie jedwabną koszulę, ciepły szalik, kapelusz i czarny kaszmirowy płaszcz. Po południu przewiozła go na wózku na taras.

Wieczorem John wyglądał doskonale. Widziała wyraźnie, że świetnie wypoczął, choć gdy kładziono go do łóżka, wyglądał na znużonego. Wszystkie te czynności wypełniały cały jej czas, były jej powinnością wobec męża, któremu ślubowała „na dobre i na złe”.

Myślami wciąż jednak uciekała do Alexa i Amandy. Zamknięta w swoim pałacu czuła się jak pogrzebana żywcem. Nigdy wcześniej tego tak nie odbierała, toteż teraz przeraziła się. Raptem oto poczuła, że piekło, w którym przyszło jej żyć, wolno wchłania ją całą. Zaczęło brakować jej dawnej pewności, że wszystko, co robi, jest słuszne.

Minęła dziesiąta, a ona wciąż siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Na pewno właśnie wylądowali... Zaraz odbiorą bagaż i wsiadą do taksówki. Piętnaście po dziesiątej pomyślała, że zapewne dojeżdżają już do miasta. Jakże chciałyby być z nimi!

I naraz znowu ją ogarnęły wyrzuty sumienia jak mogła tak się zakochać w Aleksie!... Za jakiś czas John z pewnością na tym ucierpi. Nie będzie mu poświęcała tyle uwagi co dawniej, nie będzie mu towarzyszyła w każdej chwili dnia, przestanie okazywać uczucia, które do tej pory utrzymywały go przy życiu. Nie można mieć wszystkiego naraz, mówiła sobie, choć nie była tego taka pewna. Kiedy była z Alexem, nic dla niej nie istniało, chciała być tylko z nim i zapomnieć o reszcie świata.

Nie potrafiła tylko usunąć z myśli jednego Johna. Zapomnieć o nim znaczyło dla niej tyle samo, co umrzeć.

Długo jeszcze patrzyła w okno nieobecny wzrokiem, w końcu wstała i zgasiła światło. Wciąż jeszcze miała na sobie suknię, którą włożyła do kolacji. Jedli ją razem w pokoju Johna. Starła się zająć go rozmową, ale widziała, że był oszołomiony od nadmiaru świeżego powietrza.

Teraz, będąc już sama w swoim pokoju, uświadomiła sobie, że przez cały czas czuje się tak, jakby na kogoś lub na coś czekała... jakby nagle miał się zjawić Alex.

O jedenastej zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. Wiedziała, że o tej porze cała służba już śpi z wyjątkiem pielęgniarki czuwającej przy Johnie. Nie miała pojęcia, kto może dzwonić.

Usłyszawszy głos Alexa, zadrżała. Przerazało ją, że dzwoni do niej do domu, lecz tak bardzo za nim tęskniła! Po tych kilku dniach rozłąki, jakie upłynęły od jego wyjazdu do Nowego Jorku, znów zapragnęła go zobaczyć.

- Pokój Amandy jest naprawdę cudowny - szepnęła i Rafaela wystraszyła się, że ktoś może to usłyszeć. W jego głosie było jednak tyle radości, że nie mogła mu się oprzeć.

- Podoba się jej?

- Och, jest w siódmym niebie. Pierwszy raz w życiu widzę ją tak szczęśliwą.

- To cudownie.

Rafaela ucieszyła się na samą myśl o Amandzie w biało-różowym pokoiku.

- A jak w ogóle się czuje?

Alex westchnął.

- Nie wiem, Rafaelo, tylko się domyślam, jak może się czuć po tym, co przeżyła. Kiedyśmy wyjeżdżali, jej matka zrobiła okropną scenę, starała się obwinić ją za to, że wyjeżdża; a na koniec dodała, że wyborcom na pewno się nie spodoba, że jej córka nie mieszka z nią, tylko z jakimś wujkiem.

- Jeśli odpowiednio to rozegra, potrafi ich przekonać, że jest bardzo zajęta pracą.

- Powiedziałem jej mniej więcej to samo, ale i tak nie było to miłe pożegnanie.



Amanda była tym tak zmęczona, że w samolocie cały czas spała. Pokój, który dla niej przygotowałaś, był dla niej najpiękniejszą niespodzianką tego dnia.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Rafaela i nagle po czuła się bardzo osamotniona.

Tak by chciała zobaczyć Amandę i jej minę, gdy wchodziła do pokoju! Chciałaby czekać na nich na lotnisku, towarzyszyć im w drodze do domu, wejść razem z nimi do środka i dzielić te pierwsze w San Francisco chwile. Chciałaby pomóc Amandzie rozgościć się w domu, do którego tyle razy zaglądała w ostatnich dniach.

Słuchając Alexa, czuła się naprawdę opuszczona. Raptem samotność przytoczyła ją podobnie jak wtedy, gdy nie mogąc się powstrzymać płakała na schodach... To było tej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Alexa. Całe wieki upłynęły od tego czasu.

- Jesteś taka przygaszona... Czy coś się stało?

Jego głos zabrzmiał łagodnie i przyjaźnie. Rafaela mocno zacisnęła powieki.

- Nie... tylko pomyślałam o czymś... przepraszam...

- O czym?

Zawahała się.

- O tamtej nocy... na schodach... kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam...

Uśmiechnął się.

- Przecież mnie nie widziałaś. To ja pierwszy cię zauważyłem...

Zaczęli snuć wspomnienia, lecz Rafaela znowu się zaniepokoiła. Jeśli ktoś ze służby się obudził, może podnieść słuchawkę i usłyszeć coś, co musiała ukrywać przed światem.

- Może porozmawiamy o tym jutro?

Zrozumiał aluzję.

- A więc będę cię mógł jutro zobaczyć?

- Chciałabym.

Ta myśl dodała jej nieco otuchy.

- O której godzinie ci odpowiada?

Roześmiała się. Pokój Amandy był gotowy, ona zaś nie miała żadnych innych obowiązków. Było to jedyne zadanie, jakie miała do wykonania w ciągu ostatnich lat.

- Najlepiej ty powiedz, o której mam wpaść...

- Chyba że lepiej by było... - pomyślała o Amandzie i zatroskała się. - Może jeszcze za wcześnie na spotkanie z nią? Może pojawienie się ukochanej jej najdroższego wujka zezłości ją? Może wolała by go mieć teraz wyłącznie dla siebie?

- Nie żartuj!... Możesz wpaść choćby zaraz, jeśli tylko ta pora ci odpowiada.

Oboje wiedzieli jednak, że jest zbyt późno, a Amanda pada ze zmęczenia.

- A może przyjdiesz do nas na śniadanie? Możesz wyjść z domu tak wcześnie?

- Wcześnie, to znaczy o której? O szóstej? Czy piętnaście po piątej? A może o wpół do piątej?

- Tak, tak! O wpół do piątej! Wyśmienicie! - roześmiał się i przymknął oczy.

Mógł sobie teraz wyobrazić każdy szczegół jej twarzy. Tak bardzo jej pragnął! Tak bardzo chciałby jej dotknąć, przytulić... Tak bardzo chciałby, aby ich ciała stały się jednym...

- Właściwie, biorąc pod uwagę różnicę czasu, o szóstej na pewno będę już wesolutki jak skowronek. Może wpadniesz, jak tylko się obudzisz? Nie musisz nawet dzwonić, bo nie idę jutro do biura. Muszę sprawdzić, czy ta kobieta, która będzie pomagać Amandzie, jest naprawdę w porządku.

Z dwiema złamanymi rękami Amanda była zupełnie bezradna, toteż Alex poprosił sekretarkę, by załatwiła dla niej odpowiednią opiekunkę.

- Będę na ciebie czekał - dodał, a w jego głosie zabrzmiało pożądanie nie mniejsze niż wcześniej w głosie Rafaeli.

- Przyjdę jak najwcześniej - zapewniła i zapominając o wcześniejszych obawach dodała: - Och, Alex, tak strasznie się za tobą stęskniłam!

- Kochanie, gdybyś wiedziała, jak ja tęskniłem za tobą!...

Rafaela długo jeszcze siedziała w fotelu z promiennym uśmiechem na twarzy. W końcu spojrzała na zegarek i powoli zaczęła się rozbierać. Dochodziła północ za sześć, może siedem czy osiem godzin znów będą razem. Na samą myśl o tym oczy jej zabłyśły

i serce zabiło mocniej.

## ROZDZIAŁ 17

Rafaela nastawiła budzik na wpół do siódmej. Godzinę później otworzyła bramę i wymknęła się na zewnątrz. Przed wyjściem zdążyła jeszcze powiedzieć pielęgniarce Johna, że wybiera się na poranną mszę, a potem na długi spacer. Doszła do wniosku, że takie wyjaśnienie będzie wystarczającym usprawiedliwieniem jej kilkugodzinnej nieobecności. Z takim przekonaniem przemykała ulicami spowita w chłodną grudniową mgłę i otulona ciepłym płaszczem.

Po chwili znalazła się przed swoim ulubionym domkiem przy Vallejo i ku swojej wielkiej radości zauważyła, że we wszystkich oknach palą się światła. A więc Alex rzeczywiście już wstał... Spojrzała na mosiężną kołatkę przy drzwiach i zawahała się. Czy zastukać? A może zadzwonić? Albo otworzyć drzwi swoim kluczem?

W końcu energicznie nacisnęła dzwonek i wstrzymała oddech. Z promienną twarzą słuchała, jak zbliża się do drzwi. W końcu ujrzała go, stał w progu wysoki i przystojny jak zawsze, z uśmiechem na twarzy. Bez słowa wciągnął ją do środka, zatrzasnął drzwi i mocno przytulił.

Nic nie mówili, ich usta złączyły się w długim, przepelnionym tęsknotą pocałunku. Alex czuł ciepło jej ciała, dłońmi gładził jej jedwabiste czarne włosy. Patrzył na nią z zachwytem, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że spotkali się naprawdę.

- Cześć, Alex - powiedziała w końcu ze szczęściem w oczach.

- Cześć! - odparł i cofnął się o krok. - Boże! Wyglądasz cudownie.

- O tej porze? Niemożliwe - rzekła z powątpiewaniem, lecz istotnie wyglądała pięknie.

Jej oczy błyszczały niczym onyksy otoczone diamentami, a poranny chłód wymalował na jej twarzy urocze rumieńce. Miała na sobie jasną jedwabną bluzkę i beżowe spodnie, futrzaną kurtkę i zamszowe buty od Gucciego w kolorze cynamonu.

- Co z Amandą? - zapytała spoglądając na schody.

- Jeszcze śpi - wyjaśnił Alex.

W tej chwili nie myślał o Amandzie. Jedyną osobą, o której potrafił myśleć tego

poranka, była niewyobrażalnie piękna kobieta, która właśnie stała przed nim w holu jego domu.

Z wrażenia nie mógł się nawet zdecydować, czy zaprowadzić ją do kuchni na dole i zaproponować filiżankę kawy, czy też od razu wciągnąć na piętro w dużo mniej towarzyskich zamiarach.

Widząc jego rozterkę Rafaela uśmiechnęła się.

- Chyba jeszcze niezupełnie się obudziłeś.

Nieco zakłopotana zsunęła z ramion futro i przerzuciła przez poręcz schodów.

- Czyżby? - zapytał z miną niewiniątka. - Dlaczego tak sądzisz?

- Sama nie wiem... Może zaparzę kawę?

- Właśnie to samo zamierzałem zrobić - wyznał z rozczarowaniem.

Rafaela wybuchnęła śmiechem.

- I co?

- Nic. Nic takiego...

Próbował poprowadzić ją do kuchni, lecz zaraz na pierwszym stopniu odwrócił się i przywarł do niej w namiętym pocałunku. W takiej pozycji zastała ich Amanda, gdy zaspana, w błękitnej piżamie w kwiaty stanęła na schodach. Jasne włosy okalały jej ładną, młodą twarz, sińce pod oczami trochę już zbladły.

- Och... - westchnęła cicho zmieszana.

Rafaela usłyszawszy ją, odskoczyła od Alexa jak oparzona. Widząc skierowane na siebie pytające spojrzenie Amanda zaczerwieniła się i spojrzała na Alexa, jakby od niego spodziewała się wyjaśnień. W tej chwili Amanda wydała się jej bardzo dziewczęca i niewinna.

Powoli podeszła do niej, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła końców jej palców, które wystawały spod gipsowego opatrunku.

- Przepraszam, że niepokoję cię z samego rana. Chciałam zobaczyć, jak się czujesz.

Było jej wstyd, że Amanda zastała ich w takiej sytuacji na schodach. Nagle przypomniała sobie o wszystkich swoich obawach związanych ze spotkaniem z nią,

dziewczyna jednak sprawiała wrażenie istoty tak kruchej i niewinnej, że wszelkie niepokoje wydały się jej po prostu głupie. To ona, Rafaela, mogła ją przerazić, ale nie mogła się jej bać...

Amanda uśmiechnęła się i nieśmiały rumieniec wypełził na jej twarz.

- W porządku. To ja przepraszam. Wcale nie miałam zamiaru podglądać pani i wujka.

W rzeczywistości ich pocałunek sprawił jej radość, bo w rodzinnym domu nigdy nie zaznała ciepła.

- Nie wiedziałam, że tu jesteście. Zazwyczaj nie przychodzę tak wcześnie, ale...

Alex postanowił szybko przejść do sedna sprawy i powiedzieć jej, kim jest Rafaela i jak ważną rolę odgrywa w jego życiu.

- To właśnie jest ta dobra wróżka, która urządziła ci pokój, Mandy - rzekł, ogarniając równie czułym spojrzeniem obydwie kobiety.

- To pani? Naprawdę?

Rafaela roześmiała się, widząc w jej oczach bezgraniczny zachwyty.

- Chyba tak... Wprawdzie nie jestem dekoratorem wnętrz, ale urządzenie pokoju dla ciebie sprawiło mi ogromną przyjemność.

- I zrobiła to pani tak szybko! Alex mówił, że jak wyjeżdżał, nie było tu nic.

- Musiałam to wszystko ukraść.

Wybuchnęli śmiechem.

- Podoba ci się?

- Pytanie! To jest super! Bomba!

Rafaela zaśmiała się, rozbawiona i tonem, i językiem Amandy.

- Tak się cieszę! - zawołała.

Miała ochotę ją uścisnąć, lecz nie odważyła się.

- Czy mogę zaproponować paniom śniadanie? - zapytał Alex szarmancko.

- Pomogę ci - zaproponowała ochoczo Rafaela i pomaszerowała za nim do kuchni.

- Ja też - zawołała Amanda, po raz pierwszy od wypadku czymś podekscytowana.

Radosny nastrój nie opuszczał jej rankiem, a gdy godzinę później siedzieli razem przy stole, żartując przy resztkach jajecznicy na boczku i tostów, sprawiała wrażenie naprawdę szczęśliwej. Pomimo gipsu na rękach udało się jej posmarować tosty masłem, Rafaela zrobiła kawę, Alex zaś zadbał o resztę.

Doskonała praca zespołowa skomentował, gdy Rafaela z Amandą żartowały z szefa kuchni. Teraz, kiedy Rafaela sprzątała stół po śniadaniu, wszyscy troje wiedzieli, że jest im razem dobrze i że są dla siebie nawzajem największym skarbem.

- Czy mogę ci pomóc się ubrać, Mandy?

- Jasne! - zawołała, a jej oczy rozbliły.

O dziewiątej przyszła opiekunka Amandy i po chwili Alex z Rafaelą zostali sami.

- Co za wspaniała dziewczyna, Alex! - zachwyciła się Rafaela.

Alex uśmiechnął się.

- Tak, tak... Wspaniała. I wiesz? niesamowicie szybko przychodzi do siebie po... po tym, co się stało. Przecież minął dopiero tydzień!

Na tę myśl jego twarz spoważniała. Rafaela skinęła głową.

- Myślę, że wszystko będzie w porządku. Dzięki tobie.

- Być może dzięki nam obojgu - powiedział, wdzięczny za to, jak taktownie i przyjaźnie potrafiła obchodzić się z dziewczyną. Cieszyło go, że potrafiła tak ciepło i bezpośrednio przywitać się z nią, i przeczuwał, że wreszcie nastaną dla nich trojga szczęśliwe dni. Amanda stanowiła teraz część jego życia, ale Rafaela również. Zależało mu tylko na tym, aby byli jak najbliżej siebie.

## ROZDZIAŁ 18

- Co miałaś na myśli mówiąc, że nie podoba ci się aniołek? - spytał Alex marszcząc czoło i spojrzał na dziewczynę z wierzchołka drabiny ustawionej w pustym salonie.

Rafaela i Mandy obserwowały go z dołu i właśnie przed chwilą Mandy powiedziała mu, że aniołek jest głupi.

- Popatrz tylko na niego, jak głupawo się uśmiecha. Wygląda idiotycznie.

- Jeśli chcecie wiedzieć, wy obie też wyglądacie idiotycznie.

Leżały na podłodze i bawiły się kolejką, którą Alex przyniósł z piwnicy. Kiedyś bawił się nią jego ojciec, później Alex zszedł z drabiny i z dołu spojrzał na rezultat swoich starań w postaci sznura świecidełek.

Kiedy skończył, Rafaela i Mandy ochoczo zabrały się do najbardziej spektakularnej części przygotowań, czyli uruchamiania kolejki. Zbliżało się Boże Narodzenie, za dwa dni spodziewali się przybycia matki Alexa. Na razie byli tylko we troje.

Rafaela starała się spędzać z nimi jak najwięcej czasu, mimo że miała przecież swoje obowiązki. Bardzo zależało jej na tym, aby choć trochę świątecznego nastroju udzieliło się Johnowi. Alex pomógł jej wybrać dla niego małą choinkę.

Wcześniej przez cały tydzień przygotowywała dla całej służby prezenty zapakowane w zabawne czerwone pończochy opatrzone imionami. Jej miłe gesty sprawiały wszystkim ogromną radość, a prezenty, które wybierała, były nie tylko cenne, ale i praktyczne, mogły cieszyć obdarowanego i służyć mu przez wiele lat. I wszystko nosiło znamię jej szczerych intencji. Starannie wybrane podarunki były opakowane w kolorowy papier, dom odświętnie przybrany kwiatami poinsecji, sosnowymi gałązkami i szyszkami, na drzwiach wejściowych wisiał ogromny wieniec.

Tego ranka obwiozła Johna po całym domu, po czym na chwilę zniknęła i zjawiała się z butelką szampana. Niestety, zauważyła, że w tym roku wszystko to jakby mniej go obchodziło.



- Jestem za stary na to, Rafaelo. Zbyt wiele razy już to widziałem i spowszedniało mi - powiedział, z trudem układając słowa w zdanie.

- Och, nie mów tak! Jesteś po prostu zmęczony. Nigdy byś nie zgadł, co dla ciebie kupiłam - odparła i wyciągnęła jedwabną koszulę z wyhaftowanym monogramem.

John Henry był jednak coraz mniej przytomny, coraz bardziej przygnębiony i okazywał coraz mniejsze zainteresowanie otaczającym go światem.

Gdy znalazła się u boku Alexa, odzyskała świąteczny nastrój. Z radością patrzyła też na Amandę, która cieszyła się świętami tak samo jak mali hiszpańscy krewni Rafaeli. Amandzie Boże Narodzenie kojarzyło się ze sznurami jagód i prażoną kukurydzą, kolorowymi piernikami, gałązkami ostrokrzewu i innymi wspaniałościami. Cieszyło ją kupowanie i otrzymywanie prezentów, świąteczna krzątanina i wszystko, czego zwieńczeniem był kulminacyjny moment ubierania choinki. Tuż przed północą wszystko było gotowe, pod choinką piętrzyły się pudełka z prezentami.

Na pustej werandzie wspaniale oświetlone drzewko wydawało się nieprawdopodobnie olbrzymie. Elektryczna kolejka wolno toczyła się po szynach.

- Zadowolona? - spytał Alex, gdy wygodnie rozsiedli się przy kominku, w którym wesoło trzaskał ogień.

- Po prostu szczęśliwa - odpowiedziała. - Jak myślisz, czy Amandzie spodoba się prezent? Jeśli nie, odeślę ją z powrotem do Kay - zażartował.

Na gwiazdkę kupił jej krótki kożuszek i jeszcze obiecał, że zaraz po zdjęciu gipsu, czyli za dwa tygodnie, będzie mogła pójść na kurs nauki jazdy. Rafaela sprawiła jej buty narciarskie, o które tak prosiła Alexa, jasnoniebieski kaszmirowy sweter i mnóstwo książek.

- Wiesz? - uśmiechnęła się Rafaela - kupowanie dla niej to nie to samo co kupowanie dla moich krewnych. Tym razem czułam się, jakbym robiła zakupy dla własnej córki. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego.

- Ja też coś takiego czułem. Miłe uczucie, prawda? Ale równocześnie uświadomiłem sobie, jak pusty był dotąd ten dom. Teraz wszystko wygląda inaczej.

Jakby na potwierdzenie jego słów w drzwiach ukazała się figlarna buzia. Sińce

zbladły już zupełnie, z oczu powoli znikwały niepewność i strach. Amanda przez cały miesiąc, jaki upłynął od jej przyjazdu do San Francisco, odpoczywała, chodziła na długie spacerunki i niemal codziennie widywała się z psychologiem, który pomagał jej pogodzić się z tym, że została zgwałcona.

- Cześć! Co porabiacie?

- Nic szczególnego.

Alex spojrzał z dumą na siostrzenicę.

- A ty dlaczego jeszcze nie w łóżku?

- Jestem zbyt podekscytowana, żeby spać - wyznała i weszła do pokoju trzymając za plecami dwa spore pakunki.

Rafaela i Alex spojrzeli na nią mile zaskoczeni, Amanda zaś zrobiła minę, jakby za chwilę miała wybuchnąć z podniecenia, i usiadła na brzegu łóżka odrzucając do tyłu zasłaniające twarz blond włosy.

- Mamy już otworzyć? - zapytał Alex. - A może poczekamy? Jak sądzisz, Rafaelo?

- próbował się przekomarzać, lecz Rafaela już odwijala papier, wstrzymując oddech. -

Och, Mandy! - wykrzyknęła w końcu z zachwytem. - Nie wiedziałam, że tak pięknie malujesz!

„W dodatku z gipsem na rękach”, dodała w myślach. Była naprawdę zachwycona, lecz ukrywała prezent przed Alexem, spodziewała się bowiem, że i on dostał podobny. Już po chwili wiedziała, że się myliła.

- Są śliczne, Mandy! Dziękuję! - zawołała z niekłamana radością i mocno uścisnęła dziewczynkę.

Alex znieruchomiał w fotelu, nie mogąc oderwać oczu od upominków. Amanda w tajemnicy przed nimi namalowała akwarelami ich portrety. Były naprawdę oryginalne zarówno pod względem kompozycji, jak i nastroju.

Amanda oprawiła je i podarowała Rafaeli podobiznę Alexa, Alexowi zaś Rafaeli. Uchwyciła nie tylko podobieństwo rysów, ale i wszystkie szczegóły, nastrój, spojrzenie, odcień cery. Oczy Rafaeli były na portrecie jak żywe, wydawało się, że naprawdę myśli, oddycha, że za chwilę się poruszy. Podobnie było z wizerunkiem Alexa.

Z Rafaelą Amanda miała oczywiście więcej trudności, ponieważ rzadziej ją widywała, poza tym nie chciała podkradać im chwil, których tak mało mieli wyłącznie dla siebie. Teraz mogła być z siebie dumna, bo prezenty spotkały się z naprawdę entuzjastycznym przyjęciem.

Alex wstał i ucałował Amandę, ściskając ją serdecznie, potem wszyscy troje usiedli na podłodze przy ogniu i rozpoczęli długą pogawędkę. Rozmawiali o ludziach, o życiu, marzeniach i rozczarowaniach. Amanda otwarcie opowiedziała im o tym, jak bardzo przeżywała brak zainteresowania ze strony rodziców, Alex starał się jej wyjaśnić, że Kay była taka od dzieciństwa. Gawędzili też o Charlotte i o tym, jaką była matką, Rafaela opowiadała o swoim surowym ojcu i o tym, jak trudno było jej przystosować się do takiego życia, jakie wiodła jej matka w Hiszpanii.

W końcu Rafaela i Alex zwierzyli się Amandzie ze swoich uczuć, wyznali też, jak bardzo są wdzięczni losowi za to, że choć na kilka krótkich chwil mogą być razem. Byli mile zaskoczeni, że Amanda zrozumiała to wszystko i że wcale nie zdziwiło jej małżeństwo Rafaeli.

Rafaela zauważyła nawet, że w oczach Amandy stała się nagle bohaterką, że dziewczyna szczerze podziwia ją za to, iż postanowiła spełniać swoje powinności wobec Johna do końca jego dni.

- Przecież to normalne, że powinnam tak zrobić. Jest moim mężem, nawet jeśli... jeśli tyle się zmieniło.

- Chyba tak, ale myślę, że niewiele kobiet postąpiłoby podobnie. Odeszłyby z Alexem, bo jest młody, przystojny, zakochany. Na pewno jest ci bardzo ciężko...

Po raz pierwszy rozmawiali o tym tak szczerze i Rafaela z trudem powstrzymywała się, aby nie zmienić tematu, choć akurat z nimi taka rozmowa nie sprawiała jej trudności.

- Jest mi ciężko - przyznała cicho i posmutniała na samo wspomnienie zmęczonej twarzy Johna. - Czasami nawet bardzo ciężko. Jest już bardzo słaby i jestem chyba jedyną osobą, która choć trochę go jeszcze obchodzi. Niekiedy wydaje mi się, że dłużej nie potrafię tego dźwigać. Co będzie, jeśli coś się ze mną stanie, jeśli będę musiała

wyjechać, jeśli?...

Spojrzała na Alexa i w jego oczach wyczytała, że zrozumiał.

- Chybaby umarł...

Amanda wpatrywała się w jej twarz z napięciem, a zarazem zrozumieniem, podziwem i szacunkiem.

- A co by było, gdyby umarł, Rafaelo? Może już nie ma ochoty żyć? Czy ktokolwiek ma prawo go zmuszać? - zadała pytanie stare jak świat z gatunku tych, na które trudno znaleźć odpowiedź w ciągu jednej nocy.

- Nie wiem, kochanie. Wiem tylko jedno, że muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Amanda spojrzała na nią z podziwem, a Alex poczuł się dumny z nich obu.

- Dla nas też robisz bardzo dużo.

- Och, głuptasku... - zawstydzila się Rafaela. - Nie robię nic wielkiego. Po prostu wpadam tu co wieczór jak zła wiedźma i zawracam wam głowę. Pytam, czy zrobiłaś pranie, każę posprzątać pokój... - uśmiechnęła się przekornie.

- No tak, ona tylko to potrafi... - włączył się do żartów Alex. - A tak naprawdę obchodzi ją tylko jedzenie, które nam wyjada, korzysta z naszej łazienki, czasami po może coś przyrządzić, wyczyści sztukce, przeczyta listy, do których nie mam serca, nauczy Amandę robić na drutach, przyniesie kwiaty, kupi prezenty... - spojrzał na Rafaelę prowokująco. - To naprawdę niewiele.

Rafaela zarumieniła się i przygładziła włosy.

- Jeśli to jest niewiele, to wolałbym nie sprawdzać, ile jeszcze możesz - powiedział i pocałował ją czule.

Amanda wyszła na palcach z pokoju. W drzwiach odwróciła się jeszcze i z uśmiechem szepnęła:

- Dobranoc, kochani.

- Ej, poczekaj chwilę! - zawołał Alex i wyciągnął do niej rękę. - Nie chcesz zobaczyć swoich prezentów?

Amanda roześmiała się, a Alex wstał i pociągnął za sobą Rafaelę.

- Chodźcie tu obie, przecież mamy święta.

W tej chwili były to ich wspólne święta, wiedział jednak, że niebawem Rafaela odejdzie i zjawi się dopiero następnego wieczoru.

Razem zeszli na dół, a gdy odpakowywali prezenty, żartom i przekomarzaniom nie było końca. Alex dostał od matki irlandzki sweter, od Amandy oprócz obrazu komplet długopisów, od szwagra butelkę wina, od Rafaeli teczkę od Gucciego, krawat i oprawny w skórę stary tomik poezji, o której kiedyś rozmawiali. Od siostry oczywiście nie otrzymał nic.

- O Boże, zwariowałyście obydwie! - zawołał, lecz zakrzyczała go Amanda, która akurat otworzyła swoje prezenty.

Potem przyszła kolej na Rafaelę: od Amandy dostała flakonik perfum, a od Charlotty Brandon szal, który przyjęła ze szczerym wzruszeniem. Na koniec z tajemniczym uśmiechem na twarzy Alex wręczył jej płaski pakuneczek.

- Otwórz!

- Boję się - szepnęła i zauważył, że gdy odwijala papier i wyciągała małe pudełko obciążone ciemnozielonym aksamitem, drżały jej ręce. W środku na satynowej wyściółce leżała elegancka w swojej prostocie złota bransoletka wysadzana onyksami i kością słoniową. Rafaela była tak oszołomiona, że dopiero po chwili zauważyła, iż jest to komplet z kolczykami i pierścieniem. Włożyła klejnoty i podeszła do lustra z niepewną miną. Wszystko pasowało idealnie, nawet czarno-biały pierścionek był jak na miarę.

- To ty zwariowałaś, Alex! Jak mogłeś!...

Była jednak tak zachwycona, że nie potrafiła odmówić przyjęcia kosztownego prezentu.

- Kochanie, to jest śliczne!

Pocałowała go namiętnie prosto w usta, a Amanda z uśmiechem utkwiała wzrok w elektrycznej kolejce.

- Obejrzałaś dokładnie pierścionek? - zapytał Alex. - Coś jeszcze jest w środku.

Rafaela potrząsnęła głową i powoli zsunęła pierścionek z palca. Wewnątrz było coś wygrawerowane. Ze łzami w oczach przeczytała: „Nadejdzie pora”. Tylko tyle dwa

słowa. Alex popatrzył na nią wymownie. Nadejdzie pora, że będą razem, na zawsze. Ona będzie należała do niego, a on do niej.

Została u nich aż do trzeciej nad ranem, jeszcze godzinę po tym, jak Amanda położyła się do łóżka. To był naprawdę piękny wieczór, cudowne Boże Narodzenie. Kiedy leżeli obok siebie patrząc w ogień, Alex jeszcze raz szepnął jej do ucha:

- Nadejdzie pora, Rafaelo... nadejdzie pora.

Echo tych słów brzmiało jej w uszach, gdy skręciła w uliczkę przy domu i zniknęła w bramie.

## ROZDZIAŁ 19

- Tak, tak, moje dzieci. Jeśli nie umrę ze starości, na pewno zabije mnie łakomstwo. Zjadłam już chyba za dziesięciu.

Charlotta Brandon zmierzyła wzrokiem stół z wyrazem błędnego zmęczenia na twarzy. Pozostała trójka wyglądała podobnie. Na kolację zjedli całą górę smażonych krabów, a Rafaela właśnie zaparzyła kawę i nalewała ją do małych złoto-białych filiżanek. Były to jedne z nielicznych drobiazgów, których eks-żona Alexa nie zabrała do Nowego Jorku.

Rafaela postawiła filiżankę przy nakryciu matki Alexa i przy okazji obie wymieniły uśmiechy. Rozumiały się bez słów, dzieląc między siebie kogoś, kogo obie bezgranicznie kochały. Teraz łączyły je już nawet dwie takie osoby, gdyż obie uwielbiały również Amandę.

- Wcale nie mam ochoty o to pytać, ale... co słyhać u Kay? - rzucił Alex oschle.

Charlotta spojrzała na niego i na wnuczkę łagodnym wzrokiem.

- Myślę, że wciąż jest obrażona, że Amanda wyjechała, i nie sądzę, by zrezygnowała ze ściągnięcia jej z powrotem za wszelką cenę powiedziała.

Twarze Amandy i Alexa spochmurniały.

- Chyba nie będzie robiła nic szczególnego w tym kierunku, ale dopiero teraz zrozumiała, co straciła.

Od czterech tygodni, jakie upłynęły od wyjazdu z Nowego Jorku, Amanda nie miała od matki żadnej wiadomości.

- Na pewno jest zbyt zajęta, żeby podejmować jakieś kroki. Kampania wyborcza rozpoczęła się na dobre.

Alex tylko skinął głową, a Rafaela uśmiechnęła się smutno.

- Nie martw się tak, moja śliczna - powiedział do niej najłagodniej, jak potrafił. - Ta wiedźma ze Wschodniego Wybrzeża na pewno tu nie przyleci.

- Och, Alex!

Wybuchnęli śmiechem, Rafaela jednak nie mogła pozbyć się niemiłego uczucia,

które towarzyszyło jej, ilekroć mówili o Kay. Miała jakieś niejasne przeczucie, że Kay zrobiłaby wszystko, by usunąć przeszkody ze swej drogi, i gdyby tylko zechciała ich rozdzielić, uczyniłaby to bez wahania. Z tego też powodu oboje robili wszystko, aby się o tym nie dowiedziała, i trzymali swój związek w ścisłej tajemnicy. Nigdy nie pokazywali się razem publicznie, spotykali się wyłącznie w domu, a wiedziała o nich tylko Charlotta i oczywiście Amanda.

- Sądziysz, mamó, że Kay może wygrać wybory?

Alex spojrzał badawczo na matkę, zapalając cygaro. Palił niezmiernie rzadko i wyłącznie cienkie, długie, aromatyczne cygara kubańskie, które czasami dostawał od przyjaciela. Ten kupował je w Szwajcarii od innego starego przyjaciela, który sprowadzał je z Kuby.

- Raczej nie. Tym razem mierzy zbyt wysoko i nawet nie zdaje sobie sprawy z odpowiedzialności, jaką chce na siebie wziąć. Stara się zdobyć to ciężką pracą, wygłaszając przemówienia i zabiegając o poparcie wyborców i wpływowych polityków.

- Nie wykluczając mojego eks-teścia?

- Oczywiście.

- Niech Bóg ma ją w swojej opiece. Jest niemożliwa! Nie znam nikogo, kto miałby tyle pewności siebie i samozaparca.

Spojrzał na matkę i dodał:

- On jest naprawdę wpływowym politykiem i właśnie dlatego Kay była taka zła, jak się rozwodziłem z Rachel. Obawiała się, że stary będzie wściekły, i nie myliła się - uśmiechnął się rozbawiony. - Wściekł się jak wszyscy diabli! - rzekł z satysfakcją w głosie. - Czy ona widuje się z Rachel?

- Chyba tak - westchnęła Charlotta.

Wiedziała, że jej córki nic nie jest w stanie powstrzymać. Alex wziął Rafaelę za rękę.

- Widzisz, z jakiej ciekawej rodziny pochodzę? A sądziłaś, że tylko twój ojciec jest cokolwiek dziwny. Gdybyś poznała któregoś z moich kuzynów lub wujków, przekonałabyś się, jaki to dom wariatów. O Boże, przynajmniej połowa z nich to psychiczni!



Charlotta roześmiała się serdecznie, a Amanda zniknęła w kuchni i zabrała się za zmywanie. Alex zorientował się po chwili, że coś tu nie gra, uniósł brwi i zapytał Rafaelę:

- Co jej się stało?

- Myślę, że denerwują ją rozmowy o matce. Pewno przypominają się jej wszystkie złe przeżycia - szepnęła.

Charlotta zasępiła się, o czymś pomyślała, i w końcu zdecydowała się obwieścić im nowinę.

Kochani, przykro mi to mówić, ale Kay powiedziała, że postara się przyjechać tu pod koniec tygodnia. Chce zobaczyć się w święta z Amandą.

- Niech to szlag trafi! - mruknął Alex i zirytowany opadł na krzesło. - Dlaczego właśnie teraz? Czego ona, u diabła, chce?

Matka spojrzała na niego wymownie.

- Amandy. A co myślałeś? Wie dobrze, że to popsuje jej reputację. Ludzie gotowi przecież pomyśleć, że ma coś do ukrycia... Że może jej córka jest w ciąży albo popadła w narkomanię...

- O Boże!... - jęknął Alex.

Rafaela wyszła do kuchni, by pomóc Amandzie w zmywaniu i zająć ją rozmową. Zauważyła, że jest bardzo przygnębiona, objęła ją więc ramieniem. Uznała, że musi podzielić się z nią wiadomością, musi ją przygotować...

- Amando, twoja matka się tu wybiera.

- Kiedy? - oczy dziewczyny rozszerzyło przerażenie. - Po co? Przecież nie może mnie stąd zabrać. Nie chcę... nie... ona nie może... - rozplakała się i przywarła do Rafaeli.

- Nie będziesz musiała wyjeżdżać, ale musisz się z nią spotkać.

- Nie chcę.

- Przecież to twoja matka.

- Niezupełnie - odpowiedziała tak chłodno, że Rafaela aż zaniemówiła z wrażenia.

- Amando!

- Tak, dokładnie to chciałam powiedzieć. To, że mnie urodziła, wcale nie znaczy,

że jest moją matką. Matka kocha swoje dziecko, troszczy się o nie, jest z nim, kiedy zachoruje, sprawia mu radość, jest dla niego przyjacielem... Matkę obchodzi coś więcej niż tylko zdobywanie głosów i wygrywanie wyborów. Ty, Rafaelo, jesteś mi bardziej matką, niż ona była kiedykolwiek.

To wyznanie poruszyło Rafaelę do głębi. Nigdy nie chciała wchodzić pomiędzy Amandę i jej matkę, starała się zawsze na to uważać. Nie mogła być przecież ani dla niej, ani dla Alexa nikim innym jak tylko niewidzialnym towarzyszem życia. Nie miała prawa próbować zająć miejsce Kay.

- To nie fair wobec niej, Amando.

- Nie? Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak często ją widuję? Czy wiesz, kiedy ją widuję?! Wtedy, gdy jakaś gazeta chce ją sfotografować w domu, gdy idzie się spotkać z jakąś durną grupą młodzieży i potrzebuje mnie jako przyzwoitki, gdy pasuję jej do sukienki... Tak, wtedy ją widuję. - Na koniec dodała z pełną determinacją: - A czy chociaż raz do mnie zadzwoniła?

Rafaela знаła odpowiedź.

- A czy ty tego chciałaś?

- Nie, nie chciałam - przyznała szczerze Amanda.

- Może domyślała się tego?

- Kiedy jest jej to na rękę, potrafi być bardzo domyślna - rzuciła Amanda i ze złością odwróciła się na pięcie. W tej chwili nie była już młodą, wrażliwą kobietką, lecz po prostu rozszluszczonym dzieckiem. - Zresztą ty i tak tego nie zrozumiesz.

- Na pewno zrozumieć - odparła z przekonaniem Rafaela. - Wiem, że nie jest kobietą, z którą łatwo żyć, ale...

- Nie o to chodzi - przerwała Amanda i spojrzała na nią oczyma pełnymi łez. - Nie chodzi mi o to, że ona jest trudna, tylko o to, że ja zupełnie jej nie obchodzę. Nigdy się mną nie przejmowała.

- Tego nie możesz być pewna - powiedziała cicho Rafaela. - Nigdy nie wiesz, co inna osoba czuje w głębi serca. Może zależy jej na tobie bardziej, niż przypuszczasz.

- Na pewno nie - odparła patrząc ponuro.

Rafaela ze współczuciem przygarnęła ją ramieniem.

- Kocham cię, skarbie. Alex też cię kocha i babcia... Wszyscy cię kochamy.

Amanda skinęła głową, z trudem hamując łzy.

- Chciałabym, żeby nie przyjechała.

- Dlaczego? Przecież nic ci nie zrobi. Jesteś tu bezpieczna.

- Wiem, ale boję się jej. Na pewno będzie chciała mnie stąd zabrać.

- Nie zabierze cię wbrew twojej woli. Jesteś już prawie dorosła i nie może cię zmusić, żebyś mieszkała tam, gdzie nie chcesz. Zresztą Alex nie dopuści do tego.

Amanda smutno skinęła głową.

Kiedy znalazła się sama w swojej sypialni, wybuchnęła płaczem. Perspektywa spotkania z matką przerażała ją.

Nazajutrz gdy Alex wyszedł do biura, usiadła przy oknie i martwo wpatrywała się w kłęby mgły spiętrzone nad zatoką jak zwiastuny nadchodzącego nieszczęścia. Nagle uświadomiła sobie, że powinna coś zrobić jeszcze przed przyjazdem matki.

Odnalezienie jej przez telefon trwało ponad pół godziny. W końcu usłyszała jej głos niechętny i niecierpliwy.

- Czemu mam zawdzięczać ten zaszczyt, Amando? Od miesiąca nie miałam od ciebie wieści.

Amanda pohamowała się i nie powiedziała matce, że ona też nie dzwoniła i nie pisała.

- Babcia mówiła, że przyjedziesz.

- Tak, zgadza się.

- Po co? - Głos Amandy drżał. - To znaczy...

- Przyjeżdżam, Amando - odparła Kay lodowatym tonem. - Chyba że masz jakieś powody, aby nie życzyć sobie moich odwiedzin.

- Nie musisz przyjeżdżać. U mnie wszystko w po rządku.

- To dobrze, ale chciałabym osobiście sprawdzić.

- A po co? Do diabła, po co? - Amanda rozplakała się. - Wcale nie chcę, żebyś przyjeżdżała.

- Jesteś naprawdę czarująca. Miło mi wiedzieć, jak potrafisz się cieszyć.

- Ja wcale nie myślę, że...

- Że co?

- A, już nic - szepnęła Amanda ledwie słyszalnym szeptem. - Po prostu boję się, że znów przypomni mi się Nowy Jork. Samotność, brak jakiegokolwiek zainteresowania ze strony rodziców, puste mieszkanie. Święto Dziękczynienia spędzone w pojedynkę, a potem gwałt...

- Nie bądź dziecinna. Przecież nie będę cię namawiać, żebyś wróciła do Nowego Jorku. Po prostu chcę cię zobaczyć. Dlaczego miałabym ci przypominać Nowy Jork?

- Nie wiem, ale będziesz.

- Nonsens. Muszę zobaczyć, jak się czujesz. Twój wujek nie informuje mnie o niczym.

- Jest zajęty.

- Naprawdę? Od kiedy? - jej głos ożywił się, a Amanda zadrżała.

- Zawsze był zajęty.

- Nie zawsze, moja droga. Odkąd stracił Rachel, nie cierpi chyba na nadmiar obowiązków.

- Nie bądź wredna, mamó.

- Przestań! Nie wolno ci mówić do mnie w ten sposób. Jesteś tak zaślepiona, że nawet nie zauważasz, że twój wujek też nie jest doskonały. Nie dziwię się, że tak bardzo zależy mu na twojej obecności. Cóż innego mógłby mieć do roboty, niż zajmować się tobą? Rachel mówiła, że jest próżny, zamknięty w sobie i w ogóle nie ma przyjaciół. Teraz w końcu ma przynajmniej ciebie.

- To obrzydliwe, co mówisz - oburzyła się Amanda. Jej dyskusje z matką zawsze wyglądały podobnie. - Wujek ma świetną firmę prawniczą, ciężko pracuje i jego życie wcale nie jest puste.

- Co ty możesz o tym wiedzieć!... - skomentowała Kay, lecz jej głos zabrzmiał podejrzliwie.

- Ależ, mamó...

- A co? - spytała prowokująco. - Co by było, gdybyś wyjechała? Znowu zostałby sam. Nie dziwię się, że tak bardzo zależy mu na twoim towarzystwie.

- Jesteś okropna. Wujek ma przyjaciółkę, wspaniałą kobietę, która jest warta dziesięć razy więcej niż ty i jest dla mnie lepsza niż ty, moja matka!

- Doprawdy?

Kay była wyraźnie zaintrygowana. Amanda przeraziła się. Nie powinna była mówić tego matce, nie mogła jednak znieść pomówień, których wysłuchiwała. Tego było naprawdę za wiele.

- Co to za jedna?

- Nikt z twojej działki.

- Czyżby? Obawiam się, że nie masz racji. Czy ona z wami mieszka?

- Nie - odparła nerwowo Amanda - nie mieszka.

O Boże, co ja najlepszego zrobiłam? Instynktownie czuła, że postąpiła głupio i nieodpowiedzialnie. Nagle zaczęła się obawiać nie tylko o siebie, ale także o Rafaelę i Alexa.

- Zresztą to nie ma znaczenia i w ogóle nie wiem, po co ci o tym mówiłam.

- Jak to po co? Czyżby to była tajemnica?

- Oczywiście, że nie. Przestań mnie już dręczyć. Jeśli chcesz, spytaj Alexa.

- Na pewno spytam o wszystko, jak przyjadę. Muszę przecież wiedzieć, co się dzieje odpowiedziała.

I dotrzymała słowa. Następnego dnia o wpół do dziewiątej wieczorem nie spodziewanie zadźwięczał dzwonek u drzwi. Alex zbiegł na dół próbując odgadnąć, kto mógł się do nich wybrać o tak późnej porze.

Rafaela siedziała w kuchni, gawędząc przy herbacie i ciastkach z Amandą i Charlottą. Żadna z nich nie przeczuwała nadciągającej burzy. Nagle ujrzały w drzwiach matkę Amandy, która przyglądała im się z nie skrywanym zainteresowaniem. Miała starannie ułożone rude włosy, a ubrana była w czarny moherowy płaszcz i podobną spódnicę. Wyglądała jak prawdziwa kobieta-polityk. Miała poważną minę i sprawiała jednocześnie wrażenie profesjonalnej i kobiecej. Rafaelę najbardziej zaintrygowało

jednak jej przenikliwe spojrzenie.

- Dobry wieczór, pani Willard - powiedziała i z gracją wyciągnęła rękę na powitanie.

Kay najpierw cmoknęła matkę w policzek i dopiero potem odpowiedziała na jej gest. Odnosiła wrażenie, że skądś zna tę twarz przypominającą perfekcyjnie wyrzeźbioną kameę. Tak, na pewno ją gdzieś widziała, choć chyba nigdy się osobiście nie spotkały. Może oglądała jej zdjęcie? Musiała ją widzieć!... Idąc w kierunku córki gorączkowo starała się przypomnieć sobie gdzie.

Amanda stała nieruchomo. Nikt nie wiedział, że rozmawiała z matką. Nie miała odwagi przyznać się, że zdradziła jej sekret o Rafaeli.

- Amando? - matka spojrzała na nią pytająco, jakby czekała na powitanie.

- Cześć, mamó - Z ociąganiem podeszła do niej na odległość kroku i zatrzymała się niepewnie. - Wyglądasz doskonale.

Kay pocałowała ją zdawkowo w czoło i rzuciła jej obojętne spojrzenie. Wcale nie kryła, że Rafaela jest dla niej o wiele bardziej interesująca niż ktokolwiek inny z obecnych. Tym bardziej że szlachetność i elegancja tej kobiety nie uszły jej uwagi.

- Napijesz się kawy?

Alex napełnił jej filiżankę. Rafaela ze wszystkich sił się pilnowała, by nie dać poznać, jak bardzo jest tu zadomowiona. W ciągu ostatniego miesiąca tak przywykła do roli pani domu, że teraz łatwo mogłaby się zdradzić. Siedziała więc spokojnie, starając się sprawiać wrażenie przypadkowego gościa.

Przez pół godziny prowadzili rozmowę o niczym, w końcu Rafaela na osobności zamieniła kilka słów z Alexem i przeprosiła wszystkich, oznajmiając, że musi już iść ze względu na późną porę, choć było dopiero kilka minut po dziesiątej. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Kay przystąpiła do ataku.

- Niezwykle interesujące - uśmiechnęła się złośliwie. - Co to za jedna?

- Przyjaciółka. Przecież ci ją przedstawiłem - rzucił z udaną obojętnością Alex nie zauważając rumieńca, który wypełził na twarz Amandy.

- Niezupełnie. Podałeś mi tylko jej imię. A nazwisko? Czy to może ktoś znany?

- A co cię to obchodzi? Czyżbyś poszukiwała tutaj sponsorów swojej kampanii?

Ona nie głosuje w tym kraju, Kay, dlatego oszczędź swoją energię na kogoś innego.

Matka Alexa spokojnie popijała kawę, obserwując ich z uwagą.

- Przeczucie mi podpowiada, że z jakiegoś powodu ona musi być trefna.

Sposób, w jaki to powiedziała, zirytował Alexa, który rzucił jej pełne wściekłości spojrzenie. Był na siebie zły, że nie mógł odprowadzić Rafaeli do domu, ale zgadzał się z nią, że należało zachować pozory. Im mniej wiedziała jego siostra, tym lepiej.

- Opowiadasz bzdury, Kay.

- Doprawdy?

Była w jego domu niewiele ponad godzinę i już do prowadzała go do szafu. Starał się tego nie okazywać, ale na próżno.

- Może zdradzisz mi tę wielką tajemnicę i wyjawisz jej nazwisko.

- Phillips. Jej mąż jest Amerykaninem.

- Jest rozwiedziona?

- Tak - skłamał. - Co jeszcze chcesz wiedzieć? Czy była karana? Jakie ma referencje zawodowe? Wykształcenie?

- A ma jakieś?

- A czy to ważne?

Ich spojrzenia spotkały się i oboje zrozumieli, że znowu rozpoczęli wojnę. Kay zastanawiała się tylko, o co tak naprawdę poszło tym razem. Zdążyła już zapomnieć o tym, jaki był naprawdę cel jej wizyty, i całe jej zainteresowanie zamiast na córce skupiło się na tajemniczej przyjaciółce brata.

- I czy to w ogóle twoja sprawa?

- Myślę, że tak. Kręci się koło mojej córki, więc muszę wiedzieć, kim jest.

Idealne wytłumaczenie. Macierzyństwo było dla niej parasolem ochronnym. Alex westchnął ciężko.

- Nigdy się nie zmienisz, Kay - mruknął.

- Ty też - odparła.

Dla żadnego z nich nie był to komplement.

- Wygląda na bardzo próżną - dodała, lecz Alex nie zareagował. - Czy ona pracuje?

- Nie - odpowiedział i natychmiast tego pożałował. Co ją to obchodzi? Przecież to nie jej sprawa i nie miała prawa o to pytać.

- Pewno wydaje ci się, że to takie kobiece.

- Nic mi się nie wydaje. To, czy pracuje, czy nie, to jej sprawa, nie moja. A tym bardziej nie twoja - podniósł do ust filiżankę i spojrzał znacząco. - Wydawało mi się, że przyjechałaś zobaczyć się z córką, więc zostawiam was same, choć w zasadzie nie jest miło zostawiać dziecko sam na sam z tobą. Mamo, może pójdziesz na górę ze swoją herbatą?

Charlotta Brandon zgodnie skinęła głową, spojrzała badawczo na córkę i wnuczkę i ruszyła za Alexem na górę. Zauważyła, że zanim doszli na piętro, odetchnął i rozluźnił się.

- Na miłość boską, mamo! Co ona sobie wyobraża? Przyjechała tutaj na przeszpiegi?

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Taka już jest, musi cię sprawdzić.

- Jest po prostu nieznośna.

Charlotta nie odpowiedziała, ale była wyraźnie zdenerwowana.

- Mam nadzieję, że nie zrobi krzywdy Amandzie. Widziałam, że bardzo się przestraszyła, gdy zobaczyła Kay.

- Wszyscyśmy się przestraszyli - zauważył Alex, patrząc w zamyśleniu na ogień.

Myślał o Rafaeli i bardzo żałował, że już poszła, choć wiedział, że postąpiła słusznie. Wobec zachowania Kay było to jedyne wyjście.

Minęła godzina, gdy usłyszał pukanie do drzwi gabinetu i weszła zapłakana Amanda. Z ciężkim westchnieniem osunęła się na krzesło.

- Jak poszło, skarbie? - zapytał gładząc ją po rękę.

- Jak zawsze do dupy - chlipnęła. - Już poszła. Powiedziała, że jutro zadzwoni.

- Nie mogę się doczekać - mruknął ponuro Alex i wyciągnął rękę, aby pogłodzić ją po włosach. - Nie daj się jej, kochanie. Wiesz przecież, jaka jest. Tutaj nie może ci nic



zrobić.

- Nie? - zachnęła się Amanda. - Właśnie mi powiedziała, że jeśli nie wrócę do domu do marca, powiadomi kogo trzeba, że jestem niezrównowazona psychicznie i uciekłam z domu.

- Dlaczego akurat do marca? - zapytał Alex.

Był wyraźnie zakłopotany, choć Amanda oczekiwała od niego znacznie więcej.

- Rozpocznie wtedy kampanię w college'ach i chce, żebym w niej uczestniczyła, żebym z nią jeździła. Wydaje się jej, że wszyscy pomyślą, że skoro dogaduje się z szesnastoletnią córką, to na pewno doskonale rozumie młodzież. Gdyby znali prawdę!... O Boże! Już bym wolała, żeby się zajął mną „kto trzeba”.

Wzrok miała poważny, dojrzały, jak człowiek dorosły.

- Alex, myślisz, że byłaby do tego zdolna?

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się. - Jak by to wyglądało w prasie? Na pewno z dwojga złego lepiej, żebyś już była tutaj.

- Nie pomyślałam o tym.

- I na to właśnie liczyła. Próbowала cię zastraszyć.

- Udało się jej - przyznała i pomyślała, że może lepiej by było powiedzieć mu teraz o tym, że rozmawiała z matką przez telefon i powiedziała jej o Rafaeli. Teraz jednak nie czuła się zdolna do takich wyznań, nie była też pewna, czy naprawdę ma to jeszcze jakieś znaczenie.

Tymczasem na wyznania było już za późno. A właściwie za późno stało się o piątej nad ranem, kiedy Kay obudziła się w swoim pokoju w hotelu Fairmont. Na Wschodnim Wybrzeżu była już ósma, pora, o której zawsze wstawiała. Obudziła się z przyzwyczajenia i uświadomiła sobie, że jest w San Francisco i że jest bardzo wcześnie. Leżała więc w łóżku i dumiała o Amandzie, o bracie... Nagle pomyślała o Rafaeli. Ciemne oczy, czarne włosy... ta twarz... I naraz jakby ktoś podsunął jej przed oczy fotografię przypomniawszy sobie. Tak, to ta sama twarz, którą widziała wczoraj wieczorem.

- O Boże! - krzyknęła i zerwała się z łóżka.

Przez chwilę wpatrywała się w ścianę przymrużonymi oczami, po czym z

powrotem opadła na pościel. To niemożliwe... niemożliwe... A jednak... Jej mąż na pewno przemawiał kiedyś przed specjalną komisją parlamentarną. To było dawno, na pewno teraz jest już stary, ale kiedyś należał do najbardziej liczących się finansistów w kraju. Pamiętała doskonale, że mieszkał w San Francisco. Rozmawiała z nim bardzo krótko, lecz została też przedstawiona jego uderzająco pięknej młodej żonie. Była jeszcze prawie dzieckiem, ale i Kay była wtedy bardzo młoda. Pamiętała, jakie wrażenie zrobiła na niej ta ciemnooka piękność, choć najbardziej intrygowała ją wtedy potęga jej męża.

John Henry Phillips... Phillips... Rafaela Phillips, eks-mężatka, jak powiedział Alex. Jeśli to prawda, na pewno warta jest zachodu. Rozwodząc się z Johnem Henrym Phillipsem musiała zostać milionerką. Czy rzeczywiście?... Czy rzeczywiście się z nim rozwiodła? Kay ogarnęły wątpliwości. Nigdy nie słyszała o rozwodzie Phillipsa.

Odczekała jeszcze godzinę i zadzwoniła do swojej sekretarki w Waszyngtonie. Była pewna, że nie powinna mieć kłopotów z uzyskaniem informacji. I nie myliła się sekretarka oddzwoniła już za pół godziny. Rozmawiała z wieloma dobrze poinformowanymi osobami i wszyscy twierdzili, że John Henry jeszcze żyje i na pewno się nie rozwiódł. Przez kilka lat był wdowcem, potem poślubił pewną Francuzkę o imieniu Rafaela, córkę francuskiego bankiera Antoine'a de Mornaya Malle'a. Jak twierdzili rozmówcy, kobieta powinna mieć w tej chwili około trzydziestu lat. Oboje mieszkają w domu, istnej twierdzy, na Zachodnim Wybrzeżu. Pan Phillips jest od kilku lat poważnie chory.

„A więc to tak...”, myślała Kay leżąc w ciemnym hotelowym pokoju w San Francisco.

## ROZDZIAŁ 20

- Czyś ty już zupełnie zwariował, nieobliczalny dupku? - Kay napadła na niego dosłownie w kilka sekund po tym, jak dotarł do biura.

- No, no, co za urocze powitanie!

Alex nie był w nastroju do rozmowy z siostrą, a w szczególności do tego rodzaju spektakli.

- Czy mogę zapytać, co konkretnego masz na myśli?

- Zamężną kobietę, z którą romansujesz.

- Powiedziałbym, że przyjęłaś wczoraj dwa śmiałe założenia. Tak chyba mam to rozumieć... - rzekł spokojnie, choć aż kipiał ze złości. Usiadł jednak i spokojnie patrzył na miotającą się Kay. W końcu uspokoiła się, podeszła do biurka i spojrzała nań przesywającym wzrokiem.

- Założenia? Może mi powiesz, że ta kobieta, którą wczoraj u ciebie spotkałam, to nie Rafaela Phillips, żona Johna Henry'ego Phillipsa? I że z nią nie romansujesz?

- Nic ci nie powiem - odparł zaskoczony trafnością informacji, jakie posiadała.

- Nie? I jej mężowi też nie?

- Ani jej mąż, ani ona, ani ja to nie twoja sprawa, Kay. Jedyne, co może cię tutaj obchodzić, to twoja córka. Tylko ona!

Wstał i spojrzał jej prosto w twarz. Wiedział, że ma o co walczyć. Straciła przez niego córkę, być może na zawsze, i obawiała się plotek w prasie. Żadna z tych okoliczności nie sprzyjała stworzeniu między nimi przyjaznej atmosfery. Chociaż jemu nie zależało na przyjaźni z Kay. Teraz chciał tylko sprawdzić, jak dużo Kay wie i od kogo dowiedziała się o Rafaeli.

- Może wyjaśnisz mi, o co dokładnie ci chodzi?

- O to, że dowiaduję się od mojej córki o jakiejś kobiecie, z którą jesteś związany i która, jak to Amanda określiła, jest warta „dziesięć razy więcej niż ja”. I o to, że ta kobieta jest mężatką. Chyba mam prawo wiedzieć, z kim styka się moja córka? Jestem jej matką, bez względu na to, co sobie o mnie myślisz. George też nie zamierza zgodzić się

na to, żebyś zatrzymywał ją u siebie, szczególnie teraz, kiedy wyszły na jaw twoje miłosne przygody. To również jego córka.

- Jestem zaskoczony, że jeszcze o tym pamięta.

- Wypchaj się!... Chodzi mi o to, kto się koło niej kręci. Tego chciałam się dowiedzieć przyjeżdżając tutaj.

- Czy uważasz, że pani Phillips to nieodpowiednie towarzystwo? - zapytał szyderczo.

- Nie o to chodzi, mój drogi. Chodzi o to, że dobierasz się do żony jednego z najbardziej wpływowych ludzi w tym kraju i jeśli ktoś się o tym dowie, będę spalona. I to nie z własnej winy, tylko z powodu powiązań, z powodu skandalu, który ty wywołasz. Nie pozwolę, żebyś zrujnował moją karierę polityczną z powodu jednej głupiej dupy.

Tego było już za wiele! Alex chwycił ją za ramię.

- Posłuchaj, ty polityczna dziwko! Ta kobieta jest warta nie dziesięć, lecz dziesięć tysięcy razy więcej niż ty. Jest damą w każdym calu, a mój związek z nią to nie twoja sprawa. A jeśli chodzi o twoją córkę, to Rafaela jest jej najlepszą przyjaciółką, tak samo jak moja. Będę robił to, co uważam za słuszne. A tobie nic do tego. Gównu mnie obchodzi twoja kariera polityczna. Nigdy mnie nie obchodziła. Ty byś oczywiście wołała, żebym został z Rachel, to by ci pasowało. A gównu, wielka siostrzyczko, gównu!... Nie zostałem z nią i nie zamierzam do niej wrócić. To prawie taka sama dziwka jak ty. Kobieta, z którą się teraz związałem, jest osobą wyjątkową. Owszem, ma męża. Starego, schorowanego, blisko osiemdziesiątki. Na pewno wkrótce umrze i wtedy się z nią ożenię. Ożenię się z kobietą, którą spotkałaś wczoraj u mnie, bez względu na to, czy ci to odpowiada, czy nie.

- Wspaniale, Alex, cudownie! I jak płynnie!

Próbowała wyrwać się z jego żelaznego uścisku, ale nie puszczał. Zacisnął palce jeszcze mocniej, a jego oczy nabrały jeszcze surowszego wyrazu.

- Ten człowiek na razie żyje i jeśli ktokolwiek się dowie o twoim romansie z jego żoną, będzie to największy skandal w kraju.

- Wątpię. I nie obchodzi mnie to, Kay. Obchodzi mnie tylko Rafaela.

- Powinieneś wreszcie zacząć myśleć - rzuciła mu wściekłe spojrzenie. - Bo inaczej osobiście się tym zajmę.

- I popełnisz polityczne samobójstwo? - Roześmiał się gorzko i uwolnił z uścisku jej ramię. - Wcale mnie to nie martwi.

- Może jednak powinno. Może postanowię się tym zająć i sama pójde do tego starca. I o wszystkim mu powiem.

- Nie dostaniesz się do niego.

- Nie bądź taki pewny. Jeśli zechcę, na pewno się dostanę. Do niego lub do niej. Patrzyła wyzywająco na Alexa, który z całych sił hamował się, by nie uderzyć jej w twarz.

- Natychmiast wyjdź z mojego biura!

- Z przyjemnością.

Skierowała się ku drzwiom.

- Ale gdybym była na twoim miejscu, pomyślałabym dwa razy, zanim bym coś zrobiła. Grasz o dużą stawkę, ale nie wygrasz, gdybym ja miała za to zapłacić. Zbyt wiele już zrobiłam, żeby wygrać te wybory, i nie mogę pozwolić, żebyś mi pokrzyżował plany. Nie będziesz się zabawiał z tą francuską kurewką!

- Wynoś się stąd! - wrzasnął Alex, a gdy przystanąła, znów chwycił ją za ramię i pchnął ku drzwiom, otwierając je z hukiem. - I trzymaj się od nas z daleka. Od nas wszystkich! Niech cię piekło pochłonie!... Jesteś zwykłym śmieciem!

- Do widzenia, Alex - powiedziała i spojrzała mu w oczy. - I pamiętaj, co powiedziałam. Pójde do niego, jeśli będę musiała. Pamiętaj!

- Wynoś się - rzekł spokojnie, lecz stanowczo.

Kay obróciła się na pięcie i wyszła. Gdy Alex usiadł za biurkiem, poczuł, że cały drży. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę kogoś zabić. Miał ochotę udusić ją za każde słowo. Świadomość, że to jego rodzona siostra, napawała go obrzydzeniem. Nagle pomyślał o Amandzie i zaniepokoił się. Kay mogła teraz próbować zmusić ją do powrotu do Nowego Jorku. Przez pół godziny bił się z myślami, w końcu powiedział sekretarce, że wychodzi na cały dzień.

Dokładnie w chwili kiedy Alex wychodził z biura, w domu Rafaeli zadzwonił telefon. Rafaela podniosła słuchawkę, a gdy usłyszała, kto mówi, zachmurzyła się. Telefonowała Kay.

- Nie, nic się nie stało. Pomyślałam tylko, że mogłybyśmy wypić razem kawę. Czy mogłabym wstąpić po drodze, jak będę szła do Amandy?

Rafaela zbladła.

- Obawiam się, że nie... U mnie w domu... - już miała powiedzieć, że jej mąż jest ciężko chory, ale się pohamowała.- Jest u mnie matka i nie najlepiej się dzisiaj czuje.

Skąd Kay wzięła jej numer telefonu? Od Alexa? Od Amandy? Charlotty? Twarz Rafaeli jeszcze bardziej spochmurniała.

- Ach, tak? To może spotkamy się gdzieś w mieście?

Rafaela zaproponowała bar w Fairmont. Spotkały się tam w porze lunchu. Zamówiły drinki, lecz Kay nie czekała z wyjaśnieniem celu spotkania, aż kelner je przyniesie. Nie owijała też niczego w bawełnę.

- Chcę, żeby przestała się pani widywać z moim bratem, pani Phillips.

Rafaela była równie zaskoczona, jak urzeczona pewnością siebie rozmówczynie.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Chce pani wiedzieć dlaczego? Bo jest pani zamężna, jest pani żoną bardzo wpływowego człowieka. Jeśli pani związek z Alexem wyjdzie na jaw, wybuchnie skandal. I dotknie nas wszystkich, prawda?

Po raz pierwszy Rafaela odczuła na własnej skórze, do czego jest zdolna Kay, i poczuła do niej głębokie obrzydzenie.

- Domyślam się, że skandal dotknąłby głównie panią, tak? - zauważyła uprzejmie z wymuszonym uśmiechem.

- Myślę, że jeszcze bardziej ucierpiałaby na tym pani. Wyobrażam sobie, jak by zareagował na taką wiadomość pani mąż i pani rodzina w Europie.

Rafaela przez chwilę milczała, próbując wyrównać oddech. Gdy kelner podał drinki i oddalił się, powiedziała:

- Nie byłabym tym zachwycona.

Ich badawcze spojrzenia spotkały się.

- Nie przyszło mi to łatwo i na początku wcale nie chciałam się angażować w związek z Alexem, zarówno ze względu na niego, jak i na mnie. Niewiele mu mogę dać, mam zobowiązania wobec męża, a on jest w tej chwili bardzo chory. - Jej głos był cichy i pełen smutku, a oczy przepełnione łzami. - Ale Kocham pani brata. Bardzo Kocham. Kocham też mojego męża, ale... - westchnęła.

Wyglądała teraz niezwykle europejsko, pięknie, jak nigdy dotąd. Emanowała z niej moc, lecz równocześnie była delikatna i krucha. Kay nienawidziła jej w tej chwili z całego serca. Nienawidziła jej za wszystko to, czym się od niej różniła i w czym nigdy nie mogłaby jej dorównać.

- Nie potrafię wyjaśnić, jak to się stało i dlaczego. Po prostu tak się stało. I oboje z Alexem staramy się radzić sobie z tym najlepiej, jak potrafimy. Mogę panią zapewnić, że jesteśmy bardzo dyskretni i nikt się o tym nie dowie.

- Bzdura!... Już wie moja matka, wie Amanda... Każdy może się dowiedzieć. Nie ma pani na to żadnego wpływu. To jest igranie z ogniem, zabawa z bombą atomową. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Czy mam rozumieć, że żąda pani, abyśmy się rozstali?

Rafaela była już zniecierpliwiona i zmęczona tą rozmową. Co za okropna, samolubna kobieta! Amanda miała rację: ona potrafi myśleć tylko o sobie.

- Tak, tego właśnie oczekuję. Jeśli Alex nie ma na tyle silnej woli, oczekuję tego od pani. Musicie z tym skończyć. Nie tylko ze względu na mnie, ale i ze względu na panią. Pani oczywiście nie potrafi się do tego przyznać, ale jeśli będę zmuszona, powiem o wszystkim pani mężowi.

Rafaela spojrzała na nią z przerażeniem.

- Pani chyba oszalała!... On jest sparaliżowany, przykuty do wózka inwalidzkiego, pod stałą opieką pielęgniarek. Czy powiedziałaaby mu pani o czymś takim? Zabiłaby go pani!

Rafaela była oburzona, że Kay miała czelność choćby pomyśleć o czymś takim, lecz podświadomie czuła, że ta kobieta jest zdolna do wszystkiego.

- Powinna była pani wcześniej o tym pomyśleć. Gdyby ta wiadomość miała go zabić, to tak jakby zginął z pani ręki. Od pani teraz zależy, czy to się skończy, zanim wyjdzie na jaw. Niech pani pomyśli, co pani robi mojemu bratu. On chce mieć dzieci, potrzebuje żony, jest taki samotny. A co pani może mu dać? Od czasu do czasu kilka godzin, gruszki na wierzbie. Przecież pani mąż może żyć jeszcze przez dziesięć czy piętnaście lat. I to chce pani zaoferować Alexowi?... Potajemny romans przez następne dziesięć lat? I śmie pani twierdzić, że go pani kocha? Gdyby go pani kochała, pozwoliłaby mu odejść. Nie ma pani prawa czepiać się go i rujnować mu życia.

To, co teraz powiedziała, zraniło Rafaelę do głębi, choć była świadoma, że Kay nie idzie o Alexa, lecz o własne interesy.

- Nie wiem, co pani powiedzieć, pani Willard. Nigdy nie miałam zamiaru skrzywdzić pani brata...

- To niech go pani nie krzywdzi.

Rafaela machinalnie skinęła głową. Kay wpisała na rachunku swoje nazwisko i numer pokoju, po czym wstała.

- Myślę, że na tym skończyłyśmy nasze wspólne interesy, prawda?

Rafaela jeszcze raz skinęła głową i wyszła bez słowa. Mijając portiera przyśpieszyła kroku, by nie zauważył łez napływających jej do oczu.

Tego ranka Kay udała się jeszcze na spotkanie z córką. Gdy przyszła, Alex był już w domu i razem z Amandą siedział w swoim gabinecie, nie mogła więc ot, tak zabrać jej ze sobą. Jej zainteresowanie córką zmalało jednak wyraźnie od ubiegłego wieczoru, zdecydowała zatem, że musi natychmiast wracać do Waszyngtonu.

Przypomniała jej tylko jeszcze raz o marcowym terminie, pożegnała się chłodno z Alexem i powiedziała matce, że spotkają się w Nowym Jorku.

Charlotta miała wyjechać następnego dnia po południu.

Gdy Kay odjechała wynajętym samochodem, w domu zapanowała ulga. Uczucie to zaczęło jednak powoli blednąć, gdy po południu Rafaela nie zatelefonowała jak zwykle. Alex odgadł, co się stało, i szybko wykręcił jej numer.

- Przepraszam, byłam zajęta... Nie mogłam zadzwonić... bo...



Teraz już był pewny, poznał to po tonie jej głosu.

- Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Obawiam się, że... - próbowała mówić normalnie, lecz po policzkach spływały jej łzy.

- Wybacz, Rafaelo, ale muszę się z tobą spotkać... Chodzi o Amandę...

- O Boże, co się stało?

- Nie mogę ci powiedzieć przez telefon, musimy się spotkać.

Dwadzieścia minut później była już u niego. Alex zaczął od gorących przeprosin za drobne oszustwo, którego się dopuścił. Wiedział, że jeżeli nie zmusi jej, aby przyszła natychmiast, później może być za późno. A za nic nie chciał jej stracić. Opowiedział o wszystkim, co zaszło między nim a Kay, i przekonał ją, by zrobiła to samo. Rafaela wyjawiała mu, o czym rozmawiała z Kay w barze w Fairmont.

- I ty jej wierzysz? Naprawdę uważasz, że mnie wykorzystujesz? Mój Boże, chyba nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak z tobą.

- Jak sądzisz, czy ona jest do tego zdolna? - zapytała Rafaela, bo myśl o tym, że Kay może zechcieć niepokoić Johna, nie dawała jej spokoju.

- Raczej nie. To kanalia, ale nie jest głupia. Zresztą chyba nie zdołałaby dotrzeć do niego.

- Wiesz przecież, że to by jej nie sprawiło kłopotu. Ja nie sprawdzam jego korespondencji. Sekretarki przynoszą mu pocztę.

- Na Boga, chybaby nie napisała o tym w liście! Zbyt obawia się o własną skórę.

- Mam nadzieję, że tak jest...

Rafaela westchnęła ciężko i skryła się w jego ramionach.

- Boże, co za niezwykła kobieta!

- Ty jesteś niezwykła - szepnął Alex i spojrzał na nią czule. - Spróbujmy zapomnieć o wszystkim, co zaszło przez te dwa dni.

- Chciałabym, Alex, ale nie wiem, czy naprawdę powinniśmy. Nie wiadomo przecież, czy to tylko czcze pogrożki, czy coś więcej.

- Moja siostra nie dba o nic innego poza własną karierą. Zależy jej tylko na tym, aby nas rozdzielić, bo to dla niej przeszkoda. Może robić różne rzeczy, ale nie będzie

szkodzić sobie. Wierz mi, kochanie, znam ją i wiem, że nie zrobi nic, co mogłoby jej zaszkodzić powiedział z przekonaniem, Rafaela jednak nie podzielała jego pewności.

Zarówno ona, jak Alex i Amanda ochłonęli po tym wszystkim, jednakże echo pogróżek Kay długo jeszcze brzmiało w uszach Rafaeli. Miała tylko nadzieję, że Alex nie mylił się co do zamiarów siostry.

## ROZDZIAŁ 21

- Amando? - zawołała Rafaela, zamknawszy za sobą drzwi.

Była czwarta po południu, pora powrotu Amandy ze szkoły. W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy dziewczyna mieszkała u Alexa, Rafaela zaglądała do nich już po południu, przed jej powrotem. Sprzątała dom, przygotowywała podwieczorek i czekała w ogrodzie na Amandę, wylegując się w słońcu. Często prowadziły długie rozmowy o wszystkim, co wydawało się im ważne, czasami Mandy opowiadała zabawne historyjki o Aleksie, innym razem Rafaela pokazała jej pierwszą wersję książki dla dzieci, nad którą pracowała od pięciu miesięcy, czyli od Bożego Narodzenia. Spodziewała się ukończyć ją w lipcu, tuż przed wyjazdem do Hiszpanii.

Tym razem nie przyniosła jednak manuskryptu, lecz egzemplarz „Time'a”. Na okładce było zdjęcie Kay Willard, a pod spodem napis: „Biały Dom 1992?... 1996?... 2000?”

Przeczytała dokładnie cały artykuł i wzięła go ze sobą, by pokazać Amandzie. Jej popołudniowe wizyty w domu przy Vallejo stały się powoli regułą i Mandy czekała na nią codziennie. Rafaela przychodziła zwykle podczas poobiedniej sjeisty Johna. Sypiał coraz dłużej, tak że ostatnio trzeba już było go budzić o szóstej na kolację.

- Amando? - zawołała jeszcze raz i przystanęła.

Włosy miała upięte w zgrabny kok odpowiedni do słomkowego kapelusza, który włożyła na głowę, jej zgrabną sylwetkę podkreślał idealnie skrojony jasny Iniany kostium.

- Mandy? - zawołała znowu, bo wydało się jej, że słyszy jakieś odgłosy dobiegające z wyższych pięter.

Wreszcie znalazła Amandę na samej górze. Siedziała w swoim pokoju na wiklinowym krześle ze skrzyżowanymi nogami i brodą opartą na kolanach, smutno patrząc w okno.

- Amando?... Skarbie? - usiadła na brzegu łóżka, wciąż jeszcze trzymając w ręku magazyn i beżową torebkę z wężowej skóry. - Czy coś niedobrego w szkole? - wyciągnęła do niej rękę.

Amanda powoli odwróciła do niej głowę i natychmiast zauważyła gazetę.

- Widzę, że też już to czytałaś.

- Co? Artykuł o twojej matce?

Dziewczyna skinęła głową.

- I dlatego jesteś w takim złym humorze?

Jej zachowanie było naprawdę niezwykle, dotychczas bowiem zawsze z radością zbiegała po schodach, słysząc głos Rafaeli. Zazwyczaj była uśmiechnięta, radosna i rozgadana, zawsze chętnie opowiadała o wszystkim, co zdarzyło się w szkole. Tym razem tylko skinęła głową.

- Myślę, że jest nie najgorszy. Pominąwszy to, że ani jedno zdanie nie jest prawdziwe. Czytałaś o tym, że miałam w zimie ciężki wypadek samochodowy i że powoli przychodzę do siebie pod opieką wujka na Zachodnim Wybrzeżu, a matka przyjeżdża do mnie w każdej wolnej chwili? - posłała Rafaeli pełne bólu spojrzenie.

- Jestem naprawdę szczęśliwa, że nie była tu ani razu od Bożego Narodzenia.

Kay nie miała zresztą wyboru, ponieważ po jej wizycie w biurze Alex był zdecydowany wyrzucić ją, gdyby tylko zbliżyła się do jego domu. Wiedziała o tym i nawet nie próbowała. Po jakimś czasie przestała nawet telefonować.

- O Boże, Rafaelo, to podła suka. Nienawidzę jej!

- Nieprawda. Na pewno kiedyś będziecie się lepiej rozumiały - zaprotestowała Rafaela, choć nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym wyciągnęła do Amandy rękę.

- Może pójdziemy na spacer?

- Nie, nie mam ochoty.

- Dlaczego?

Mandy tylko wzruszyła ramionami. Była wyraźnie przygnębiona i Rafaela doskonale ją rozumiała. Ona też obawiała się Kay Willard. Dotąd nie odczuła następstw rozmowy z nią, lecz miała świadomość, że w każdej chwili mogło się coś stać. Ostatnie spotkanie Kay z Alexem było wyjątkowo nieprzyjemne, zgodziła się jednak w końcu, by Amanda została w San Francisco, dopóki zechce.

Ostatecznie po półgodzinie Rafaeli udało się namówić Amandę na spacer w ciepłym majowym słońcu. Szły razem pod rękę przez Union Street, zaglądając po drodze do wszystkich sklepów, potem zatrzymały się na mrożoną kawę w Coffee Cantata. Usiadły przy stoliku, kładąc obok torby wypełnione zakupami.

- Jak myślisz, czy Alexowi spodoba się plakat?

Rafaela uśmiechnęła się znad swojej kawy.

- Będzie zachwycony. Musimy mu go powiesić w gabinecie, zanim wróci z pracy.

Ogromny plakat przedstawiał dziewczynę na desce surfingowej na Hawajach i mógł podobać się chyba tylko nastolatce. Dla Rafaeli najważniejsze było jednak to, że zakupy choć na chwilę oderwały Amandę od rozmyślań o matce.

Wróciły do domu dopiero o wpół do piątej. Nadchodził czas, by zostawić Amandę samą. Rafaela uczyniła to bez entuzjazmu, lecz obiecała zaglądnać do nich jak zwykle wieczorem. Idąc do domu dumiała nad tym, jak bardzo zmieniło się jej życie w ciągu ostatnich kilku miesięcy, odkąd zaczęła je dzielić z Amandą i Alexem.

Był uroczy, pogodny wieczór, złote słoneczne refleksy odbijały się od wszystkich okien, niebo nabierało powoli ciemniejszej barwy. Była w połowie drogi do domu, gdy usłyszała za swoimi plecami dźwięk klaksonu. Odwróciła się i spostrzegła czarnego porsche'a. Za kierownicą siedział Alex. Przystanęła.

Patrzyli na siebie, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. Alex zjechał do krawężnika, zatrzymał samochód i przechylił się przez siedzenie obite czerwoną skórą.

- Może podwieźć szanowną panią? - uśmiechnął się szarmancko.

- Nie rozmawiam z obcymi - odparła i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, uśmiechając się tylko.

- Co u Amandy? - zapytał.

Amanda wkroczyła w ich życie i wypełniła ich myśli tak, jakby była ich najprawdziwszą córką.

- Widziała artykuł w „Timie”?

Rafaela kiwnęła głową i podeszła do samochodu. Z jej twarzy zniknął uśmiech.

- Uciekła ze szkoły do domu. Nie wiem, co jej powiedzieć. Coraz gorzej reaguje

na matkę.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego zatroskana, a on skinął głową ze zrozumieniem.

- Co jej powiemy o lipcu?

- Na razie nic, może kiedy indziej o tym porozmawiamy.

- Kiedy?

- Na przykład w czerwcu.

Alex był również zmartwiony.

- A co będzie, jeśli nie zechce?

- Będzie musiała, przynajmniej ten jeden raz - westchnął. - Za rok skończy osiemnaście lat i wtedy będziemy mogli przestać się przejmować humorami Kay. Gdybyśmy wnieśli teraz sprawę do sądu, nikomu by to nie wyszło na dobre. Jeśli Mandy zniesie jakoś przynajmniej tę jedną wizytę, będziemy mieli spokój na dłuższy czas. Pomyśl: skoro te cholerne wybory są w tym roku i Kay, chociaż jest przekonana, że Amanda istotnie pomogłaby jej wygrać, nie zabrała jej siłą do domu, to chyba zdarzył się cud. Myślę, że powinniśmy nauczyć się cieszyć z drobnych wygranych.

Rafaela popatrzyła mu w oczy.

- Przecież Mandy nie zostałaby u matki, nawet gdyby Kay siłą zabrała ją do siebie.

- Dlatego nie próbowała. Niestety, jeśli chodzi o lato, chyba nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Po prostu będzie musiała pojechać.

Rafaela ze zrozumieniem skinęła głową. Pogodzili się z tym już przed miesiącem Amanda musi pojechać do matki przed świętem Czwartego Lipca i spędzić z nią miesiąc w ich letnim domu na Long Island. Potem na cały sierpień pojedzie z babcią do Europy, a w jesieni wróci do szkoły w San Francisco.

Alex był zdania, że uzyskanie zgody Kay na jej powrót do San Francisco należy poczytywać za sukces, lecz przypuszczał, że Amanda nie będzie zachwycona perspektywą wyjazdu do domu. Podejrzewał nawet, że mogą mieć poważne trudności z przekonaniem jej do tego.

Skontaktował się z jej psychologiem. Psycholog stwierdził, że Amanda powinna wytrzymać konfrontację z matką, i przyznał, że skutki szoku, jakiego doznała w wyniku gwałtu, już ustąpiły. Wiedzieli, że nie ma wyjścia będzie musiała zgodzić się na krótki pobyt z George'em i Kay. Rafaela miała polecieć z nią do Nowego Jorku. Planowała spędzić tam jedną noc w Carlyle'u, potem udać się na tydzień do Paryża, a następnie na dwa tygodnie do Hiszpanii. Była to jej doroczna obowiązkowa pielgrzymka do rodziców i do domu w Santa Eugenia. Tym razem miała ona jednak dla niej szczególne znaczenie: zamierzała ukończyć książkę dla dzieci i pochwalić się nią swoim małym krewnym.

Planowała tłumaczyć im opowiadania na hiszpański, jak robiła zwykle, gdy przywoziła im książki kupione w Stanach. Ten rok był więc szczególnie ważny, bo przywoziła im swoje własne opowiadania. Jeśli spodobają się im, skontaktuje się z agentem Charlotty i sprawdzi, jak będą sprzedawać się w jesieni.

Gdy podniosła wzrok na Alexa, zauważyła, że uśmiecha się do niej.

- Co cię tak bawi?

- My. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, w jego oczach pojawiła się czułość. - Tak ładnie rozmawiamy o naszej nastoletniej córce... - Zawahał się, po czym wskazał na puste siedzenie: - Może wsiądziesz na minutkę?

Zerknęła na zegarek i rozglądnęła się, czy nie ma w pobliżu kogoś, kto ją zna.

- Powinam już iść do domu...

Chciała być z Johnem, gdy jak zwykle o szóstej służąca obudzi go i poda tacę z kolacją.

- Nie chcę cię zmuszać... - zaznaczył Alex.

Spojrzała na niego, na jego łagodne oczy, szlachetną twarz... Tak dawno nie byli ze sobą sam na sam!... Amanda towarzyszyła im niemal wszędzie, a gdy o północy szła na górę do swojej sypialni, mieli już tylko kilka chwil dla siebie. Potem Rafaela wracała do domu.

- Z przyjemnością dam się zmusić - odparła.

- Mamy chwilkę na małą przejażdżkę?

Skinęła głową, choć czuła się jak wagarowiczka i oszustka. Alex szybko uruchomił

silnik i ostro ruszył w dół, w kierunku potoku aut na Lombard Street. Przemknął obok otoczonych drzewami twierdz przy Presidio i zjechał w dół, nad zatokę. Zatrzymali się przy niewielkiej starej fortyfikacji przy Złoty Wrotach, opodal Fort Point. Nad nimi na moście dudniły samochody mknące w kierunku Marin County, na wodzie kołysały się żaglówki. W przystani stała łódź i kilka motorówek, a chłodna bryza rozwiewała im włosy.

Rafaela zdjęła słomkowy kapelusz i potrząsnęła głową.

- Może wysiadzimy?

Alex pocałował ją w policzek. Skinęła głową.

Szli obok siebie, oboje wysocy, czarnowłosi, trzymając się za ręce. Patrzyli na zatokę. Rafaela po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna poczuła się młoda i wolna.

Już tyle miesięcy przeżyli wspólnie, przyzwyczaili się do siebie, spędzili razem tyle nocy szepcząc przy kominku, kochając się, krzając w kuchni przy porannych omletach, kanapkach i mlecznych koktajlach.

Mieli tak dużo i tak mało... tyle marzeń... tak niewiele czasu, tak ogromną nadzieję.

Stali obok siebie patrząc na ostatnie promyki słońca spowijające zacumowane łodzie. Naraz Rafaela odwróciła się do Alexa, spojrzała nań i zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek będą mogli mieć więcej niż tylko kilka minut czy godzin przed wschodem słońca, wykradanych potajemnie.

Nawet ich wspólna córka była tylko pożyczona. Jeszcze rok, może ciut dłużej, i ona też odejdzie. Już się zastanawiała, gdzie będzie studiować, oni zaś martwili się, że ją stracą, i modlili się, by została z nimi jak najdłużej.

- O czym tak dumasz, Rafaelo?

Alex troskliwie odgarnął jej włosy spadające na oczy.

- O Amandzie... - zawahała się, po czym pocałowała palce, które delikatnie dotknęły jej ust. - Szkoda, że nie jest naszą córką.

- Szkoda - zgodził się Alex.

Miał ochotę jej powiedzieć, że kiedyś, może za kilka lat, będą mieli własne dzieci, ale powstrzymał się, gdyż wiedział, jak bardzo przeżywa brak potomstwa. Ten temat



ciągle powracał w rozmowach i Rafaela bez ustanku się obwiniała, że przez nią Alex nie poślubił innej kobiety, z którą mógłby mieć własne dzieci.

- Mam nadzieję, że Mandy jakoś przeżyje to lato.

Powoli szli skrajem drogi, fale rozpryskiwały się tuż u ich stóp.

- Mam nadzieję, że ty również - szepnął.

Oboje wiedzieli, że za sześć tygodni wyjeżdża do Hiszpanii, lecz starali się unikać tego tematu.

- Ja też mam taką nadzieję.

Przystanęli i Rafaela mocno chwyciła go za rękę.

- Będę bardzo za tobą tęskniła, Alex.

Przygarnął ją i objął.

- Ja też będę za tobą tęsknił.

Zamyślił się na chwilę.

- Nie mam pojęcia, co pocznę bez ciebie.

Tak przywykł do wieczornych z nią spotkań, że nie wyobrażał sobie innego rytmu życia.

- Nie będzie mnie tylko przez trzy tygodnie.

- To prawie wieczność, tym bardziej że Mandy też nie będzie.

- Może dla odmiany trochę więcej popracujesz w tym czasie.

Uśmiechnął się i pocałował ją, po czym ruszyli dalej, trzymając się za ręce.

Spacerowali jeszcze przez pół godziny, w końcu z żalem wrócili do samochodu. Kończyło się urocze popołudnie rozświetlone złotymi promieniami zachodzącego słońca. Odwiózł ją prawie pod sam dom, zatrzymując się dwie uliczki wcześniej. Zanim wysiadła, na pożegnanie dotknęła delikatnie palcami jego ust i posłała mu całusa.

Potem patrzyła, jak odjeżdża w kierunku Vallejo, i uśmiechała się do siebie przemierzając ostatni odcinek drogi do domu. Nie do wiary, jak bardzo odmieniło się jej życie, odkąd poznała Alexa! Właściwie niewiele zmieniło się na zewnątrz, a jednak wszystko nabrało innego wymiaru. Była kochanką wspaniałego, przystojnego, uroczonego młodego prawnika, „najukochańszą synową” jak nazywała ją Charlotta Brandon, jej

ulubiona pisarka. Była dochodzącą matką siedemnastoletniej dziewczyny, miała przy Vallejo swój drugi dom z uroczym, trochę zapuszczonym ogrodem i ceglana kuchnią wypełnioną mosiężnymi garnkami.

Równocześnie była kimś, kim została już wiele lat temu: panią Phillips, francuską żoną znanego finansisty, Johna Henry'ego Phillipsa, córką francuskiego bankiera Antoine'a de Mornay-Malle.

Jak co roku wybierała się do Santa Eugenia, by spotkać się z matką, i robiła wszystko, co zwykła robić od wielu, wielu lat. Tylko jej życie było teraz pełniejsze, radośniejsze i szczęśliwsze.

Uśmiechając się do siebie skręciła w ostatnią przecznicę. Przed drzwiami domu jeszcze raz powiedziała sobie w myśli, że to, co ma, w żaden sposób nie krzywdzi Johna, i przekręciła klucz w zamku. Codziennie rano spędzała z nim kilka godzin, dbała o to, aby pielęgniarki sumiennie wypełniały swoje obowiązki, sprawdzała, czy kucharz przygotowuje Johnowi odpowiednie potrawy, i przynajmniej przez godzinę czytała mu na głos. Jediną różnicą było to, że teraz miała dużo więcej obowiązków.

Okolo południa, gdy opuszczała Johna, kilka godzin spędzała w swoim pokoju, pracując nad książką dla dzieci, którą zamierzała przetestować w Hiszpanii. Przed czwartą wyruszała spacerkiem w kierunku Vallejo, a John zapadał w poobiednią drzemkę. Prawie zawsze pojawiała się przed powrotem Amandy ze szkoły, by nie przychodziła do pustego domu. Chciała, aby zawsze czekał na nią ktoś, kto ją kocha. Często zdarzało się, że Alex wracał jeszcze przed jej wyjściem i na powitanie całowali się jak stare małżeństwo tyle że ona musiała się śpieszyć do Johna, by zabawić go rozmową, opowiadać ciekawe historyjki i wozić go na wózku. Codziennie jadła z mężem kolację od pewnego czasu już nie w jadalni, lecz w jego pokoju. John jadł teraz w łóżku, na tacy. Po kolacji Rafaela sprawdzała, czy jest wygodnie ułożony i ma wszystko, czego może potrzebować, czy przyszła pielęgniarka zamówiona na nocną zmianę, czy wszystko w domu jest należycie uporządkowane, i na pół godziny zniknęła w swoim pokoju. A potem wychodziła.

Była niemal pewna, że jej wieczorne wyjścia i powroty późną nocą nie uszły uwagi

służby, lecz nikt nigdy nie ośmielił się nawet o tym wspomnieć i nikt nie zważał na odgłos drzwi zamykanych o czwartej czy piątej nad ranem. Rafaela wreszcie ułożyła sobie jakoś życie i po ośmiu latach przytłaczającej samotności odnalazła stan, w którym nikt nie cierpiał, nikt nie był krzywdzony i nikt nie poświęcał się ponad siły.

John zapewne nigdy nie dowie się o Aleksie, oni zaś mieli coś, co znaczyło dla nich więcej niż cały świat. Ich spokój od czasu do czasu zakłócały jedynie pogrozki Kay. Kiedyś chciała zmusić ich do rozstania, lecz Alex zdecydowanie postawił na swoim. Teraz Rafaela wiedziała już, że zbyt mocno go kocha, by kiedykolwiek od niego odejść.

Wchodząc po schodach zastanawiała się, co na siebie włoży. Niedawno kupiła sobie turkusową jedwabną sukienkę, która idealnie komponowała się z jej jasną cerą i kruczoczarnymi włosami i do której mogła włożyć kolczyki z diamentami i turkusami.

Dziesięć minut później zapukała do drzwi sypialni Johna. Siedział w łóżku wygodnie oparty na poduszkach, z tacą postawioną na kołdrze. Oczy miał głęboko zapadnięte, twarz pooraną zmarszczkami, a jej sparaliżowana część opadała w smutnym grymasie. Jedną powieką niemal całkowicie zasłaniała źrenicę, wychudłe ramiona drżały. Rafaela zatrzymała się w pół kroku, jakby nie widziała go od bardzo dawna. Wyglądał na człowieka, który powoli traci kontakt z tym okrucieństwem życia, jakie wiódł od niemal ośmiu lat.

- Rafaelo?... - zagadnął, patrząc na nią dziwnym wzrokiem.

Wymówił jej imię niewyraźnie i z trudem. I naraz przypomniała sobie, że jest jego żoną, że ma wobec niego określone obowiązki i że daleko jej jeszcze do tego, aby być żoną Alexa. Odwróciła się, by zamknąć drzwi, i wierzchem dłoni otarła łzy.

## ROZDZIAŁ 22

O piątej rano Rafaela pożegnała się z Alexem i udała się do domu. Poprzedniego wieczoru spakowała bagaże, po zostało jej tylko napisać kilka poleceń dla służby, ubrać się, zjeść śniadanie i pożegnać się z Johnem.

Pożegnanie wyglądało zawsze tak samo: krótkie cmoknięcie w policzek, ostatnie spojrzenie, dotknięcie ręki i nieodłączne poczucie winy, że nie powinna wyjeżdżać do Hiszpanii i zostawiać go samego. Oboje przywykli już do tego rytuału, gdyż od piętnastu lat wyjeżdżała na wakacje do Europy.

Pożegnanie z Alexem było dużo boleśniejsze. Nie wyobrażała sobie, jak przeżyje te trzy tygodnie, nie widując się z nim.

Gdy leżeli przytuleni w świetle wschodzącego słońca, wydawało się im, że nie przetrwają nadchodzących dni. Czuli się tak, jakby mieli już nigdy się nie spotkać, jakby ktoś miał stanąć pomiędzy nimi i nie pozwolić im wrócić do siebie. Rafaela przywarła mocno do Alexa i długo nie mogła się odeń oderwać. Kiedy później stali na schodach patrząc smutno na siebie, do oczu zaczęły napływać jej łzy. Na próżno próbowała się uśmiechnąć.

- Nie potrafię odejść - powiedziała.

Alex przytulił ją mocniej.

- Myślami będę z tobą przez cały czas, gdziekolwiek się znajdziesz.

- Chciałabym, żebyś pojechał ze mną do Hiszpanii.

- Może kiedyś nam się to uda.

Zawsze „kiedyś”... Ale kiedy? Nie lubiła takich rozmyślań, bo owo magiczne „kiedyś” oznaczało śmierć Johna. Myśląc tak, czuła się jak morderczyni, toteż starała się żyć wyłącznie terażniejszością, nie dopuszczała do siebie owego „kiedyś”.

- Może. Na pewno napiszę.

- A czy ja mogę do ciebie napisać?

Kiwnęła głową i dodała:

- Nie zapomnij przypomnieć Amandzie, że ma zabrać jeszcze jedną torbę i rakiety

tenisową.

- Tak, mamusiu, powiem jej. O której mam ją obudzić?

- O wpół do siódmej. Samolot ma o dziewiątej.

Alex miał zawieźć Amandę na lotnisko, lecz był niemal pewien, że nawet z daleka nie zobaczy Rafaeli, która przyjedzie samochodem i jak zwykle pójdzie do samolotu osobnym wejściem. Kupili dla Amandy bilet na ten sam rejs i Rafaela miała odwieźć ją do Carlyle'a swoją wynajętą limuzyną. Tam odbierze ją Charlotta i odstawi do mieszkania Kay, gdyż Amanda zdecydowanie oświadczyła, że nie zamierza przebywać sam na sam z matką. Nie widziała jej od czasu pamiętnej awantury podczas świąt i nie paliła się do przyjazdu do domu. Jej ojciec, jak zwykle, był na jakimś kongresie medycznym w Atlancie, trudno zatem było liczyć na jego wsparcie.

- Alex... - Rafaela spojrzała na niego wymownie. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham, mój skarbie - przytulił ją. - Wszystko będzie dobrze.

W milczeniu skinęła głową, bo podświadomie obawiała się tego wyjazdu i nie chciała się z nim rozstawać. Przez całą noc nie zmrużyła oka.

- Jesteś gotowa?

Przytaknęła i ruszyła ku drzwiom.

Na lotnisku nigdzie go nie zauważyła, ale gdy spostrzegła Amandę wsiadającą do samolotu, poczuła się, jakby ktoś znów podarował jej część domu. Dziewczyna miała na głowie duży słomkowy kapelusz, ubrana była w białą bawełnianą sukienkę i białe sandały, które kiedyś razem kupiły. W ręku, wbrew obawom Rafaeli, trzymała rakietę tenisową.

- Cześć, Mandy! - zawołała.

Gdyby Amanda była trochę wyższa i tęższa, wyglądałaby jak młoda kobieta.

Wciąż jednak była jeszcze dzieckiem.

- Jak to dobrze, że cię widzę. Już zaczynałam się nudzić.

- Alex też się nudzi. Przypalił jajka, rozlał kawę, zapomniał o tostach, a na lotnisko dojechał na ostatnich kroplach benzyny. Jest zupełnie nieprzytomny.

Roześmiały się. Rozmowa o Aleksie sprawiła Rafaeli przyjemność, poczuła

bowiem jego bliskość, jakby on również leciał do Nowego Jorku.

Pięć godzin później znalazły się w samym sercu letniego zgiełku i pośpiechu wielkiego miasta. San Francisco przestało nagle istnieć, zdawało im się, że spaliły za sobą wszystkie mosty. Spojrzały na siebie zmęczonym wzrokiem i obie z tęsknotą pomyślały o domu.

- Jak tylko stąd wyjadę, zaraz zapomnę, że to takie okropne miasto.

Amanda rozejrzała się dookoła.

- Ja też. Mój Boże, tu jest naprawdę koszmarnie.

W tej chwili zjawił się kierowca i niebawem znalazły się w klimatyzowanym wnętrzu ogromnej limuzyny.

- No, tutaj nie jest tak źle - uśmiechnęła się Amanda do Rafaeli, która wzięła ją za rękę.

W tej chwili oddałaby wszystko, by zamienić tę limuzynę na porsche'a Alexa, by zamiast w Nowym Jorku znaleźć się u jego boku. Przez tyle lat żyła przybita chorobą Johna, przytłoczona służbą, ochroną i wielkością ich monumentalnego domu. Potrzebowała czegoś bardziej zwyczajnego, pospolitego, czegoś takiego jak mały dom przy Yallejo i proste życie z Amandą i Alexem.

W Carlyle'u zastały wiadomość od Charlotty. Panią Brandon zatrzymało przedłużające się spotkanie z wydawcą i spodziewała się przybyć na miejsce z pewnym opóźnieniem. Szybko udały się więc prosto do apartamentu Rafaeli na piętrze. Tam zdjęły buty i kapelusze, po czym rozsiadły się wygodnie na kanapie, zamówiły lemoniadę.

- Wyobrażasz sobie, jak gorąco musi być na zewnątrz?

Amanda z dezaprobatą wyjrzała przez okno. Wyraźnie szukała wszelkich możliwych powodów, by nie zachwycać się Nowym Jorkiem.

- Na Long Island nie będzie tak źle. Będziesz mogła codziennie pływać, ile dusza zapagnie.

Rafaela starała się wprawić ją w pogodny nastrój, ale perspektywa wyjazdu z miasta wcale Amandy nie podniecała.

Po chwili zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- To na pewno nasza lemoniada! - zawołała Rafaela i podażyła do drzwi z torebką w ręku, w czerwonym jedwabnym, lekko tylko zmiętym kostiumie, który włożyła na podróż. Wyglądała niezwykle elegancko, ciemna czerwień pięknie kontrastowała z jej jasną cerą i czarnymi włosami, którymi Amanda zawsze się zachwyciała.

Rafaela miała tak oryginalną urodę, że trudno było do niej przywyknąć i przestać zwracać uwagę na szlachetność rysów jej twarzy i głębię ciemnych oczu. Amanda zauważyła, że ilekroć stawała w drzwiach domu, Alex patrzył na nią jak urzeczony, jakby widział ją po raz pierwszy. Zawsze była zadbana i niezwykle szykowna. Teraz Amanda bacznie obserwowała, jak otwiera drzwi z wielką gracją i uśmiechem, który sprawiał, że wyglądała równocześnie przyjaźnie i dostojnie.

Spodziewały się ujrzeć kelnera z tacą i dwiema dużymi szklankami chłodnej lemoniady. Zamiast tego upragnionego widoku ich oczom ukazał się zgoła inny obraz w drzwiach apartamentu stała matka Amandy. Była spocona, zmęczona, ubrana w brzydkie, niemiłosiernie wymięty kostium z zielonego lnu. Na jej twarzy malował się dziwny triumfalny uśmiech. Jakby już wygrała.

Amandę ogarnął nagle paraliżujący strach. Rafaela starała się zachować uprzejmie, choć nie kryła zaskoczenia. Ostatni raz widziały się pół roku wcześniej w kawiarni hotelu Fairmont, kiedy Kay groziła, że wyjawia Johnowi jej związek z Alexem.

- Moja matka nie mogła przyjechać, więc pomyślałam, że sama odbiorę Mandy.

Przez chwilę przyglądała się Rafaeli badawczo, po czym weszła do środka. Rafaela zamknęła za nią drzwi i bacznie obserwowała, jak Kay przemierza pokój, podchodząc do swojej jedynej córki, która bez ruchu, w milczeniu stała patrząc na nią szeroko otwartymi ze strachu oczyma.

- Cześć, Mandy - przemówiła Kay, lecz Amanda nie odpowiedziała.

Rafaela zauważyła, że wygląda teraz jak mała przestraszona dziewczynka. Stojąc naprzeciw wysokiej rudowłosej kobiety sprawiała wrażenie bezgranicznie nieszczęśliwej.

- Świetnie wyglądasz. To nowy kapelusz?

Amanda skinęła głową, a Rafaela poprosiła Kay, by usiadła. W tym momencie

przybył kelner z lemoniadą. Rafaela zaproponowała jedną Kay, drugą podała Amandzie. Dziewczyna bez słowa przyjęła szklanekę, skinęła głową w podziękę i utkwiała wzrok we własnych kolanach. Nastąpiła niezręczna cisza, którą Rafaela starała się przerwać zdawkową rozmową o podróży.

Przez pół godziny prowadziły bezsensowną, nie zręczną wymianę zdań, toteż gdy wreszcie Kay zaczęła zbierać się do wyjścia, Rafaela poczuła błogą ulgę.

- Pojedziecie prosto na Long Island? - zapytała w nadziei, że tym trochę uspokoi Amandę.

- Nie. Jeśli to panią interesuje, zabieram przedtem Amandę na małą wycieczkę.

Amanda rzuciła matce wrogie spojrzenie.

- Tak? A dokąd to?

- Do Minnesoty.

- Czy to ma coś wspólnego z twoją kampanią, mamó?

Były to pierwsze słowa, jakie Amanda wypowiedziała, odkąd Kay weszła do apartamentu. Zabrzmiały jak oskarżenie lub wyrzut.

- Mniej więcej. Przy okazji lokalnych uroczystości mam do załatwienia kilka spraw. Myślę, że ci się tam spodoba.

Kay starała się mówić spokojnie i uprzejmie, ale jej twarz zdradzała gniew.

Rafaela spojrzała na Amandę i spostrzegła, że dziewczyna w jednej chwili stała się zmęczonym, znękanym dzieckiem, pragnącym jednego: znaleźć się z powrotem w San Francisco u boku Alexa. Rafaela przyznała w duchu, że i ona tego pragnie. Tylko dzięki wrodzonym dobrym manierom odnosiła się w miarę przyzwoicie do Kay.

Amanda podniosła swoją torbę i rakietę tenisową. Przez krótką chwilę stała bez ruchu naprzeciw Rafaeli, po czym rzuciła się jej w objęcia. Rafaela miała ochotę powiedzieć jej, by była dzielna, grzeczna i wytrzymała, by nie pozwoliła się skrzywdzić przez matkę, lecz nie było na to czasu, pora też była raczej nieodpowiednia.

- Baw się dobrze, kochanie - rzekła więc tylko i dodała ciszej: - Będę za tobą tęsknić.

- Ja też będę za tobą tęsknić - odparła Amanda zdławionym głosem.



Wychodząc nie kryła łez. Kay przystanęła w drzwiach i spojrzała przenikliwie na Rafaelę, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół jej twarzy.

- Dziękuję za przywiezienie jej z lotniska.

Nie wspomniała o niczym więcej z tego, co zrobiła dla Amandy Rafaela, nie wspomniała o pół roku czulej opieki i prawdziwie macierzyńskiej troski, o tym, że pomogła Alexowi zająć się siostrzenicą, którą tak bardzo pokochali. Rafaela nie oczekiwała jednak podziękowań. Pragnęła tylko, by Kay nie skrzywdziła Amandy. Niestety, takiej gwarancji nie mogła uzyskać, nie mogła też przekonać Kay, by choć przez ten krótki czas właściwie traktowała swoje dziecko.

- Mam nadzieję, że spędzicie razem miły miesiąc.

- Na pewno - odparła Kay z dziwnym uśmiechem. Na koniec rzuciła przez ramię:

- Niech się pani dobrze bawi w Hiszpanii.

Po czym poszła z Amandą do windy. Rafaela poczuła się nagle bezradna i opuszczona. Zastanowiło ją tylko, skąd Kay mogła wiedzieć, że wybiera się do Hiszpanii.

## ROZDZIAŁ 23

Następnego ranka, wsiadając do samolotu do Paryża, Rafaela nie zwracała uwagi na dzieci. Marzyła tylko o tym, by jak najprędzej wrócić do domu, tymczasem ta część podróży miała zaprowadzić ją jeszcze dalej od miejsca, gdzie zostało jej serce. Czuła się zmęczona i osamotniona. Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, że nie leci do Francji, lecz do Kalifornii.

Często odbywała takie podróże i była nimi już tak znudzona, że przespała ponad połowę drogi nad Atlantykiem. Trochę czytała, zjadła obiad i kolację, ale głównie rozmyślała o tym, jak podczas podróży do Nowego Jorku poznała zeszłej jesieni Alexa. W tej chwili wydawało się jej niemożliwe, że wdała się w rozmowę z nieznajomym. Gdy podchodzili do lądowania w Paryżu, wciąż jeszcze uśmiechała się do siebie, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę się na to zdobyła. Teraz Alex nie był już nieznajomym. Wyobrażała sobie rozmowę na ten temat z ojcem: „Jak to się stało, żeście się poznali? Lecieliśmy razem samolotem, tatusiu. Zagadnął mnie. Co zrobił?!...”

Rafaela zapięła pas i omal nie roześmiała się na głos. Samolot podchodził do lądowania. Dobry nastrój nie odstępował jej, gdy wychodziła osobnym wyjściem i przed innymi pasażerami przechodziła przez kontrolę celną. Czar prysnął, kiedy ujrzała twarz swojego ojca. Stał nieruchomo jak posąg, poważny, chyba nawet zagniewany, i surowym wzrokiem patrzył, jak idzie w jego kierunku. Każdy inny mężczyzna uśmiechnąłby się na jej widok, jego wzrok wszakże nie zdradzał takiego zamiaru.

Rafaela była w czarnym kostiumie, białej jedwabnej bluzce i czarnym słomkowym kapelusiku z woalką. Kiedy go ujrzała, zadrżała z przerażenia. Nie ulegało wątpliwości, że stało się coś złego. Na pewno miał dla niej niedobre wieści. Może matka... albo John... albo któryś z kuzynów... albo...

- Bonjour, papa.

Prawie nie drgnął, gdy wspięła się na palce, by pocałować go w policzek. Jego potężna sylwetka wydawała się teraz jak wykuta z najtwardszego głazu. Twarz miał starą i pomarszczoną, chłodne spojrzenie niebieskich oczu przeszywało ją na wylot.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Porozmawiamy o tym w domu.

O Boże, więc chodzi o Johna! Dlatego nie chce jej powiedzieć tu, na lotnisku. Nagle zapomniała o Aleksie i wszystkie jej myśli skupiły się na staruszkę, którego zostawiła w San Francisco. A więc stało się to, czego zawsze się obawiała, ilekroć wyjeżdżała z domu.

- Tato, proszę... - zaczęła. - Czy... czy... - jej głos załamał się i przeszedł w ledwie słyszalny szept. - John?...

Ojciec pokręcił głową. Dziwne. Nie widział jej tak długo, a mimo to nie miał jej nic do powiedzenia. Kiedy wsiadali do jego czarnego citroena, był jak granitowy mur. Skinieniem głowy dał znak kierowcy i ruszyli do domu.

Przez całą drogę do Paryża Rafaela siedziała sparaliżowana strachem, a gdy samochód zatrzymał się przed domem, poczuła, że drżą jej ręce. Kierowca, który otwierał im drzwi, ubrany był w czarny uniform, idealnie odzwierciedlający zachowanie ojca i nastrój Rafaeli.

Do ogromnego holu, rozświetlonego blaskiem wypolerowanych lusterek i marmurowych blatów osiemnastowiecznych stołów, wchodziła z dziwnym, niesamowitym uczuciem. Na jednej ścianie wisały wspaniałe kilimy z Aubusson, z przeszklonych drzwi rozpościerał się malowniczy widok na ogród. Wewnątrz jednak wiało arktycznym chłodem, takim samym, jaki emanował od jej ojca, który spojrzał na nią niechętnie i wskazał jej swój gabinet, do którego wiodły strome marmurowe schody. Znowu poczuła się zagubiona jak w czasach dzieciństwa.

Z torebką i kapeluszem w ręku powoli ruszyła za nim na prywatną audiencję, podczas której miała się wreszcie dowiedzieć, co tak bardzo go rozgniewało. Przypuszczała, że musi to jednak mieć jakiś związek z Johnem. Idąc spieszenie po schodach, na próżno próbowała odgadnąć, co to może być. Bez wątplenia coś musiało się wydarzyć, gdy była już w Nowym Jorku. Może John miał następny wylew?... Nie, uznała jednak, że nie usłyszy złej wieści, lecz raczej surową ocenę czegoś, co zapewne zrobiła. Jak przez mgłę pamiętała ten wyraz twarzy z czasów dzieciństwa.

Do gabinetu wszedł pierwszy, Rafaela za nim. Był to bardzo wysoki pokój o ścianach pokrytych boazerią, z szafami pełnymi książek i biurkiem tak ogromnym, że równie dobrze mogłoby służyć prezydentowi lub królowi. Wystrój pokoju stanowił doskonały przykład epoki Ludwika XV, wyszukany, cały jakby ociekający złotem. Ojciec odsunął krzesło i usiadł za biurkiem.

- Alors... A więc... - spojrzał na nią i wskazał jej krzesło stojące po przeciwnej stronie biurka.

Nie było w nim czułości czy uprzejmości, nie powiedział jej dotąd ani jednego miłego słowa, nie uczynił żadnego zachęcającego gestu.

Chociaż nigdy nie był człowiekiem ciepłym i wylewnym, Rafaela z całą pewnością mogła stwierdzić, że tym razem zachowywał się wyjątkowo oschle.

- Tatusiu, o co chodzi? - zapytała, a jej twarz pobladła.

Już w drodze z lotniska zaczęła blednąć, lecz teraz wydawało się jej, że za chwilę zemdleje.

- O co chodzi? - zmarszczył brwi i złowrogo spojrzał najpierw na biurko, a potem na nią. - Skończmy już tę grę.

- Tatusiu, naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

- W takim razie - krzyknął - jesteś zupełnie niedomyślna. Albo kompletnie naiwna, jeśli wydaje ci się, że możesz bezkarnie wyrabiać różne rzeczy w różnych miejscach na świecie...

Przerwał na chwilę, by podkreślić po wagę tych słów. Rafaeli zdawało się, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

- Czy teraz rozumiesz? - zniżył głos i spojrzał na nią znacząco.

Potrząsnęła głową.

- Nie?... Wydaje mi się, że mogę być z tobą trochę bardziej szczery, niż ty jesteś ze mną i ze swoim biednym mężem, który leży przykuty do łóżka ciągnął oskarżycielskim tonem.

Rafaela poczuła się jak mała dziewczynka przyłapana na strasznym występku i zapłonęła ze wstydu. Jej białe policzki w jednej chwili zmieniły barwę, a Antoine de Mor-

nay-Malle tylko skinął głową i powiedział:

- Może teraz wreszcie mnie rozumiałaś.

- Nie, nie rozumiałam - odparła zdecydowanie.

- W takim razie łiesz i oszukujesz! - zagrział. - Otrzymałem - ciągnął z namaszczeniem, jakby przemawiał w parlamencie, a nie do własnej córki - kilka tygodni temu list. Od amerykańskiej deputowanej, pani Kay Willard...

Szukał wzroku Rafaeli, która poczuła, że serce zamiera jej z przerażenia. W milczeniu czekała na dalszy ciąg, z trudem oddychając.

- Muszę przyznać, że z wielu powodów czytałem go z ciężkim sercem. Przede wszystkim dlatego, że dowiedziałem się, córko, wielu rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się o tobie usłyszeć. Czy mam mówić dalej?

Rafaela miała ochotę powiedzieć, że już wystarczy, ale nie odważyła się. Zresztą ojciec, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

- Pani Willard uświadomiła mi, że nie tylko zdradzasz swojego męża... człowieka, który, pragnę ci przypomnieć, był dla ciebie niezwykle dobry niemal od dzieciństwa. Człowieka, który ci ufa, który cię kocha i potrzebuje każdej twojej chwili, twojej troski, każdego twojego tchnienia, by utrzymać się przy życiu. Jeśli nie dasz mu tego, po prostu go zabijesz. Jestem przekonany, że zdajesz sobie z tego sprawę. Krzywdzisz nie tylko człowieka, który cię kocha i który jest moim najstarszym i najdroższym przyjacielem, krzywdzisz też innych ludzi, mężczyznę, który miał kiedyś kochającą żonę i którego jej odebrałaś. Odebrałaś go zacnej kobiecie, z którą mógł mieć dzieci i która była mu droga. Dowiedziałem się też z listu pani Willard, że jej córka po poważnym wypadku pojechała do Kalifornii na rekonwalescencję i przebywa tam w domu człowieka, którego tak omotałaś, że porzucił żonę. Buntujesz przeciw pani Willard to dziecko i gorszysz swoim zachowaniem. Pani Willard jest członkiem Kongresu i z tego, co pisze, wynika, że straci szansę na rozwój swojej zawodowej kariery, jeśli ten skandal wyjdzie na jaw. Pisze, że jeśli nie zostawisz w spokoju tego człowieka, natychmiast poda się do dymisji, ponieważ nie przeżyłaby upokorzenia, jakie skandal przyniósłby jej, jej mężowi, starzejącej się matce i nastoletniej córce. Muszę dodać, że gdyby to wyszło na jaw, zrujnowałabyś też

reputację moją i banku, nie mówiąc już o tym, jak twój postępek zostałby odebrany w Hiszpanii, i co by napisano w prasie.

Rafaela była zdruzgotana. Oskarżenia, które wymyśliła Kay, i te, które usłyszała teraz od ojca, wydawały jej się nie do udźwignięcia. Co mu powiedzieć? Od czego zacząć?... Prawda była przecież taka, że Kay to drapieżna i żadna władzy kobieta, której nic nie powstrzyma i która po trupach dąży do celu. I nie myślała o dymisji, lecz o powtórnym kandydowaniu, tym razem do Izby Wyższej. A Rafaela nie buntowała Amandy, tylko szczerze ją kochała, Alex zaś, kiedy się poznali, był od dawna rozwiedziony z Rachel, nie chciał do niej wracać. A ona, Rafaela, nadal dawała Johnowi, co tylko mogła.

Ojciec patrzył jednak na nią z dezaprobatą i gniewem. Gdy podniosła wzrok i spojrzała na niego, poczuła się zupełnie bezbronna. Z oczu popłynęły jej łzy.

- Muszę ci powiedzieć - dodał po chwili - że nigdy nie wierzę obcym. Chociaż było to dla mnie niezręczne i bardzo kosztowne, wynająłem detektywa, który opisał mi dokładnie, co robiłaś przez ostatnie dziesięć dni, i niestety, potwierdził to, czego dowiedziałem się od tej kobiety. Wracasz do domu - rzucił jej wściekłe spojrzenie - nie wcześniej niż o piątej nad ranem. I to co noc! Jeśli nawet nie obchodzi cię to, co robisz tamtym ludziom, powinnaś pomyśleć o swojej reputacji. Mam nadzieję, że choć to ma dla ciebie jakieś znaczenie! Twoi służący na pewno myślą, że jesteś rozpustnicą... ladacznica!... Śmieciem! - wrzasnął i wstał z miejsca. - Jak możesz tak postępować? Jak możesz się tak nie szanować, być taka wulgarna?

Jeszcze raz obrzucił ją pełnym wściekłości spojrzeniem. Rafaela ukryła twarz w dłoniach. Po chwili wyciągnęła z torebki koronkową chusteczkę i wytarła nos, odetchnęła głęboko.

- Tatusiu, ta kobieta nienawidzi mnie, a wszystko, co pisze, to...

- Szczera prawda. Człowiek, którego wynająłem, potwierdził to.

- Nie - gwałtownie potrząsnęła głową i zerwała się z krzesła. - Nie. W tym wszystkim prawdziwe jest tylko jedno: kocham jej brata. Ale on nie jest żonaty, był już rozwiedziony, gdy go poznałam...

- Jesteś katoliczką, czyżbyś zapomniała o tym? I jesteś zamężna. Czy o tym też zapomniałaś? I nie obchodzi mnie, czy on jest księdzem, czy Zulusem. Liczy się to, że ty jesteś żoną Johna i nie możesz się puszczać na prawo i lewo. Nie wyobrażam sobie, jak po tym, co zrobiłaś, spojrzę w oczy mojemu najlepszemu przyjacielowi! Nie odważę się na to, bo córka, którą dałem mu za żonę, okazała się dziwką!...

- Nie jestem dziwką! - krzyknęła i wybuchnęła płaczem. - I nie dałeś mnie mu. Poślubiłam go, bo... bo chciałam... bo go kochałam...

- Nie mam ochoty słuchać tych bzdur, Rafaelo. Chcę usłyszeć tylko jedno: że już nigdy nie spotkasz się z tym człowiekiem.

Spojrzał na nią ze złością i powoli ruszył w jej kierunku.

- I dopóki nie przyrzekniesz mi tego solennie, nie chcę cię widzieć w moim domu. Zresztą - zerknął na zegarek - za dwie godziny masz samolot do Madrytu. Chcę, żebyś tam pojechała i jeszcze raz wszystko sobie przemyślała. Za kilka dni przyjadę, by z tobą porozmawiać. Chcę usłyszeć, że do niego napisałaś i wyjaśniłaś mu, że wszystko skończone. A dla pewności, że dotrzymujesz obietnicy, każę cię nadal pilnować.

- Ale dlaczego, mój Boże, dlaczego?

- Bo skoro sama nie potrafisz się szanować, ja o to zadbam. Złamałaś przyrzeczenie, które złożyłaś Johnowi na ślubie. Przynosisz wstyd i mnie, i sobie. Nie życzę sobie, by moja córka była dziwką. Jeśli nie zgodzisz się na moje warunki, nie będę miał wyboru i powiem Johnowi, co zrobiłaś.

- Na Boga, tato... proszę... - szlochała histerycznie. - To moje życie... zabijesz go... tato... proszę...

- Przynosisz ujme naszej rodzinie, Rafaelo - popatrzył na nią, lecz nie podszedł bliżej, tylko wrócił na swoje krzesło.

Siedziała w osłupieniu. Zbyt dobrze rozumiała powagę sytuacji i po raz pierwszy w życiu nienawidziła kogoś z całego serca. Gdyby w tej chwili stanęła przed nią Kay, z rozkoszą zabiłaby ją gołymi rękami.

- Och, tato... - jęknęła z rezygnacją. - Dlaczego?... Dlaczego to robisz? Przecież jestem dorosłą kobietą... nie masz prawa...

- Mam wszelkie prawa. Zbyt długo byłaś chyba w Ameryce, moja droga. I zbyt rozwiązałe życie wiodłaś podczas choroby swojego męża. Pani Willard pisze, że próbowała cię powstrzymać, ale ty nadal spotykałaś się z tamtym człowiekiem. Pisze, że gdyby nie ty, dawno wróciłby do żony...

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Jak możesz robić coś takiego człowiekowi, którego podobno kochasz? Nie martwię się jednak o niego, lecz o twojego męża. To jemu powinnaś być wierna i oddana. Mówię poważnie, Rafaelo, powiem mu o tym.

- To go zabije - powiedziała cicho.

- Owszem - przyznał oschle.- To go zabije. Ale ta krew splami twoje ręce. Chciałbym, żebyś pomyślała o tym, gdy będziesz w Santa Eugenia. I chciałbym, żebyś zrozumiała, dlaczego wyprawiam cię stąd jeszcze dzisiaj.

Wstał, patrząc na nią niemal z obrzydzeniem.

- Pod moim dachem nie ma miejsca dla ladacznicy, nawet na jedną noc.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wskazał jej korytarz. Przez długą chwilę spoglądał, jak drży przejęta tym, co się wydarzyło, na koniec potrząsnął głową i wypowiedział dwa słowa:

- Do widzenia.

Potem zamknął za nią drzwi, a Rafaela podeszła do najbliższego krzesła i osunęła się na nie bez sił. Była tak roztrzęsiona, że przez chwilę wydawało się jej, że zemdleje. Siedziała kompletnie zdruzgotana, przerażona, zastraszona, zawstydzona i wzburzona. Jak Kay mogła to zrobić? I skąd miała takie dokładne informacje? Skąd wiedziała, że jej list przyniesie tak koszmarnie skutki?...

Siedziała bez ruchu przez ponad pół godziny, od czasu do czasu spoglądając na zegarek, w końcu uświadomiła sobie, że ojciec zarezerwował jej na dzisiaj lot i że natychmiast musi opuścić jego dom. Obejrzała się jeszcze raz w kierunku jego gabinetu i zeszła po schodach na dół.

Nie miała ochoty się z nim żegnać. Powiedział, co miał do powiedzenia, po czym odesłał ją do Santa Eugenia. Nie obchodziło jej to w tej chwili, nie obchodziło jej, co



zrobił i co powiedział, aby ją zastraszyć. Nie miał prawa ingerować w jej życie z Alexem. I nie obchodziły jej jego pogróżki. Wiedziała na pewno, że nie opuści Alexa.

Powoli zeszła do holu, włożyła kapelusik z woalką i sięgnęła po torbę. W tejże chwili uświadomiła sobie, że jej walizek nie wyjęto z bagażnika citroena i że kierowca czeka na nią przy drzwiach. Została wygnana z domu ojca, ale była tak wzburzona, że ten fakt nie wywarł na niej większego wrażenia. Obszedł się z nią jak z przedmiotem, meblem, swoją własnością. A ona nie zamierzała pozwalać, by tak ją traktowano.

## ROZDZIAŁ 24

Kiedy Rafaela w Paryżu jechała na dworzec lotniczy, w San Francisco Alex odebrał najbardziej niezwykły telefon w swoim życiu. Siedział potem przy biurku ze splecionymi rękami i zastanawiał się, co mogło go sprowokować. Z całą pewnością chodziło o Rafaelę, lecz nie miał pojęcia, co dokładnie mogło się stać. Z niecierpliwością i pewnymi obawami czekał więc na umówioną godzinę. Pięć po dziewiątej rano zadzwonił do niego bowiem sekretarz Johna Henry'ego Phillipsa i poprosił, aby jeśli tylko może, przyszedł dziś do niego do domu. Powiedział tylko, że pan Phillips chciałby się z nim spotkać w bardzo ważnej sprawie osobistej, Alex zaś nie odważył się o nic pytać.

Natychmiast po tym telefonie wybrał numer swojej siostry, ale deputowanej Willard nie było tego ranka w biurze. Był pewien, że tylko tam może szukać wyjaśnienia. Musiał więc czekać przez dwie godziny, do czasu umówionego spotkania z Johnem. Obawiał się przede wszystkim tego, że ktoś powiedział o wszystkim staruszkowi i ten zażąda teraz, by przestał się spotykać z Rafaelą.

Być może już z nią rozmawiał, lecz ona nie przyznała się Alexowi? Może uzgodnił z jej rodziną, że zatrzymają Rafaelę w Hiszpanii?...

W każdym razie Alex przeczuwał, że stanie się coś strasznego, a powagi sytuacji dodawał podeszły wiek Johna. Nie mógł mu jednak odmówić. Chociaż nie miał ochoty na to spotkanie, musiał się na nie stawić. Z takim przekonaniem zatrzymał samochód na ulicy naprzeciwko domu Johna Henry'ego Phillipsa.

Powoli zbliżył się do ogromnych dębowych drzwi, które tak często oglądał. Zadzwonił i czekał, aż po chwili zjawił się lokaj o skupionej twarzy. Przez chwilę miał wrażenie, że wszyscy w tym domu znają jego grzechy i zamierzają go sądzić. Czuł się jak mały chłopiec przyłapany na kradzieży jabłek, choć jego występki były dużo, dużo poważniejszy. Miał powody do obaw, lecz wiedział, że w tej sytuacji nie ma wyboru. Stawienie się przed obliczem Johna było teraz jego powinnością bez względu na to, czego starzec od niego oczekiwał.

Lokaj zaprowadził go do głównego holu, skąd w towarzystwie pokojówki udał się

po schodach na górę. Gdy znalazł się pod drzwiami pokoju Johna Henry'ego, podszedł do niego starszy mężczyzna. Przedstawił się jako sekretarz pana Phillipsa, a Alex rozpoznał głos, który słyszał przez telefon.

- To bardzo uprzejme, że tak prędko pan przyszedł. Dla pana Phillipsa pańska wizyta jest naprawdę niezwykłym wydarzeniem, bo od kilku lat nie zapraszał nikogo. Sądzę, że chodzi o jakąś ważną sprawę prywatną. Pan Phillips bardzo liczy na pańską pomoc.

Po takim wstępie Alex po raz kolejny tego dnia poczuł lęk.

- Postaram się go nie zawieść - wymamrotał bezmyślnie.

Gdy czekali, aż pielęgniarka zaprosi ich do środka, wydawało mu się, że za chwilę zemdleje.

- Czy on jest bardzo chory? - zapytał głupio.

Mężczyzna tylko skinął głową. Co za nonsens pytać o to, skoro dokładnie wiedział od Rafaeli, w jakim stanie jest teraz John Henry! To, że stał przed jego drzwiami w jej domu, zupełnie odbierało mu zdolność logicznego myślenia. A więc tak wyglądały korytarze, które codziennie przemierzała, tu jadła co rano śniadanie, tu przychodziła nad ranem, uściskawszy go na pożegnanie w jego domu.

- Panie Hale...

Pielęgniarka otworzyła drzwi, a sekretarz gestem zaprosił go do środka. Alex zawahał się, po czym z miną straceńca ruszył w kierunku drzwi. W ostatniej chwili wyprostował się i przybrał odpowiednią minę. Nie chciał przynieść wstydu Rafaeli, dlatego przystał na tę wizytę, a skoro już się zdecydował, musiał sprawiać odpowiednie wrażenie.

Przed spotkaniem zaszedł do domu, by przebrać się w ciemne ubranie w delikatne prążki, które kupił kiedyś w Londynie. Włożył białą koszulę i krawat od Diora, lecz gdy przekroczył próg i ujrzał skurczonego staruszka w masywnym antycznym łożu, nawet to nie pomogło mu zachować pewności siebie.

- Pan Phillips? - zapytał głosem odrobinę tylko donośniejszym od szeptu.

Sekretarz i pielęgniarka wycofali się. Zostali teraz sam na sam dwaj mężczyźni,

którzy kochali Rafaelę: jeden stary i złamany chorobą, drugi młody, wysoki i przystojny jak ten, którego piętnaście lat wcześniej poślubiła.

- Proszę dalej - wymamrotał niewyraźnie John, lecz Alex rozumiał go bez trudu.

Przed tym, co miało nastąpić, był skoncentrowany do granic możliwości. Idąc na to spotkanie przygotował się na wszystko, spodziewał się wybuchu gniewu i ostrych oskarżeń, tymczasem przeciwnik okazał się słabym, schorowanym człowiekiem. Niepewnym gestem wskazał mu krzesło zapraszając, by usiadł przy jego łóżku. W całej jego postaci wyraziste były jedynie niebieskie oczy.

Przenikliwym wzrokiem badał każdy szczegół twarzy Alexa, gdy ten ostrożnie siadał na krześle gorąco pragnąc, aby to, co w tej chwili przeżywał, okazało się sennym koszmarem. Takie chwile jak ta najchętniej wymazał by na zawsze ze swojego życia.

- Chciałbym... - przemówił John z trudem, nie spuszczając jednak wzroku z Alexa.

Z jego niewyraźnych słów emanowała jakaś niewidzialna siła i Alex ani na chwilę nie tracił świadomości, że rozmawia z wielkim człowiekiem, który tylko pozornie ugiął się pod brzemieniem fizycznego cierpienia. Teraz już łatwiej było mu zrozumieć, kim musiał być kiedyś dla Rafaeli i dlaczego wciąż go kochała. Był naprawdę wielki, szlachetny, wyjątkowy. Alex poczuł się zawstydzony tym, co oboje zrobili.

- Chciałbym... - powtórzył John, próbując zapanować nad sparaliżowanymi ustami - podziękować, że pan przyszedł.

W tym momencie Alex uświadomił sobie, że jego przenikliwe spojrzenie wyraża życzliwość. Skinął głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wydawało mu się, że ze względu na ogromny respekt, jaki Phillips w nim wzbudzał, najodpowiedniej było by odrzec: „Do usług”.

- Pański sekretarz zaznaczył, że to ważna sprawa.

Obaj doskonale o tym wiedzieli. Pomimo paraliżu twarzy John próbował się uśmiechnąć.

- Bez wątplenia, panie Hale... bez wątplenia... - Po chwili mówił dalej: - Mam nadzieję... że pana... nie wystraszyłem... tym zaproszeniem - z trudem dokończył zdanie.

Miał wyraźne kłopoty z mówieniem, ale sprawiał wrażenie zdeterminowanego.

Zresztą nie tylko jemu było w tej chwili ciężko.

- To bardzo ważne - dodał znacznie wyraźniej - dla nas... trojga... nie muszę chyba tłumaczyć.

- Hm... - zakłopotał się Alex.

Czy powinien zaprzeczyć? Przecież w słowach Phillipsa nie było ani cienia pretensji, żadnego oskarżenia. Sama prawda.

- Rozumiem.

- To dobrze.

John uradowany skinął głową.

- Bardzo kocham swoją żonę, panie Hale... - Jego oczy dziwnie zabłyśły. - Tak bardzo, że ogromnie cierpię... mając świadomość... że jest tu uwiązana... bo ja... jestem niewolnikiem tego bezużytecznego, zniszczonego ciała... a ona... trwa przy mnie. - Ze smutkiem w oczach poszukał spojrzenia Alexa. - To nie jest życie... dla młodej kobiety... choć ona... jest dla mnie bardzo dobra.

Alex nie mogąc się powstrzymać wyznał drżącym głosem:

- Ona bardzo pana kocha.

Czuł się teraz jak intruz, jak kłoda rzucona pod nogi. Byli kochankami, dopiero teraz dotarło to w pełni do jego świadomości. Rafaela była żoną tego człowieka, nie jego. I pomimo tego, co czuli do siebie, jej miejsce było tutaj. Nie mógł wprost w to uwierzyć.

John Henry był starym człowiekiem, który powoli, małymi krokami zbliżał się do kresu swoich dni i rozumiał, jak ciężkie musi to być dla Rafaeli. Teraz patrzył bezradnie na Alexa, jakby oczekiwał od niego pomocy.

- To był dla niej... - straszny cios.

- Przecież to nie z pańskiej winy.

Po twarzy Johna przemknął cień uśmiechu.

- Nie... oczywiście, że nie... ale to... się stało... i ja wciąż jeszcze żyję... na jej nieszczęście.

- To nieprawda.

Wymiana zdań przybrała charakter przyjacielskiej rozmowy. Obaj darzyli się

szacunkiem, choć sytuacja, w jakiej przyszło im się spotkać, była jedną z najdziwniejszych w życiu.

- Rafaela nie żałuje ani jednej chwili przeżytej z panem.

- A powinna... żałować. - Zamknął na chwilę oczy. - Ja żałuję. - Popatrzył na Alexa. - Żałuję... ze względu na nią... i na siebie. Ale nie zaprosiłem tu pana, by wylewać swoje żale. Chciałem pana poznać... i dowiedzieć się czegoś o panu.

Serce Alexowi zabiło mocniej, lecz postanowił wziąć się w garść.

- Czy mogę zapytać, jak się pan dowiedział o moim istnieniu?

Czyżby przez cały czas wiedział? Czy na jego polecenie służący śledzili każdy jej krok?

- Otrzymałem... list.

Alex poczuł, że ogarnia go fala gorąca.

- Wolno spytać, od kogo?

- Nie wiem.

- Anonim?

John Henry skinął głową.

- Ktoś napisał tylko... że pan... i... i ona... - zawahał się, jakby nie chciał wymawiać przy nim jej imienia. Wystarczało mu, że siedzieli tu, obok siebie, i wyznawali sobie prawdę. - Że od ponad roku... - jest pan z nią związany.

Zakaszła, co wprawiło Alexa w przerażenie, lecz Phillips dał znak, że wszystko w porządku. Po chwili znów ciągnął:

- Nadawca podał mi też pańskie nazwisko, adres i numer telefonu i wyjaśnił... że jest pan adwokatem... Wyraźnie sugerował... że dobrze by było... z tym skończyć. -

Spojrzał na Alexa badawczo. - Ale dlaczego? Czy to list... od pańskiej żony? - zapytał z niepokojem, lecz Alex potrząsnął głową.

- Nie mam żony. Od kilku lat jestem rozwiedziony.

- Czy jeszcze... jest zazdrosna? - zapytał, znów z trudem składając słowa.

- Nie. Jestem przekonany, że ten list napisała moja siostra. Jest politykiem, deputowaną. To samolubna, zła kobieta. Jest przekonana, że gdyby choć jedno słowo na

temat mojego... naszego... związku dostało się do prasy, jej kariera polityczna byłaby skończona. Po prostu obawia się skandalu. I chyba... słusznie.

Phillips pokiwał głową.

- Ale czy ktoś inny o tym wie?

Nie chciało mu się w to wierzyć, bo znał Rafaelę i wiedział, że jest niezwykle dyskretna.

- Nie - odparł z przekonaniem Alex. - Nikt poza moją siostrzenicą, która bardzo lubi Rafaelę i na pewno potrafi dochować tajemnicy.

- Czy to jeszcze dziecko?

Alexowi wydało się, że John Henry znowu się uśmiecha.

- Amanda ma siedemnaście lat. To córka mojej siostry, tej, która napisała list. Ostatnio mieszkała u mnie. W Święto Dziękczynienia miała poważny wypadek, a jej matka nie wykazała się troskliwością. Za to pańska... to znaczy... Rafaela była dla niej wspianała.

Jego oczy zabłysły ciepło. John znowu się uśmiechnął.

- Ona zawsze jest wspianała... w takich wypadkach. To naprawdę... niezwykła... kobieta.

Co do tego obydwaj nie mieli wątpliwości, jednakże oczy Johna znowu posmutniały.

- Powinna... mieć dzieci... Może kiedyś... będzie miała.

Alex nie odezwał się, John Henry zatem kontynuował:

- A więc sądzi pan, że to pańska siostra.

- Tak.

- Czy groziła panu?

- Nie.

Phillips był wyraźnie zaskoczony.

- Odwoływała się tylko... do mojego autorytetu... chciała... żebym położył temu kres. - Niespodziewanie uśmiechnął się i wskazał na swoje skurczone ciało. - Cóż za ufność... w moc starca.

Jego duch wciąż jeszcze był młody, oczy mu błyszczały.

- Proszę mi powiedzieć... jeśli wolno spytać... jak to się zaczęło?

- Poznaliśmy się w samolocie w ubiegłym roku. Nie, nie, nie tak...

Alex zmarszczył czoło i przymknął oczy. Pamiętał jak dziś, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył.

- Pewnego wieczoru zauważyłem ją... jak siedziała na schodach i patrzyła na zatokę. - Postanowił nie mówić Johnowi, że płakała. - Pomyślałem, że jest niespotykane piękna. To wszystko. Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę.

- Ale mylił się pan?

- Tak. Jak mówiłem, spotkaliśmy się w samolocie. Najpierw zauważyłem ją na lotnisku, ale mi zniknęła.

John Henry uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Pan jest... romantykiem.

Alex zaczerwienił się i z nieśmiałym uśmiechem wyznał:

- Chyba tak.

- Ona też - powiedział, jakby był jej ojcem, nie przyznał się jednak, że i on jest podobny. - A potem?

- Rozmawialiśmy w czasie lotu. Wspomniałem jej o mojej matce, bo czytała jedną z jej książek.

- Pańska matka jest pisarką? - zapytał z rosnącym zainteresowaniem.

- Nazywa się Charlotta Brandon.

- Doskonała... świetna... czytałem kilka... jej pierwszych książek... na pewno miło by było się z nią spotkać.

Alex miał ochotę powiedzieć mu, że owszem, lecz obaj wiedzieli, że to niemożliwe.

- A pańska siostra... jest deputowaną. Co za towarzystwo.

Uśmiechnął się przyjaźnie do Alexa, czekając na dalszy ciąg.

- Zaprosiłem ją w Nowym Jorku na lunch z moją matką i... - zawahał się na krótką chwilę. - Nie wiedziałem jeszcze, kim jest. Dopiero matka mi powiedziała.



- Skąd wiedziała?

- Rozpoznała ją.

- Jestem... zaskoczony... Niewielu ludzi ją zna... Przez cały czas ukrywałem ją... przed prasą.

Alex skinął głową ze zrozumieniem.

- Czy... nie powiedziała panu... sama?

- Nie. Dopiero jak spotkałem ją ponownie, powiedziała, że jest zamężna i nie może się angażować.

John skinął głową, wyraźnie uradowany.

- Bardzo się opierała i chyba... chyba byłem zbyt natarczywy.

- Dlaczego? - zapytał, a jego głos zabrzmiał nagle bardzo ostro, zakłócając spokojną atmosferę sypialni.

- Przykro mi. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Sam pan zauważył, że jestem romantykiem. Zakochałem się w niej.

- Tak szybko?

John Henry spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Tak - rzekł zdecydowanie Alex i westchnął głęboko. Niełatwo było mu rozmawiać o tym ze starym Phillipsem. Dlaczego wypytywał go o wszystko? - Potem spotkaliśmy się jeszcze raz i wydawało mi się, że i ona coś do mnie poczuła.

Nie muszę mu chyba mówić, że poszliśmy do łóżka, pomyślał. Mamy przecież prawo do odrobiny prywatności, a ona nie należy tylko do niego." - Lecieliśmy do San Francisco tym samym samolotem, później widziałem ją tylko jeszcze raz. Przyszła mi powiedzieć, że nie może się ze mną więcej spotykać, bo nie chce pana oszukiwać.

John Henry był wyraźnie wzruszony.

- To... wspaniała kobieta...

Alex zgodził się z zapalem.

- A potem? Co było potem? Czy znowu ją pan namawiał? - zapytał.

W jego głosie nie było cienia wyrzutu, jedynie zaciekawienie.

- Nie, dałem jej spokój. Po dwóch miesiącach zadzwoniła do mnie. Oboje

czuliśmy się bardzo nieszczęśliwi.

- I tak się zaczęło?

Alex skinął głową.

- Jak długo to trwa?

- Prawie osiem miesięcy.

John Henry pokiwał głową.

- Kiedyś wciąż myślałem o tym... że powinna sobie kogoś znaleźć... Była taka samotna... a ja nie mogłem nic na to poradzić. Potem przestałem... Wydawało mi się... że żyje... - właśnie tak spojrzał na Alexa bez cienia urazy. - Czy pana zdaniem... mam zażądać, żeby z tym skończyła? Czy... czy czuje się nieszczęśliwa?

Alex potrząsnął głową.

- A pan?

Nie odpowiedział i westchnął.

- Bardzo ją kocham i jest mi niezmiernie przykro, że się pan o tym dowiedział. Nie chcieliśmy pana zranić. Ona by tego nie zniosła.

- Wiem - odparł John Henry ze zrozumieniem. - Wiem... i nie zranił mnie pan... Nic mi pan nie zabrał. Ona wciąż jest moją żoną, tak samo jak dotąd... na miarę możliwości... Jest dla mnie dobra... czuła... kochająca. Jeśli pan może dać jej coś więcej, trochę słońca... radości... czułości... miłości... jak mógłbym ją tego pozbawiać? To by było nie fair... człowiek w moim wieku... nie może więzić pięknej młodej kobiety. Nie! - zawołał, aż jego głos echem odbił się od ścian. - Nie... nie zabronię jej ściszyć głos. Ma przecież prawo do odrobiny szczęścia... z panem... tak jak kiedyś miała prawo być szczęśliwa ze mną. Życie zmienia się jak pory roku... jak w kalejdoskopie... jak w filmie... musimy za nim nadążyć. Gdyby żyła teraz tylko przeszłością, szybko podzieliłaby mój los. To by było nieuczciwe... skandaliczne - uśmiechnął się - o wiele bardziej niż teraz - ściszył głos do szeptu. Jestem panu wdzięczny... że uszczęśliwił ją pan... Wierzę, że jest z panem szczęśliwa.

Przerwał na chwilę.

- Proszę mi powiedzieć, czy planuje pan z nią...? - popatrzył nań jak ojciec

zatroškany o los swojego dziecka.

Alex nie był pewny, co odpowiedzieć.

- Rzadko o tym rozmawiamy.

- Ale myśli pan... o tym?

- Tak - przyznał czując, że musi być do końca szczery.

- Będzie pan - zaczął Phillips, a jego oczy wypełniły się łzami - o nią dbał, gdy mnie zabraknie?

- Jeśli mi pozwoli.

John Henry pokręcił głową.

- Jeśli oni pozwolą... Kiedy ja odejdę, jej rodzina... zabierze ją stąd westchnął.

Ona pana potrzebuje. Jeśli jest pan dla niej dobry... będzie pana potem potrzebować... tak jak kiedyś mnie potrzebowała.

Alexowi oczy zwilgotniały.

- Obiecuję, że zaopiekuję się nią. I nigdy nie odbiorę jej panu. Ani teraz, ani w przyszłości, nawet za pięćdziesiąt lat ani za dziesięć, ani za dwa. Chcę, żeby pan to wiedział.

Wyciągnął do niego rękę i lekko uściskał jego kruchą dłoń.

- Jest pana żoną i zawsze będę to respektował. Zawsze.

- A kiedyś... kiedyś będzie pana żoną? - ich oczy spotkały się.

- Jeśli zechce.

- Na pewno... zechce.

Mocno uściskał rękę Alexa, po czym zamknął oczy, jakby się poczuł bardzo zmęczony. Po chwili otworzył je i uśmiechnął się.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Alexandrze.

- Dziękuję...

Powiedział to, naprawdę powiedział! Teraz byli jak ojciec i syn. Alex odetchnął z ulgą.

- Był pan bardzo odważny, przychodząc tutaj.

- Musiałem.

- A pańska siostra? - spojrzał pytająco, lecz Alex tylko wzruszył ramionami.

- Gotowa narozrabiać. Ale nie wiem, co jeszcze może zrobić. Doniosła już panu.

Nie może tego tak po prostu rozgłaszać, bo straciłaby wyborców. - Uśmiechnął się. -  
Wyczerpała swoje możliwości.

John był jednak zmartwiony.

- Może skrzywdzić... Rafaelę - szepnął ledwie słyszalnie. W końcu odważył się  
wymówić na głos jej imię.

- Na to nie pozwolę! - zawołał Alex z mocą i twarz Johna rozpogodziła się.

- To dobrze. Będzie z panem bezpieczna. Zawsze.

Przez długą chwilę patrzył na Alexa, potem jeszcze raz wyciągnął do niego rękę i  
uścisnął mu mocno prawicę, szepcząc:

- Alexandrze, masz moje błogosławieństwo... Powiedz jej o tym... gdy przyjdzie  
czas...

Alex ze łzami w oczach ucałował jego drżącą dłoń i po chwili wyszedł widząc, że  
staruszek potrzebuje odpoczynku. Gdy opuszczał ten szacowny dom, czuł się spokojny  
jak nigdy dotąd. Jego siostra nieświadomie wyświadczyła mu ogromną przysługę.

Zamiast położyć kres jego romansowi z Rafaelą, podarowała im klucz do przyszłości.

Zgodnie ze starodawnym rytuałem John Henry Phillips pobłogosławił ich i oddał  
mu w spadku Rafaelę nie jak przedmiot lub brzemień, lecz jak najcenniejszy skarb, który  
Alex obiecał kochać i chronić.

## ROZDZIAŁ 25

- Rafaelo, kochanie! - matka rzuciła się jej na szyję, gdy tylko wysiadła z samolotu w Madrycie. - Co się stało, skąd ten pośpiech? Dlaczego nie zostałeś na noc w Paryżu? Jak dowiedziałam się od ojca, że jedziesz prosto tutaj, powiedziałam mu, że to kompletne szaleństwo.

Alejandra de Momay-Malle spojrzała na ciemne podkowy pod oczami córki. Sposób, w jaki ją strofowała, zdradzał, że nie ma pojęcia, skąd ta nagła zmiana planów. Ojciec na pewno nie wspomniał ani słowem o liście od „pani Willard” i jej romansie z Alexem ani o tym, że popadła u niego w niełaskę.

Rafaela uśmiechnęła się do matki. Na jej twarzy widniały wyraźne oznaki zmęczenia. Jakże ważne było teraz dla niej, że jej przyjazd sprawił matce radość, że jest u siebie w domu, gdzie może się skryć przed gniewem ojca. Jednakże w tej chwili czuła tylko wszechogarniające znużenie, a w uszach wciąż brzmiały jej słowa ojca: „Pod moim dachem nie ma miejsca dla ladacznic, nawet na jedną noc”.

- Kochanie, wyglądasz na bardzo zmęczoną. Nie jesteś chora? - zapytała matka.

Czas nie zdołał przyćmić urody, z której niegdyś słynęła Alejandra de Santos y Quadral. Wciąż jeszcze była uderzająco piękną kobietą, do doskonałości brakowało jej chyba jedynie mądrości i głębi spojrzenia, których pozbawiło ją nudne, puste życie. Mogła być pięknym pomnikiem, modelem do obrazu, ale daleko było jej do wyrafinowanej urody Rafaeli, wynikającej z kontrastu ciemnych włosów i szlachetnie jasnej karnacji. Nie miała w sobie nic z jej głębi, inteligencji i radości życia. Była po prostu bardzo elegancką kobietą z ładną twarzą, dobrym sercem, doskonałymi manierami i miłym sposobem bycia.

- Skądże, mam. Jestem tylko bardzo zmęczona. Nie chciałam tracić czasu w Paryżu, bo nie mam go zbyt wiele.

- Doprawdy? - matka była wyraźnie rozczarowana. - Co się stało, kochanie? Dlaczego? Czyżby John znów gorzej się poczuł?

Rafaela pokręciła głową i obie podały ku wyjściu.

- Nie, nie... Po prostu nie chcę go zostawiać samego na długo.

Następnego dnia, gdy wyruszyły do Santa Eugenia, Alejandra była już pewna, że to nie zmęczenie, lecz przygnębienie i zdenerwowanie albo obawa przed czymś zmieniła wygląd jej córki. Poprzedniego wieczoru położyła się wcześniej, wymawiając się, że bardzo potrzebuje odpoczynku i snu. Obiecała, że rano wstanie rześka i radosna, ale nazajutrz matka od razu wyczuła w jej zachowaniu pewną rezerwę, a nawet niechęć. Zaniepokoiło ją to tym bardziej, że przez całą drogę do Santa Eugenia Rafaela nie odezwała się słowem. Wieczorem po stanowiła zatelefonować do Paryża i porozmawiać z mężem.

- Co się stało, Antoine? Widzę, że coś ją strasznie gnębi. Nie mam pojęcia co, ale czuję, że to poważne. Czy jesteś pewny, że z Johnem wszystko w porządku?

Po ośmiu latach jego nieustannej choroby wydawało jej się dziwne, aby coś jeszcze mogło aż tak poruszyć Rafaelę. Antoine westchnął ciężko i wyjaśnił, w czym rzecz. W miarę jak mówił, Alejandrę ogarniało coraz większe przerażenie.

- Biedne dziecko.

- Nie, Alejandro, to nie tak. Nie ma co jej żałować. Jej wulgarnie zachowanie to po prostu skandal. Wkrótce na pewno wszyscy się o tym dowiedzą. Jak będziesz się czuła, gdy przeczytasz o tym w jakimś brukowcu lub zobaczysz w gazecie zdjęcie swojej córki tańczącej na przyjęciu z jakimś typem spod ciemnej gwiazdy? - ględził jak zgorzkniały starzec.

Alejandra uśmiechnęła się.

- To zupełnie niepodobne do Rafaeli. Myślisz, że ona naprawdę go kocha?

- Wątpię. Zresztą jakie to ma znaczenie? Przedstawiłem jej sprawę jasno, bo nie mam wyboru.

Alejandra skinęła głową i zamyśliła się. W końcu wzruszyła ramionami. Antoine miał prawdopodobnie rację. Zawsze miał rację, jej bracia też prawie zawsze mieli rację...

Chwilę później, gdy spotkała Rafaelę spacerującą powoli po wypielęgnowanym ogrodzie, postanowiła z nią o tym porozmawiać. Otaczały je palmy, ciemne wysmukłe cyprysy, kwiaty, fontanny i żywopłoty strzyżone w kształcie ptaków. Rafaelę tak

pochłonęły rozmyślenia o Aleksie, że zdawała się nie zauważać tego wszystkiego. Jedyne, czego była w tej chwili w pełni świadoma, to list, który Kay wysłała do jej ojca. Dała się zastraszyć, choć bardzo tego nie chciała.

Była dorosłą kobietą, miała męża, mieszkała w San Francisco, mimo to rodzina nie przestała ingerować w jej życie, domagając się, aby regularnie przyjeżdżała do Hiszpanii i pamiętała, gdzie na prawdę jest jej miejsce.

Słowa ojca wciąż dźwięczały jej w uszach.

- Rafaelo?...

Słyszając swoje imię zadrżała, odwróciła się i ujrzała matkę w białej wieczorowej sukni, do której włożyła długi sznur pereł.

- Przestraszyłam cię? Bardzo mi przykro, przepraszam - uśmiechnęła się i delikatnie dotknęła jej ramienia. Zawsze potrafiła dodawać otuchy i doradzać innym kobietom. Na tym upływało jej życie, które wiodła tu, w Hiszpanii. - O czym tak rozmyślałaś?

- Och... - westchnęła Rafaela. - O niczym szczególnym... o pewnych sprawach w San Francisco... - uśmiechnęła się do matki, ale jej oczy pozostały smutne.

- O swoim przyjacielu?

Rafaela stanęła jak wryta. Matka objęła ją ramieniem.

- Nie gniewaj się. Rozmawiałam dzisiaj z twoim ojcem. Bardzo się martwiłam... jesteś taka przygnębiona.

W jej głosie nie było oskarżenia ani wymówki, jedynie żal i współczucie.

- Przykro mi, że cię to spotkało.

Przez długą chwilę Rafaela milczała, w końcu pokiwała głową.

- Mnie też jest przykro.

Nie użalała się nad sobą, lecz przede wszystkim nad Alexem. Zawsze było jej go żal, od samego początku.

- To wspaniały człowiek. Zasługuje na znacznie więcej, niż mogę mu dać.

- Powinnaś się zastanowić nad tym, Rafaelo. Przemyśl to sobie dokładnie. Twój ojciec obawia się skandalu, ale nie wydaje mi się, żeby to było akurat najważniejsze.

Sądzę, że raczej powinnaś zastanowić się nad tym, czy nie rujnujesz komuś życia. Powiedz, czy przypadkiem nie krzywdzisz tego mężczyzny? Na pewno wiesz - uśmiechnęła się łagodnie i mocniej ją przytuliła że każdego od czasu do czasu może najść chwila słabości. - Trzeba jednak pamiętać, żeby wtedy kogoś nie skrzywdzić. Lepiej więc romansować z kimś, kogo się dobrze zna, może nawet z kuzynem albo kimś podobnym, z żonatym mężczyzną. Ale nie powinnaś pozwalać sobie na takie gry z kimś, kto jest wolny i oczekuje od ciebie więcej, niż możesz mu dać. To jest okrutne, Rafaelo. Powiem więcej, to jest nieodpowiedzialne. Jeśli rzeczywiście tak jest, to bardzo niedobrze, że się w nim zakochałaś.

A więc matka dorzuciła jej jeszcze jeden ciężar! Odkąd tu przyjechała, udało się jej trochę ochłonąć po tym, co usłyszała od ojca, zdruzgotana trafnością co najmniej kilku jego oskarżeń. To, że mogła pozbawiać czegoś Johna, że poświęcała mu mniej czasu czy uczucia, przez cały czas nie dawało jej spokoju, a teraz matka próbowała ją jeszcze przekonać, że zabiera coś cennego również Alexowi. Tego bała się od samego początku, ale dotychczas nikt tak dobitnie nie utwierdził jej w obawach.

Zdaniem matki powinna zatem nawiązać romans z kuzynem albo jakimś żonatym mężczyzną i zrezygnować z Alexa. A więc kochać Alexa to okrucieństwo. Nie potrafiła ani chwili dłużej znieść tej myśli. Potrząsnęła głową, mocno uścisnęła matkę i pobiegła do domu. Alejandra podążyła za nią wolnym krokiem. Z oczu płynęły jej łzy. Ona też nie potrafiła znieść cierpienia malującego się na twarzy córki.



## ROZDZIAŁ 26

To lato było dla Rafaeli najsmutniejsze ze wszystkich, które spędziła w Santa Eugenia. Każdy dzień ciążył jej niczym kamień uwiązany u szyi, nawet dzieci nie były w stanie wyrwać jej z przygnębienia. Były hałaśliwe i niespokojne, wciąż płatały dorosłym figle. Wprawdzie podobały im się opowiadania Rafaeli, ale poza tym irytowały ją ze wszystkich możliwych powodów. Zresztą opowiadania też wydawały się jej teraz mało ważne. Kilka dni po przyjeździe schowała manuskrypty do walizki i do końca pobytu więcej ich nie wyjęła.

Napisała do Alexa ze dwa, trzy listy, lecz wydawały się jej niezręczne i sztuczne. Trudno było jej pominąć milczeniem to, co się stało, z drugiej strony nie chciała poruszać tego tematu, dopóki sama nie ułoży sobie w myślach wszystkiego. Ilekroć próbowała do niego pisać, czuła się jeszcze bardziej winna, a słowa, które usłyszała od matki i ojca, stawały się jeszcze bardziej bolesne.

Gdy po tygodniu dowiedziała się, że ojciec zamierza przyjechać na weekend do Santa Eugenia, poczuła niemal ulgę. Po formalnym obiedzie, w którym uczestniczyły trzydzieści cztery osoby, ojciec wezwał ją na niewielką werandę przylegającą do jego pokoju. Wszedłszy tam, stwierdziła, że jest równie zagniewany jak wcześniej w Paryżu.

Bezwiednie usiadła na krześle w biało-zielone pasy, na którym siadywała jeszcze jako mała dziewczynka.

- Czy w końcu poszłaś po rozum do głowy?

Antoine przeszedł od razu do sedna sprawy. Rafaela z trudem opanowywała drżenie, choć to, że w jej wieku tak bardzo przejmowała się tym, co mówił, zakrawało wręcz na kpinę. Jednakże przez całe życie była przyzwyczajona do wypełniania jego rozkazów i okazywania mu uległości i szacunku.

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, o co ci chodzi, tato. Nadal nie zgadzam się z twoją opinią. Nie krzywdziłam Johna, choć może nie byłam wobec niego w porządku.

- Tak? A jak on się czuje, Rafaelo? Rozumiem, że nie najlepiej.

- Wcale nie tak źle - odparła niepewnie.

Wstała z krzesła i zaczęła przechadzać się po pokoju. W końcu zbliżyła się do ojca i spojrzała mu w oczy.

- On ma siedemdziesiąt siedem lat, tatusiu, i od ośmiu lat jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Przeżył kilka wylewów i w tym stanie nie pozostało mu zbyt wiele chęci do życia. Czy chcesz mnie za to obwiniać?

- Skoro sama mówisz, że nie zostało mu wiele chęci do życia, to jak śmiesz narażać go na to, że zupełnie ją utraci? Jak śmiesz, wiedząc, że ktoś może mu powiedzieć? To na pewno by go zabiło. Jesteś bardzo zuchwała. Gdybym był na twoim miejscu, nie odważyłbym się. Przede wszystkim dlatego, że nie byłbym pewien, czy potrafiłbym żyć ze świadomością, że go zabiłem... co, muszę przyznać, nie jest wykluczone. A może to jeszcze nie dotarło do ciebie?

- Dotarło. I to w pełni - westchnęła cicho. - Ale, tato, ja kocham... tamtego mężczyznę.

- Chyba nie za bardzo, jeśli nie potrafisz zapewnić mu tego, co dla niego najlepsze. Powinnaś dać mu spokój. Martwi mnie, że jeszcze tego nie zrobiłaś. Miałem nadzieję, że potrafisz się na to zdobyć.

Spojrzała na niego smutno.

- Czy zawsze muszę być pod każdym względem doskonała, tatusiu? Czy muszę być taka silna? Od ośmiu lat staram się być silna, od ośmiu lat... - nie dokończyła, bo żal ścisnął jej gardło, a z oczu popłynęły łzy. - Tylko to mi zostało...

- Nieprawda - zaprzeczył zdecydowanie. - Masz Johna i z nikim innym nie wolno ci się wiązać. Kiedy on umrze, będziesz mogła rozważyć, co dalej począć ze swoim życiem. W tej chwili te drzwi są jednak dla ciebie zamknięte - spojrzał na nią surowo. - I ze względu na Johna mam nadzieję, że długo jeszcze się nie otworzą.

Rafaela spuściła głowę, a po chwili wstała i skierowała się ku drzwiom.

- Dziękuję, tato - powiedziała cicho i wyszła.

Ojciec wrócił do Paryża następnego dnia. Oboje z matką byli przekonani, że to, co powiedzieli córce, odniesie pozytywny skutek. Padło przecież wiele mocnych słów!

Po czterech dniach i pięciu bezsennych nocach w Santa Eugenia Rafaela zerwała się z łóżka o piątej rano. Usiadła przy biurku i sięgnęła po papier i pióro. Nie tylko nie potrafiła dłużej spierać się z rodzicami, ale przede wszystkim nie była w stanie zagłuszyć w sobie głosu sumienia. Skąd mogła mieć pewność, że to, co robi, nie rani Johna? Co do Alexa, rodzice też mieli słuszność: miał prawo do czegoś więcej, niż mogła mu dać teraz i być może w ciągu wielu jeszcze lat.

Siedząc przy biurku wpatrywała się przez chwilę w pustą kartkę. Wiedziała już, co chce napisać. I to nie dlatego, że tak zażądał ojciec, matka czy Kay Willard, ale ze względu na Johna i Alexa, ze względu na swoje wobec nich powinności. Ułożenie listu zajęło jej ponad dwie godziny.

Gdy kreśliła ostatnie słowa, łzy płynęły jej z oczu tak obficie, że nie była w stanie ich nawet przeczytać. Słowa na papierze zlewały się i zamazywały, ale ich znaczenie było zupełnie jasne. Napisała Alexowi, że nie chce skończyć z tym, co dotychczas ich łączyło, lecz odpoczywając tu, w Hiszpanii, przemyślała wszystko jeszcze raz i doszła do wniosku, że nie ma sensu trwać w związku, który nie ma przyszłości; że w końcu uświadomiła sobie, że Alex zupełnie nie pasuje do życia, które przyjdzie jej wieść, kiedy znów stanie się wolna; że tu, w Hiszpanii, przy rodzinie, czuje się dużo szczęśliwsza, tu jest jej miejsce i do tych ludzi należy. Ona jest katoliczką, a on jest rozwiedziony, nigdy więc nie będzie mogła go poślubić. Wypisała każde kłamstwo, każdą wymówkę, jaka przyszła jej na myśl, byle tylko nie pozostawić mu cienia nadziei, że kiedykolwiek będą jeszcze mogli żyć tak jak dotąd.

Chciała, by poczuł się zwolniony ze wszystkich zobowiązań i obietnic, by znalazł sobie inną kobietę, by przestał na nią czekać. Chciała mieć pewność, że na koniec podarowała mu najdroższy prezent wolność, a jeśli nawet musiała to zrobić używając słów, których niemiło się słucha, to robiła to wyłącznie dla niego, dla Alexa. Drugi, jeszcze trudniejszy list napisała do Amandy.

Wysłała go pod adres Charlotty Brandon w Nowym Jorku. Wyjaśniła w nim, że pomiędzy nią i Alexem wszystko się zmieniło i że nie będą się więcej widywać, gdy wróci do San Francisco. Obiecała, że zawsze będzie ją kochać i na zawsze zachowa w

pamięci przeżyte razem dni.

Gdy skończyła pisać ten list, dochodziła ósma. Czuli się jak po nocy pełnej tortur. Narzuciła na siebie gruby szlafrok i na palcach pobiegła do holu. Położywszy oba listy na srebrnej tacy, powoli wyszła na dwór, kierując się ku odległemu zakątkowi plaży, który pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Zrzuciła z siebie szlafrok, nocną koszulę, sandały i skoczyła do wody. Popłynęła najszybciej i najdalej jak mogła. Odrzuciła oto, co miała najcenniejszego, co nadawało sens jej życiu. Teraz było jej już wszystko jedno, czy będzie żyła, czy umrze.

Ocaliła Johna może na jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden rok, na dziesięć lat, dwadzieścia... Pozwoliła Alexowi ożenić się i mieć dzieci, a sobie pozostawiła pustkę, w której tkwiła od ośmiu lat.

Płynęła przed siebie, a gdy poczuła, że brak jej sił, zawróciła. Każda cząstka jej ciała krzyczała z rozpacz. Wolno wyszła z wody, narzuciła szlafrok i położyła się na piasku. Jej nagie nogi jaśniały w promieniach porannego słońca, ramiona drżały od szloch. Leżała tak chyba z godzinę, wróciwszy zaś do domu zauważyła, że służący zabrali już jej listy ze srebrnej tacy, aby je wysłać. Stało się!

## ROZDZIAŁ 27

Odkąd Rafaela wróciła do San Francisco, każdy dzień wydawał się jej niemal wiecznością. Przesiadywała u boku Johna po kilka godzin dziennie, czytając mu, rozmysławiając, a z rzadka również zabawiając go rozmową.

Najczęściej czytała mu gazety, czasami próbowała wracać do książek, które kiedyś lubił, a gdy zasypiał w ogrodzie, co zdarzało mu się coraz częściej i na coraz dłużej, sięgała po własne opowiadania.

Jednakże każda godzina, każdy dzień, każda niemal chwila zdawały się ciągnąć bez końca, jak szara przepastna wieczność. Każdego ranka wydawało się jej, że nie zdoła przeżyć następnego dnia, wieczorem zaś była tak zmęczona, że siadała nieruchomo i wsłuchiwała się we własny głos, który dzwonił jej w uszach. Czytała Johnowi, a po chwili do jej głosu dołączał dźwięk jego pochrapywania.

Żyła jak na torturach, uwięziona w zacieśniającym się kręgu swego niby-życia. Wszystko wydawało jej się inne niż kiedyś, zanim jeszcze poznała Alexa. Wtedy nie miała pojęcia, że można żyć inaczej, nie znała radości urządzania pokoju dla Amandy, nie piekła chleba, nie sadziła kwiatów w ogrodzie i nie czekała niecierpliwie na powrót ukochanego do domu.

Nie zbiegała po schodach z Amandą śmiejąc się na głos i nie oglądała z Alexem wschodów słońca. Teraz nie pozostało jej już nic oprócz jałowych letnich dni, które spędzała w ogrodzie wpatrzona w białe kłębiaste chmury przepływające nad jej głową, i długich wieczorów, kiedy w swoim pokoju wsłuchiwała się w głosy syren w zatoce.

Czasami wspominała letnie dni w Santa Eugenia i wakacje spędzone tam z Johnem ponad dziesięć lat temu. Teraz przestała pływać, śmiać się i biegać po plaży z wiatrem wplecionym we włosy. Nie miała już nic, nikogo oprócz Johna, ale i on był inny niż przed rokiem: jeszcze słabszy, jeszcze bardziej zamknięty w sobie i coraz mniej ciekawy otaczającego go świata. Nie obchodziła go już polityka, ani wielkie kontrakty naftowe z Arabami, ani nadciągające katastrofy, które niegdyś mogły mieć dla jego interesów niebagatelne znaczenie. Nie obchodziła go nawet firma i wspólnicy. Właściwie na

nic nie zwracał uwagi, choć potrafił być bardzo opryskliwy, gdy jakiś drobiazg nie był taki, jaki być powinien.

Czasami zdawało się, że nienawidzi całego świata za to, że przez ostatnie osiem lat był świadkiem jego powolnego umierania. Pewnego ranka powiedział Rafaeli, że jest już tym zmęczony.

- Skoro i tak wcześniej czy później umrę, dlaczego nie miałoby się to stać właśnie dzisiaj?

Wciąż powtarzał, że chciałby, by śmierć już nadeszła, że ma dość pielęgniarek i wózka inwalidzkiego. Wszyscy mu przeszkadzali, stale się domagał, aby zostawiono go w spokoju. Wyjątkiem była tylko Rafaela, wobec której z najwyższym wysiłkiem starał się zachowywać inaczej, żeby jej dodatkowo nie ranić. Jednakże dla każdego, kto go widział, było oczywiste, że czuje się bezgranicznie nieszczęśliwy. Rafaela miała w pamięci słowa ojca. Może istotnie John potrzebował przede wszystkim jej troski? Z pewnością, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Choć może tylko chciał sprawiać takie wrażenie widząc, że Rafaela i tak nie ma lepszego zajęcia?

Wydawało się jej, że John z trudem przeżywa każdą następną godzinę, była więc tym bardziej przekonana, iż musi ciągle przebywać blisko niego i czuwać nad nim nawet podczas snu, że musi dać mu teraz wszystko, na co tylko może się zdobyć.

Robiła co w jej mocy, a on poddawał się coraz bardziej. Czuła to i rozumiała, jak bardzo jest zmęczony życiem. Cóż jednak mogła jeszcze uczynić, by zachować go przy życiu? Jak mogła mu podarować choć cząstkę swojej młodości, energii i entuzjazmu? Nie czuła się przecież ani odrobinę szczęśliwsza od niego. Odkąd opuściła Alexa, odechciało się jej żyć. Spełniała jedynie swoją powinność podtrzymywała w Johnie tłącego się ducha.

Co rano zdawało się jej, że nie zdoła przeżyć w ten sposób kolejnego dnia. Prawie nie wychodziła z domu, a gdy już się jej to zdarzyło, zazwyczaj prosiła kierowcę, by wywiózł ją w jakieś odległe miejsce, gdzie mogła udać się na długi spacer.

W centrum miasta nie była od wyjazdu do Hiszpanii. Nie chciała też spacerować po najbliższej okolicy, nawet wieczorami, bo obawiała się, że gdzieś może zobaczyć

Alexa.

Jej list dotarł do niego w przedostatni dzień pobytu w Santa Eugenia. Gdy służący powiedział jej, że dzwoni ktoś z Ameryki, struchlała. Pragnęła, żeby to był Alex, ale równocześnie bała się. Nie odważyła się jednak nie podejść do telefonu, bo mogło przecież chodzić o Johna.

Z bijącym sercem drżącą ręką podniosła słuchawkę, a gdy usłyszała jego głos, zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Powiedziała wyraźnie i spokojnie, że w Santa Eugenia nareszcie oprzytomniała i że oprócz tego, co napisała w liście, nie ma mu już więcej nic do powiedzenia. Alex stwierdził, że raczej zwariowała niż oprzytomniała i że jest przekonany, iż ktoś na pewno ją do tego zmusił. Zapytał, czy przypadkiem nie jest to skutek jakiegoś szatańskiego pomysłu Kay i czy może coś w tej sprawie zrobić, gdy będzie w Nowym Jorku. Zapewniła go jednak, że nie, absolutnie, to jej własna świadoma decyzja.

Potem płakała przez kilka godzin. Była to chyba najboleśniejszą decyzją w jej życiu, ale nie mogła pozwolić, by jej zaniedbanie zabiło Johna, Alex zaś przez jej zachłanność został pozbawiony czegoś, co niewątpliwie należy mu się od życia. Jej ojciec i Kay zwyciężyli zatem: będzie musiała żyć do końca swoich dni tak jak teraz. Przyszłość jawiła jej się niczym ciąg ponurych pustych pokoi.

We wrześniu, gdy John zaczął sypiać również przed południem, dla zabicia czasu sięgnęła po rękopisy swoich opowiadań dla dzieci. Wybrała najlepszy i wstydząc się przed sobą własnej naiwności, uporządkowała go, przepisała na maszynie i wysłała do nowojorskiego wydawcy literatury dziecięcej. Ten pomysł podsunęła jej Charlotta Brandon i choć wydawał się jej kompletnie szalony, postanowiła spróbować, jako że nie miała nic do stracenia, a tym bardziej do zrobienia.

Przygotowując książkę jeszcze raz wróciła myślami do letnich wspomnień. Tak bardzo nienawidziła wtedy swojego ojca, że wątpiła nawet, czy zdoła mu przebaczyć to, co jej powiedział. Gdy przez telefon powiedziała mu, że w San Francisco należycie o wszystko dba, złagodniał tylko odrobinę. Zauważył, że to jej powinność i trudno, by oczekiwała za to pochwał. Wspomniał też, że było mu niezmiernie przykro, iż musiał

włożyć tyle wysiłku, aby z powrotem sprowadzić ją na właściwą drogę. Nie omieszkął również podkreślić, jak wielki wstyd mu przyniosła.

Nawet matka, z którą potem rozmawiała, utwierdziła ją wprawdzie w nieco łagodniejszych słowach w poczuciu całkowitej klęski. Z tym uczuciem powróciła w jesieni do San Francisco i z tego właśnie powodu odmówiła matce przyjazdu do Nowego Jorku, gdzie zamierzała wraz ze swoją obstawą zatrzymać się na kilka dni w drodze do Brazylii. Doszła do wniosku, że nigdy więcej nie powinna jeździć do Nowego Jorku na spotkania z matką ani robić innych podobnych rzeczy. Jej miejsce jest przy Johnie, nie może go opuścić ani na chwilę, aż do śmierci. Nie miała pewności, czy jej znikanie i dzielenie czasu między niego i Alexa nie przyśpieszą tej chwili.

Na próżno mówiła sobie, że jeśli ktoś pragnie śmierci Johna, to wyłącznie on sam. Starła się więc nie opuszczać go ani na chwilę i tylko z rzadka wychodziła na krótkie spacerki.

Matka zmartwiła się trochę kategorię odmową Rafaeli, zastanawiała się nawet, czy córka nie czuje jeszcze urazy do ojca o to, co zaszło między nimi w lipcu. Z listu, który otrzymała od Rafaeli, nic takiego jednak nie wynikało, odniosła raczej wrażenie, że córka nie ma po prostu na nic ochoty. Postanowiła zatelefonować do niej z Nowego Jorku i upewnić się, czy naprawdę wszystko jest w porządku. Ale w końcu, pochłonięta zakupami, na które wyruszała z siostrami, kuzynkami i siostrzenicami, a także z powodu różnicy czasu nie znalazła ani chwili, by porozmawiać z nią przed wyjazdem do Buenos Aires.

Dla Rafaeli nie miało to znaczenia. Nie odczuwała potrzeby rozmowy ani z matką, ani z ojcem, i postanowiła, że dopóki John będzie żył, na pewno nie pojedzie już na wakacje do Europy. Wydawało się jej, że życie tli się w nim jeszcze jak nikła iskierka, która lada chwila może zgasnąć. John niemal bez przerwy spał, a gdy nie mógł zasnąć, popadał w depresję. Prawie nic już nie jadł i z dnia na dzień coraz bardziej niedołążniał. Lekarz powiedział jej, że u człowieka w tym wieku i po tylu wylewach wszystkie te objawy są normalne, i dziwił się, że jego samopoczucie dopiero teraz zaczęło się pogarszać jakby na ironię losu akurat wtedy, kiedy Rafaela postanowiła poświęcać mu każdą chwilę.



Pozostawał jednak cień nadziei: zdaniem lekarza jego stan mógł się jeszcze poprawić i po kilku miesiącach letargu John wróci do lepszej formy przynajmniej psychicznej. Rafaela robiła co w jej mocy, by uprzyjemnić mu czas. Ostatnio sama zaczęła nawet przygotowywać drobne przekąski, aby w ten sposób pobudzić jego apetyt i zachęcić go do jedzenia. Jej życie każdemu wydawałoby się zupełnym koszmarem, lecz ona jakby tego nie zauważała. Odrzuciwszy coś, co było dla niej najcenniejsze, zobojętniała na wszystko. Kiedyś liczyli się dla niej tylko Alexander i Amanda teraz została pustka.

Tak mijały miesiące. Przeszedł listopad i nastał podobny do niego grudzień, gdy otrzymała list z nowojorskiego wydawnictwa. Wydawca był oczarowany jej książką i dziwił się tylko, że Rafaela nie ma swojego agenta. Proponowano jej zaliczkę w wysokości dwóch tysięcy dolarów. Ilustracje były już gotowe i wszystko wskazywało na to, że książka ukaże się latem przyszłego roku.

Rafaela przez długą chwilę wpatrywała się w list jak w cudowne zjawisko, aż w końcu, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Wesoła jak mała dziewczynka pobiegła po schodach na górę, by podzielić się z Johnem swoją radością. Zastąpiła go śpiącego. Głowa opadła mu na piersi, z otwartych ust wydobywało się ciche chrapanie. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu i nagle poczuła się ogromnie samotna.

Tak bardzo chciała mu o tym powiedzieć! Oprócz niego nie miała przecież nikogo. Pomyślała o Aleksie, lecz natychmiast zdusiła w sobie tę myśl. Przyszło jej do głowy, że na pewno znalazł już sobie inną, może się nawet ożenił albo zaręczył, Amanda zaś na pewno jest bardzo szczęśliwa.

Złożyła list i powoli zeszła na dół. Uświadomiła sobie, że John nie wiedział, iż od lat zabawiała dzieci opowiadaniem, i byłby na pewno zaskoczony wiadomością o książce. Lepiej chyba zachować to dla siebie. Matkę na pewno to nic nie obchodzi, a do ojca nie miała ochoty pisać.

Nie było nikogo, z kim mogłaby się podzielić rozpierającą ją radością, usiadła więc i zabrała się do przygotowywania odpowiedzi na list. Podziękowała za zaliczkę, którą

postanowiła przyjąć na proponowanych warunkach. Potem, gdy oddała już list kierowcy, dziwiła się, że tak szybko zareagowała, i żałowała, że to zrobiła. Tak bardzo przywykła ostatnio do odmawiania sobie wszystkiego, czego pragnęła, że teraz nawet ta mała przyjemność wydała się jej nie na miejscu.

Zła na siebie poprosiła szofera, by zawiózł ją na plażę, kiedy po południu John jak zwykle zapadł w sen. Miała ochotę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, pospacerować, popatrzeć na psy i dzieci, poczuć na twarzy podmuch wiatru i choć na chwilę oderwać się od ciężkiej atmosfery domu. Uświadomiła sobie, że zbliża się Boże Narodzenie. Nie myślała o tym wcześniej, bo tegoroczne święta właściwie niewiele dla niej znaczyły.

John był zbyt zmęczony, żeby przywiązywać wagę do tego, czy w ogóle w jakiś sposób je uczczą. Nagle zatęskniła do takich świąt, jakie przed rokiem przeżyła z Amandą i Alexem. Znow siłą odpędziła od siebie te myśli. Nawet tego starała się sobie odmawiać.

Dochodziła czwarta, gdy szofer zaparkował samochód wśród ciężarówek, furgonów i starych gruchotów niedaleko plaży. Rafaela uśmiechnęła się do siebie wiedząc, jak osobliwie musi wyglądać w tej scenerii. Wsunęła nogi w wygodne mokasyny, które często nosiła w Santa Eugenia, i wysiadła, porwana lekką bryzą. Miała na sobie krótki kożuszek, czerwony golf i popielate spodnie. Ostatnio nie ubierała się już tak wyszukanie jak dawniej. Nie odczuwała potrzeby strojenia się, skoro wszystkie jej dni upływały monotennie na siedzeniu przy wózku Johna, gdy spał, i przy jego łóżku, gdy razem jedli kolację podaną na tacach i oglądali wiadomości w telewizji.

Kierowca, Tom, przyglądał się, jak Rafaela idzie schodami na piaszczystą plażę, potem na chwilę stracił ją z oczu, później znow ją dostrzegł, tuż nad wodą. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie wtopiła się w tłum spacerowiczów. Wtedy wrócił do samochodu, włączył radio i zapalił papierosa.

Rafaela tymczasem była już daleko i z zainteresowaniem obserwowała trzy labradory, które baraszkowały na plaży, co chwilę wskakując do wody. Opodal grupa młodych ludzi w dżinsach popijała wino grając na gitarach. Długo słyszała ich śpiew

wędrując wzdłuż brzegu. W końcu usiadła na pniu i nabrała głęboko w płuca słonego powietrza.

Wspaniale było choć na chwilę wyrwać się z tamtego świata, być tutaj i widzieć, jak żyją inni, nawet jeśli sama nie mogła tak żyć. Po prostu siedziała i patrzyła, jak inni spacerują trzymając się za ręce, jak się całują, rozmawiają, śmieją i biegają. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby dokądś zmierzali, i Rafaelę za stanowiło, gdzie się podzieją, kiedy zajdzie słońce.

W pewnej chwili zauważyła mężczyznę. Widziała go już od dłuższej chwili, jak biegł wzdłuż brzegu, miarowo, niemal mechanicznie, aż w końcu zwolnił i wciąż poruszając się sprężysto, niczym tancerz, przeszedł do wolnego marszu. Płynność jego ruchów zaintrygowała ją tak, że nie mogła oderwać od niego wzroku, gdy coraz bardziej zbliżał się do niej. Grupka dzieci na chwilę odwróciła jej uwagę, a kiedy znów na niego spojrzała, był tak blisko, że spostrzegła, iż ma na sobie czerwoną kurtkę i jest bardzo wysoki.

Był jednak na tyle daleko, że nie widziała rysów jego twarzy. Nagle zaparło jej dech w piersiach. Siedziała nieruchoma patrząc, jak biegnie ku niej. Alex!...

Zauważywszy ją, przystanął i przez długą chwilę trwał w bezruchu. W końcu powoli, krok za krokiem, zaczął do niej podchodzić. Miała ochotę uciec, ale wiedziała, że nie ma szans, tym bardziej że znajdowali się dość daleko od miejsca, gdzie zostawiła samochód. Alex zdecydowanie zmierzał w jej kierunku, aż zatrzymał się tuż przy pniu, na którym siedziała. Przez chwilę nic nie mówili, w końcu uśmiechnął się.

- Cześć, jak się masz?

Aż trudno było uwierzyć, że nie widzieli się od pięciu miesięcy! Gdy podniosła wzrok i spojrzała na jego twarz, którą tak dobrze знаła, poczuła się, jakby widziała go zaledwie wczoraj.

- Świetnie. A ty?

Westchnął i przez chwilę nie odpowiadał.

- Naprawdę świetnie, Rafaelo? Pytam poważnie...

Skinęła głową, zastanawiając się, dlaczego nie odpowiedział na pytanie.

Czyżby nie był szczęśliwy? Czyżby nie znalazł sobie nikogo, kto by mu ją zastąpił? Czyżby nie uszczęśliwiła go, darując mu wolność? A więc jej wyrzeczenia były daremne?

- Dotąd nie potrafię zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś - rzekł patrząc na nią z uporem i ani myśląc odejść.

Przez pięć miesięcy czekał, aby ją w końcu zobaczyć, toteż nie zamierzał tak po prostu jej minąć.

- Już ci wyjaśniłam. Jesteśmy przecież zupełnie różni.

- Naprawdę? A może tylko żyjemy w różnych światach? - zapytał z goryczą w głosie. - Kto ci kazał? Ojciec? A może ktoś inny? Może kuzynka z Hiszpanii?

Twoja siostra to załatwiła miała ochotę odpowiedzieć. Twoja siostra, mój ojciec, jego podle policyjne metody i moje obawy, że John się dowie i to go zabije... i mój zdrowy rozsądek. Chcę, żebyś miał dzieci, których ja nigdy ci nie dam...

- Nikt mi nie kazał. Sama doszłam do wniosku, że to nie było w porządku.

- Ach, tak? Czy nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać o tym jak dorośli ludzie? Tam, skąd pochodzę, ludzie przed podjęciem ważnych decyzji dotyczących innych osób próbują wszystko dokładnie omówić.

Starła się zachować kamienną twarz.

- To zaczynało źle wpływać na mojego męża, Alex.

- Czyżby? Szkoda, że zauważyłaś to dopiero wtedy sześć tysięcy mil stąd, w Hiszpanii.

Spojrzała na niego bezradnie. W jej oczach naraz pojawiło się wszystko, co wycierpiała przez ostatnie pięć miesięcy. Alex zauważył, że twarz ma wymizerowaną, podkrążone oczy i drżące dłonie.

- Czemu teraz o tym mówisz, Alex?

- Bo nie miałem okazji powiedzieć w lipcu.

Telefował do niej cztery czy pięć razy w San Francisco, lecz nie chciała z nim rozmawiać.

- Czy w ogóle domyślasz się, czym był dla mnie ten list? Czy kiedykolwiek

pomyślałaś o tym?

Widząc jego twarz nagle zrozumiała. Najpierw Rachel rzuciła go, nie dając mu szansy wobec niewidzialnego przeciwnika, jakim była posada w Nowym Jorku za sto tysięcy dolarów rocznie, a teraz ona zrobiła to samo, zasłaniając się Johnem i „różnicami”.

Raptem ujrzała to wszystko w innym świetle, a wyraz jego oczu poruszył ją do głębi. Nie wytrzymała jego wzroku i spuściła oczy, grzebiąc w piasku szczupłą dłonią.

- Przepraszam... o Boże... tak mi przykro... - spojrzała na niego oczyma pełnymi łez i bólu.

Alex ukląkł na piasku obok niej.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

Odwróciła głowę, wykonała ręką ruch, jakby chciała go powstrzymać, i szepnęła:

- Nie, Alex, nic nie mów...

Wziął ją za rękę, drugą dłonią odwrócił do siebie jej twarz. Ich oczy znów się spotkały.

- Słyszałaś? Kocham cię. Kochałem, kocham i zawsze będę cię kochał. Może nie potrafię cię zrozumieć, może rzeczywiście są między nami jakieś różnice, ale na pewno nie zdołam ich pojąć, jeśli nie dasz mi szansy.

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz żyć tylko połowicznie, skoro możesz mieć wszystko z kimś innym?

- Dlatego to zrobiłaś?!

Czasami już przychodziło mu to na myśl, nie mieściło się jednak w głowie. Dlaczego tak nieoczekiwanie odeszła, paląc za sobą wszystkie mosty? Mógł przecież spodziewać się czegoś więcej.

- Między innymi - odpowiedziała zupełnie szczerze, patrząc mu w oczy.-  
Chciałam, żebyś miał coś więcej.

- Jedyne, czego chciałem, to ciebie - rzekł i dodał ciszej: - I teraz też tylko tego pragnę.

Rafaela pokręciła głową.

- Nie możesz... To nie w porządku.

- Dlaczego, do diabła? - zdenerwował się i oczy mu rozblęły dziwnym żarem.-

Dlaczego? Z powodu twojego męża? Jakim prawem wyrzekasz się wszystkiego dla człowieka, który już prawie umarł, dla człowieka, który, z tego co mówisz, zawsze chciał, żebyś była szczęśliwa i który gdyby tylko mógł, uwolniłby cię od tego wszystkiego?

Alex wiedział, że John już teraz w pewnym sensie podarował jej wolność, nie mógł jednak powiedzieć Rafaeli o spotkaniu, które odbyli. Nie wyobrażał sobie, aby do tego cierpienia, które widział wymalowane na jej twarzy, dorzucić jeszcze jedno.

- Przrzekałam mu na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie... dopóki śmierć nas nie rozdzieli. Nie nuda, nie choroba, nie ty... lecz śmierć. Nie mogę tak po prostu uciec od swoich zobowiązań.

- Kichaj na swoje zobowiązania! - wybuchnął.

Rafaela spojrzała na niego nieco zszokowana.

- Nie mogę. Jeśli nie dotrzymam przysięgi, on umrze. Jestem pewna. Ojciec powiedział mi to w lecie i nie mylił się. Na Boga, przecież on już teraz ledwie trzyma się przy życiu!

- I co ty możesz na to poradzić? Nie widzisz, że to wszystko jest niezależne od ciebie? Chcesz pozwolić, żeby ojciec za ciebie decydował o twoim życiu? Chcesz zakopać się żywcem w swoich „zobowiązaniach”? A co z tobą? Czego pragniesz dla siebie? Czy w ogóle o tym pomyślałaś?

Rafaela za wszelką cenę starała się właśnie o tym nie myśleć.

- Nie rozumiem, Alex - rzekła tak cicho, że jej słowa, zagłuszone przez wiatr, były ledwie słyszalne. Usiadł na pniu tuż obok niej. Bliskość jego ciała wprawiała ją w drżenie.

- Chcesz moją kurtkę? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Ale ja rozumiem - ciągnął. - W lecie zrobiłaś coś bardzo głupiego. Zdobyłaś się na wiele wyrzeczeń, żeby odpokutować za coś, co uważałaś za wielki grzech.

Rafaela jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego robić Johnowi.

Jakże chętnie Alex by jej wyjawiał, że przecież wszystko się zmieniło! Również to, co uważała za niezmiennie pomiędzy sobą i mężem.

- Czego robić, na Boga? Wychodzić na kilka godzin z domu? Chcesz się przykuć łańcuchem do jego łóżka?

- W tej chwili właśnie tak...

Zamyśliła się. W końcu postanowiła mu powiedzieć. Wszystko. Miał przecież do tego prawo.

- Ojciec śledził mnie i zagroził, że powie Johnowi. To na pewno by go zabiło, więc nie miałam wyboru.

- O Boże - szepnął Alex, patrząc na nią w osłupieniu, bo nie dowiedział się jeszcze, że szpiegowskie praktyki ojca były następstwem listu od Kay. - Dlaczego? Dlaczego chciał powiedzieć Johnowi?

- Nie wiem. Może nawet by tego nie zrobił. Ale nie chciałam igrać z ogniem. Groził, że powie, więc musiałam zrobić to, co zrobiłam.

- Ale dlaczego cię śledził?

Wzruszyła ramionami.

- A czy to ma znaczenie? Po prostu mnie śledził.

- I teraz siedzisz i czekasz?

Zamknęła oczy.

- Nie mów tak, jakbym czekała, aż umrze, bo to nieprawda. Robię to, do czego zobowiązałam się piętnaście lat temu: jestem jego żoną.

- Czy nie sądzisz, że okoliczności uzasadniają złamanie pewnych reguł? - spytał patrząc jej błagalnie w oczy, lecz Rafaela znów potrząsnęła głową. - W porządku, nie będę cię do niczego zmuszał - zapewnił i raptem uświadomił sobie, pod jak ogromną presją musiała się znaleźć w Hiszpanii. Aż trudno mu było sobie wyobrazić, że jej ojciec mógł wynająć detektywa, a potem szantażować ją, że powie o wszystkim Johnowi. Miał ochotę rozszarpać jej ojca na kawałki, stłumił jednak gniew i rzekł tylko: - Pozostawiam sprawę otwartą. Kocham cię i bardzo cię pragnę. Zgodzę się na każde twoje warunki, jutro czy za dziesięć lat, to nie ma znaczenia. Przyjdź do mnie, kiedy tylko zechcesz,

będę czekał. Rozumiesz, Rafaelo? Rozumiesz?

- Tak, ale uważam, że to szaleństwo. Życie przecież mija, nie możesz go marnować.

- A twoje? Ty swoje życie możesz marnować?

- To co innego, Alex. Ty jesteś wolny, ja nie.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na morze. Tak dobrze było im znów czuć swoją bliskość! Pragnęli, aby ta długo wyczekiwana chwila trwała wiecznie, lecz słońce powoli zaczynało zachodzić. Zapadał zmierzch, mgły słały się coraz niżej.

- Czy on jeszcze cię śledzi?

- Nie sądzę. Teraz nie ma już powodów.

Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by dotknąć jego policzka. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Już nigdy. To co mówił, to zwykle szaleństwo. Nie może przecież czekać na nią do końca życia!

- Chodź - wstał i wyciągnął do niej rękę - odprowadzę cię do samochodu. A może to zły pomysł? - dodał.

- Nie najlepszy, ale możesz mnie odprowadzić przynajmniej kawałek - odparła.

Ściemniało się bardzo szybko i perspektywa samotnego powrotu nie zachwycała jej. Spojrzała na Alexa badawczo, marszcząc przy tym brwi. Jej oczy wydawały się teraz jeszcze większe niż kiedyś.

- Co u Amandy?

- Tęskni za tobą... prawie tak samo jak ja...

Tę uwagę Rafaela pominęła milczeniem.

- Jak minęło jej lato?

- Spędziła z Kay dokładnie pięć dni. Moja kochana siostrzyczka planowała, że przez cały miesiąc będzie ją pokazywać wyborcom, ale po pierwszym razie Amanda się zbuntowała.

- I co? Wróciła do domu?

- Nie, moja matka zabrała ją do Europy. Myślę, że miło spędziły czas - wzruszył ramionami.



- Nie kontaktowałeś się z nimi?

Spojrzał na nią wymownie.

- Do niedawna w ogóle nie słuchałem, co ktoś do mnie mówił.

Ze zrozumieniem skinęła głową i poszli dalej. Po chwili przystanąła.

- Chyba już pójdę sama.

- Rafaelo... - zaczął, zawahał się, postanowił jednak dokończyć. - Czy mógłbym cię widywać od czasu do czasu? Umawialibyśmy się na lunch... na drinka...

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo oboje nie będziemy chcieli poprzestać na tym. Sam dobrze wiesz. Musi być tak, jak było, Alex.

- Dlaczego?! Tak bardzo mi ciebie brakuje, że chodzę półprzytomny. Tobie też nie jest chyba lekko. Czy musi tak dalej być? Czy o to chodziło twojemu ojcu, gdy próbował cię szantażować? Czy życzył tego nam obojemu? Nie chcesz nic więcej od życia, Rafaelo?

Poczuł, że nie może się dłużej powstrzymać, i porwał ją w ramiona.

- Zapomniałaś już, jak dobrze było nam razem?

Jej oczy wypełniły się łzami, schowała więc twarz w jego ramionach i skinęła głową.

- Tak... tak... pamiętam... ale to już skończone...

- Nie, nieprawda. Nadal cię Kocham i będę kochał.

- Nie wolno ci. - Spojrzała na niego pełnym bólu wzrokiem. - Musisz o tym zapomnieć, Alex. Musisz.

W milczeniu pokręcił głową.

- Co robisz w święta? - zapytał.

Pytanie było dosyć dziwne, toteż zdumiało Rafaelę, która nie pojmowała, co Alex może mieć na myśli.

- Nic. A dlaczego pytasz?

- Moja matka zabiera Amandę na Hawaje. Wyjeżdżają o piątej po południu w Boże Narodzenie. Może byś wpadła do mnie wieczorem na kawę? Obiecuję, że nie będę

cię do niczego namawiał ani o nic prosił. Chcę cię tylko zobaczyć, to dla mnie takie ważne! Błagam, Rafaelo... - prosił.

Długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź, w końcu z ogromnym wysiłkiem potrząsnęła głową.

- Nie - szepnęła cichutko. - Nie.

- Nie chcę, żebyś dalej tak żyła. Będę czekał. Sam. Będę czekał w swoim domu w tę świąteczną noc i myślał o tobie.

- Nie, Alex... proszę.

- Nie mów nic. Jeśli nie przyjdiesz, trudno.

- Ale ja nie chcę, żebyś siedział i czekał. Na pewno nie przyjdę.

Nie odpowiedział, w oczach wszakże błyszczała mu nadzieja.

- Będę czekał. A teraz dobranoc - uśmiechnął się. Pocałował ją w czoło i pogładził po ramieniu. - Uważaj na siebie, kochanie - dodał.

Stał bez ruchu patrząc za nią, gdy odwróciła się i odeszła. Po chwili obejrzała się jeszcze.

- Nie przyjdę, Alex.

W ciemności widziała jego czerwoną kurtkę i targane wiatrem czarne włosy.

- I tak będę czekał. Na wszelki wypadek. Gdybyś zmieniła zdanie... Do zobaczenia w święta - zawołał, gdy znikala mu z oczu.

Patrząc na nią rozmyślał o tym, jak poświęciła się dla Johna, jak poświęciła się dla nich wszystkich. Musi uszanować jej decyzję, ale na pewno nie przestanie jej kochać.

## ROZDZIAŁ 28

Mała choinka na stoliku w kącie pokoju migotała wesoło. Rafaela i John jedli indyka, jak zwykle na podanych do łóżka tacach. John był jeszcze cichszy niż zwykle.

Rafaela zastanawiała się, czy przypadkiem święta nie przygnębiły go bardziej, przywołując wspomnienia młodości, wyjazdów na narty, podróży z Rafaelą i chłopięcych lat jego syna, kiedy w holu stała choinka pod sam sufit.

- John, kochanie, jak się czujesz? - zapytała cicho nachylając się ku niemu.

W milczeniu poruszył tylko głowę. Rozmyślał o Aleksie i o ich rozmowie. Wiedział, że coś musiało się stać, lecz sam był ostatnio w tak złej formie psychicznej, że nie zauważył przygnębiaenia Rafaeli. Nie byłoby mu zresztą łatwo, bo zawsze starała się przed nim ukrywać swoje cierpienie i opiekowała się nim z ogromnym oddaniem. Oparł się na poduszkach i westchnął.

- Jestem taki zmęczony tym wszystkim...

- Czym? Świętami?- zdziwiła się. Jedyłą ich oznaką była maleńka choineczka w kącie, ale może jej światła go drażniły?

- Nie, wszystkim. Życiem, jedzeniem... oglądaniem wiadomości, gdy nic się nie dzieje, oddychaniem, mówieniem, spaniem... - spojrzał na nią smutno, a w jego oczach nie było choćby nikłej isierki nadziei.

- Ale mną nie jesteś zmęczony, prawda? - zapytała z uśmiechem, nachylając się, by pocałować go w policzek. John uchylił głowę.

- Nie... nie rób tego - powiedział zapadając się głębiej w poduszki.

- John, co się stało? - dopytywała się, zatroskana jego dziwnym zachowaniem.

- Czemu w ogóle o to pytasz? Jak można... tak żyć? Jak możesz to znosić?

Czasami rozmyślam o Hindusach... Kiedy umierali, na żałobnym stosie palono ich żony. Nie dałem ci nic lepszego, Rafaelo.

- Nie mów tak. Nie opowiadaj bzdur... Kocham cię...

- To głupota z twojej strony - odparł poważnie, niemal gniewnie. - Ale nawet jeśli ty jesteś głupia, ja muszę zachować zdrowy rozsądek. Dlaczego nie wyjedziesz gdzieś?

Odpocznij, zajmij się czymś, na Boga... nie marnuj życia siedząc przy mnie. Moje już się skończyło, Rafaelo - mówił niemal szeptem. - Skończyło się dawno temu.

- Nieprawda - zaproponowała, z oczu jednak popłynęły jej łzy. Serce jej pękało z bólu, gdy widziała jego rezygnację.

- Niestety, prawda. A ty... musisz się z tym pogodzić. Ja umarłem wiele lat temu. A najgorsze jest to, że... teraz zabijam ciebie. Może byś pojechała na jakiś czas do Paryża?

Zastanawiało go, co mogło zająć pomiędzy nią i Alexem, lecz nie chciał o to pytać, woląc się nie przyznawać, że zna jej sekret.

- Po co? - zdziwiła się. - Dlaczego właśnie do Paryża?

Do ojca? Po tym, co zaszło tego lata? Na samą myśl ogarniały ją mdłości.

- Chcę, żebyś wyjechała... na jakiś czas - z uporem powtórzył.

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie chcę nigdzie wyjeżdżać.

- A powinnaś chcieć.

Ich rozmowa przypominała dziecinną sprzeczkę, żadne jednak nie czuło się tym rozbawione.

- Nie wyjadę.

- Do diabła, musisz wreszcie gdzieś się wybrać!

- Dobrze, wobec tego pójdę na spacer. Ale pamiętaj, że mój dom jest tutaj i nie możesz tak po prostu gdzieś mnie wysyłać.

Zabrała jego tacę i postawiła na podłodze.

- Zdaje się, że jesteś znudzony moim towarzystwem - próbowała zażartować, lecz nie zareagował na jej przekorny ton. - Może potrzebujesz bardziej seksownej pielęgniarki?

Nie uśmiechnął się nawet. Leżał zasepiony, jak zwykle w ostatnim czasie, kiedy był w złym nastroju.

- Przestań opowiadać bzdury.

- Nie opowiadam bzdur - odparła łagodnie i nachyliła się ku niemu. - Kocham cię i

nie chcę nigdzie wyjeżdżać.

- Ale ja chcę, żebyś się gdzieś wybrała.

Milczała przez chwilę, John zaś patrzył na nią smutno.

- Chcę umrzeć, Rafaelo - powiedział nagle. Zamknął oczy i mówił dalej: - Tylko tego pragnę. Ale dlaczego... mój Boże, dlaczego... nie umieram?

Otworzył oczy.

- Powiedz mi... powiedz, gdzie u diabła jest sprawiedliwość. Dlaczego wciąż jeszcze żyję? - zapytał z pretensją w głosie.

- Dlatego, że ja cię potrzebuję - odpowiedziała cicho.

John odwrócił głowę. Długo milczał, aż w końcu Rafaela zorientowała się, że śpi. Było jej ciężko na sercu, że taki jest nieszczęśliwy, i czuła się trochę temu winna.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Rafaela dała jej znak, że John śpi, i obie wyszły, aby szeptem porozmawiać na korytarzu. Razem doszły do wniosku, że po długim, męczącym dniu na pewno będzie spał już przez całą noc. To, że były akurat święta, nie miało dla niego znaczenia. Nic nie miało już znaczenia. Był po prostu starym, ciężko chorym człowiekiem.

- Gdybym była potrzebna, jestem u siebie - szepnęła Rafaela na odchodnym do pielęgniarki.

Biedny John! Cóż za życie przyszło mu wieść. W jej pojęciu niesprawiedliwość nie polegała na tym, że wciąż jeszcze żył, lecz na tym, że w ogóle go to spotkało. Gdyby nie zachorował, w tym wieku mógłby być jeszcze w pełni sił. Może byłby trochę mniej sprawny niż w wieku pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat, może szybciej by się męczył, ale wciąż jeszcze mógłby być szczęśliwy, aktywny i pełen wigoru. Niestety, los chciał inaczej Johnowi nie zostało nic, wegetował.

Powoli, noga za nogą, Rafaela weszła do swojego niewielkiego gabinetu. Rozmyślała o Johnie, w końcu jednak myślami pobiegła do innych spraw: do rodziny świętującej Boże Narodzenie w Santa Eugenia, do ojca, do ubiegłorocznych świąt, które spędziła z Alexem i Amandą.

I po raz nie wiadomo który przypomniała sobie, co powiedział przed trzema

tygodniami na plaży: „Będę czekał. Sam. Będę czekał w domu...”

Te słowa od samego rana dźwięczały jej w uszach. Siedząc w pustym pokoju zastanawiała się, czy naprawdę czeka. Było wpół do ósmej, wcale nie za późno, aby wyjść na spacer. Ale dokąd pójdzie? I co będzie, jeśli nogi same ją zaprowadzą do Alexa? Czy to rozsądne? Czy w ogóle ma sens? Wiedziała, że nie, że jej miejsce jest tutaj, w pustym ponurym domu Johna.

Czas płynął nieubłaganie, w Rafaeli zaś rosła pewność, że musi tam pójść, choćby na krótką chwilę, na pół godziny, tylko go zobaczyć. Wiedziała, że to szaleństwo, mimo to o wpół do dziesiątej zerwała się z fotela. Musiała do niego iść.

Pośpiesznie narzuciła czerwony wełniany płaszcz na prostą czarną sukienkę, włożyła buty, wzięła czarną skórzaną torebkę i przeczesła włosy. Czując, że na samą myśl o nim serce zaczyna jej mocniej bić. Uśmiechnęła się wyobrażając sobie, jak Alex otwiera drzwi. Na wypadek gdyby ktoś jej szukał, zostawiła w pokoju wiadomość, że wyszła na spacer, a po drodze zajrzy do przyjaciół.

Jak na skrzydłach biegła pustymi uliczkami do domku, którego nie widziała od ponad pięciu miesięcy. Kiedy go nareszcie ujrzała, zatrzymała się i głęboko westchnęła. Poczuli się, jakby straciła niemal pół roku, aby w końcu odnaleźć drogę prowadzącą do domu. Z promiennym uśmiechem na twarzy przeszła przez jezdnię, nacisnęła dzwonek i usłyszała tupot nóg za drzwiami. Na chwilę wszystko ucichło, potem drzwi się otworzyły. Alex stał jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Napotkawszy radosny wzrok Rafaeli uśmiechnął się.

- Wesółych świąt - zawołali niemal równocześnie i wybuchnęli serdecznym śmiechem.

- Witaj w domu, Rafaelo dodał Alex.

Rafaela bez słowa weszła do środka. W salonie były już meble. Alex kupował je wraz z Amandą na aukcjach i wyprzedażach, w supermarketach, galeriach i zwykłych tanich sklepach. To, co udało im się skomponować, stanowiło mieszankę francuskiego stylu rustykalnego i „wczesnoamerykańskiego”.

Wystrój pokoju składał się z okazałego futrzaka, obrazu francuskiego

impresjonisty, mnóstwa srebrnych i cynowych drobiazgów oraz zbioru starych książek. Na stołach stały wazony wypełnione kwiatami, w każdym kącie umieszczono okazałą donicę. Rośliny pięły się bujnie po marmurowych kolumnach kominka. Na kanapie leżało kilka poduszek obszytych futrem i tkaninami ręcznej roboty. Wśród nich były też wyroby Amandy, która po odejściu Rafaeli jeszcze bardziej zżyła się z wujkiem i poczuła się za niego w pewnym sensie odpowiedzialna.

Dbiała o to, aby się właściwie odżywiać, aby zawsze miał dość witamin, aby się wysypiał, nie jeździł za szybko, nie pracował za dużo i nie zapuszczał ogrodu. On z kolei zagadywał ją o chłopców i żartował z tego, jak gotuje, jaki ma makijaż, ubrania i ze wszystkiego, co sprawiało, że podobała się sama sobie. Razem prowadzili miły dom, w którym można było wyczuć ciepłą, rodzinną atmosferę emanującą z każdego kąta.

- Jak tu ślicznie, Alex.

- Tak, to prawda. Przede wszystkim dzięki Amandzie - przyznał dumny z siostrzenicy i zaprosił Rafaelę dalej.

Usiadłszy w pokoju, który nie kojarzył im się z wcześniejszymi przeżyciami, oboje odczuli pewną ulgę. Rafaela nie miała ochoty znaleźć się teraz w jego sypialni. Miejsce przy kominku czy nawet w jego gabinecie albo w kuchni przywołałoby dawne wspomnienia. Tu, w salonie, było niekrępująco, miło i wygodnie, bo był czymś nowym.

Alex zaproponował kawę i brandy, ale Rafaela zgodziła się tylko na kawę. Rozsiadła się wygodnie na kanapie i z bliska podziwiała każdy szczegół pokoju. Po krótkiej chwili Alex wrócił ze świeżo zaparzoną kawą. Rafaela zauważyła, że drżą mu ręce, podobnie jak jej, gdy sięgała po filiżankę.

- Nie byłam pewna, czy cię zastanę - zaczęła nerwowo ale postanowiłam spróbować.

Spojrzał na nią z powagą.

- Powiedziałem ci, że będę czekał. Mówiłem serio. Powinnaś była się domyślić.

Skinęła głową i skosztowała kawy.

- Jak święta?

- W porządku - wzruszył ramionami. - Dla Amandy było to wielkie wydarzenie.

Moja matka przyleciała wczoraj wieczorem, a teraz są razem na Hawajach. Już od lat obiecywała jej tę podróż i w końcu wielka chwila nadeszła. Właśnie skończyła następną książkę, więc przyda się jej odpoczynek. Nikomu lat nie ubywa...

- Mówisz o swojej matce? - Rafaela spojrzała na niego zdziwiona i trochę rozbawiona jego słowami. - Przecież ona nigdy się nie zestarzeje!

Nagle przypomniała sobie o czymś, co chciała mu powiedzieć jeszcze wtedy, gdy spotkali się na plaży.

- Wiesz, ja też niedługo wydam książkę - zarumieniła się i roześmiała. -

Oczywiście nie powieść...

- Dla dzieci? - oczy mu rozblęły.

- Tak. Dostałam wiadomość kilka tygodni temu.

- Wynajęłaś agenta?

- Nie. Po prostu miałam szczęście - uśmiechnęła się, a Alex usiadł wygodniej w fotelu.

- Cieszę się, że przyszłaś, Rafaelo. Już dawno chciałem ci pokazać ten pokój.

- A ja chciałam ci powiedzieć o książce.

Oboje czuli się, jakby na nowo zostali przyjaciółmi, jakby się odnaleźli. Ale co będą teraz robić? Stare dobre czasy na pewno już nie wrócą, Rafaela dobrze o tym wiedziała. Teraz, mając przeciw sobie Kay, ojca i matkę, mając zobowiązania wobec Johna, nie mogła liczyć, że coś się zmieni. Miała ochotę wyznać mu, jakim koszmarem było dla niej to lato, ale się powstrzymała.

- O czym tak myślisz? - zapytał, widząc jej zatroskany, utkwiony w płomieniach kominka wzrok.

Podniosła na niego szczere spojrzenie.

- O lecie - westchnęła cicho. - Było okropne.

Ze zrozumieniem skinął głową, również westchnął i spróbował się uśmiechnąć.

- Tak się cieszę, że w końcu przyszłaś i możemy porozmawiać! Bez ciebie było mi naprawdę ciężko... Ta świadomość, że wrócę do domu, a ciebie tu nie będzie...

Amandzie też nie było łatwo... - mówił, a Rafaeli jakby ktoś wbijał nóż w serce. Gdy na



niego spojrzała, dostrzegła w jego oczach niewysłowiony ból.

- Co teraz porabiasz, Rafaelo? - zapytał cicho, patrząc w ogień.

- Większość czasu spędzam przy Johnie. Ostatnio czuł się gorzej.

- Musi wam być bardzo ciężko.

- Jemu jest ciężej.

- A tobie? - spojrzał na nią badawczo, lecz nie od powiedziała.

Nachylił się do niej i delikatnie pocałował ją w usta. Nie zaproponowała, w ogóle nie zastanawiała się nad tym, co robią. Odwzajemniła pocałunek najpierw ostrożnie, lecz zaraz przywarła do niego z całą pasją, z całą tęsknotą, która w niej narosła. Zawarła w tym pocałunku miłość i smutek, i samotność, która przez całe lato nie pozwalała jej normalnie żyć. Nagle wszystko to zostało gdzieś daleko i poczuła przyływ namiętności.

- Alex... nie mogę...

Skinął głową.

- Wiem, wiem. W porządku.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu patrząc w ogień, potem zaczęli gawędzić o wszystkim i o niczym: o tym, co ich bawi, co cieszy, o tym, co nagromadzili w sobie przez ostatnie sześć miesięcy. Dochodziła trzecia nad ranem, gdy pożegnali się niedaleko jej domu, Alex bowiem nalegał, że ją odprowadzi, i Rafaela niechętnie w końcu się zgodziła.

- Będę mógł jeszcze kiedyś cię zobaczyć? Tak jak dziś?... - zapytał nieśmiało, nie chcąc jej spłoszyć.

Doskonale rozumiał, pod jaką presją żyje, i domyślał się, że w tej chwili myśli dokładnie o tym samym co on. Po chwili kiwnęła głową.

- Może pójdziemy na spacer po plaży? Jutro?

Roześmiała się.

- Doskonale.

- Spotkajmy się u mnie i pojedziemy moim samochodem. O dwunastej?

Następnego dnia była sobota, Alex miał więc dużo czasu.

- Może być o dwunastej.

Uśmiechnęła się radośnie, dziewczęco, pomachała mu ręką i skierowała się do

domu. W tej chwili nie myślała ani o Johnie, ani o ojcu, ani o Kay Willard, ani o nikim innym, tylko o Aleksie...

I o tym, że zobaczy go nazajutrz w południe. I że pójda razem na plażę.

## ROZDZIAŁ 29

Przez cały tydzień Rafaela i Alex spotykali się po południu i spacerowali po plaży albo siedzieli przy ogniu, popijając kawę i rozmawiając. Rafaela pokazała mu swoją umowę na książkę, on opowiadał jej o procesach, które właśnie prowadził. Jedno popołudnie poświęcili na wyjazd do Fort Point. Spotykali się po powrocie Alexa z biura, a potem jeszcze raz wieczorem, gdy John zasypiał już na noc. Rafaeli codziennie udawało się znaleźć kilka godzin, kiedy nie musiała być przy mężu.

John dużo spał, ten czas miała zatem dla siebie i postanowiła ofiarowywać go Alexowi każde pół godziny, godzinę, każdą wolną chwilę. Teraz jeszcze bardziej niż przed rokiem potrafili się cieszyć sobą, jakby na nowo odkryli swoje szczęście i jakby bardziej niż przed rokiem do niego dojrzeli. Dla obojga samotność była doświadczeniem, dzięki któremu pojęli, co znaczy być razem. Poznawali się teraz na nowo, do siebie zaś odnosili się z rezerwą.

Rafaela się bała, że znów może wywołać rodzinne piekło z udziałem Kay i ojca, którym, każdemu z innych powodów, zależało na tym, aby ich rozdzielić. Alex lękał się tylko jednego że może znów nieopatrznie ją spłoszyć. Poza tym otrzymał przecież błogosławieństwo od Johna, nie miał więc wyrzutów sumienia. Powoli, małymi krokami zbliżali się do siebie.

W dzień po Nowym Roku Rafaela przysłała do niego już o drugiej po południu. John oświadczył, że będzie spał przez cały dzień, a wyglądał na tak sennego, że nietrudno było uwierzyć, iż dotrzyma słowa. Zadzwoiła do drzwi nie mając pewności, czy Alex jest już w domu, lecz po chwili jej otworzył. Miał na sobie dzinsy i stary golf, a jej niespodziewana wizyta sprawiła mu wyraźną przyjemność.

- Co za miła niespodzianka. Co tu robisz?

- Pomyślałam, że złożę ci nie zapowiedzianą wizytę. Nie przeszkadzam?

Nagle zaczerwieniła się. Uświadomiła sobie, że mógł przecież w tym czasie spotykać się z inną kobietą.

- Nie, moja damo. Zupełnie mi nie przeszkadzasz. Napijesz się kawy?

Kiwnęła głową i poszła za nim do kuchni.

- Czyja to robota? - zapytała wskazując na wypolerowane miedziane garnki.

- Moja.

- Naprawdę?

- Oczywiście - uśmiechnął się. - Mam jeszcze wiele ukrytych talentów, których nawet się nie domyślasz.

- Czyżby? Jakich?

Alex podał jej filiżankę z kawą i spojrzał na nią, jakby jeszcze nie wierzył, że znów przyszła.

- Nie jestem pewien, czy powinienem zdradzać ci wszystkie sekrety na raz.

Pijąc kawę gwarzyli o wszystkim, co wydawało im się ważne i o czym chcieli sobie mówić. Na takich rozmowach czas zawsze mijał im szybko, może nawet zbyt szybko.

Naraz Alex przypomniał sobie o nowej książce matki, którą miał jeszcze w manuskrypcie.

- Och, Alex, mogę ją przeczytać?

Rafaeli rozbłysły oczy.

- Oczywiście. Mam ją na górze.

Zostawili kawę i pobiegli po schodach. Rafaela przeczytała kilka stron i zachwycona uśmiechnęła się do Alexa.

W tym momencie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna znów znalazła się w jego pokoju. Niepewnie rozglądnęła się wokół, zerknęła w kierunku sypialni po przeciwnej stronie korytarza i naraz napotkała jego wzrok. Alex podszedł i pocałował ją, powoli, z namysłem, ale namiętnie i żarliwie, tuląc w ramionach.

Poczuł jej napięcie i czekał, kiedy zacznie oponować. Rafaela jednak nie protestowała. Pozwoliła, by łagodnie dotykał rękami jej ciała, wreszcie bez słowa zgodnie skierowali się do sypialni.

Wtedy po raz pierwszy w dorosłym życiu Alex przestraszył się tego, co robi. Tak bardzo bał się ją stracić!... Uspokoił się, gdy szepnęła:

- W porządku, Alex... - A potem, kiedy zdejmował jej sweter, dodała: - Tak bardzo cię kocham.

Rozbierał ją powoli, ściągał z niej odzież sztuka po sztuce. Wyglądali przy tym niczym tancerze w jakimś cudownym balecie. Potem Rafaela zdjęła z niego ubranie i niespiesznie zaczęli delektować się sobą. Mieli dla siebie całe popołudnie i całe wypełnili miłością i namiętymi pieściami.

Gdy nasytzeni leżeli później, zdawali się szczęśliwsi niż kiedykolwiek wcześniej. Ich serca i myśli przepelniała rozkosz i radość.

Alex oparł się na łokciu i spojrzał na nią z uśmiechem, jakiego nigdy nie widziała na jego twarzy.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jestem szczęśliwy, że znów cię tu widzę.

Rafaela się uśmiechnęła.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Alex... tak bardzo... na wszystkie sposoby.

Przytulił ją i delikatnie zaczął pieścić. Spragnionymi ustami dotknął jej ust i poczuł, że cały drży. Znowu jej pragnął, znowu czuł się złakniony, jakby za chwilę miała odejść i jakby chciał nasycić się nią na zapas.

Kochali się przez cały wieczór, potem wzięli razem ciepłą kąpiel. Rafaela przymknęła sennie oczy.

- Kochanie, jesteś cudowna.

- I bardzo śpiąca.

Otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się.

- Muszę się zbierać do domu.

Wydawało się jej dziwne, że mówi teraz o wyjściu gdziekolwiek i że nazywa jakiś ponury gmach domem. Jej dom był tutaj, przy Aleksie, tu, gdzie dzielili ze sobą życie, gdzie zbliżały się ich dusze i ciała, gdzie się kochali. Nagle przestało ją obchodzić to, co powiedział ojciec. Nigdy nie opuści już Alexa. Niech sobie Kay wypisuje donosy, do diabła z nimi! Ona potrzebuje Alexa i ma do niego prawo.

Gdy siedzieli naprzeciw siebie, wciąż jeszcze nie w pełni nasytzeni, pocałował ją jeszcze raz i Rafaela zażartowała, że jeśli znowu spróbuje ją dotknąć, zadzwoni na policję. Ogarniało ich słodkie zmęczenie. W drodze do domu kilka razy rozkosznie ziewnęła. Alex pocałował ją na pożegnanie jak zwykle jedną przecnicę wcześniej, skąd

już sama poszła do domu.

W środku uderzyła ją dziwna cisza. Jakby nagle stanęły wszystkie zegary i zamarły wszelkie odgłosy wypełniające zwykle ten wielki, nieprzyjemny dom. Pomyślała jednak, że to tylko wyobraźnia i że jest po prostu zmęczona.

Uśmiechnęła się do siebie, jeszcze raz ziewnęła i weszła na schody. Z półpiętra zauważyła dwie służące i dwie pielęgniarki stojące w skupieniu pod drzwiami apartamentu Johna. Serce zaczęło jej gwałtownie walić w piersi. Zatrzymała się w pół kroku.

- Co się stało?

- Och, proszę pani... - pielęgniarka spojrzała na nią czerwonymi od płaczu oczyma. - Pani Phillips...

- O Boże - szepnęła Rafaela.

Domyśliła się, kiedy je zobaczyła, teraz wyzbyła się resztek wątpliwości.

- Czy on... - zaczęła, lecz nie była w stanie dokończyć.

- Pan Phillips nie żyje - powiedziała pielęgniarka i wybuchnęła płaczem. Jej towarzyszka współczująco objęła ją ramieniem.

- Jak to się stało? - zapytała Rafaela, powoli idąc ku nim.

Była nienaturalnie wyprostowana, mówiła bardzo cicho, oczy miała nieprawdopodobnie wielkie. A więc John umarł, gdy była w łóżku z Alexem, gdy żartowała, przekomarzała się i kochała! Zabolalo ją to niczym policzek wymierzony przez ojca. Raptem przypomniała sobie, jak latem nazwał ją dziwką.

- Miał kolejny wylew?

Na nieskończenie długą chwilę cztery kobiety znieruchomiały. Pielęgniarka, która płakała, zaniósła się szlochem. Służące szybko odeszły, druga pielęgniarka zaś spojrzała na Rafaelę wzrokiem mówiącym, że stało się coś strasznego.

- Lekarz chciałby z panią porozmawiać. Czeka już od dwóch godzin. Nie wiedzieliśmy, gdzie pani szukać, ale znaleźliśmy kartkę w pani pokoju, więc domyśliliśmy się, że wkrótce pani wróci.

Rafaela poczuła, że robi się jej słabo.

- Czy lekarz jeszcze tu jest?

- Tak, przy zwłokach, w pokoju pana Phillipsa. Wkrótce przyjadą go zabrać.

Lekarz zażądał sekcji, żeby mieć zupełną pewność.

Rafaela patrzyła na nią osłupiała, a po chwili zdecydowanym krokiem weszła do pokoju Johna. Cichutko podeszła do jego łóżka. Wyglądał jak pogrążony we śnie, wydało się jej nawet, że poruszył ręką. Nie mogła oderwać od niego wzroku, nieświadoma obecności lekarza, który stanął obok.

Widziała tylko Johna, starego, schorowanego, zmęczonego, pogrążonego w błogim śnie.

- Rafaelo...

Zadrżała usłyszawszy głos tuż obok, lecz odetchnęła z ulgą, kiedy się zorientowała, kto ją zagadnął.

- Witaj, Ralph - powiedziała, lecz jej wzrok, jakby przyciągany magnesem, znów spoczął na twarzy człowieka, który przez piętnaście lat był jej mężem. Nie potrafiłaby powiedzieć, co w tej chwili czuła: smutek, pustkę, żal, ból? coś czuła, ale nie wiedziała co. Umarł, nie żyje... Jeszcze nie w pełni docierało to do jej świadomości. Zaledwie kilka godzin temu mówił, że jest zmęczony... Teraz wyglądał, jakby wreszcie udało mu się zasnąć.

- Rafaelo, chodźmy do innego pokoju.

Poszła za nim do garderoby, w której często siadywały pielęgniarki. Stali naprzeciw siebie jak dwoje konspiratorów nie wiedząc, co powiedzieć. Lekarz był wyraźnie zakłopotany.

- Co się stało? Co takiego się stało, że wszyscy nabrali wody w usta? To nie był wylew, tak?

Nagle instynktownie wyczuła, co się stało. Lekarz potwierdził jej najgorsze obawy.

- Nie, to nie był wylew. To okropny wypadek. Straszna pomyłka, niewybaczalne roztargnienie. Nikt nie zrobił tego umyślnie i nikt się tego nie spodziewał.

- Co masz na myśli? - niemal krzyknęła. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa.

- Twój mąż... John... pielęgniarka dała mu środek nasenny i zostawiła słoiczek na stoliku przy łóżku...

Nastąpiła długa cisza. Rafaela patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

- Zażył te tabletki, Rafaelo, cały słoik. Popelnił samobójstwo...

Rafaeli chciało się krzyczeć. Zabił się... John odebrał sobie życie, gdy ona zdradzała go z Alexem... Nie, to ona go zabiła... Niemal własnoręcznie... Czy wiedział o Aleksie? Czy wyczuł coś? Czy zdołałaby go powstrzymać, gdyby została w domu? Czy mogłaby... Co by było, gdyby...

Myśli kotłowały jej się w głowie, szeroko otwarte oczy błyszczały przerażeniem. Nie odzywała się. Cóż mogła powiedzieć? Ojciec miał rację. Zabiła go. John popelnił samobójstwo.

- Czy zostawił jakiś list? - spytała lekarza.

- Nie.

- O Boże... - jęknęła cicho i osunęła się zemdlna na podłogę.



## ROZDZIAŁ 30

Antoine de Mornay-Malle przyleciał z Paryża o szóstej wieczorem następnego dnia i zastał Rafaelę siedzącą nieruchomo przy oknie, wpatrzoną w rozciągającą się za szybą zatokę. Usłyszawszy jego głos zerwała się z krzesła, aby go powitać. Od razu zauważył, że oczy ma szkliste i nieprzytomne. Na noc w ogóle nie położyła się do łóżka i odmówiła przyjęcia środków uspokajających, które proponował jej lekarz.

Wyglądała na bardzo zmęczoną, czarna sukienka jeszcze bardziej podkreślała jej szczupłość i bladość. Włosy miała spięte z tyłu głowy, jej trupio blada twarz z ogromnymi szklistymi oczami wyglądała upiornie.

Antoine spojrział na jej nogi i zauważył, że włożyła już czarne żałobne pończochy. Nie miała na sobie żadnej biżuterii z wyjątkiem szerokiej ślubnej obrączki, którą nosiła od piętnastu lat na lewej ręce.

- Tato...

Badawczo patrzył w jej twarz. Kiedy do niego zadzwoniła, poznał po głosie, że stało się coś strasznego, coś znacznie gorszego niż zgon starca. Musiało wydarzyć się jeszcze coś, o czym dotychczas nie powiedziała.

- Tak mi przykro, Rafaelo - rzekł łagodniej niż zwykle i usiadł obok córki. - Czy... czy to długo trwało?

Nie odpowiedziała. Uparcie wpatrywała się w widok za oknem, kurczowo ściskając jego rękę.

- Nie wiem. Myślę, że nie.

- Nie byłaś przy nim? - spojrział na nią surowo. - Gdzie się wtedy podziewałaś?

W jego głosie zabrzmiała podejrzliwość. Rafaela odwróciła wzrok.

- Wyszłam na chwilę z domu.

- To był kolejny wylew czy... czy serce?

Jak większość ludzi w jego wieku pragnął poznać każdy szczegół, aby nie dać się zaskoczyć, gdy przyjdzie jego czas. Chciał wiedzieć, czego się spodziewać, poza tym wydawało mu się, że nie poznał jeszcze całej prawdy.

Rafaela wciąż się zastanawiała, czy zdradzić mu tę straszną tajemnicę, choć miała świadomość, że w tym wypadku każde kłamstwo wyjdzie na jaw. Zbyt dobrze знаła swojego ojca i wiedziała, że będzie rozmawiał ze służbą, z pielęgniarkami, z lekarzem, ze wszystkimi... Na pewno odkryje prawdę, przecież wszyscy w domu już ją znali.

Lekarz obiecał wprowadzić Rafaeli, że nie zdradzi nikomu szczegółów śmierci Johna, tyle że pielęgniarki zwierzyły się służącej, która z kolei zdradziła sekret lokajowi, a ten przekazał straszną nowinę kierowcy. Niewątpliwie wkrótce któreś z nich zwierzy się znajomemu z sąsiedztwa i w końcu wieść rozejdzie się po całym mieście John Henry Phillips popełnił samobójstwo.

- Tatusiu... To nie był wylew.

Zacisnęła powieki, mocno chwyciła poręcze krzesła, potem otworzyła oczy i dodała ledwie słyszalnym głosem:

- To było... on zażył tabletki, tatusiu...

Ojciec spojrzał na nią nie rozumiejąc, co chce mu powiedzieć.

- John... John był... był ostatnio bardzo przygnębiony... zniecierpliwiony chorobą... chciał... - przerwała, bo płynące z oczu łzy nie pozwalały jej mówić. Ze ściśniętego gardła wydobył się głośny szloch.

- Co ty mi tu opowiadasz? - spytał lodowato, nie ruszając się z miejsca.

- Chodzi o to, że... - odetchnęła głęboko i dokończyła: - że pielęgniarka zostawiła tabletki na stoliku przy jego łóżku... i John je zażył...

- Wszystkie. Zabił się?!

Ojciec ze zgrozą patrzył na Rafaelę, która kiwnęła głową.

- Na Boga, gdzie ty wtedy byłaś? Dlaczego nie dopilnowałaś pielęgniarki? Dlaczego nie byłaś przy nim?!

- Nie wiem, tato... Nikt się nie spodziewał, że John zechce odebrać sobie życie. Był taki zmęczony... Ostatnio bardzo narzekał, że tak długo już choruje, ale nikt nie myślał... do głowy mi nie przyszło, że mógłby...

- Mój Boże, czyś ty oszalała? Jak mogłaś być tak nieostrożna? Jak mogłaś nie interesować się tym, co robią pielęgniarki? To był przecież twój obowiązek... twoja

powinność...

Rafaela zerwała się z krzesła. Sprawiała wrażenie, że zaraz zacznie krzyczeć.

- Przestań, tato! Przestań! To nic nie da... Nikt nic już na to nie poradzi! Nikt nie zawinił... To był...

- Chyba pociągniesz do odpowiedzialności pielęgniarkę? - zapytał tonem człowieka interesu, bez cienia współczucia.

Rafaela pokręciła głową. Po jej minie było widać, że jest kompletnie zdruzgotana.

- Na pewno nie. Skąd mogła wiedzieć?... To był wypadek, tato.

- Wypadek, który zabił twojego męża.

Ich oczy spotkały się w długim przenikliwym spojrzeniu. Antoine, jakby wyczuwając, że jeszcze nie wszystko mu powiedziała, zmrużonymi oczyma przyglądał się jej badawczo.

- I co jeszcze, Rafaelo? Masz mi coś więcej do powiedzenia? - zapytał, po czym nabrawszy pewności co do jej winy, usiadł naprzeciw córki. - Gdzie byłaś, kiedy to zrobił?

Rafaela, kompletnie załamana, czuła się bezradna jak dziecko.

- Gdzie byłaś? - powtórzył z naciskiem Antoine.

Cóż mogła powiedzieć?

- Wyszłam. Nie było mnie w domu.

- Z kim byłaś?

- Z nikim - skłamała, lecz niepotrzebnie.

Antoine już znał prawdę, wyczuł ją z jej zachowania, a ona zrozumiała, że ojciec wie. Spojrzała na niego pokornie, jakby przyznawała się do winy.

- Byłaś z nim, tak? Z nim, Rafaelo? - podniósł głos.

Rafaela pokornie skinęła głową.

- Mój Boże, więc to ty go zabiłaś, rozumiesz? Rozumiesz, dlaczego zażył te tabletki?

Ojciec patrzył na nią z otwartą wrogością.

- Nie wiedział o tym, tato. Jestem absolutnie pewna.

- Jak możesz być pewna? Służący na pewno się zorientowali, więc ktoś musiał

mu donieść.

- Nie zrobiliby mu tego, tato. Zresztą nie sędzę, żeby ktokolwiek wiedział - oświadczyła i podeszła do okna.

A więc miała to już za sobą, najgorsze minęło. Ojciec poznał prawdę, dowiedział się, że ma złą córkę, która zdradzała męża, przez co ów odebrał sobie życie.

- Rozumiem, że okłamywałaś mnie mówiąc, że przestałaś się z nim spotykać.

- Nie, mówiłam prawdę - odwróciła się do niego. - Nie widywałam się z nim, odkąd wróciłam z Hiszpanii. Dopiero dwa tygodnie temu spotkaliśmy się przypadkiem.

- I oczywiście poszłaś prosto do jego łóżka.

- Tato... proszę...

- A może nie? Przecież to właśnie zabiło twojego męża. Pomyśl tylko! Czy potrafisz dalej z tym żyć? Potrafisz?

Rafaeli do oczu znów napłynęły łzy.

- Nie potrafię - wyszeptwała.

- Jesteś morderczynią, Rafaelo - rzekł jadowicie. - Morderczynią i dziwką - dodał z perwersyjną satysfakcją, wstał i spojrzał na nią z góry. - Przyniosłaś mi hańbę i w swoim sercu wyrzekam się ciebie, ale ze względu na siebie, na twoją matkę i na twojego kochanka nie dopuszczę, żebyś jeszcze raz mnie zhańbiła. Nie wiem, co zamierzasz z nim zrobić, ale domyślam się, że jak tylko John spocznie w grobie, natychmiast będziesz chciała do niego pognać. Niestety, moja droga, nie uda ci się. Przynajmniej na razie, bo nie obchodzi mnie, co będzie później. Możesz robić, co chcesz, jesteś dorosłą kobietą. Odrażającą, niemoralną, ale niewątpliwie dorosłą. Za rok, kiedy skończy się żałoba, możesz się puszczać do woli, w tym czasie jednak masz się prowadzić przyzwoicie. Zrobisz to ze względu na mnie, na matkę i na pamięć człowieka, którego bardzo kochałem. Po pogrzebie pojedziesz z matką do Hiszpanii i zostaniesz tam przez rok. Zajmę się wszystkimi sprawami związanymi z tym domem, na pewno załatwienie wszystkiego potrwa mniej więcej tyle samo. Potem możesz tu wrócić i robić, co ci się żywnie podoba. Ale ten jeden rok musisz poświęcić człowiekowi, którego zamordowałaś. W zasadzie należałoby ci się za to dożywotnie więzienie. Niemniej pamiętaj, że i tak

będziesz musiała z tym żyć do końca swoich dni.

Skierował się ku wyjściu. W drzwiach przystanął jeszcze, odwrócił się i dodał:

- Bądź przygotowana do wyjazdu w dniu pogrzebu. Nie zamierzam z tobą dyskutować więcej na ten temat. Rok żałoby po człowieku, którego zmusiłaś do samobójstwa, to i tak stanowczo za mało.

Rafaela stała nieruchomo patrząc, jak wychodzi. Po policzkach spływały jej łzy.

Następnego ranka zadzwonił Alex. Przez jeden dzień udało się utrzymać wszystko w tajemnicy, lecz nazajutrz sensacyjna wiadomość znalazła się na pierwszych stronach gazet. John Henry Phillips nie żyje! O Rafaeli niewiele pisano. Wyjaśniano tylko, że nie pozostawił po sobie dzieci, jego spadkobierczynią jest druga żona, Rafaela, z domu de Mornay-Malle y de Santos y Ouadral, następnie wymieniano założone przezeń korporacje, wyliczano fortunę, jaką odziedziczył, i najważniejsze międzynarodowe transakcje, do których zawarcia doprowadził w ciągu długich lat zawodowej aktywności.

Nie to jednak zainteresowało Alexa, gdy osłupiały wpatrywał się w gazetę, którą kupił wychodząc z biura. Przez kilka minut stał nieruchomo, wczytując się w każde słowo, potem szybko zawrócił, aby natychmiast do niej zadzwonić. Zastanawiał się już, dlaczego nie przyszła poprzedniego wieczoru, zaczynał się obawiać, że znowu zmieniła zdanie i po stanowila z nim zerwać. Przychodziło mu na myśl, że mogła czuć się winna.

Teraz obawiał się jeszcze jednego co czuła po tym, jak John Henry umarł dokładnie wtedy, gdy oni byli w jego domu. Był pewien, że nastąpiło to właśnie wtedy, bo w gazecie pisano, że stało się to poprzedniej nocy. A więc umarł, gdy Rafaela była poza domem albo krótko po jej powrocie.

Idąc do telefonu, poczuł gwałtowne dreszcze. Telefon odebrał służący, Rafaela podeszła dopiero po dłuższej chwili. Głos miała matowy, jakby pozbawiony życia. Usłyszawszy Alexa, zadrżała. Jego głos jeszcze dobitniej przypominał jej o tym, co robiła w chwili, gdy jej mąż zażył tabletki.

- Rafaelo? - powiedział Alex ze współczuciem. - Właśnie przeczytałem gazetę. Tak mi przykro... Słyszysz mnie?

Oprócz „Halo” nie powiedziała dotąd ani słowa.

- Tak, przepraszam... Byłam zajęta, kiedy zadzwoniłeś.

Wybierała właśnie ubranie, w którym miał być pochowany John, a ojciec upierał się przy czymś, co dla niej było symbolem oskarżenia i żałoby zarazem.

- Jutro będzie pogrzeb.

Wszystko, co mówiła, wydawało mu się nierealne i nie składne. Siedział na schodach z telefonem w ręku i zamkniętymi oczami, świadom, że Rafaelę zabija poczucie winy za śmierć męża. Czuł, że musi się z nią spotkać, musi ją zobaczyć, porozmawiać, dowiedzieć się, w jakim naprawdę jest stanie.

- Możemy się spotkać po pogrzebie? Na chwilkę. Chcę tylko zobaczyć, jak się czujesz.

- Dziękuję, czuję się świetnie - odpowiedziała machinalnie, co jeszcze bardziej go przeraziło. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej, jakby była pod wpływem silnych środków uspokajających albo, co gorsza, w szoku.

- Możemy się spotkać?

- Wyjeżdżam jutro do Hiszpanii.

- Jutro? Dlaczego?

- Wracam do rodziców. Ojciec uważa, że tam powinnam spędzić okres żałoby.

- O Boże!...

Alex pokręcił z niedowierzaniem głową. Co oni z nią zrobili? Co jej powiedzieli?

- Jak długo to potrwa? - zapytał.

- Rok - odparła beznamiętnie.

Oszołomiony tępo wpatrywał się w podłogę. A więc wyjeżdża na rok. Znow ją stracił, tym razem już na dobre. Jeśli śmierć Johna będzie jej się odtąd kojarzyła z ich związkiem, to kontynuowanie tego będzie dla niej koszmarem. Jednego tylko był pewien musi ją jak najszybciej zobaczyć. Na minutę, na dziesięć sekund, na krótką chwilę, aby powróciła do rzeczywistości, aby przypomniała sobie, że ją kocha i że nie zrobili nic złego, a już na pewno nie przyczynili się do śmierci Johna.

- Rafaelo, musimy się spotkać!

- To chyba niemożliwe.

Nagle Alexowi zaświtała pewna myśl.

- Spotkajmy się tam, gdzie po raz pierwszy cię zobaczyłem, na schodach obok twojego ogrodu. Będę na ciebie czekał. Pięć minut, Rafaelo, tylko tyle... Proszę...

Głos miał tak błagalny, że ulitowała się. Było to jedyne uczucie, na które potrafiła się w tej chwili zdobyć. Poza tym nie mogła z siebie wykrzesać nic, ani dla siebie, ani dla Alexa, ani nawet dla Johna. Była morderczynią, wysłanniczką diabła. Nie Alex jednak zabił Johna, ona to zrobiła, nie może go zatem za to karać.

- Po co chcesz się ze mną spotkać?

- Żeby porozmawiać.

- A jeśli ktoś nas zobaczy?

Jakie to miało teraz znaczenie? Najgorsze już się stało. Ojciec dowiedział się o Aleksie i o tym, że była z nim, kiedy John sięgnął po tabletki. Jaka różnicę jej to teraz sprawiało? Wyłącznie taką, że mogła jeszcze zrobić coś dobrego dla Alexa. A jutro i tak wyjedzie do Hiszpanii.

- Nikt nas nie będzie widział. Zresztą nie zatrzymam cię dłużej niż kilka minut.

Przyjdiesz?

- Tak.

- Będę czekał za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę, a dziesięć minut później nerwowo przechadzał się u podnóża schodów, przy których po raz pierwszy ją zobaczył. Doskonale pamiętał jej twarz oświetloną blaskiem lamp i futro, które łagodnie ją otulało. Teraz, gdy powoli schodziła po schodach, niczym nie przypominała tamtego cudownego zjawiska. Stanowiła obraz smutku i rozpacz.

Miała na sobie prostą czarną sukienkę, czarne pończochy, czarne buty, a wyraz jej twarzy bez makijażu przeraził Alexa. Stał jak wryty i nie miał odwagi wyjść jej naprzeciw. Czekał i oniemiały patrzył, jak zbliża się do niego z wyrazem bezgranicznego cierpienia w ogromnych czarnych oczach.

- Cześć, Alex - powiedziała takim głosem, jakby sama była bliska śmierci.

Właściwie ojciec już pozbawił ją życia.

- Rafaelo... najdroższa...

Miał ochotę ją objąć, lecz nie śmiał, więc tylko patrzył na nią ze współczuciem.

- Usiądźmy może...

Przysiadł na schodach i wskazał jej ręką miejsce obok. Machinalnie usiadła, podciągając kolana pod brodę i kuląc się z zimna.

- Powiedz, jak się czujesz?

Wyglądasz strasznie i obawiam się, że obwiniasz się za coś, co było niezależne od ciebie.

- Rafaelo, John był starym człowiekiem. Schorowanym i zmęczonym życiem, sama mi o tym mówiłaś. Nie chciał dłużej żyć, chciał umrzeć. Przez przypadek stało się to właśnie wtedy.

Rafaela lekko się uśmiechnęła i pokręciła głową, jakby z politowaniem.

- Nie, to nie przypadek, Alex. Ja go zabiłam. To nie prawda, co pisali w gazetach, że umarł we śnie. Owszem, spał, ale nie snem naturalnym. Zażył cały stoik środków nasennych... Popelnił samobójstwo.

- O Boże! - spojrzał na nią oszołomiony.

Teraz już rozumiał, wiedział, co Rafaela czuje i dlaczego tak wygląda.

- Jesteś tego pewna? Czy zostawił jakiś list?

- Nie, ani słowa. Po prostu się zabił. Mój ojciec jest pewny, że wiedział o nas i dlatego to zrobił. Tak powiedział i chyba miał rację.

Przez krótką chwilę Alex czuł, że ma ochotę zabić jej ojca, lecz nic nie powiedział.

- Skąd ta pewność?

- A z jakich innych powodów mógłby to zrobić?

- Choćby dlatego, że był zmęczony tą wegetacją. Nie rozumiesz tego, Rafaelo? Przecież sam często ci o tym mówił.

Z uporem pokręciła głową. Alex próbował wmówić jej niewinność, a przecież doskonale wiedziała, że wyłącznie ona jest winna tej śmierci. Nie on, lecz właśnie ona.

- Nie wierzysz mi? - spytał.



- Nie, nie wierzę. Myślę, że ojciec ma rację. Ktoś musiał nas razem zobaczyć i powiedzieć mu. Może ktoś ze służby albo z sąsiadów zauważył nas, jak wracałam w nocy do domu.

- Mylisz się. Powiedzieli mu nie służący, tylko moja siostra, kiedy latem byłaś w Hiszpanii.

- O Boże! - zawołała takim głosem, jakby za chwilę miała zemdleć.

Alex chwycił ją za rękę.

- To nie tak jak myślisz i jak chciała Kay. Wszystko potoczyło się inaczej. Jego sekretarz zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyszedł.

- I przyszedłeś? - zapytała wstrząśnięta.

- Tak. To był wspaniały człowiek, Rafaelo - rzekł Alex ze łzami w oczach.

- I co?

- Długo rozmawialiśmy. O tobie, o mnie, o nas... Udzielił mi swojego błogosławieństwa - łzy popłynęły z jego oczu obfitym strumieniem. - Prosił, żebym się tobą zaopiekował, kiedy on... - wyciągnął do niej rękę, ale odsunęła się.

To błogosławieństwo teraz niczego nie mogło zmienić. Nawet Alex wiedział, że jest już za późno.

- Rafaelo, skarbie... nie pozwól, żeby cię krzywdzili. Nie pozwól, żeby zabrali ci coś, czego oboje bardzo pragniemy, co nawet John uznawał i szanował.

- Nie byliśmy w porządku, Alex. Postępowaliśmy bardzo, bardzo źle.

- Naprawdę? Naprawdę tak uważasz? - spojrzał jej w oczy.

- Jaki mam teraz wybór, Alex? Jak mogę wmawiać sobie nieprawdę? Zabiłam swojego męża, skłoniłam go do samobójstwa. Chcesz mi wmawiać, że to nic złego?

- Chcę ci wytłumaczyć, że ty nie zrobiłaś nic złego. Każdy, kto zna całą prawdę, powie ci to samo. Jesteś niewinna bez względu na to, co mówi twój ojciec. Gdyby John żył, powiedziałby ci to, co ja teraz mówię. Jesteś pewna, że nie zostawił listu?

Wydawało mu się dziwne, że John nie pożegnał się z żoną. To było do niego niepodobne.

- Nie. Lekarz wszystko sprawdził, pielęgniarki też. Nic nie znaleźli.

- Na pewno?

Kiwnęła głową.

- I co teraz? Pojedziesz z matką do Hiszpanii, żeby odpokutować za grzechy?

Jeszcze raz kiwnęła głową.

- A potem? Wrócisz tutaj? - zapytał, w myśli godząc się już na ten rok samotności.

- Nie wiem. Chyba będę musiała przyjechać, żeby wszystko pozłatwić. Jak tylko zakończę sprawy spadkowe, wystawię dom na sprzedaż, a potem... - zawiesiła głos, wbiła wzrok w swoje buty i dokończyła bezbarwnym głosem: - Potem wrócę do Paryża albo do Hiszpanii.

- Rafaelo, to szaleństwo! - chwycił ją za rękę. - Kocham cię, chcę się z tobą ożenić. Nic nie stoi już na przeszkodzie. I nie zrobiliśmy nic złego.

- Zrobiliśmy, Alex - powoli wyswobodziła dłoń z jego uścisku. - Zrobiliśmy. Ja zrobiłam coś bardzo złego.

- I przez resztę życia będziesz dźwigać to brzemie? - zapytał, choć wiedział, że przez resztę życia on będzie dla niej uosobieniem jej śmiertelnego grzechu.

Oto więc stracił ją, Sprawił to kaprys losu, fatalny zbieg okoliczności, nierozważny krok starego człowieka, nienawiść jej ojca. Stracił ją. Jakby czytając mu w myślach, Rafaela kiwnęła głową i wstała. Przez długą chwilę wpatrywała się w niego, potem szepnęła:

- Żegnaj...

Nie przytuliła się, nie pocałowała go, nie poczekała na odpowiedź. Po prostu odwróciła się i odeszła, a Alex patrzył za nią rozumiejąc, że odchodzi na zawsze. W czarnej żałobnej sukience wyglądała jak zakonnica. Po raz trzeci ją tracił, teraz już definitywnie. Był tego pewien. Widział, jak otwiera furtkę i znika za nią. Nie odwróciła się, by jeszcze raz na niego popatrzeć. Zza parkanu nie doszedł go żaden dźwięk.

Długo stał nieruchomy i otepiały, wreszcie powoli, z sercem pękającym z bólu, wspiął się po schodach, wsiadł do samochodu i odjechał do domu.

## **ROZDZIAŁ 31**

Pogrzeb miał najbardziej prywatny charakter, jaki udało się zachować, mimo to w

kościelnie zjawili się ponad sto osób. Rafaela siedziała w pierwszej ławce obok ojca i matki. Po twarzy Antoine'a spływały łzy, matka głośno szlochała, choć prawie nie знаła zmarłego.

W następnej ławce siedzieli sześcioro najbliższych krewnych Rafaeli, którzy z jej matką przybyli z Hiszpanii brat i dwie siostry Alejandry, kuzynka, jej córka i syn. Przyjechali, by podtrzymać na duchu Rafaelę i Alejandrę, choć ta pierwsza odczuwała ich obecność jak straż więzienną, która ma ją eskortować w drodze do Hiszpanii. Podczas mszy nie uroniła ani łzy, tylko tępo wpatrywała się w trumnę okrytą białymi różami.

Matka zadbała o kwiaty, ojciec zajął się innymi formalnościami, tak że Rafaela nie musiała się o nic kłopotać. Mogła siedzieć w pokoju i rozmyślać o tym, co zrobiła. Czasami wspominała Alexa, mając przed oczyma jego twarz i to, co mówił, gdy widzieli się ostatni raz. Wiedziała, że się mylił, jej wina była dla niej oczywista. Ojciec miał rację, a Alex tylko próbował znaleźć dla niej usprawiedliwienie. Aż trudno było jej uwierzyć, że równocześnie straciła obu mężczyzn, których kochała. Straciła i Alexa, i Johna. I już nigdy żadnego nie zobaczy.

Pograżona w tych myślach wsłuchiwała się w dźwięk muzyki organowej. Po policzkach wolno zaczęły spływać jej łzy, spadając na czarną woalkę i na jej delikatne dłonie splecione na kolanach. Przez całą ceremonię siedziała nieruchomo, jak przed trybunałem, wiedząc, że nie ma nic na swoją obronę. Przez chwilę miała ochotę wstać i obwieścić wszystkim, że nie zabiła go umyślnie, że jest niewinna i że to wszystko to okrutny zbieg okoliczności... Niestety, nie była niewinna. Wciąż powtarzała to sobie w myślach. Dopuściła się zbrodni i musi za nią zapłacić.

Kiedy po mszy jechali na cmentarz, nie odezwała się słowem. John miał być pochowany obok swojej pierwszej żony i syna. Rafaela wpatrując się w zieloną murawę myślała tylko o tym, że jej prochy nigdy nie spoczną w tym miejscu. Być może nawet nigdy nie będzie już mieszkać w Kalifornii. Wróci tu może na kilka tygodni, na rok, by sprzedać dom i zabrać swoje rzeczy, pewnego dnia zaś umrze i spocznie w Europie. Wydawało się jej to właściwsze, nie miała prawa leżeć obok niego. Była kobietą, która go

zabiła, jego morderczynią. Byłoby bluźnierstwem pochować ją obok męża.

Gdy ksiądz kończył odmawiać modlitwę nad grobem, ojciec spojrzał na nią wymownie, jakby na potwierdzenie jej myśli. Drogę do domu odbyli również w milczeniu, bez słowa też Rafaela zniknęła w swoim pokoju. Jej bagaże były już spakowane. Nie miała nic do zrobienia i nie chciała z nikim rozmawiać, nikt zresztą nie przejawiał takiej ochoty.

Cała rodzina знаła już okoliczności śmierci Johna. Ciotki, wujkowie i kuzyni nie wiedzieli wprawdzie o jej romansie, ale mieli pełną świadomość tego, że jej mąż popełnił samobójstwo. Ich spojrzenia zdawały się ją oskarżać, tak jakby wciąż, w każdej chwili chcieli jej przypominać, że to ona jest winna jego śmierci. Łatwiej było jej zamknąć się w pokoju, nie widzieć ich spojrzeń i siedzieć jak w więzieniu, czekając i zazdroszcząc Johnowi odwagi. Gdyby teraz miała taką samą butelkę z tabletkami, na pewno też by je zażyła. Straciła wszystko, co było jej drogie, z wdzięcznością zatem pożegnała by się z życiem. Wiedziała jednak, że musi zostać ukarana śmierć byłaby zbyt łatwym wyjściem z sytuacji. Musi dożyć kresu swoich dni, pamiętając, co zrobiła w San Francisco i znosząc spojrzenia i szept rodziny w Hiszpanii. Jej historię będą opowiadać jeszcze za czterdzieści czy pięćdziesiąt lat i w końcu ktoś się domyśli, że nie wszystkie szczegóły ujawniono.

Może będą mówić również o Aleksie. O cioci Rafaeli, która zdradziła męża i „pamiętacie? on popełnił samobójstwo... Nie wiem, ile miała lat... może trzydzieści... wiesz, to ona go zabiła.”

Jakby już słysząc te słowa, Rafaela skryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Płakała, bo żałowała dzieci, które nigdy nie poznają jej i prawdy o niej; żałowała Alexa i tego, co ich ominęło; żałowała Amandy, której już nigdy nie zobaczy, i Johna Henry'ego, który to zrobił, który kiedyś był inny, którego kochała i który oświadczył się jej, gdy spacerowali brzegiem Sekwany. Płakała w swoim pokoju przez kilka godzin, później poszła do jego sypialni, aby jeszcze raz się po niej rozejrzeć.

O dziewiątej matka weszła do jej pokoju i powiedziała, że czas się zbierać na lotnisko. O dziesiątej trzydzieści miały wylecieć nocnym samolotem do Nowego Jorku,

wylądować tam o szóstej rano czasu miejscowego i o siódmej odlecieć do Hiszpanii. W Madrycie znajdą się o dwudziestej czasu lokalnego. Rafaelę czekała długa podróż i jeszcze dłuższy rok żałoby. Sprzątacznik wziął jej bagaże i zniósł na dół, a ona zeszła głównymi schodami. „Po raz ostatni”, pomyślała, wiedząc, że już nigdy nie będzie tu mieszkać. Jej czas w San Francisco dobiegł kresu, tak jak wspólne życie z Johnem.

Romans z Alexem także się zakończył. Całe jej życie się zakończyło.

- Gotowa? - matka spojrzała na nią z troską.

Rafaela oczy miała szkliste i bez wyrazu, takie same jak rano, gdy po raz ostatni spotkała się z Alexem. Skinęła głową i przekroczyła próg.

## **ROZDZIAŁ 32**

Wiosną Rafaela otrzymała z San Francisco egzemplarz książki, która miała wejść do sprzedaży w czerwcu. Obejrzała ją spokojnie, z rezerwą. Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, odkąd zaczęła nad nią pracować, a teraz to wszystko wydawało się jej zupełnie nieważne. Właściwie zupełnie jej nie obchodziło. Tak samo jak nie obchodziły ją dzieci, rodzice, kuzyni i ona sama. Żyła, jakby zatraciła zdolność odczuwania czegokolwiek.

Przez pięć miesięcy poruszała się niczym we śnie, wstawała rano, wkładała żałobny strój, jadła śniadanie, a potem wracała do swojej sypialni i odpisywała na listy z kondolencjami, które wciąż jeszcze przesyłano jej z San Francisco. Odpowiadała na papierze z grubą czarną obwódką, ponurym jak jej nastrój. W porze obiadowej znów wychodziła z pokoju, a po posiłku natychmiast znikła. Czasami wybierała się na samotne spacerki przed kolacją, starając się nie zachęcać nikogo do przyłączenia się do niej. Gdy czasami ktoś z rodziny nalegał, usilnie go zniechęcała.

Wszyscy wiedzieli, że nie ma ochoty z nikim się widywać i że bardzo wzięła sobie do serca roczną żałobę. Zaraz po przyjeździe zdecydowała, że nie zatrzyma się w Madrycie, tylko natychmiast pojedzie do Santa Eugenia, gdzie mogła liczyć na samotność. Rodzice nie sprzeciwiali się, gdyż w Hiszpanii kultywowano obyczaj rocznej żałoby, a wdowy i dzieci zmarłych obowiązkowo chodziły w czerni. Nawet w Paryżu nie było to niezwykle, jednakże pasja, z jaką Rafaela oddała się żalobie, uderzała każdego.

Wszyscy mieli wrażenie, że chce się ukarać i odpokutować za jakieś wymaginowane grzechy.

Po trzech miesiącach matka zaproponowała jej podróż do Paryża, lecz Rafaela kategorycznie odmówiła. Chciała zostać w Santa Eugenia i nie odczuwała potrzeby wyjazdu dokądkolwiek. Unikała ludzi, nawet matki, i nie robiła zupełnie nic. Całymi dniami przesiadywała w swoim pokoju, bez końca odpowiadając na kondolencje, i chodziła na samotne spacerunki.

Wśród nadesłanej korespondencji był również długi, serdeczny list od Charlotty Brandon, który wzruszył ją do głębi. Charlotta szczerze napisała jej, że zna od Alexa wszystkie okoliczności śmierci Johna i ma nadzieję, że Rafaela nabierze w końcu rozumu i przestanie się obwiniać. W długim filozoficznym wywodzie wyjawiała, że znała go w młodości i domyśla się, iż choroba musiała zranić jego psychikę. Porównując, jaki był niegdyś i jakim uczyniła go choroba, można było zrozumieć, że życie musiało stać się dla niego więzieniem, z którego chciał się uwolnić.

Z miłości do Rafaeli zdecydował się zatem na coś, czego może nie pojmowali pozostali przy życiu, a co dla niego było wybawieniem. „Wprawdzie był to czyn egoistyczny pisała Charlotta ale myślę, że potrafisz zrozumieć jego sens i pogodzić się z nim bez egocentrycznego obwiniania się i samobiczowania.” Nalegała, by Rafaela pogodziła się z tym wszystkim i uszanowała zarówno pamięć o nim, jak i siebie samą. Musi dalej żyć, musi być wyrozumiała dla siebie.

Był to jedyny list, na który nie odpowiedziała natychmiast. List od Charlotty Brandon przez kilka tygodni leżał na biurku Rafaeli, która wahała się, jak nań zareagować. W końcu odpowiedziała wprost. Wyraziła swoją wdzięczność za słowa otuchy i zrozumienia, na zakończenie zaś zapewniła, że gdyby Charlotta będąc kiedyś w Europie zechciała zajrzeć do Santa Eugenia, sprawiłaby jej ogromną radość. Wprawdzie osoba Charlotty również w jakiś sposób wiązała się z bolesnymi skojarzeniami z Alexem, lecz należało się jej przecież właściwe potraktowanie, poza tym Rafaela naprawdę byłaby rada, gdyby się jeszcze kiedyś spotkały. Nie spodziewała się jednak, że jej zaproszenie doczeka się odpowiedzi już pod koniec czerwca, kiedy Charlotta przyleciała

wraz z Amandą do Londynu na promocję swojej książki.

Plan pobytu w Europie miała wypełniony po brzegi: negocjacje z filmowcami, Paryż, Berlin... mimo to zamierzała przy okazji odwiedzić przyjaciół w Madrycie. Obie z Amandą stęskniły się za Rafaelą i zastanawiały się, czy potrafią namówić ją na spotkanie. A może by tak pojechać do Santa Eugenia i spędzić z nią jedno popołudnie?

Zdecydowały się zahaczyć o Hiszpanię, co Rafaelę głęboko wzruszyło, jednakże postarała się uprzejmie nakłonić je do zmiany decyzji. Wyjaśniła, że trudno byłoby jej teraz wyjechać z Santa Eugenia, że opiekuje się dziećmi i pomaga matce w podejmowaniu licznych gości, co było kłamstwem. Rodzina właśnie zaczynała się zjeżdżać na lato do Santa Eugenia, Rafaela zaś stała się jeszcze bardziej nieuchwytna niż zwykle. Bywało nawet, że nie schodziła na posiłki, tylko kazała je przynosić do pokoju.

Dla otaczających ją uczuciowych Hiszpanów takie zachowanie w okresie żałoby nie było niczym nadzwyczajnym, matka jednak coraz bardziej się martwiła. List, który Rafaela napisała do Charlotty do Paryża, spoczął na tej samej srebrnej tacy, na której cała rodzina kładła listy wysyłane z Santa Eugenia. Tego dnia dzieci wybierały się do miasta po słodycze, więc przy okazji zgarnęły je wszystkie do plecaka. Los sprawił jednak, że ten właśnie list wysunął się z ich rączek, zanim trafił do skrzynki pocztowej. Tak tylko mogła sobie to wytłumaczyć Rafaela, gdy trzy tygodnie później Charlotta zatelefonowała, zdziwiona, że nie doczekała się odpowiedzi.

- Czy możemy przyjechać i zobaczyć się z tobą?

Rafaela zawahała się. Była zmieszana, ale równocześnie poczuła się zawstydzona.

- No cóż... są straszne upały, na pewno dadzą się wam we znaki... Wiesz, trudno tu dojechać, nie chciałabym sprawiać kłopotu...

- Wobec tego przyjeźdź do Madrytu - zachęcała ją serdecznie Charlotta.

- Niestety, nie mogę się ruszyć z domu, choć bardzo bym chciała - skłamała Rafaela.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Może więc spotkamy się jutro?

Wynajmiemy samochód i wyjedziemy zaraz po śniadaniu. Co ty na to?

- To trzy godziny jazdy. Chce się wam? Wiesz, Charlotta... głupio mi...

- Nie przejmuj się. Ta wycieczka naprawdę sprawi nam radość. Zgadzasz się?

Przez chwilę miała wątpliwości, czy Rafaela w ogóle chciałaby się z nimi spotkać.

Może zbyt natarczywie nalegała, a ona naprawdę nie ma na to ochoty? Usłyszawszy jednak jej pełen radości głos, przestała się wahać.

- Och, cudownie będzie znowu was zobaczyć!

- Nie mogę się już doczekać, Rafaelo. Na pewno nie poznasz Amandy. Wiesz, że w jesieni rozpoczyna studia w Stanfordzie?

Rafaela uśmiechnęła się do siebie. Ta rozmowa sprawiła jej prawdziwą przyjemność. Amanda... jej Mandy...

- Cudownie, że nadal mieszka u Alexa. Oboje bardzo siebie potrzebowali. Och, jak się cieszę! - zawołała. I nie mogąc się pohamować, spytała: - A co z Kay?

- Jak pewnie wiesz, przegrała wybory. Chyba słyszałaś o tym jeszcze przed swoim wyjazdem z Kalifornii?

- Oczywiście, że słyszała.

Pisano o tym w gazetach, lecz Alex zawsze unikał tego tematu. Z powodu Amandy jego stosunki z siostrą zupełnie się popsuły i Rafaela zastanawiała się, co by zrobił, gdyby dowiedział się o liście, który Kay napisała do jej ojca. Na pewno wściekłby się jeszcze bardziej, ale na szczęście nigdy mu o tym nie wspomniała.

- To dobrze.

Teraz nie miało to już znaczenia. Ich wspólne życie skończyło się bezpowrotnie, a Kay była przecież jego siostrą.

- Kochanie, jutro nadrobimy zaległości. Przywieźć ci coś z Madrytu?

- Wy mi wystarczycie.

Rafaela uśmiechnęła się odkładając słuchawkę, a potem przez cały dzień przechadzała się nerwowo po pokoju. Dla czego się zgodziła? Co zrobi, kiedy przyjadą? Gdy zobaczy Charlotte i Amandę, odżyją jej wspomnienia, a przecież przywykła już do życia w Santa Eugenia. Po cóż więc wracać do przeszłości?



Kiedy zeszła na kolację, matka zauważyła nerwowe drżenie jej rąk i pomyślała, że musi o tym porozmawiać z Antoine'em. Rafaela na pewno potrzebuje lekarza, z miesiąca na miesiąc wygląda przecież gorzej. Zamiast opalać się w letnim słońcu, całymi dniami przesiaduje w swoim pokoju, trupio blada i wychudła. Od przyjazdu do Hiszpanii straciła chyba z dziesięć kilogramów i w porównaniu z resztą rodziny wyglądała zdecydowanie niezdrowo. W jej twarzy pozbawionej wyrazu żyły tylko ogromne czarne oczy, pełne smutku i bólu.

Przy kolacji mimochodem napomknęła, że nazajutrz spodziewa się dwojga gości z Madrytu. Właściwie to goście ze Stanów dodała.

- Ach, tak? - matka spojrzała na nią ciepło.

Wyraźnie ją ucieszyło, że Rafaela zamierza się z kimś spotkać. Dotychczas nie chciała nawet widywać starych przyjaciół z Hiszpanii. Alejandra nigdy jeszcze nie widziała, aby ktoś tak gorliwie oddawał się żałobie.

- Co to za goście, kochanie?

- Charlotta Brandon z wnuczką.

- Ta pisarka? - zdumiała się matka.

Czytała kilka jej książek przetłumaczonych na hiszpański i wiedziała, że Rafaela zna je wszystkie.

- Może zaprosisz je na noc?

Rafaela pokręciła głową i z nieobecną miną skierowała się do swojego pokoju. Nie wyszła stamtąd aż do następnego ranka, kiedy służąca zapukała do jej drzwi.

- Señora Rafaela, ma pani gości - powiedziała nieśmiało, jakby bała się jej przeszkadzać. Drzwi otworzyły się i piętnastoletnia dziewczyna w stroju pokojówki cofnęła się zalękniona.

- Dziękuję - Rafaela wyszła na korytarz. Była tak zdenerwowana, że nogi ciążyły jej niczym kłody. Tak długo nie widywała się z nikim, że zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć na powitanie.

Z poważną, lekko wystraszoną miną, w eleganckiej czarnej letniej sukience, którą matka kupiła jej w Madrycie, i w czarnych pończochach, powoli ruszyła na dół. Twarz

miała przerażająco bladą.

Charlotta czekała na dole przy schodach. Gdy zobaczyła Rafaelę, przeszedł ją dreszcz przerażenia. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak udreżonego i nieszczęśliwego. Wyglądała jak żywy obraz smutku, a czarna suknia i czarne smutne oczy jeszcze bardziej uwydatniały ten nastrój.

Rafaela uśmiechnęła się co prawda, lecz niewesoło, samymi ustami, jakby rozpaczliwie szukała mostu nad dzielącą je otchłanią. Zdawało się, że od ostatniego spotkania trafiły do dwóch różnych światów.

Charlotcie zachciało się płakać, zdołała się jednak opanować, wyciągnęła ręce i czule uścisnęła Rafaelę. Patrząc, jak ta prześliczna, choć wymizerowana istota wita się z Amandą, pomyślała, że jest teraz w pewnym sensie jeszcze piękniejsza, aczkolwiek takie piękno można podziwiać tylko z daleka.

Przez cały czas wizyty Rafaela była gościnna, serdeczna i czarująca; pokazała im dom, ogród i historyczną kaplicę wzniesioną przez dziadka, przedstawiła wszystkie dzieci, które bawiły się ze swoimi opiekunami w specjalnie dla nich zbudowanym ogródku. Posiadłość wspaniale się nadawała na cudowne wakacje. Charlotta czuła się tu trochę jak w innym, wskrzeszonym z przeszłości świecie, i choć podobało się jej, wiedziała, że nie jest to miejsce odpowiednie na więzienie dla młodej kobiety. Usłyszawszy, że Rafaela planuje zostać tu na zawsze, poważnie się zmartwiła.

- Nie zamierzasz wrócić do San Francisco? - zapytała ze smutkiem, ale i pewną irytacją.

Rafaela szybko pokręciła głową.

- Nie. Będę musiała tam pojechać, żeby pozalać wszystkie sprawy związane z likwidacją domu, choć właściwie mogłabym to zrobić nie ruszając się stąd.

- A nie chcesz przenieść się do Paryża albo do Madrytu?

- Nie - odparła zdecydowanie i uśmiechnęła się do Amandy. Ta jednak nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na Rafaelę badawczo, prawie się nie odzywając. Czuła się, jakby zobaczyła ducha osoby, którą kiedyś знаła. To nie była Rafaela!...

Podobnie jak Charlotta z trudem hamowała łzy. Jedyne, o czym mogła w tej chwili

myśleć, to czasy, kiedy Alex i Rafaela byli tacy szczęśliwi, kiedy Amanda wracając ze szkoły zastawała w domu Rafaelę. Ta kobieta wydawała jej się zupełnie obca, inna i daleka. Tylko przypominała tamtą Rafaelę, nic więcej. Gdy w końcu Rafaela zaproponowała, aby popływały, poczuła wyraźną ulgę. Starła się zagłuszyć w sobie wszystkie myśli, pływając do upadłego. Dzięki temu Charlotta przez chwilę była z Rafaelą sam na sam. Czekwała na tę chwilę przez cały dzień. Usiadły wygodnie na krzesłach ukrytych w kącie ogrodu i Charlotta uśmiechnęła się ciepło.

- Rafaelo, czy możemy porozmawiać jak dobre przyjaciółki?

- Oczywiście - odparła i na jej twarzy pojawiła się obawa.

Nie miała ochoty odpowiadać na żadne pytania ani wyjaśniać, dlaczego podjęła taką decyzję. To było jej życie i nie miała ochoty rozliczać się z niego przed kimkolwiek.

- Mam wrażenie, że próbujesz się zadręczać różnymi rzeczami, które sama sobie wymyśliłaś. Widzę to w twojej twarzy, oczach... Rafaelo, jak mogę ci pomóc? - przeszła szybko do sedna.

Rafaela odwróciła głowę, by ukryć łzy. Wydawało się, że po prostu patrzy na ogród.

- Nigdy się od tego nie uwolnię, Charlotto.

- Grzebiesz się żywcem! Obwiniasz się za coś, czego na pewno nie zrobiłaś.

Nigdy nie uwierzę, że byłabyś do tego zdolna. Nigdy!... Zawsze byłam przekonana, że twój mąż czuł się zmęczony takim życiem. Sama dobrze o tym wiesz, tylko nie dopuszczasz do siebie tej myśli.

- Wcale nie wiem. I nigdy się nie dowiem. Zresztą nie o to chodzi. Miałam w życiu wszystko, czego mogłam oczekiwać. Przez piętnaście lat byłam mężatką. I nie potrzebuję nic więcej. Teraz jestem tutaj. Wróciłam do domu, tu jest moje miejsce.

- To nie jest już twój dom, Rafaelo. Mówisz, jakbyś była starą kobietą.

Rafaela uśmiechnęła się gorzko.

- Bo tak właśnie się czuję.

- To szaleństwo - powiedziała Charlotta. Nagle za świtała jej w głowie pewna myśl.

- A może byś pojechała z nami do Paryża?

- Teraz? - zdumiała się Rafaela.

- Wieczorem wracamy do Madrytu, a jutro lecimy do Paryża. Co ty na to?

- Pomysł raczej szalony... - uśmiechnęła się lekko.

Propozycja wcale jej nie podniecała. Od roku nie była w Paryżu i nie odczuwała potrzeby, aby tam pojechać.

- Przemyśl to sobie.

Rafaela pokręciła smutno głową.

- Nie, Charlotto. Wolę zostać tutaj.

- Dlaczego? Sama siebie torturujesz.

- Tak - przyznała. - I to właśnie powinnam robić. Zawahała się i w końcu wykrztusiła: Co u Alexa? Wszystko w porządku?

Pisał do niej dwa razy, lecz nie odpowiadała na jego listy, choć wynikało z nich, że jest bardzo przygnębiony tym, co się stało.

- Jakoś sobie radzi.

To rozstanie przeżywał jednak o wiele bardziej niż odejście Rachel. Charlotta powątpiewała nawet, czy kiedykolwiek odzyska równowagę. Nie wiedziała, czy mówić o tym Rafaeli, aby nie zaczęła siebie obwiniać również za jego cierpienia.

- Nie pisałaś do niego, prawda?

- Nie - spojrzała jej szczerze w oczy. - Uznałam, że będzie lepiej dla niego, jeśli od razu przetnę wszystkie więzy.

- Już kiedyś tak myślałaś, prawda? I pomyliłaś się...

- Wtedy wszystko wyglądało inaczej - rzekła niepewnie Rafaela, wspomniawszy scenę, jaką przed rokiem urządził jej w Paryżu ojciec. Tak bardzo wtedy to przeżywała, tak ważne wydawało się jej wszystko, co teraz nie miało już żadnego znaczenia! Tyle się pozmieniało!... Kay przegrała wybory, ona straciła Alexa, John Henry umarł... Spojrzała na Charlotte.

- Kay napisała do mojego ojca, że romansuję z Alexem, i błagała go, aby położył temu kres. Zrobił to.

Widząc, jak bardzo Charlotte zaskoczyła ta wiadomość, postanowiła nie

wspominać już o liście do Johna, jeszcze okrutniejszym. Uśmiechnęła się do matki Alexa.

- Groził, że powie mojemu mężowi, i kazał mnie śledzić. Przekonywał mnie, że jestem egoistyczna i że rujnuję Alexowi życie, że przeze mnie nie może się ożenić i mieć dzieci... - Westchnęła. - Wtedy pomyślałam, że rzeczywiście nie mam wyboru.

- A teraz?

- Teraz sobie życzył, żebym przyjechała tutaj na rok. Powiedział, że przynajmniej to powinnam zrobić mówiła coraz ciszej po tym, jak zabiłam Johna.

- Przecież go nie zabiłaś! - sprzeciwiła się Charlotta.

Przez chwilę milczały.

- A co potem? Czy twoja rodzina będzie bardzo nieszczęśliwa, jeśli zdecydujesz się stąd wyjechać?

- Nie wiem. To nie ma znaczenia, Charlotto. Nie wyjadę. Tu jest moje miejsce i tu zostanę.

- Dlaczego uważasz, że tu jest twoje miejsce?

- Nie chcę o tym mówić.

- Przestań się w końcu zadręczać! - Charlotta chwyciła ją za rękę. - Jesteś piękną młodą kobietą, obdarzoną inteligencją i dobrym sercem. Zasługujesz na lepsze życie, powinnaś mieć męża, dzieci... z Alexem albo z kim innym, kto by ci odpowiadał, ale nie możesz się tutaj żywcem pogrzebać!

Rafaela powoli cofnęła rękę.

- Właśnie że mogę. I nie potrafię żyć nigdzie indziej z tym, co zrobiłam. Kogokolwiek dotknę, kogokolwiek pokocham, poślubię, zawsze będę myślała tylko o Johnie i o Aleksie. Jednego zabiłam, drugiemu zrujnowałam życie. Jakżeby mogła jeszcze kogoś narażać?

- Przecież ty nikomu nie odebrałaś ani nie zrujnowałaś życia!... O Boże! Mam nadzieję, że zdołam wybić ci to z głowy - rzekła Charlotta, choć zdawała sobie sprawę, że to prawie niewykonalne.

Rafaela, pogrążona w myślach, prawie jej nie słuchała.

- To co? Pojedziesz z nami do Paryża?

- Nie - uśmiechnęła się łagodnie. - Ale dziękuję za zaproszenie. Amanda wygląda wspaniale...

Ostatnie zdanie wskazywało, że Rafaela nie ma ochoty na dalsze zwierzenia i tłumaczenie się ze swoich decyzji. zaproponowała, aby pójść do ogrodu różanego na skraju posiadłości. Potem wróciły do Amandy. Zbliżała się pora rozstania. Rafaela ze smutkiem patrzyła za nimi, gdy odjeżdżały, po czym skierowała się do domu. Wolno minęła wykładany różowym marmurem hol, wspięła się po schodach.

Kiedy Charlotta przejeżdżała wynajętym samochodem przez główną bramę posiadłości Santa Eugenia, Amanda wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego nie chciała jechać z nami do Paryża?

W oczach Charlotty również zabłyśły łzy.

- Po prostu nie chciała, Mandy. Jedyne, czego ona chce, to pogrzebać się tutaj żywcem.

- Nie mogłaś z nią porozmawiać?

Amanda wytarła nos i oczy.

- Tak okropnie wygląda! Zupełnie jakby to ona umarła, nie on.

- W pewnym sensie tak właśnie się stało.

Charlotta nie zdołała dłużej pohamować łez, które strumieniem płynęły jej po policzkach, gdy skręcała na autostradę do Madrytu.

### **ROZDZIAŁ 33**

We wrześniu Alejandra zaczęła namawiać Rafaelę do zmiany decyzji. Cała rodzina rozjechała się do Madrytu i Barcelony, a ona uparła się, że zostanie w Santa Eugenia na zimę. Twierdziła, że chce pracować nad następną książką dla dzieci, lecz nie było to przekonujące wytłumaczenie. Wcale nie zamierzała więcej pisać i dobrze o tym wiedziała. Matka namawiała ją, aby wyjechała do Madrytu.

- Nie chcę, mamo.

- To nonsens. Wyjazd na pewno dobrze ci zrobi.

- Dlaczego? Przecież i tak nie będę mogła pójść do teatru czy opery ani na

przyjęcie.

Matka ze zrozumieniem spojrzała na jej mizerną, zmęczoną twarz.

- Minęło już dziewięć miesięcy, Rafaelo. Możesz od czasu do czasu wyjść gdzieś ze mną.

- Dziękuję - odparła beznamiętnie. - Wolę zostać w domu.

Ponadgodzinna rozmowa okazała się daremna. Rafaela jak zwykle udała się do swojego pokoju. Potrafiła przesiadywać tam całymi godzinami, patrząc przez okno na ogród, rozmyślając i marząc. Coraz mniej było listów, na które musiała odpowiadać, nie wynajdywała sobie jednak innych zajęć. Siedziała tylko i dumiała, czasami o Johnie, czasami o Aleksie i wspólnie przeżytych chwilach. Potem zawsze powracała myśl o przyjeździe do Paryża, o tym, jak ojciec zwyzywał ją i wyrzucił z domu. Później przychodziło wspomnienie tamtej chwili, kiedy wróciła do domu, a John... I przemowy ojca, który nazwał ją morderczynią.

Nie pozostawało jej nic innego, jak siedzieć tutaj, żyć wspomnieniami, patrzeć w okno nie widzącym wzrokiem, nigdzie nie wychodzić, nic nie robić i coraz bardziej usuwać się z życia. Matka bała się zostawiać ją samą w Santa Eugenia, bo dostrzegła w jej zachowaniu coś niepokojącego. Rafaela była jak nieobecna, obojętna na wszystko, co działo się wokół niej. Coraz mniej jadła, z nikim nie rozmawiała, chyba że naprawdę musiała, nie brała udziału we wspólnych zabawach, pogaduszkach i rozrywkach. Aż strach było na nią patrzeć.

Pod koniec września Alejandra postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- Nie obchodzi mnie, co na to powiesz, Rafaelo. Zabieram cię do Madrytu. Nie możesz siedzieć tu jak w więzieniu.

Alejandrę męczyła ponura jesienna pogoda na wsi. Była spragniona rozrywek i przyjemności i nie pojmowała, jak trzydziestoczteroletnia kobieta może tak żyć. Rafaela w milczeniu spakowała swoje rzeczy i wyjechała z matką. W drodze nie odezwała się słowem, a na miejscu natychmiast zniknęła w apartamencie, który zazwyczaj zajmowała w domu matki. Z czasem wszyscy przestali nawet zauważać jej obecność. Nikt nie zwracał już na nią uwagi, ani ciotki, ani kuzynki, kuzyni czy wujkowie. Po prostu w

milczeniu zaakceptowali ją taką, jaka teraz była.

Matka rozpoczęła sezon od niezliczonych przyjęć z muzyką i tańcami. Śmiech i radość wypełniały jej dom. Wychodziła w licznym towarzystwie do opery, wydawała kolacje i kolacyjki, nieustannie bawiła się w towarzystwie przyjaciół. Na początku grudnia Rafaela doszła do wniosku, że powoli staje się to nie do zniesienia. Ilekroć schodziła na dół, napotykała kilkudziesięcioosobową grupę ludzi w wieczorowych strojach i czarnych krawatach, ale matka nie godziła się, by jadała posiłki w swoim pokoju. Przekonywała ją, że to niezdrowo i mimo żałoby powinna jadać z gośćmi. Twierdziła też, że spotkania z ludźmi poprawią jej samopoczucie, Rafaela jednak była odmiennego zdania.

W pierwszym tygodniu grudnia zdecydowała się wyjechać. Telefonicznie zarezerwowała bilet na samolot do Paryża. Była przekonana, że kilka dni w podniosłej atmosferze domu ojca przyniesie jej ulgę. Zawsze dziwiło ją, że tych dwoje ongiś mieszkało pod jednym dachem towarzyska, kapryśna, kokieteryjna matka i poważny, surowy ojciec. Odpowiedź była prosta: dlatego właśnie matka mieszkała w Madrycie, a ojciec w Paryżu. Ostatnio nawet bardzo rzadko przyjeżdżał do Hiszpanii, bo czuł się za stary na frywolne igraszki Alejandry.

Rafaela przyznawała w duchu, że i ona zaczyna już czuć się tym zmęczona. Zatelefonowała do ojca, by uprzedzić go o przyjeździe, choć wiedziała, że na pewno nie sprawi mu tym kłopotu, bo również w jego domu miała swój pokój.

Nie zastała go w domu, telefon odebrała nowa służąca. Zdecydowała się więc sprawić mu niespodziankę. Nie była u niego od roku, odkąd dowiedział się o jej romansie z Alexem. Teraz, po prawie roku od śmierci Johna, czuła, że odpokutowała przynajmniej niektóre swoje grzechy wiodąc pustelnicze życie w Santa Eugenia. Wiedziała, że jej obecne zachowanie zyskało aprobatę ojca. Po okrutnych oskarżeniach, jakie usłyszała z jego ust, z ulgą przyjęłaby teraz słowa otuchy.

Samolot do Paryża był niemal pusty. Do domu przyjechała z Orły taksówką. Przez chwilę stała bez ruchu, podziwiając wspaniały gmach, który zawsze wywoływał w niej dziwne uczucia. Mieszkała w tym domu w dzieciństwie i ilekroć tu wracała, zawsze czuła się bardziej małą dziewczynką niż dorosłą kobietą. Dom przypominał jej też Johna, ich



wspólne wypadki, długie spacerunki po Ogronie Luksemburskim i brzegiem Sekwany.

Zadzwońiła do drzwi. Po chwili otworzyła jej obca kobieta w wykrochmalonym fartuszkui pokojówki. Z kwaśną miną, marszcząc grube ciemne brwi, patrzyła, jak kierowca wnosi do holu jej bagaże.

- Słucham panią?

- Jestem córką pana de Mornay-Malle - wyjaśniła służącej, która skinęła głową. Nie sprawiała wrażenia poruszonej czy choćby zainteresowanej jej przyjazdem.

- Czy ojciec jest w domu?

Pokojówka kiwnęła głową i w jej oczach pojawiło się zakłopotanie.

- Jest... na górze.

Dochodziła ósma wieczór, toteż Rafaela wcale nie była pewna, czy zastanie ojca w domu. Spodziewała się, że albo będzie jadł samotnie kolację, albo nie będzie go przez cały wieczór. Na pewno nie groziło jej jednak, że trafi na sam środek przyjęcia z tańcami, między roześmiane pary snujące się po korytarzach. Ojciec był dużo mniej towarzyski i zamiast w domu, wolał spotykać się z ludźmi w restauracjach.

- Pójdę do niego. Czy byłaby pani uprzejma poprosić kogoś, żeby zaniósł bagaże do mojego pokoju?

Nagle uświadomiła sobie, że kobieta może nie wiedzieć, który to pokój, więc wyjaśniła:

- To ten niebieski, na drugim piętrze.

- Och... - westchnęła służąca i zacisnęła usta, jakby chciała powstrzymać się przed wypowiedzeniem tego, co miała na końcu języka. - Tak, proszę pani.

Skinęła głową i gdzieś pobiegła. Rafaela powoli weszła na schody.

Przyjazd do tego domu nie sprawił jej szczególnej przyjemności, lecz panujący tu spokój przyniósł jej wielką ulgę po zgiełku panującym u matki. Wchodząc na drugie piętro uświadomiła sobie, że gdy sprzeda dom w San Francisco, będzie musiała znaleźć sobie jakieś miejsce na świecie. Myślała o tym, żeby kupić kawałek ziemi niedaleko Santa Eugenia i zbudować mały domek. Przez okres budowy mogłaby mieszkać w Santa Eugenia i miałaby przy tym doskonały pretekst, aby nie wyjeżdżać do miasta.

Między innymi o tym zamierzała porozmawiać teraz z ojcem. Od śmierci John prowadził jej sprawy w San Francisco i w końcu chciała się dowiedzieć, co udało się mu załatwić. Planowała pojechać za kilka miesięcy do Kalifornii i definitywnie wszystko zakończyć.

Zawahała się, stanąwszy przed drzwiami gabinetu ojca. Były to masywne, rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi. Po krótkim namyśle zdecydowała się pójść najpierw do swojego pokoju, zdjąć futro, umyć ręce i uczesać się. Wcale nie musiała się śpieszyć na spotkanie z ojcem. Na pewno przeglądał gazety, paląc cygaro.

Pograżona w myślach przekręciła dużą mosiężną gałkę i weszła do znajomego przedpokoju. Dwoje podwójnych drzwi oddziało go od pokoju. Otwierała je po kolei i bez zastanowienia szła przed siebie. Nagle zdało się jej, że pomyliła pokoje. Przy toaletce siedziała korpulentna blondynka w błękitnym koronkowym peniuarze, równie błękitne boa puszystymi zwojami oplatało jej szyję. Kobieta wstała i spojrzała na nią bezczelnym wzrokiem. Na nogach miała błękitne pantofelki idealnie dobrane do peniuaru. Rafaela stała jak osłupiała, nie rozumiejąc, skąd nieznajoma się tu wzięła i kim jest.

- Słucham? - kobieta spojrzała z wyższością na Rafaelę, której wydało się, że zaraz zostanie wyproszona ze swojego pokoju.

Było oczywiste, że ojciec ma gości, ona zaś przyjechała bez uprzedzenia. Problemu jednak nie widziała, ponieważ równie dobrze mogła się ulokować w dużym żółto-złotym pokoju gościnnym na trzecim piętrze. Nawet nie zdziwiła się zbytnio, że ojciec nie umieścił tam swoich gości, lecz wybrał jej pokój.

- Najmocniej przepraszam... myślałam... - nie wiedziała, czy przedstawić się, czy po prostu wyjść.

- Kto panią wpuścił?

- Hmm... chyba nowa służąca.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz kobieta z gniewnym wyrazem twarzy podeszła bliżej. Rafaela poczuła się jak intruz.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Rafaela Phillips - zarumieniła się lekko, a kobieta zatrzymała się w pół drogi.

Rafaela miała wrażenie, że już gdzieś ją widziała. Jasne, mocno lakierowane włosy, tworzące na jej głowie coś na kształt hełmu, wydawały się jej dziwnie znajome, ale nie wiedziała skąd. W tym momencie do pokoju wszedł jej ojciec. Był świeżo po kąpieli, pachnący, ogolony i odziany tylko w nie dopięty bordowy szlafrok. Przyszedł bosy, spod szlafroka widać było jego pierś porośniętą siwymi włosami.

- Och...

Rafaela cofnęła się do wyjścia, bo nagle poczuła się tak, jakby wtargnęła do pokoju, do którego nigdy nie wolno było jej wejść. Uświadomiła sobie naraz, że oto ogląda dokładnie to, co sama kiedyś robiła. Nie to jednak poruszyło ją najbardziej, lecz tożsamość kobiety. O Boże westchnęła, nie mogąc się poruszyć z wrażenia.

Blondynka, którą zastała u ojca, była żoną jednego z najbardziej wpływowych ministrów w rządzie francuskim.

- Proszę, zostaw nas samych, Georgette - powiedział stanowczo i spokojnie Antoine, ale na jego twarzy widać było zdenerwowanie. Kobieta odwróciła się obłana ciemnym rumieńcem.

- Georgette... - przemówił łagodnie, wskazując drzwi buduaru.

Kobieta wyszła, a on został twarzą w twarz z córką, zapinając czerwony szlafrok.

- Czy mogę zapytać, co tu robisz nie zapowiedziana? I to w tym pokoju?

Długo patrzyła nań, zanim odpowiedziała. Nagle ogarnęła ją niepoohamowana wściekłość, wściekłość, którą powinna była poczuć już rok temu, a której nie mogła teraz opanować. Krok za krokiem zbliżała się do ojca z groźnym błyskiem w oczach, Antoine nigdy nie widział jej w takim stanie. Bezwiednie położył rękę na oparciu stojącego za nim krzesła i poczuł, że zaczyna drżeć. To była jego córka, jego dziecko.

- Co tutaj robię, tato? Przyjechałam cię odwiedzić. Pomyślałam, że pojedę do Paryża, aby odwiedzić swojego ojca. Czy to takie dziwne? A może powinnam była zadzwonić, aby oszczędzić wstydu szanownej pani ministrowej?... Myślałam, że będzie przyjemniej, jeśli zrobię ci niespodziankę. A dla czego jestem w tym pokoju? Dlatego,

tato, że dotychczas był mój. I myślę, że dużo ważniejsze jest, co ty tu robisz, ojcze. Ty, ze swoją świętoszkowatą moralnością i nie kończącymi się kazaniami. Ty, który rok temu zelżyłeś mnie i wyrzuciłeś z tego domu. Ty, który nazwałeś mnie morderczynią, bo rzekomo zabiłam swojego siedemdziesięciosiedmioletniego męża, od siedmiu lat wegetującego. A co będzie, jeśli pan minister dostanie jutro wylewu? Czy ty też będziesz mordercą?... Albo jeśli umrze na atak serca? Jeśli nagle dowie się, że ma raka, i zabije się, bo nie potrafi tego znieść? Czy wtedy weźmiesz na siebie całą winę i będziesz karał siebie, tak jak ukarałeś mnie? A co będzie, jeśli twój romans zniszczy jego karierę polityczną?... A ona? Co z nią, tato? Co jej zabierasz? Jakie masz do tego prawo, gdy moja matka siedzi w Madrycie? Czy masz jakieś prawo, którego nie miałam ja rok temu, gdy byłam z człowiekiem, którego kochałam? Jakim prawem...? Jak śmiałeś! Jak mogłeś! - stała przed nim drżąca i krzyczała mu prosto w twarz. - Jak śmiałeś tak mnie potraktować rok temu? Wyrzuciłeś mnie z tego domu i wysłałeś do Hiszpanii, bo nie chciałeś mieć dziwki pod swoim dachem. Ale widzę, że masz. Masz w domu dziewczynę, tato - wskazała histerycznie na drzwi buduaru i zanim zdążył ją powstrzymać, przekroczyła je.

Żona ministra siedziała na brzegu antycznego krzesła i płakała, wycierając nos chusteczką. Rafaela spojrzała na nią z góry.

- Życzę pani miłego dnia... Żegnaj, ojcze. Nie spędzę nocy z dziewczynką pod jednym dachem. Ty, tato, jesteś dziewczynką, nie ta pani i nie ja. Ty jesteś... ty... - zaszlochała histerycznie. - To, co mi powiedziałeś rok temu, omal mnie nie zabiło... Przez ponad rok zadreślałam się tym, co zrobił John, choć wszyscy mówili mi, że to nie moja wina, że zrobił to dlatego, że był stary, schorowany i słaby. Tylko ty obwiniałeś mnie za jego śmierć. Powiedziałeś, że cię zhańbiłam i że mogłam wywołać skandal, który zaszkodziłby twojemu dobremu imieniu. A ty? Niech cię wszyscy diabli!... A ona? - wskazała na kobietę w błękitnym peniuarze. - Czy nie sądzisz, że to byłby jeszcze większy skandal? A co na to twoja służba? A minister? Wyborcy? Klienci banku? Czy pomyślałeś o nich? Czy może tylko ja zachowywałam się haniebnie? Mój Boże, to, co ja robiłam, było niczym w porównaniu z tym. Ale masz do tego prawo, jeśli chcesz. Czy miałeś prawo mówić mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić, co jest dobre, a co złe? Jak mogłeś mnie

wyzywać od najgorszych? Jak śmiałeś mi to zrobić? - Na chwilę spuściła głowę, starając się stłumić szloch, potem znów spojrzała na niego. - Nigdy ci nie wybaczę, tato... nigdy...

Stojąc bez ruchu, patrzyła na zdruzgotanego starzejącego się mężczyznę w bordowym szlafroku okrywającym niezbyt już jędrne ciało, z twarzą wyrażającą ból, który mu zadała tym, co przed chwilą powiedziała.

- Rafaelo... myliłem się... myliłem się... To stało się później. Przysięgam. To zaczęło się tego lata...

- Nie obchodzi mnie, kiedy się zaczęło - rzuciła wściekle i przez łzy patrzyła to na niego, to na jego kochankę. - Gdy ja to robiłam, nazwałeś mnie morderczynią. Teraz, kiedy ty to robisz, uważasz, że wszystko jest w porządku. Spędziłabym resztę życia w Santa Eugenia, zadręczając się na śmierć, a wiesz dlaczego? Dlatego, że to powiedziałeś. Powiedziałeś, a ja ci uwierzyłam. Czułam się tak strasznie winna, że przyjąłabym wszystkie te kłamstwa, które wbiłeś mi do głowy.

Wstała i wyszła do pokoju. Podążył za nią, odprowadzając ją nieprzytomnym wzrokiem. Na krótką chwilę zatrzymała się w drzwiach i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Rafaelo... przepraszam...

- Za co przepraszasz, tato? Za to, że cię zdemaskowałam? Czy sam powiedziałbyś mi o tym? Czy powiedziałbyś mi, że zmieniłeś zdanie i że nie zabiłam mojego męża? Czy powiedziałbyś mi, że przemyślałeś to wszystko i zrozumiałeś, iż myliłeś się? Gdybym cię dzisiaj nie zdemaskowała, kiedy byś mi o tym powiedział? Kiedy?

Nie wiem szepnął ochryplym głosem.

- Kiedyś... musiałbym...

- Musiałbyś? - pokręciła głową. - Nie wierzę. Nigdy byś mi nie powiedział. Ty spędzałbyś tutaj słodkie chwile ze swoją kochanką, a ja umierałabym pogrzebana żywcem w Hiszpanii. Czy mógłbyś spokojnie żyć, wiedząc o tym? Mógłbyś?... Jedynym człowiekiem, który zrujnował komuś życie, jesteś ty, ojciec. Niemal mnie zabiłeś.

Mówiąc to zatrzęsnęła drzwiami. Znalazłszy się na dole zauważyła, że jej bagaże

wciąż jeszcze stoją w holu. Drżącymi rękami chwyciła torby, wsunęła pod ramię torebkę i skierowała się na najbliższy postój taksówek. Wiedziała, że jest zaraz za rogiem, a gdyby nawet miała iść pieszo na lotnisko, była zdecydowana wracać do Hiszpanii. Złapała taksówkę, nadal rozdygotana. Kazała się zawieźć na Orły, oparła głowę na siedzeniu, zamknęła oczy i otarła łzy z policzków.

Była przepelniona gniewem i nienawiścią do ojca. Co za drań, co za hipokryta... A co z matką? Ze wszystkimi jego oskarżeniami? Ze wszystkim, co powiedział?... Przez całą drogę rozmyślała o tym, lecz w końcu doszła do wniosku, że i on jest tylko człowiekiem, takim samym jak matka, jak ona sama, jak niegdyś John. Może istotnie nie zabiła Johna? Może to prawda, że po prostu nie chciał już dłużej się męczyć.

Lecąc do Hiszpanii patrzyła w ciemne niebo za oknem i nadal dumiała o wszystkim, co się wydarzyło. Po raz pierwszy od niemal roku poczuła się wolna od przytłaczającego ciężaru winy i bólu. Wreszcie zrobiło się jej żal ojca. Raptem roześmiała się, wspomniawszy, jak wyglądał w bordowym szlafroku, z grubą podstarzałą kochanką w peniuarze. Śmiała się cicho, gdy samolot lądował w Madrycie, i nie przestawała się uśmiechać, gdy wysiadała.

### **ROZDZIAŁ 34**

Następnego ranka zeszła na śniadanie z twarzą równie bladą i mizerną jak zwykle, oczy jej wszakże błyszczwały. Pijąc kawę niefrasobliwie wyjaśniła matce, że omówiła z ojcem wszystko, co miała do omówienia, i postanowiła wrócić do domu.

- A dlaczego po prostu do niego nie zatelefonowałaś?

- Myślałam, że zajmie mi to więcej czasu.

- To nierozsądne. Czemu nie zostałam u niego na dłużej?

Spokojnie odstawiła filiżankę z kawą.

- Bo chciałam wrócić tutaj jak najszybciej.

- Tak?

Alejandra wyczuła, że coś musiało być na rzeczy, i spojrzała jej badawczo w oczy.

- A to dlaczego?

- Wracam do domu.

- Do Santa Eugenia? - zaniepokoiła się Alejandra.

- Nie, na Boga.

- Zostań w Madrycie przynajmniej do świąt, a potem pojedziemy razem. Nie chcę, żebyś jechała tam teraz. O tej porze roku nie jest tam przyjemnie.

- Wiem i wcale się tam nie wybieram. Miałam na myśli San Francisco.

- Co? - zdumiała się matka. - I o tym rozmawiałś z ojcem? Co na to powiedział?

- Nic.

Rafaela znów miała ochotę uśmiechnąć się na wspomnienie bordowego szlafroka.

- To moja decyzja.

Odkrycie, jakiego wczoraj dokonała, uwolniło ją od ojca.

- Chcę wrócić do domu.

- Nie bądź śmieszna, przecież tu jest twój dom, Rafaelo - zatoczyła ręką krąg, wskazując bogaty dom, który od ponad stu lat należał do jej rodziny.

- Po części tak, ale tam też mam dom. Chcę do niego wrócić.

- A co tam będziesz robić?

Matka była wyraźnie zasmucona. Rafaela najpierw niczym zranione zwierzątko zaszyła się w Santa Eugenia, teraz znów chciała gdzieś uciec.

Musiała jednak przyznać, że w tej chwili było w niej dużo więcej życia i coś, co trochę przypominało dawną Rafaelę, choć nadal była nienaturalnie cicha, zamknięta w sobie i nawet teraz nie chciała powiedzieć, co zamierza.

Alejandra pomyślała, że może znów skontaktowała się z tamtym człowiekiem. Jeśli to miał być powód jej wyjazdu, nie była tą perspektywą za chwycona. Przecież od śmierci jej męża nie upłynął nawet rok.

- Może poczekaś do wiosny?

Rafaela potrząsnęła głową.

- Nie. Pojadę teraz.

- Kiedy?

- Jutro oświadczyła.

Sięgnęła po filiżankę i spojrzała matce w oczy.

- Nie wiem, jak długo tam zostanę i kiedy wrócę. Może sprzedam tamten dom, a może nie. Jeszcze nie wiem. Wiem tylko jedno: że kiedy stamtąd wyjeżdżałam, byłam w szoku. Teraz muszę tam wrócić.

Matka wiedziała, że to prawda, ale obawiała się, że ją straci. Nie chciała, by Rafaela została w Stanach. Należała przecież do Hiszpanii.

- Dlaczego nie poprosisz ojca, żeby się zajął wszystkimi twoimi sprawami? - zapytała, wiedząc, że sama na jej miejscu tak by zrobiła.

- Bo nie chcę. Nie jestem już dzieckiem.

- Może weźmiesz ze sobą którąś kuzynkę?

Rafaela uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie, mam. Poradzę sobie sama.

Alejandra jeszcze kilka razy w ciągu dnia miała ochotę porozmawiać o tym z Rafaelą, ale nie odważyła się. Gdy wiadomość od niej dotarła do Antoine'a, było już za późno.

Następnego ranka drżącymi rękami sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Hiszpanii. Zastanawiał się, czy Rafaela powiedziała o wszystkim matce. Obawiał się, że teraz jego małżeństwo może skończyć się katastrofą. Na szczęście dowiedział się tylko, że Rafaela wyjechała właśnie do Kalifornii. Było już za późno, aby ją powstrzymać, Alejandra jednak chciała, by namówił ją do powrotu do domu.

- Na pewno mnie nie posłucha, Alejandro.

- Ciebie posłucha, Antoine - usłyszał i znów przypomniał sobie scenę sprzed dwóch dni. Był córce niezmiernie wdzięczny, że nie powiedziała matce. Pokręcił głową i od powiedział:

- Nie, Alejandro, już mnie nie posłucha. Już nigdy.

## **ROZDZIAŁ 35**

Samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku w San Francisco o trzeciej po południu. Był pogodny grudniowy dzień. Słońce świeciło jasno, ciepłe powietrze falowało łagodnie. Rafaela wciągnęła je głęboko w płuca. Aż trudno było jej uwierzyć, że mogła



bez tego przeżyć cały rok. Cieszyła się z powrotu i gdy odebrała bagaże, poczuła się silna, wolna i niezależna.

Wyszła z budynku i przywołała taksówkę. Tym razem nie czekała na nią limuzyna i nie musiała wysiadać z samolotu specjalnym wyjściem. Nie musiała prosić o eskortę do odprawy celnej i przeszła przez nią jak wszyscy inni pasażerowie. Czowała się w tej nowej roli doskonale, bo była już zmęczona nieustanną ochroną i ukrywaniem się. Wiedziała, że w końcu nadszedł czas, kiedy została zdana na samą siebie.

Wprawdzie zatelefonowała wcześniej, aby uprzedzić o swoim przyjeździe służbę, lecz była to czysta formalność. Niewiele osób zresztą pozostało, większość bowiem zwolnił jej ojciec. Niektórzy dostali emeryturę, inni otrzymali niewielką zapisaną im przez Johna odprawę, wszyscy jednak żalowali minionej epoki. Nikt nie sądził, że Rafaela wróci, toteż zapowiedź jej przyjazdu była zaskoczeniem.

Gdy taksówka zatrzymała się przed główną bramą posiadłości, przywitali ją ciepłymi, przyjaznymi uśmiechami. Jej powrót sprawił im nieklamana radość, choć spodziewali się, że jest zapowiedzią kolejnych zmian. Wieczorem czekała ją wspaniała kolacja z nadziewanym indykiem, pieczonymi ziemniakami, szparagami i doskonałą szarlotką. Kiedy jadła, w kuchni szeptało, że strasznie wychudła ze zgryzoty, że wygląda na bardzo nieszczęśliwą, zmęczoną i że nikt do tej pory nie widział aż takiego smutku w jej oczach. Nie wiedzieli, że wygląda już dużo lepiej niż w Santa Eugenia.

Aby sprawić służbie przyjemność, Rafaela zeszła na kolację do jadalni, a potem ruszyła na obchód domu. Wyglądał smutno, wydawał się pusty, opuszczony, jakby czasy jego świetności minęły bezpowrotnie. Rozglądając się dookoła pomyślała, że czas go zamknąć. Nie była jeszcze pewna, czy zostanie w San Francisco, ale jeśli się na to zdecyduje, na pewno nie będzie potrzebowała aż takiego gmaszyska. Idąc po schodach na górę uświadomiła sobie, że jego atmosfera już zawsze by ją przygnębiała. Dom ciągle przypominałby jej Johna w ostatnich latach życia. Kusilo ją, by zostać w San Francisco, lecz gdyby to zrobiła, wystarczyłby jej mały domek... taki jak dom Alexa przy Yallejo...

Pomimo usilnych starań nie mogła się po wstrzymać i jej myśli wciąż wędrowały ku niemu. Wchodząc do sypialni nie mogła oprzeć się wspomnieniom nocy, w które

niecierpliwie czekała, aby wymknąć się do niego. Rozpamiętywała te chwile rozglądając się wokół. Co teraz Alex robi? Jak przeżył miniony rok?

Od ostatniego spotkania w Santa Eugenia nie miała wieści ani od Amandy, ani od Charlotty i była przekonana, że już nigdy się nie odezwą. Sama też nie zamierzała się z nimi kontaktować... ani z Alexem... Po co miałyby do niego telefonować i mówić, że wróciła? Przyjechała, by wspominać Johna, zamknąć dom, spakować jego osobiste rzeczy, pozalać swoje sprawy.

Przestała już uważać siebie za morderczynię, wiedziała jednak, że do końca życia przyjdzie jej żyć ze świadomością tego, co się stało, i musi się z tym oswoić, zanim wybierze San Francisco lub Hiszpanię. Nieważne, gdzie zamieszka, naprawdę ważne było to, jaką postawę wobec przeszłych zdarzeń przyjmie na dalsze życie. Wiedziała, że musi się obudzić z odrętwienia, niestrudzenie przemierzała zatem puste pokoje odpędzając myśli o Aleksie i przekonując samą siebie, że nie jest winna śmierci Johna.

Dochodziła północ, gdy wreszcie odważyła się wejść do jego sypialni. Przez chwilę stała na środku, rozglądając się wokół i wspominając chwile, które spędzała przy jego łóżku: czytała, zabawiła go rozmową, jadła... Przypomniała sobie jego ulubiony tomik poezji i bezwiednie podeszła do szafy z książkami oglądając ich grzbiety. Na najniższej półce odnalazła cienki tomik, który ktoś wsunął między inne książki. Ostatnio leżał zazwyczaj na nocnym stoliku przy łóżku Johna. Pamiętała, że widziała go tam następnego ranka po tej nocy, kiedy... Zastanawiała się, czy John czytał przed śmiercią. Wyobraźnia podsunęła jej tę romantyczną scenę, chociaż zdawała sobie sprawę, że to mało prawdopodobne.

Siedząc jednak przy jego łóżku z cienką książeczką w dłoni poczuła nagle bliskość Johna. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy czytali te wiersze razem. Było to podczas ich miodowego miesiąca na południu Francji.

Uśmiechając się do siebie zaczęła kartkować książkę. Zatrzymała się przy znajomym wierszu. Między kartkami tkwiła zakładka kartka niebieskiego papieru. Gdy rozchyliła stronicę, serce zaczęło jej nagle walić w piersi jak młotem. Kartka była zapisana nieporadnym, koślawym pismem Johna. A więc zostawił jakąś wiadomość,

jakieś przesłanie, ostatnie słowo!... Gdy zaczęła czytać, uświadomiła sobie, że właśnie tego po nim oczekiwała.

Spojrzała na podpis i łzy napłynęły jej do oczu. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem list. Teraz nie mogła już powstrzymać łez, które strumieniem płynęły jej po policzkach.

*Moja najdroższa Rafaela,*

*To nie kończący się wieczór, koniec nie kończącego się życia. Życia pełnego wielu wrażeń, dobrego. Dobrego dzięki Tobie. Byłaś dla mnie bezcennym skarbem, idealnym diamentem bez skazy. Zawsze starałaś się okazywać mi miłość, sprawiać przyjemność i radość. Teraz chcę Cię błagać tylko o jedno: abyś mi wybaczyła. Myślałem o tym już od dawna. Od tak dawna pragnąłem być wolny! Teraz odchodzę, bez Twojego przyzwolenia, ale mam nadzieję, że z Twoim błogosławieństwem. Przebacz mi, kochana. Odchodząc, chcę pozostawić Ci całą swoją miłość. I proszę, nie myśl o mnie jak o umarłym, ale jak o wolnym.*

*John Henry*

Przeczytała jeszcze raz, i jeszcze.

„Nie myśl o mnie jak o umarłym, ale jak o wolnym.” A więc jednak zostawił jej list! Ulga, jaką odczuła, oszołomiła ją tak bardzo, że z trudem mogła się poruszać. To on prosił ją o przebaczenie!... Jakież to absurdalne! I jakże się myliła! Nie umarły... Wolny!

Teraz myślała o nim właśnie tak i błogosławiła go, tak jak on błogosławił ją rok temu. Po raz pierwszy od roku poczuła się naprawdę wolna. Powoli ruszyła w dalszą wędrowną drogę po pustym domu. Oboje byli zatem wolni. I ona, i John. Zrobił to, czego tak pragnął. Wybrał najwłaściwszą dla siebie drogę. Teraz ona też mogła wybierać. Mogła stąd odejść... mogła zacząć wszystko od nowa. Była sobą.

Nagle zapragnęła zadzwonić do Alexa i powiedzieć mu o liście. Nie, nie może tego zrobić. Byłoby okrucieństwem znów wkraczać w jego życie po tym, czego przez nią doświadczył. A tyle miała mu do powiedzenia!...

Gdy o trzeciej nad ranem szła do swojej sypialni, myślała o nich obu z tkliwością i miłością. I czuła, że kocha obu bardziej niż kiedykolwiek. Wszyscy byli teraz wolni... Wszyscy troje. Nadszedł czas.

Następnego ranka zadzwoniła do agencji handlu nieruchomościami i wystawiła dom na sprzedaż. Skontaktowała się też z kilkoma muzeami i bibliotekami uniwersyteckimi. Potem zadzwoniła do biura przeprowadzek i zamówiła kilku ludzi do pomocy, pudła oraz taśmy. Nadszedł czas, aby zamknąć ten rozdział. Wszystko już przemyślała i wiedziała, co ma robić. Nie była pewna, dokąd się wyprowadzi i co ze sobą pocznie, ale nadszedł czas, by opuścić dom Johna, który nigdy nie był naprawdę jej domem.

Może pora wrócić do Europy? Nie była tego pewna. List Johna był dla niej odpuszczeniem grzechów. Złożyła go starannie i schowała do torebki. Zamierzała umieścić go w bankowym sejfie razem z innymi ważnymi dokumentami. Był dla niej najcenniejszym dokumentem, jaki kiedykolwiek posiadała.

Do końca tygodnia uporała się z darowiznami dla muzeów, uniwersytety podzieliły między siebie cały księgozbiór. Za trzymała tylko kilka książek, między innymi oczywiście tomik poezji, w którym John zostawił pożegnalny list.

Jednego dnia zadzwonił do niej ojciec. Gdy powiedziała mu o liście, nastąpiła długa cisza, a potem ochryplym głosem zaczął ją przeproszać za wszystko, co powiedział. Zapewniła go, że nie żywi do niego urazy. Potem każde osobno rozmyślało o tym, jak przez ostatni rok odpłacali sobie pięknym za nadobne, jak obrzucali się słowami, których nigdy nie powinni byli wymawiać, jak zadawali sobie trudne do zagojenia rany. John ukoił ból Rafaeli i swoim listem dał jej ojcu ostatni najcenniejszy dar prawdę. Rafaela czuła się jak we śnie, gdy wraz ze służącymi pakowała ostatnie pudła. Zajęło im to niecałe dwa tygodnie. Zbliżało się Boże Narodzenie i zamierzała pojechać na święta do Hiszpanii. Tutaj nic jej nie trzymało.

Dom był właściwie sprzedany pewna kobieta zachwyciła się nim od pierwszego wejrzenia i tylko jej mąż potrzebował jeszcze odrobinę czasu do namysłu. Meble, z wyjątkiem kilku drobiazgów, które Rafaela wysłała do matki do Hiszpanii, zostały wystawione na aukcję. Nie miała tu co robić. Ostatnie noce przed wyjazdem z San Francisco zamierzała spędzić w hotelu. Pozostały jej już tylko wspomnienia snujące się po domu niczym duchy. Wspomnienia kolacji, które spożywali w jadalni, kiedy jeszcze wkładała na tę okazję jedwabne suknie i perły, wieczory przy kominku... Chciała zabrać

ze sobą te wspomnienia, więc gromadziła je i pakowała jak rzeczy.

Dochodziła szósta wieczorem. Za tydzień Boże Narodzenie. Na dworze było już ciemno, w kuchni kucharz przygotowywał jej jajka na bekonie, na które właśnie przysła jej ochota. Przeciągnęła się, westchnęła i usiadła na podłodze. Miała teraz na sobie stare spodnie w kolorze khaki. Rozejrzała się wokół, po domu Johna. Wszystko było już spakowane, gotowe do zabrania. Rafaela dojadła jajka. Myślami nieustannie uciekała do Alexa. Doskonale pamiętała dzień, kiedy przypadkowo spotkali się na plaży. To było dokładnie przed rokiem. Pomyślała, że gdyby wyszła z domu, może znowu by go spotkała. Uśmiechnęła się.

Nie, to niemożliwe, o tym można tylko pomarzyć. Skończywszy jeść, wyniosła do kuchni talerze. Za kilka dni mieli odejść ostatni służący. Z radością odkryła, że troszczenie się o własne potrzeby w tym ogołoconym domu sprawia jej wyjątkową przyjemność. Nie było już książek do czytania, nie mogła pisać listów ani oglądać telewizji. Pomyślała, że mogła by pójść do kina, ale w końcu zdecydowała się na krótki spacer przed snem. Rano miała jeszcze kilka spraw do załatwienia, musiała też zarezerwować sobie bilet do Hiszpanii. Podziwiając piękne widoki powoli przemierzała Broadway. Mijała dostojne, piękne domy i wiedziała, że nigdy nie będzie jej ich brakowało. Bardziej podobały się jej małe domki, proste, zwyczajne, pomalowane na beżowo, z białymi gzymsami i kolorowymi kwiatami w ogrodzie. Nogi same ją niosły tam, gdzie biegły jej myśli. Szła prosto przed siebie, aż uświadomiła sobie, że tylko jedna przecznicą dzieli ją od tego miejsca. Gorąco pragnęła się tam znaleźć, jeszcze raz zaznać miłości, którą było wypełnione!... Pożegnała się już z domem, w którym żyła z Johnem, teraz nadszedł czas, by powiedzieć do widzenia miejscu, gdzie spotykała się z Alexem. Potem być może potrafi znaleźć sobie własne miejsce, w którym zapuści korzenie. Może spotka kiedyś mężczyznę, którego pokocha tak, jak kochała Alexa i Johna.

Szła przed siebie pchana jakąś niewidzialną siłą, tak jakby przez cały tydzień czekała na chwilę, kiedy się tu znajdzie, kiedy znów zobaczy to miejsce i jeszcze raz uświadomi sobie, ile dla niej znaczyło. W domu nie świeciło się żadne światło, była

zatem pewna, że w środku nie ma nikogo. Może Alex wyjechał, może jest w Nowym Jorku?... Przypomniała sobie, że Amanda rozpoczęła studia. Pewno wyjechała już na święta do domu, do Kay, lub na Hawaje z Charlottą. Wszyscy wydali się jej nagle tak dalecy i obcy.

Długo stała wpatrzona w ciemne okna, wspominając i niemal czując wszystko, co tam przeżyła, życząc Alexowi jak najlepiej, gdziekolwiek jest i cokolwiek robi. Nie zauważyła, że drzwi garażu otworzyły się, a na rogu przystanął czarny porsche. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna za kierownicą siedział nieruchomo wpatrzony w to, co ukazało się jego oczom. Był niemal pewny, że to Rafaela stoi po drugiej stronie ulicy i patrzy w jego okna. Nie, to niemożliwe, to tylko złudzenie, sen... Kobieta, która tam stała, była dużo szczuplejsza, miała na sobie stare spodnie i gruby biały sweter. Ale włosy upięte w znajomy kok!... To, co widział z tej odległości, przypominało mu Rafaelę, lecz przecież ona jest w Hiszpanii!

Matka mówiła mu, że zupełnie usunęła się z życia, stracił więc nadzieję, że kiedykolwiek ją zobaczy. Nie odpisała na żaden jego list. Matka mówiła, że wyrzekła się wszystkiego, co kiedyś miało dla niej znaczenie, zobojętniała. Przez rok nie mógł się z tym uporać, ale jakoś w końcu pogodził się z losem. Ledwie otrząsnął się po stracie Rachel, okazało się, że i Rafaela postanowiła od niego odejść.

Ona także go porzuciła. Rozumiał ją i po roku przestał rozpaczać, nigdy jej jednak nie zapomni... nigdy... Nigdy bowiem nie kochał tak bardzo żadnej kobiety. To nie mogła być Rafaela.

Uruchomił samochód i wjechał do garażu. Po drugiej stronie ulicy pojawił się mały chłopiec i jak zwykle patrzył na auto w niemym zachwycie. Zaprzyjaźnił się z Alexem, który raz wziął go nawet na małą przejażdżkę. Teraz nie zwrócił jednak na niego uwagi. We wstecznym lusterku wyraźnie zobaczył twarz kobiety. To była ona... ona!

Wypadł z samochodu, przemknął pod opadającymi drzwiami. Stał jak wryty i spoglądał na nią, drżącą i wpatrzoną w niego z przeciwnej strony ulicy. Jej twarz była dużo szczuplejsza, oczy jeszcze większe... Wyglądała na bardzo zmęczoną. Tak, to ona, Rafaela, kobieta o której tak długo marzył i która wydawała mu się nieosiągalna.

Była tutaj, patrzyła na niego. Nie był pewny, czy śmiała się, czy płakała. Na ustach miała promienny uśmiech, ale po policzkach płynęły jej łzy lśniąca w blasku latarni. Bez słowa krok za krokiem ruszył w jej kierunku, ostrożnie, jakby przeprowiał się przez dzielącą ich rzekę.

Poczuł, że i jemu spływają po policzkach łzy, choć usta śmiały się szeroko. Nie wiedział, po co tu przyszła, czy chciała go zobaczyć, czy tylko powspominać i pomarzyć. Ale teraz, skoro już ją zobaczył, nie pozwoli jej odejść. Teraz już na pewno nie. Wykonał ostatni krok i porwał ją w ramiona. Ich usta spotkały się. Jeszcze mocniej przycisnął ją i zastygli w długim pocałunku. Całowali się na środku pustej ulicy, a mały chłopiec patrzył na nich rozczarowany. Przyszedł zobaczyć czarnego porsche'a, a tu coś takiego!...

Jego obchodził tylko porsche, nie zwracał uwagi na dorosłych ściskających się na środku ulicy i ze śmiechem ocierających sobie łzy. Znowu się pocałowali, po czym trzymając się za ręce weszli do ogrodu i zniknęli w domu. Chłopiec wzruszył ramionami, spojrzął na drzwi garażu, za którymi krył się obiekt jego marzeń, i odszedł.